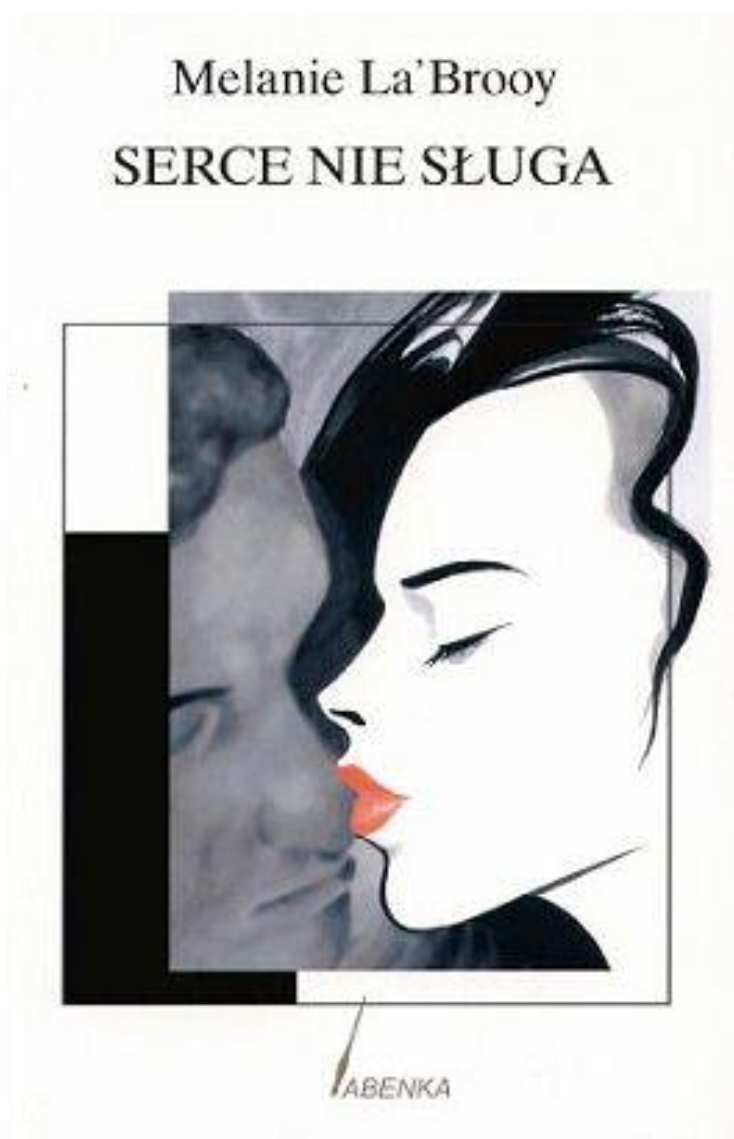




**Melanie La' Brooy**

**SERCE NIE SŁUGA**

Tytuł oryginału: *Love struck*



RS

*Mojej ukochanej niani Audrey La 'Brooy  
niezwykłej, niezależnej kobiecie  
o szelmowskich oczach*

## Prolog

### Nienawidzę Sydney.

Nienawidzę, bo to przez to cholerne miasto jestem załamana, nie-szczęśliwa i wkurzona, choć znaczna część winy spada również na Niedzwoniącego Charliego i na wszystkie pieprzone szetlandzkie kuce. Wstydzić się także powinni: Henry James (za napisanie *Portretu damy*), budowlaniec Trevor i cała rodzinka Triebertów (wielce zasłużona w rozwoju nowoczesnej oboistyki). Ponadto o spisek zawiązany w celu wtrącenia mnie w otchłań rozpacz i zborsuczenia oskarżam następujące osoby i stworzenia: Gościa, Który Kradł Monety z Pralkowego Automatu, Wrednego Gerarda, Lokatora spod Dziesiątki (wiecznie przyklepiającego jakieś kartki na tablicy ogłoszeń), doktora Allena, krowy (za to, że dają mleko), producentów kahlui (przede wszystkim za to, że umożliwili łączenie jej z mlekiem) i w końcu tego Botanika od Fran. Zdecydowanie też czuję odrazę do facetów trzymających bezwłose miniaturowe psy o głupich, pretensjonalnych imionach, a na dodatek uważających, że mówię dialektem. Oto dlaczego.

## 1.

### Charlie odchodzi

- „To w zasadzie wszystko bzdura, no nie?”

Głos taksówkarza brutalnie wyrwał mnie z miłego rozmarzenia i zmusił do porzucenia kontemplacji wspaniałych widoków przesuających się za oknem taksówki: smukłych przęsł mostu Anzac i przedniego błękitu Zatoki Sydney.

- Przepraszam... co jest w zasadzie bzdurą? - spytałam grzecznie, choć głupio. Gdybym nie była tak pochłonięta podziwianiem widoków, pewnie zdobyłabym się na coś bardziej błyskotliwego niż taka idiotyczna odzywka. Cholera, cudowna Zatoka Sydney. To wszystko przez nią.

- No ta cała stuka - odpowiedział taksówkarz powoli, ale z wielką satysfakcją, smakowicie i z pogardą rozciągając inkryminowane słowo do wersji „štuuuka”.

Jęknęłam w duchu. To był niewybaczalny błąd mówić taksówkarzowi, że pracuję w aukcyjnym domu sztuki. Z moich bolesnych doświadczeń z tym osobliwym plemieniem, jakim są taksówkarze, wiedziałam, że przez resztę trasy będę skazana na słuchanie monologu o tym, że wszystkie obrazy powstałe od czasów, kiedy Monet namalował swój ostatni nenufar, to w zasadzie kupa pretensjonalnych bohomasów. Zostanę też poinformowana, że sześciolatek/ córka/pies rasy labrador taksówkarza potrafią namalować obraz o niebo lepszy od połowy tego śmiecia, jakie wisi w Galerii Sztuki Nowej Południowej Walii. Zadziwiająco, ale większość taksówkarzy wydaje się żywić szczególną odrazę do Picassa. Spotkałam już takich, którzy bez oporów przyjmowali krowy w formalinie Damiena Hirsta czy instalacje Carolee Schneeman ze zużytych tamponów, ale każda wzmianka o Picassie skazywała mnie na wysłuchiwanie długich tyrad o tym, że przecież ludzie nie mają trojga oczu, i to po jednej stronie twarzy, a nosy nie wyrastają im z uszu, i to pod kątem prostym. Mój taksów-

karz, pewny swoich racji, ściszył co nieco radio i płynący zeń czyjś oburzony głos perorujący coś - o ile dobrze pojęłam - o imigrantach, i ruszył z kopyta z nieśmiertelnym tekstem:

- Wie pani, przy połowie dzisiejszych malunków człowiek nawet nie wie, CO właściwie one przedstawiają.

Odmruczałam COŚ niezobowiązującego, mam bowiem niezłomną zasadę, by w nic nie wdawać się z taksówkarzami, nigdy i nigdzie. Takie związki bowiem w przeszłości prowadziły tylko do obopólnej frustracji i rozczarowania. Trudno zresztą, żeby było inaczej, zważywszy, że zaczynało się zazwyczaj od wyczynianych przeze mnie rozpaczliwych i błagalnych gestów z chodnika. Wyglądałam wtedy jak skrajnie zdesperowana prostytutka, która haniebnie oblała egzamin z podstawowych zasad nagabywania. Wyraz zaś mojej twarzy był skrzyżowaniem powabnej bezradności z chłodnym profesjonalizmem (który miał skłaniać tych drani taksówkarzy, by mnie zabrali, bo właśnie zdążam na supertajne posiedzenie ONZ w sprawie światowego kryzysu i już jestem spóźniona), a efekty moich starań były zazwyczaj takie jak i dziś: około 38 pustych taksówek przemknęło bez zatrzymania (a kto wie, może to, kurczę, była wciąż jedna i ta sama taryfa krążąca w złudnej nadziei, że trafi się jej klient wyglądający nieco normalniej). W końcu jedna wreszcie zwolniła, taksówkarz przyjrzał mi się beznamiętnie, po czym zatrzymał się - na tyle daleko, że musiałam uskoczyć przed dwoma autobusami i prawdopodobnie nawalonym kierowcą saaba, nim wreszcie zziajana dopadłam zbawczych drzwi-czek.

Po szczęśliwym złapaniu taksówki zawsze przychodzi kłopotliwy moment decyzji, gdzie siadać: z przodu czy z tyłu? Wybór tylnego siedzenia stanowi wyraźny sygnał: życzę sobie być odwieziona na miejsce bez żadnej konwersacji i jakichkolwiek towarzyskich kontaktów z kierowcą, co sprawia, że z miejsca czuję się jak obrzydliwa, ohydna snobka. A wtedy ogarnia mnie zawsze takie poczucie winy, że w ramach ekspiacji i rekompensaty zaczynam okazywać zainteresowanie sprawami kierowcy w stopniu, który (w jego opinii) uchodzi

tylko na pierwszej randce. Z drugiej strony, siadanie z przodu sprawia, że robię się strasznie wesolutka i szczebiotliwa, i zwykle kończy się tym, że opowiadam taksówkarzowi całą historię swojego życia, w duchu klnąc siebie w żywy kamień za to, co robię i za to, że przeniosłam się z Melbourne do Sydney. Dodatkowo przez cały czas zastanawiam się, czy jadąc z Woollahry na Balmain naprawdę trzeba jechać przez Góry Błękitne.

Tymczasem taksówkarz tokuje. O polityce. O religii.

O sztuce (śtuce...). O muzyce. Doprawdy, to wykańcza. Dla taksówkarzy to pestka względnie pryszcz - krążąc całymi dniami po mieście są, dzięki radiu, na bieżąco we wszystkich najświeższych sensacjach, plotkach i skandalach i mogą wygłaszać opinie prawie na każdy temat. Ale ja jestem dziewczyną pracującą i bardzo zajęta. To nie moja wina, że z trudem przypominam sobie, jak u diabła nazywa się prezydent Indonezji, nigdy też nie potrafię do końca zrozumieć, o co do cholery biega na tym całym Środkowym Wschodzie.

Zazwyczaj po rozmowie z taksówkarzem wpadam w totalny dołek i ponuro rozmyślam nad płytkością i pospolitością mego żywota.

Mój taksówkarz narzekał właśnie na te wszystkie nowoczesne obrazy, których istnienie odczuwał jako osobisty afront dla swej artystycznej wrażliwości. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko znowu wydać niezobowiązujący pomruk i skierować ponownie całą uwagę na podziwianie widoków.

Fakt, że Sydney jest - bez wątpienia - uderzająco i oszałamiająco piękne. Ja i mój chłopak, Charlie, przenieśliśmy się tu z Melbourne rok temu, każde do nowej pracy. Ja pracowałam na wschodnim przedmieściu Woollahra (bardzo szykowne, z klasą, przeciętnie po dwa eleganckie sklepy spożywcze na jednego mieszkańca i przeogromna obfitość zadbanych blondynek, które do perfekcji opanowały sztukę uśmiechu bez pokazywania zębów). Charlie był instruktorem pilotażu i pracował na lotnisku w Bankstown (zupełnie nieszykowne i całkowicie bez klasy, przeciętnie po dwa spalone wraki sumochodów na jednego mieszkańca i niepokojąco duża liczba znaków drogowych

wskazujących drogę do Canberry, jak gdyby był to cel zarazem najbliższy i najlepszy.

Zamieszkaliśmy w ładnym starym segmencie w Balmain. W dzielnicy tej żyje *była* klasa robotnicza, dumna ze swego świeżutkiego stylu yuppie. Występuje tu przedziwna mieszanina starych pubów i nowiutkich sklepów sprzedających czasem przedziwne rzeczy.

Ludność Balmain to albo staruszkowie (co drugi ma na imię Bert), którzy pracowali w przemyśle okrętowym, albo pary z trzydziestoletnim stażem (zwykle o imionach Olivier i Briony). W ciągu tych kilku miesięcy, które upłynęły od naszych przenosin do Sydney, zdążyłam nabrać protekcyjnego współczucia dla wszystkich mieszkających na North Shore. W weekendy odbywałam długie spacery wzdłuż drogi biegnącej wybrzeżem od Bondi do Cogue i właściwie zapomniałam o wszystkich zasadach ruchu drogowego, jakich się kiedykolwiek nauczyłam. Nie miałam własnego samochodu, stąd tyle czasu spędzałam w taksówkach. Parę razy zdarzyło mi się prowadzić, Odkryłam wtedy, że tutejsi kierowcy to najbardziej nerwowa i źle wychowana forma życia na tej planecie.

Maniery sydneyjskich kierowców są tym dziwniejsze, że mieszkańcy Sydney cieszą się zasłużoną opinią ludzi tolerancyjnych i wyrozumiałych: dają tego dowody podczas corocznego karnawału (nie mówiąc już o olimpiadzie) oraz przez fakt, że wciąż pozwalają tu mieszkać Johnowi Howardowi \*<sup>1</sup>. Chociaż gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że sydneyjczycy nie lubią mieszkańców Melbourne; czują głęboką wzdętość do każdego, kto ma nieszczęście pochodzić z Brisbane; łaskawie tolerują tych z Adelaide, bo tam produkuje się dobre wino; z trudem zauważają istnienie Perth; uważają, że Hobart i Darwin są nieco... obciachowe i że w dobrym tonie jest nie wymieniać publicznie nazwy Canberra.

Wychowana zostałam w tradycjach ruchu kołowego Melbourne, gdzie czeka się cierpliwie, aż osoba, która zostawiła samochód bloku-

---

<sup>1</sup> \* Premier Australii od 1996 roku [przyp. tłum.].



jący jednokierunkową ulicę, raczy do niego wrócić, a nawet krótkie użycie klaksonu traktowane jest jako objaw piractwa drogowego. Kierowcy w Sydney natomiast kochają klaksony. Trąbią przy każdej nadarzającej się okazji, a czasem i bez. Przechodnie na przejściach dla pieszych są otrąbiani na okrągło. Trąbi się na każdego, kto choćby przez ułamek sekundy zagapi się przy zielonym świetle. Z własnego gorzkiego doświadczenia wiem, że próba zmiany pasa nieuchronnie spotka się z głośno trąbioną fanfaramą. Mówi się, że kierowcy w Melbourne, zanim zmieniają pas, czekają na oficjalne pisemne zezwolenie. Chyba jest w tym jakieś źdźbło prawdy. Niemniej sędzę, że możliwa jest jakaś średnia między standardami Melbourne i Sydney.

Arogancji sydneyjskich kierowców dorównuje tylko arogancja tujejszych drogowców. Często zdarzało mi się znaleźć gdzieś na głównym skrzyżowaniu, na próżno rozglądając się za jakimś znakiem, który by mi powiedział, gdzie u licha jestem. Oczywiście można powiedzieć, że skoro nie wiem, gdzie jestem, to moje miejsce jest w autobusie turystycznym z tymi wszystkimi nieszczęśnikami, którzy nie przeszli jeszcze chrztu w słonych pianach Bondi lub myślą, że Paddington to imię niedźwiedzia. Jednak dla kogoś przyzwyczajonego do szerokich i rozsądnie zaplanowanych ulic Melbourne, chaotyczna zabudowa Sydney jest, łagodnie mówiąc, męcząca i zniechęcająca. Pasy jezdni zlewają się, albo bez żadnego ostrzeżenia zmieniają się nagle w pasy ze skrętem tylko w prawo. Jednokierunkowe ulice mnożą się jak króliki. Każdemu desperatowi zamiast prozacu można z równym powodzeniem przypisać pracę rowerowego kuriera w tym mieście, a do repertuaru miejskich horrorów należy pogłoska, że dziennie co najmniej kilku dojeżdżających do pracy w godzinach szczytu umiera zatrutych tlenkiem węgla w korkach w tunelu pod zatoką. A wniosek z tego wszystkiego jest jeden - albo nauczysz się poruszać w tym piekle, albo skończysz kompletnym (fizycznym i emocjonalnym) załamaniem - najlepiej na Moście Portowym w godzinach szczytu, gdy zobaczysz,



że nie masz drobnych na myto. Jeśli i to, nie nauczy cię żyć w Sydney i kochać je, to już nic cię nie nauczy.

Dziś jednak, gapiąc się przez okno taksówki, odkryłam w sobie pokłady wyrozumiałości, a nawet doszłam nagle do wniosku, że ci wściekli, nerwowi i wkurzający kierowcy nie są tak naprawdę źli. Oni po prostu za bardzo się miotają. I chociaż tyle razy mnie wkurzali, nie mogłam ich za to winić. Bo przecież jest Zatoka i wzgórza tworzące najcudowniejsze widoki, z którejkolwiek strony spojrzeć. Gdy tkwiłam uwieczona w korku, lubiłam wypatrywać w oddali przebłysków niezrównanego błękitu Zatoki i białych żagli na jego tle.

Fakt, że naprawdę mieszkam w Sydney, ciągle mnie jeszcze zaskakiwał i nawet zdumiewał. Oczywiście tęskniłam za zostawionymi w Melbourne przyjaciółmi, psem i całą rodziną, ale jednocześnie cieszyłam się życiem w nowym mieście, już trochę poznanym, lecz wciąż jeszcze pełnym niespodzianek, nowych ludzi i nowych doświadczeń. A najważniejsze było to, że po raz pierwszy w życiu byłam absolutnie szczęśliwie zakochana.

Aż do tej pory nie miałam żadnego dłuższego i poważniejszego związku i, prawdę mówiąc, czasami łapałam się na tym, że nie bardzo umiem się znaleźć w tej nowej sytuacji. Te wszystkie gry i zabawy, przekomarzania i udawane dąsy w najbardziej prozaicznych sytuacjach: w supermarkecie w dziale cukierniczym ja wrzucałam stosy batonów Tim Tam do wózka, a Charlie je wyjmował; ja próbowałam dać mu klapsa, on łapał mnie za ręce i kończyło się to długim namiętym pocałunkiem, ku zakłopotaniu reszty kupujących. Czasami w takich chwilach pragnęłam choć na chwilę doświadczyć tego szczególnego uczucia wyjścia z ciała, by spojrzeć na nas oboje z góry, dziwiąc się, co się stało z tą niezależną dziewczyną, jaką kiedyś byłam - dziewczyną otrząsającą się z obrzydzeniem na widok par szczebioczących do siebie po dziecinnemu, która uważała za okrutne i samolubne takie migdalenie się w supermarkecie (i to w dziale mrożonek) na oczach zmagających się z burzą własnych hormonów nastolatków.

Na ogół jednak o to nie dbałam. Doprawdy cudownie było wracać do domu wiedząc, że czeka tam na mnie ktoś, kto mnie przytuli, wycałuje, z uwagą wysłucha wszystkich opowieści o tym, co mi się przydarzyło, jakby to były najważniejsze sprawy tego świata. Uwielbiałam wspólne szykowanie kolacji i miła była pewność, że jest się do kogo przytulić każdej nocy. A najbardziej lubiłam chwile, gdy budziłam się rano i patrzyłam na śpiącego Charliego. Czasami ogarniała mnie tak przemożna fala czułości i miłości, że z trudem powstrzymywałam się, by pełnym głosem nie zaśpiewać *Zawsze będą kochać cię*, co zważywszy, że kompletnie nie umiałam śpiewać, wychodziło zawsze jak niezbyt udane jodłowanie. Raz kiedyś spróbowałam, myśląc, że obudzenie słodkim śpiewem swego chłopaka będzie cudownym romantycznym początkiem dnia (a jeśli on kocha mnie naprawdę, nie będzie się małodusznie czepiał, że fałszuję), ale niestety efekt był daleki od zamierzonego. Charlie najpierw cisnął we mnie poduszką, potem zaczął się śmiać i zapowiedział, że jeśli jeszcze raz mu tak z rana i w stroju Ewy zajodłuję, to mnie rzuci. No i więcej tego nie zrobiłam, a ten palant i tak mnie rzucił.

\* \* \*

Taksówka w końcu zatrzymała się przed naszym domem w Balmain. Zapłaciłam i wysiadłam, zmuszając się do krzywego uśmiechu, gdy taksówkarz do słów pożegnania dołączył swe poglądy na futurystyczną sztukę XX wieku i jej związki z wysiedlaniem Kurdów. Przy najmniej tak to zabrzmiało.

Pomachawszy naszym sąsiadom, Timowi i Stelli, którzy właśnie wracali ze spaceru ze swoją nazbyt żywą suczką imieniem Marcia, otworzyłam frontowe drzwi i od razu zdałam sobie sprawę, że coś jest straszliwie nie tak. Mieszkanie było wysprzątane na błysk, a z kuchni dochodziły wonne i smakowite zapachy. Wietrząc kłopoty, porzuci-

łam pospiesznie torebkę w przedpokoju i z narastającym przeczuciem katastrofy ruszyłam do kuchni.

Przechucie nabrało mocy na widok świeczek zapachowych, stołu przybranego świeżymi kwiatami i wszystkich innych standardowych składników romantycznej kolacji we dwoje. Charlie słysząc, jak wchodzę, odwrócił się i szeroko uśmiechnął.

- Cześć, śliczna.

O kurczę blade. Czyżby to dziś była nasza rocznica? Rozpaczliwie próbowałam przelecieć w myśli wszystko, co od ręki (i od biedy) nadawałoby się na prezent, żeby Charlie nie pomyślał, że zapomniałam. Nie wiedzieć czemu, jedyne, co mi przyszło na myśl to rezerwowa paczka pończoch, którą trzymałam w górnej szufladzie (mając przy tym rozpaczliwą nadzieję, że Charlie jednak nie chciałby takiego prezentu). W takich sytuacjach niezastąpiona jest moja siostra, Audrey. Potrafi skombinować uroczy prezencik ze wszystkiego i z niczego.

- Cześć - bąknęłam niepewnie, starając się wywnioskować cokolwiek z jego zachowania. - Spóźniłam się?

- Ależ nie, zjawiłaś się w samą porę, właśnie skończyłem szykować kolację.

Powiedziawszy to, ruszył do stołu z talerzami w obu rękach, w przelocie całując mnie w czubek głowy. Co się dzieje, u diabła? Charlie lubił kucharzyć, a i kwiaty mi przynosił (w tamtych minionych dniach, gdy pracował nad zaciągnięciem mnie do łóżka), ale po dwóch latach wspólnego życia uroczysta kolacja plus kwiaty mogły oznaczać tylko jedno: że coś się kroi. Wciąż lekko otumaniona, padłam na krzesło i zaczęłam jeść, a Charlie nalał wina. Jeśli nie była to nasza rocznica, to stanowczo znaczy, że coś jest nie tak. Nagle poraziła mnie straszliwa myśl: a co jeśli Charlie mnie zdradza? Cholera, na pewno ma romans, jak amen w pacierzu.

Spojrzałam na niego spode łba, szturchając przy tym widelcem pierś kurczaka. Ze środka trysnął strumyczek sosu. Gapiałam się wła-

śnie tępo na tonące w nim kulki groszku, gdy usłyszałam, jak Charlie mówi:

- Mam nadzieję, że porządnie zgłodniałaś, bo zrobiłem też pyszny deser.

Tego już było za wiele. Położyłam widelec.

- Charlie, co jest grane? Co to wszystko znaczy? Jakby się troszkę spieszył, ale natychmiast wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Oj, nic nie jest grane, co ty? Po prostu zjedźmy razem smaczną kolację, dobrze? A potem - mam dla ciebie niespodziankę.

Taki tekst mógł zapowiadać zarówno oświadczyzny, jak i zerwanie. Taka już jest natura nowoczesnych związków, że podchody Charliego mogły być wstępem do czegoś przykrego.

Ciągle grzebałam w utyłanym w sosie groszku, gdy nagle usłyszeliśmy otwieranie frontowych drzwi i mały kłębek futra pomknął jak rakietą korytarzem, goniony hałaśliwie radosnymi głosami Tima i Stelli. Marcia z rozpędu wskoczyła mi na podolek i podjęła energiczne próby polizania mnie po twarzy, a ja rozpaczliwie, choć bez wielkiej nadziei na sukces, starałam się ją zrzucić z kolan. Tego mi jeszcze brakowało! Charlie się oświadcza i nasze zaręczyny pieczętuje namiętny pocałunek zalatujący karmą dla szczeniaków.

- Siemanko! - ryknął Tim, tocząc się korytarzem objuczony kartonem piwa. - Pomyśleliśmy ze Stellą, że pomożemy wam obojgu w oblewaniu.

- Oblewaniu czego?

Zmieszanie Charliego wyraźnie wzrosło. Desperacko dawał Timowi wzrokiem jakieś znaki. Tim jednak nie zauważył jego wysiłków, pomknął do kuchni i zaczął z hałasem otwierać piwo.

Stella uśmiechnęła się do mnie.

- Wiesz, pomyśleliśmy, że zanim Charlie wyjedzie, zdążymy urządzić jeszcze parę popijaw.

Udało mi się w końcu zepchnąć Marcie z kolan. Nie-zrażona, natychmiast przeskoczyła na kolana Charliego i jemu zaczęła lizać

twarz. W porządku, teraz oboje równo będziemy śmierdzieć psim żarciem. Dotarło do mnie wreszcie, że nie zamierzał mi się dziś oświadczyć.

- Charlie - spytałam tak słodziutko, że aż usiadł prosto i spojrzał na mnie cokolwiek spłoszony. - Charlie, co się dzieje?

- O rany! Jeszcze nie powiedziałaś o niczym Isabelle? O, kurczę...

Zamilkła nagle i wycofała się do kuchni, ale żadne z nas nie zwróciło na nią uwagi.

- Izzy - (Charlie to jedyna osoba na świecie, której pozwalałam się tak nazywać). - Przerwał, wbił wzrok w blat stołu, potem spojrzał na mnie.

- Izzy, dostałem propozycję pracy w Adelaide.

- Że co?! - kompletnie osłupiałam i wytrzeszczyłam na niego oczy. - Kiedy? Kiedy ci to zaproponowano?

- Dzisiaj. To bardzo dobra szkoła pilotażu i...

Lecz do mnie dotarło w tej chwili coś jeszcze. Spojrzałam na Timma i Stellę, którzy zerkali na mnie, udając jednocześnie ogromnie zajętych zdejmowaniem kapsli z butelek.

- Ale jeśli oni przyszli, żeby to oblać, to znaczy, że... że już przyjąłeś tę pracę?

Charlie spojrzał na mnie wzrokiem skrzywdzonej i uciśnionej niewinności.

- Odpowiedziałem im od razu, Iz. Żądali jasnej odpowiedzi i... - jego głos zamarł, a ja nadal gapiłam się na niego tępo i z niedowierzaniem.

- Ale ja nadal nic nie rozumiem. Dlaczego zaproponowali ci tę pracę?

Teraz to Charlie i Marcia patrzyli na mnie - dwie pary łzawoproszących, szczenięco słodkich ocząt. Czułam się podle: jakbym skopała ich oboje.

- No, ja... wysłałem ofertę. Parę miesięcy temu.

- Starasz się o pracę w innym stanie i nic mi o tym nie mówisz?

- Iz, przecież wiesz, że wysyłam mnóstwo ofert. Ta moja praca tutaj nie daje mi żadnych perspektyw i przecież wiesz, że chciałem ją rzucić.

- Myślałam, że szukasz nowej pracy w Sydney! - teraz mój głos przypominał marudzenie obrażonego bachora. Czułam to, ale nic nie mogłam poradzić. Naprawdę przecież zamierzałam powiedzieć: - Jak możesz chcieć *mnie* zostawić?

Byłam wściekła, ale nie chciałam okazywać tego przy Timie i Stelli.

- To kiedy wyjeżdżasz?

- Na początku przyszłego miesiąca.

Tim, czując że jego kumpel jest w poważnym, ba nawet śmiertelnym, niebezpieczeństwie, wkroczył do akcji, próbując wcisnąć Charlieemu butelkę piwa. Wyrwałam mu ją z ręki, przez okamgnienie rozważając ewentualność rozbicia jej na głowie Charliego, lecz zamiast tego golnęłam sobie solidny łyk i klapnęłam na krzesło, posyłając mu wściekle spojrzenie.

\* \* \*

Jakieś trzy godziny potem, dzięki połączonym wysiłkom Tima, Stelli i dużych ilości piwa, ustaliliśmy, że wszystko się jakoś ułoży.

- Związki na odległość to dziś prawie norma - wybełkotała Stella rozwalona na poduszkach w salonie. - Spójrzcie na szykład na Liz Hurley i Hugh Ggranta, to znaczy, eee, hep - czknęła i zachichotała - ups, szepraszam to kiepski szykład.

- A co powiecie o Johnie i Janette Howardach oraz Lodge? Odwróciłam swoją butelkę piwa dnem do góry, by Marcia mogła wylizać ostatnie krople. Charlie, Tim i Stella wgapili się we mnie w całkowitym pijacko-politycznym pomieszaniu. Jasne było, że żadne z nich nie łapało ostatnio taksówki.



- Nieważne - westchnęłam (i czknęłam). Tim z niejakim trudem dźwignął się do pionu.

- Racja. Zbieramy się, zanim spoicie do reszty naszą biedną psinę. Nastąpiła chaotyczna wymiana zaślinionych i pachnących piwem całusów z Marcia i Timem, po czym goście wyszli i nagle zostaliśmy z Charliem sami.

Popatrzyliśmy na siebie.

- Rozumiem, że nie chcesz jechać ze mną - spytał Charlie, niby z nadzieją, ale zarazem z rozmarzonym uśmiechem, jakby już znał odpowiedź.

- I co miałabym tam robić? Dobrze wiesz, że nie mogę wyjechać. Udało mi się tu już zdobyć jaką taką pozycję, a jestem tu dopiero rok. Nie mogę rzucić wszystkiego i gnać za tobą. A zresztą, kto wie, jak długo wytrzymasz w tym nowym miejscu?

Właściwie - zważywszy, że Charlie był pilotem - wiedziałam od pierwszego dnia naszego związku, że będzie często zmieniał pracę. I nawet gdybym chciała błagać go, by zrezygnował i został ze mną, miałam świadomość, że nie mogę tego zrobić. Jednym z powodów, dla których tak bardzo go kochałam, był jego zapał i oddanie dla wykonywanej pracy. Nie byłoby w porządku mieć mu za złe tego, że był ambitny i chciał się rozwijać.

Charlie wziął mnie w ramiona i pocałował w czubek głowy.

- Będzie dobrze - obiecał. - Staniemy się jedną z tych nowoczesnych par, co to tylko robią karierę i podróżują służbowo tam i nazad.

Poczułam, że nagle wraca mi dobry nastrój. To będzie wspaniale móc niedbale rzucić w słuchawkę: - W ten weekend? Oj, przepraszam, ale nie dam rady. Spotykam się z Charliem w Barossie.

Tak, wszystko będzie dobrze, może nawet wspaniale.

Jednocześnie chciałam, byśmy oboje wreszcie przestali mówić, że wszystko będzie dobrze. Właściwie to mnie cholernie wkurzało.

\*\*\*



Charlie w ciągu miesiąca przeniósł się do Adelaide i zostawił mnie samiuteńką w Sydney. Nie mogłam sobie dłużej pozwolić na wynajmowanie domu w Balmain i do końca tygodnia miałam się wyprowadzić. Był wtorek, a ja wciąż nie miałam bladego pojęcia, gdzie będę mieszkać. Na szczęście - jak to się zdarza w Sydney - ktoś powiedział mi o dziewczynie, która szuka współlokatorki do mieszkania w Woollahra, tuż obok miejsca gdzie pracowałam. Mieszkanie znajdowało się na ostatnim piętrze kamienicy z czerwonej cegły.

I oto - u schyłku lata - weszłam do swojej (nowej) sypialni. Pokój miał dwa wielkie, teraz otwarte na oścież, okna z białymi zasłonami podwiązanymi wielkimi kokardami. Wiał lekki chłodny wietrzyk. Za oknem ujrzałam rozpościerające się w dole czerwone dachy, zielone błonia Cooper Park, strzelającą w niebo wyniosłą wieżę kościoła i

kompleks budynków na Bondi Junction, tworzących jakby mini horyzont po prawej stronie, podczas gdy po lewej, w oddali, leżała Zatokę, cała niebiesciuteńką tym szczególnym błękitem, który jest dla mnie symbolem Sydney. No i wzięłam ten pokój i trzy dni później przeprowadziłam się, rozpoczynając nowy - samotny - etap mego życia w Sydney.

## 2.

### Harriet, Audrie i bernardyn Barry

W pierwszym tygodniu pobytu w nowym miejscu odkryłam jedną z największych niedogodności związku na odległość. Rzecz w tym, że panicznie boję się pajaków: jest to arachnofobia fizyczna, psychiczna, patologiczna i permanentna. Rozciąga się ona nawet na kolorowe fotografie tych stworów w „National Geografie” i plastikowe maskotki znajdowane zazwyczaj w reklamówkach. A mam, niestety, pecha żyć w kraju, który niewątpliwie przoduje na pajęczym rynku. Nie docierają do mnie rozsądne uwagi, że to całe pajęcze plugastwo nie może zrobić mi krzywdy, że nie gryzą i nie są jadowite. Ci wszyscy życzliwi idioci, którzy bezustannie mi to powtarzali, nie mieli bladego pojęcia na czym naprawdę polega mój irracjonalny pająkowstręt. Gdybym ulegała lękom bardziej racjonalnym, bałabym się ludzi przyglądających mi się ukradkiem czy facetów z dziwnymi fryzurami. W istocie bałam się i jednych, i drugich, ale nie budzili we mnie takiego śmiertelnego strachu jak właśnie pająki. W chwilach, gdy zbierało mi się na filozofowanie, zastanawiałam się często, jak to się mogło stać, że rzeczy i stworzenia, które nie powinny istnieć, w rzeczywistości jak najbardziej istnieją.

Mój strach doprowadził mnie niemal do hysterii, gdy pewnego wieczoru wróciwszy do domu zrzuciłam ubranie i wskoczyłam pod prysznic tylko po to, by zerknąwszy w dół zobaczyć ośmionogą, czarną bestię ze straszliwymi szczękoczułkami niebezpiecznie blisko mojej lewej stopy. Jakoś udało mi się wyskoczyć spod prysznicza i owińnięwszy się w ręcznik pomknęłam galopem do sypialni, zatraskując za sobą drzwi.

Kiedy już byłam teoretycznie bezpieczna, uświadomiłam sobie nagle (a serce aż mi wywinęło kozła), że nie zakręciłam prysznicza, a to ośmionogie bydlę przypuszczalnie korzysta teraz bezczelnie z mojego żelu i pławi się w pachnącej pianie. Stojąc pod drzwiami łazienki

mogłam przysiąc, że słyszę pierwsze takty *Małej panny Muffet* wyśpiewywane głębokim barytonem, lekko tylko sepleniącym (z powodu czułek). Przeszył mnie dreszcz, cofnęłam się, pilnie obserwując drzwi łazienki - jedyną barierę dzielącą mnie od moich najstraszliwszych koszmarów. Kamienicę naszą zbudowano w latach trzydziestych, więc drewniane drzwi były grube i solidne, ale nie zamierzałam ryzykować, że pająk ucieknie z łazienki i schowa się Bóg wie gdzie.

Złapałam pospiesznie kilka książek z bezładnie walających się na podłodze saloniku stosów w oczekiwaniu na regał, który miał nadejść lada dzień, i upchałam je pod drzwiami łazienki, barykadując szparę. Poczułam się odrobinę bezpieczniej na myśl, że teraz pająk musi wygrzeć sobie drogę przez stos dzieł zebranych Jeffreya Archera (porcja wystarczająca do wywołania ataku niestrawności), ale do pełnego poczucia bezpieczeństwa było mi jeszcze daleko. Przyniosłam więc pojemnik z płynem na robactwo i spsikałam obficie podłogę przy drzwiach łazienkowych, a na wszelki wypadek także futrynę. Ponieważ jednak nadal byłam co nieco roztrzęsiona, znalazłszy się prawie w sytuacji jak z *Poszukiwaczy zaginionej arki*, zrobiłam to, co zrobiłaby w takiej sytuacji każda delikatna, wrażliwa i bezbronna dziewczyna. Zadzwoiłam do Charliego i zaczęłam długą rozdygotaną przemowę do jego automatycznej sekretarki, tłumacząc, dlaczego to wszystko jego wina i jak bardzo czuję się zraniona i rozczarowana, że nigdy go nie ma przy mnie, gdy go potrzebuję.

Byłam właśnie w połowie swej tyrady, gdy do domu wróciła moja współlokatorka, Harriet. Musiałam więc odłożyć słuchawkę, przerywając w samym środku logiczny wywód na temat: dlaczego za obecność gigantycznej prehistorycznej pajęczej bestii w mojej łazience w Sydney jest w istocie odpowiedzialny Charlie w Adelaide.

Co do Harriet, to właściwie jeszcze nie poznałam jej dobrze, ale co nieco już zdążyłam na jej temat ustalić: że jest to jedna z tych zwariowanych maniaczek zdrowego trybu życia, która zrywa się w środku nocy, by udać się na jogging, a w domu bezustannie poleruje narty albo turystyczne buciska; że to klasyczna przedstawicielka gatunku tych

praktycznych wysportowanych dziewczuch, które ze zgrozą wspominałam z czasów szkolnych. Na domiar wszystkiego, Harriet miała jakąś straszliwie odpowiedzialną pracę, nie bardzo rozumiałam jaką, tyle tylko, że do jej określenia potrzebne było słowo „konsultant”.

Harriet spojrzała na mnie z boku i spytała:

- Wszystko w porządku?

Byłam tak uszczęśliwiona jej widokiem, że o mało nie rzuciłam się jej na szyję.

- Jak wróciłam do domu, chciałam wziąć prysznic - zaczęłam, rozsadzana pragnieniem podzielenia się z kimś dopiero co przeżyтым koszmarem.

Przerwałam na sekundę, dla większego efektu.

- I w kabinie prysznicowej był pająk.

Nie wiedzieć czemu, Harriet wydawała się zupełnie nie pojmować całej grozy sceny pod prysznicem, której dopiero co doświadczyłam, porównywalnej chyba tylko z prysznicową sceną z *Psychozy* Hitchcocka.

- To był pająk drapieżny - dodałam słabym głosem. Nadal zero reakcji. Prawdę mówiąc, Harriet robiła wrażenie raczej obojętnej.

- One nie tkają sieci - ciągnęłam głośniejszym głosem i już na granicy hysterii.

- To znaczy, one nie tkają sieci, bo są tak wielkie, że mogą ścigać i zabijać wszystko, na co przyjdzie im ochota.

Czułam się tak jakbym recytowała solidnie i naukowo udokumentowany przypadek pająka-drapieżnego, o którym wszyscy myśleli, że wciągnął go odkurzacz, a on pojawił się trzy tygodnie później, już po tajemniczym zniknięciu trójki dzieci i kota. Harriet jednak wciąż nie przejawiała ani zainteresowania, ani współczucia. Postanowiłam w duchu, że jeśli zaproponuje mi złapanie pająka do słoika i wypuszczenie go do ogrodu, to natychmiast się wyprowadzę, ale przedtem dam jej taką fangę w nos, że wybije z niej wszystkie buddyjskie i chrześcijańskie sentymenty na temat Wszystkich Stworzeń Dużych i Małych.

- O - odezwała się wreszcie. Uznałam, że to reakcja skrajnie niepasująca do sytuacji. - Wydaje mi się - ciągnęła - że pod zlewem jest jakiś płyn na robale?

Na moment zapadła cisza. Gorączkowo szukałam odpowiednich słów, by wytłumaczyć tej tepej krowie, że użycie płynu na insekty oznacza dla mnie konieczność a) przebywania w tym samym pomieszczeniu co pająk (w życiu!) i b) patrzenia na niego (za Chiny!). Natomiast reszta powodów (od c aż do z) sprowadzała się do niezaprzeczalnego faktu, że w żadnym, ale to w żadnym, razie nie zrobię niczego, co by mogło rozjuszyć zamkniętą w łazience bestię i dać jej słuszny powód, by ścigać mnie do skutku z zamiarem wyssania mi mózgu przez nos. Jednak znałyśmy się z Harriet dopiero od czterech dni i nie byłam pewna, jak by zareagowała na moje opory wobec konfrontacji z pajakiem.

Na szczęście nie musiałam się tłumaczyć. W tym momencie bowiem Harriet zauważyła pojemnik z płynem na insekty stojący na stoliku do kawy. Jej wzrok powędrował wzdłuż korytarza do drzwi łazienki, gdzie na dywanie i na futrynie widać było grubą linię lepkiego spreju.

- Bałam się, że przelezie pod drzwiami - wyjaśniłam (całkiem niepotrzebnie).

Harriet bez słowa i bez ruchu wpatrywała się w moją bohaterską barykadę z książek, która nagle wydała mi się beznadziejnie kretyńska i bezużyteczna.

Natomiast dotarło do niej, że prysznic wciąż jest odkręcony. Spojrzała na mnie pytająco. Próbowałam udawać pełny luz i nonszalancję, ale z mokrymi włosami i ręcznikiem jako jedynym przyodziewkiem nieszczęśliwie mi to wyszło.

- To jest naprawdę ogromny, ohydny, pająk...

Harriet bez słowa złapała pojemnik, rozrzuciła moją barykadę i wparowała do łazienki. Mój podziw dla jej odwagi był bezgraniczny, zwłaszcza gdy usłyszałam, że zakręca prysznic przed potraktowaniem pająka śmiertelnym gazem. W ciągu minuty świat w cudowny sposób

wrócił do normy. Harriet zaś zmiotła resztki pająka na szufelkę i wrzuciła do kubła w kuchni.

- Ja naprawdę nie cierpię pajaków - powiedziałam z bezpiecznego schronienia na parapecie, gdzie przycupnęłam na wypadek, gdyby pająk ożył i powrócił, pałając żądzą odwetu. Podejrzliwie łypnęłam okiem na kubel.

Harriet chyba zrozumiała aluzję i bez dalszych pytań złapała kubel i sfrunęła błyskawicznie trzy piętra niżej, gdzie bez ceremonii cisnęła zawartość do śmietnika. Gdy wracała na górę, rzuciłam się szykować kolację dla nas obu. Kurczę, mam doprawdy cudowną, wspólną, niezrównaną współlokatorkę.

\* \* \*

Większą część weekendu spędziłam usiłując jakoś posortować książki, ubrania i całą masę przeróżnych, przeważnie zbędnych, rzeczy, które zawsze gromadzą się nie wiadomo

jak, kiedy i dlaczego. Właśnie odpakowałam coś, co wydawało się kolejnym, pięćdziesiątym już chyba, zbiorem dziwacznych kawałków sznurków czy sznurowadeł, obrzydliwych ramek do fotografii i cudacznych przedmiotów z metalu, o których co prawda nie byłam w stanie powiedzieć do czego służyły, ale bałam się je wyrzucić. Mogło się przecież okazać, że są jakimiś absolutnie niezbędnymi częściami do video czy stereo. Nagle w całym tym chłampie mignęła mi i momentalnie przyciągnęła uwagę zmięta, użyta jako wypełniacz, stronica wydarta z jakiegoś ilustrowanego magazynu. Wygładziłam pomięty papier. Była to strona z ostatniego weekendowego magazynu z klasycznymi głupawkami typu lokalne zawody w puszczaniu latawców czy też przepisy na wykwinne dania, które można przyrządzić w dziesięć minut, pod warunkiem że w lodówce są akurat świeże limetki, kuskus i zielone papaje i których oczywiście nikt, nie potrafiłby przyrządzić, no może z wyjątkiem mojej siostry Audrey. W rzeczywi-



stości bowiem gotowanie według takich przepisów zajmuje średnio dwa i pół dnia, wliczając w to czas stracony na upolowanie potrzebnych ingrediencji i bieganie do sklepu po kilka razy, by dokupić albo nóż do filetowania, albo lniane nici do wiązania drobiu.

Ja uwielbiałam w takich magazynach zwłaszcza te kolumny, gdzie wyliczano rozmaite cudownie bezużyteczne statystyki, jak na przykład: ilu ludzi potrzeba, by utworzyć żywy łańcuch od podnóża Everestu aż na sam szczyt, lub też jaki procent kelnerów jest w stanie pojąć różnicę między sarkastycznym dowcipem a ordynarnym chamstwem (jakby się kto pytał: 0%). Moją ukochaną statystyką była jednak ta dotycząca największej liczby osób uratowanych przez jednego psa. Rekord stanowiło czterdzieści osób uratowanych przez bernardyna Barry'ego ze szwajcarskich Alp.

Lubiłam wyobrażać sobie Barry'ego, dumnie strzegącego ojczystych gór pokrytych śniegiem, za dnia pilnującego łańcuszka turystów drapiących się na kolejny szczyt, nocą zaś chlepcącego przy kominku swą skromną, ale zasłużoną porcję rumu, w otoczeniu adorujących go frywolnych pud-liczek i łypiących spode łba zazdrosnych chartów. Oczami wyobraźni widziałam też Barry'ego, jak siedzi na oblodzonym skalnym występie, doglądając swych włości, niczym Sylwester Stallone w filmie *Na krawędzi*, i uważnie śledząc wariackie popisy paru niezdarnych narciarzy gdzieś daleko w dole oraz być może od niechcienia szcękając złośliwie raz czy dwa, na tyle gromko, by spuścić jakąś niedużą lawinkę na głowy lekkomyślnych dwunogów, dając im w ten sposób do zrozumienia, jak wielki błąd czynią nie szanując Matki Natury.

Złapałam kalkulator (którego Harriet używała do Swoich Osobistych Rachunków) i próbowałam obliczyć, ilu też ludzi uratował dzielny Barry rocznie. Przyjmując że przeżył normalną normę psich lat (czyli około czternastu ludzkich, co w przeliczeniu na lata psie daje piękny wiek dziewięćdziesięciu ośmiu lat), wyszło mi że rocznie Barry ratował około 2,85 człowieka. Naprawdę niezły wynik. Gdy jednak przeliczyłam liczbę uratowanych ludzi na psie lata, wyszło mi zaled-



wie nędzne 0,4 człowieka na rok. W takim razie Barry był w rzeczywistości cholernym leserem i obibokiem, nie wiedzieć czemu fetowanym za swe mizerne wysiłki w poważnym piśmie. Jakże to australijskie!

Moje rozmyślania o Barrym przerwał nagle dzwonek telefonu. Gdy podniosłam słuchawkę, usłyszałam słodki głosik mojej siostry, Audrey. Ucieszyłam się, że zadzwoniła. Zwykle to ja telefonowałam do niej. Moja najdroższa siostrzyczka miała bowiem mnóstwo dziwnych uprzedzeń do sprzętów i urządzeń XXI wieku, a jednym z nich był telefon. Nie sprawiła sobie dotąd ani automatycznej sekretarki, ani pagera i bardzo niechętnie podnosiła słuchawkę. Można było dostać szału, słuchając monotonnego sygnału jej telefonu, wiedząc dobrze, że Audrey zamiast odebrać siedzi sobie przy kuchennym stole, gdzie właśnie tworzy jakieś nowe dzieło kulinarne i beztrosko ignoruje moje rozpaczliwie próby kontaktu.

Audrey pod pewnymi względami przypomina Marthę Stewart<sup>\*2</sup>, a poza tym - co komplikuje sprawę - jest spod znaku Panny. Ma to oczywiście swoje pozytywne strony. Audrey kocha dom i gospodarstwo, a jej specjalnością są rzeczy uroczo przytulne i rozkosznie staroświeckie. Sama robi kartki świąteczne i ma zawsze świeże pot-pourri<sup>\*3</sup> i świece pachnące wanilią na swym do połysku wypolerowanym kuchennym stole. Minusem, i to wielkim, jest jednak jej stosunek do tegoż domu i prowadzenia gospodarstwa: maniacki, wręcz balansujący na granicy klinicznej obsesji. W domu Audrey rządzi nieograniczona rozumem ilość zasad, reguł, nakazów i zakazów: NIE SIADAĆ NA ZASŁANYM ŁÓŻKU I NIE MYLIĆ ŚCIERKI DO NACZYŃ ZE ŚCIERKĄ PRZEZNACZONĄ DO RAŃK, i tak dalej, i temu podobne. Nigdy nie mogłam do końca rozgryźć racji stojących za tą regułą o ścierkach, ale dość wcześnie zorientowałam się, że odwiedzając

---

<sup>2</sup> \* *Gospodyni popularnych programów telewizyjnych o urządzaniu wnętrz, dekoracji itp. [przyp. tłum.].*

<sup>3</sup> \* *Suszone płatki różnych kwiatów (mieszanka zapachowa).*

Audrey trzeba po prostu przyjąć do wiadomości rządzące jej domem zasady, trzymać buzię na kłódkę i nie wychylać się w miarę możliwości. Miłą stroną wizyty u Audrey były niezmiennie przez nią serwowane ciekawe mieszanki herbaty i domowe babeczki wypiekane z otrębów i innych zdrowych produktów, których w stanie naturalnym nikt dobrowolnie nie wzięłby do ust.

Audrey mieszkała w Melbourne wraz ze swoim złocistym (i śmierdzącym) spanielem. Miała też przyjaciela imieniem Henry, który, o dziwo, wielbił ją bez zastrzeżeń. Nikt z rodziny nie pojmował, dlaczego Henry tak potulnie znosi jej dziwactwa, ale ogólnie byliśmy bardzo radzi, że je znosi. Audie przeżyła swego czasu dość przykre zerwanie ze swym poprzednim chłopakiem i wszyscy martwiliśmy się, że może ona jeszcze przez to skończyć jak jedna z tych nawiedzonych desperatek, co lecząc złamane serce obnoszą ręcznie pisane transparenty i łażą po mieście, ostrzegając wszystkich wokół przed wszelkim plugastwem, jakie podobno zaleje nas w 2020 roku.

- Audie! Kiedy nauczyłaś się używać telefonu? Cześć, wyobraź sobie, że byłam właśnie w samym środku rozpakowywania kartonu i trafiłam na artykuł o tym sławnym bernardynie Barrym. Czy wiesz...

- Nie mam czasu na pogaduchy - przerwała pośpiesznie.
- Hmm. Wielkie dzięki. U mnie wszystko gra. A u ciebie?
- Słuchaj, czy mogę przyjechać do ciebie w następny weekend?

Ze zgrozą rozejrzałam się dokoła. Mieszkanie zaślane papierami i kartonami, kanapa z połamanymi sprężynami pijacko kiwa się na boki, przy pojemniku na śmieci wała się bezładny stos pustych butelek po winie (jakby się kto uparł, można by twierdzić, że to taka oryginalna dekoracja).

- Hmm, w następny weekend mogę być zajęta. Ale co się stało?

Wyczułam w jej głosie coś, co wskazywało, że ta wizyta nie jest spowodowana nagłą chęcią ujrzenia ukochanej młodszej siostrzyczki.

- To Heeenry - powiedziała Audrey tragicznym tonem. - Obawiam się, że już nie możemy być razem.

O jasny gwint! Charlie już od jakiegoś czasu nie dzwonił i łaknęłam odrobiny zrozumienia i porady, co zrobić z tym moim nietelefonującym amantem, a tu, kurczę blade, mamy mówić o niej i o Henrym. Czułam, że będzie to kolejna wstrząsająca historia o straszliwej niewybaczalnej zdradzie zaufania, która zrujnowała życie Audrey, bo ten młot Henry użył do zrobienia deseru brzoskwiń z puszki zamiast świeżych owoców zebranych o rannej rosie przez koniecznie dziewicze pracownice.

Okazało się, że nie byłam zbyt daleka od prawdy, tyle że zło zajęło się nie w kuchni, lecz w łazience. Zbrodnia Henry'ego polegała bowiem na powieszeniu tamże zielonego ręcznika, podczas gdy i mata łazienkowa, i ręcznik do rąk były w tym tygodniu w kolorze burgunda, i to właśnie doprowadziło Audrey do furii. Ilekroć wchodziła do swej niepokalanej białej łazienki, pełnej owocowych mydełek i balsamów o zapachu cynamonu, wanilii i czego tam jeszcze, idealną harmonię form i barw nieuchronnie rujnował widok zielonego ręcznika beczelnie wiszącego na staroświeckim (ręcznie polerowanym) wieszaku.

Pozwoliłam jej nawijać o tym ręczniku (zielonym!) jeszcze jakiś czas, zastanawiając się (zresztą nie pierwszy raz), czy kiedy Audrey wysłuchuje dramatycznych opowieści swych przyjaciółek o ich problemach łóżkowych, to zdaje sobie sprawę, że niekoniecznie to oznacza, iż ukochany mężczyzna zasłał łóżko pościelą, której kolory się gryzą?

- Wiem, że dla ciebie to drobiazg, głupstwo, ale jeśli coś ma znaczenie dla mnie, czy nie powinno mieć znaczenia także dla niego?

Przerwałam jej, szczęśliwa że wreszcie mogę rozwinąć jeden z moich ulubionych tematów, nad którym rozmyślałam długo i dogłębnie, i nawet ułożyłam sobie mowę, by serwować ją zawsze, gdy trzeba było ratować czyjś związek.

- Widzisz, Audrey, ulegasz jednemu z największych złudzeń rządzących światem par i związków. Naprawdę nie wiadomo, dlaczego zakładamy, że nasi partnerzy będą automatycznie przejmować się

tym, czym przejmujemy się my. Bierze się to pewne z tego platońskiego wyobrażenia, że istotą i sensem związku jest znalezienie drugiej połowy, co sugeruje, że właściwie jesteś tylko połową osoby, a gdy masz już partnera, stajesz się całą osobą, a nie dwiema różnymi osobami, które uprawiają ze sobą seks i dzielą pewne upodobania, jak na przykład oglądanie *Królowej Margot* czy jedzenie sernika. Pytam więc, dlaczego do, przepraszam cię, nagłej cholery, Henry ma przejmować się twoim bzikiem na punkcie zgrania kolorów?

Audrey chyba próbowała coś odpowiedzieć, ale - jako że moje pytanie było czysto retoryczne - ciągnęłam dalej, nie bacząc na jej słowa.

- A czy ty przejmujesz się grą jego ulubionej drużyny? To znaczy, czy uczciwie się tym przejmujesz na tyle, by wysiedzieć spokojnie przez cały mecz i śledzić grę, nie myśląc o tym, jak sprać plamy z trawy z szortów graczy?

- W słuchawce najpierw zapadła cisza, potem zaś zadźwięczało niepewne:

- No nie, ale...

Porażona straszliwą wizją najpierw szukania w tym całym bajzlu odkurzacza, a potem prób uruchomienia go (na wypadek gdyby wizyta Audrey miała dojść do skutku), w nagłym przebłysku natchnienia kułam żelazo póki gorące.

- No widzisz! Możesz podchodzić z szacunkiem do spraw, które są ważne dla twojego partnera, ale to wcale nie znaczy, że są ważne dla ciebie.

- Ale - bąknęła Audrey jeszcze trochę mniej pewnie - Henry powinien brać pod uwagę, że lubię, aby mój dom był miły, przytulny i spokojny...

Moim zdaniem dom Audrey jest miejscem mocno szarpiącym nerwy, a przebywanie w nim normalnej osoby można porównać do sytuacji kogoś, kto cierpiąc na chorobę św. Wita, znalazł się nagle w warsztacie szklarza i stara się niczego nie dotykać. Właściwie powinienam uświadomić mojej siostrze, że doprawdy na tym świecie nie

znajdzie się zbyt wielu facetów, którzy nie tylko stosowaliby się potulnie do jej obłądnych zasad typu: osobne mydło do twarzy a osobne do rąk, lecz także jeszcze mocniej ją za to kochali. W ostatniej chwili ugryzłam się w język i powiedziałam tylko:

- Audrey, każdy związek to wyzwanie. Myślę, że Henry poddaje cię próbie.

- Naprawdę? Jakiej próbie?

- No, chce sprawdzić, co jest dla ciebie ważniejsze - on czy zielony ręcznik.

W słuchawce zapadła cisza.

- Audie? Auds? Proszę, powiedz, że więcej dla ciebie znaczy twój chłopak niż jakiś kawałek frotte.

- Nie bądź śmieszna. Oczywiście że... - Nastąpiła krótka pauza, po czym Audery dodała, typowo w swoim niepowtarzalnym stylu.

- To nie jest kawałek frotte, tylko stuprocentowa egipska bawełna. Ręczniki z egipskiej bawełny są najlepsze.

Pysznie. Myślałam już że starożytni Egipcjanie zużyli cały zapas swego geniuszu na piramidy i Sfinksa, a tu masz - dwa tysiąclecia później niepostrzeżenie (przynajmniej dla mnie) mają swój triumfalny come-back z ręcznikami.

Audrey westchnęła.

- Oczywiście, że Henry znaczy dla mnie więcej niż ręcznik. Nie stawiaj sprawy tak, jakby to miał być test - co byś ratowała z płonącego domu.

Biedny Henry. Nie miałam najmniejszej wątpliwości, że nawet w obliczu zagrożenia Audrey uległaby swemu wrodzonemu genowi gościnności i choćby jej dom płonął, byłaby prawdopodobnie zbyt zajęta szykowaniem dla strażaków Skromnej, ale Posilnej Przekąski, by kłopotać się czymś tak niekonstruktywnym jak ratowanie faceta swego życia.

Wydusiłam od niej w końcu obietnicę, że spróbuje jakoś żyć z tym zielonym ręcznikiem, widząc w nim raczej symbol bezkompromisowej indywidualności Henry'ego niż objaw typowo męskich ciągót

do ranienia uczuć i samolubnego ignorowania potrzeb partnera. Audrey jeszcze trochę ponarzekła dla zasady, po czym nagle zmieniła temat.

- A co u Charliego, Isabelle?

- Dobrze - odpowiedziałam ciut za szybko, po czym dodałam ponuro - tak przypuszczam.

- Co to znaczy, że tak przypuszczasz? Nie rozmawiałaś z nim ostatnio?

- Oczywiście, że rozmawiałam. To znaczy... zostawiłam mu... wiadomość. Jest bardzo zajęty - bredziłam nerwowo, dziwiąc się, czemu to brzmi tak żałośnie.

- Podoba mu się ta nowa praca?

- Jest zadowolony - westchnęłam z wysiłkiem tłumiąc samolubne marzenia o tym, że tak naprawdę to on tej pracy nienawidzi, jest niešťeśliwy i chce wracać do Sydney, czyli do mnie.

- Belle, przecież Adelaide nie jest znowu tak strasznie daleko - zagruchała Audrey. - Możesz z łatwością polecieć do niego w odwiedziny w któryś weekend. - Skupiwszy całą uwagę na walającej się w kącie tenisowej rakiecie Harriet, odczekałam, aż gęła, która nagle narosła mi w gardle, trochę się rozpuści.

- Dokładnie to zamierzałam zrobić, jak tylko Charlie się urządzi i znajdzie jakieś przyzwoite mieszkanie - udało mi się w końcu odpowiedzieć tonem tak sztucznie radosnym i fałszywie niewymuszonym, że nawet ta cholerna rakietę Harriet zdawała się patrzeć na mnie litościwie i mówić: wiesz, skarbie, jesteś naprawdę kiepską aktorką.

Rozłączyłyśmy się parę minut później, a ja surowo zabroniłam sobie samej dzwonić (po raz enty...) do Charliego. Usiłowałam natomiast przekonać samą siebie, że moje rady dla Audrey wynikały wyłącznie ze szczerej chęci, by pomóc jej i Henry'emu (oboje tworzą przecież taką cudowną parę) i zagłuszyć w sobie poczucie winy, że zachęciłam ją, aby pogodziła się z Henrym i jego ręcznikiem tylko dlatego, by nie naruszyć spokoju własnego, jakże niepozobieranego, życia. Wróciłam skwaszona do swoich kartonów, zastanawiając się,

jak liczna jest populacja indywidualów, które wesolutko doradzają bliźnim, by tkwili w beznadziejnych związkach wyłącznie ze strachu przed koniecznością posprzątania mieszkania oraz zaopatrzenia spiżarni w coś więcej niż makaron instant z sosem instant i czekoladowe herbatniki i czy ktoś zbada kiedyś ten problem naukowo.

RS



### 3.

## Frannie i Zoe

Trzy miesiące później byłam już całkowicie i dokładnie oswojona ze swą nową sytuacją i nawet zaczęłam się przyzwyczajać. Początkowy dotkliwy ból spowodowany nieobecnością Charliego zastąpiło dokuczliwe, ale dające się wytrzymać ćmienie, utrzymywane zresztą w ryzach przez telefony i e-maile, niestety zbyt rzadkie.

Tak się jakoś złożyło, że nasze wspólne weekendy jeszcze nie doszły do skutku, jako że Charlie pierwszych parę miesięcy w Adelaide spędził na szukaniu przyzwoitego mieszkania i urządzaniu się w nowej pracy. Potem z kolei ja miałam urwanie głowy z kolejną aukcją, co oznaczało nadgodziny podczas weekendu, tak więc nasze plany romantycznego spotkania po raz kolejny zostały czasowo odłożone.

Jednak gdy, że tak powiem, lwią część mego serca krwawiła z żalu za Charliem, druga (nieco mniejsza) była już całkowicie pochłonięta nową miłością - do mojego nowego miejsca na ziemi i jego najbliższych okolic. Ulubioną częścią dnia stały się teraz dla mnie poranki i poranne spacerunki do pracy, tym bardziej że - mimo zimy - panowała typowa dla Sydney łagodna i przyjazna aura. Dla kogoś z Melbourne Sydney zimą to cudowne miejsce. W Melbourne lodowaty wiatr przenika do szpiku kości, dłonie grabieją, a od przenikliwego zimna aż bołą zęby. Zimowy spacer w Melbourne to nie przyjemność - to szkoła przetrwania.

W Sydney jest zupełnie inaczej. Dni są rześkie i jasne. Wprawdzie marzną ci uszy i paruje oddech, ale jest to zimno przyjazne du-

szy. Na czystym błękitnie nieba nagie gałęzie drzew tworzyły skomplikowane wzory. Idąc rano do pracy, lubiłam wyobrażać sobie, jak żyją ludzie w eleganckich segmentach, mijanych po drodze. Strasznie lubiłam te domy z ich wielobarwnymi tynkami, balkonami z kutego żelaza i nazwiskami widniejącymi na frontonach. Zestaw tych nazwisk wyglądał jak księga herbowa arystokracji angielskiej: Carnarvon, Hedley, Montrose i Bedford.

Zawsze, gdy dochodziłam do rogu, gdzie zaczynały się sklepy na Queen Street, czułam się tak, jakbym cofnęła się w czasie. Sprzedawca owoców rozstawił stragan przed sklepem, układając pomidory, banany i awokado w lśniące stosy. Poniżej stały rzędy wiader ze świeżymi kwiatami. Zaglądając przez wąskie wejście do wnętrza sklepu, można było zobaczyć świeże bochenki chleba, w głębi zaś ciasno stłoczone półki, gdzie leżały obok siebie mydła i brzytwy, słoiki z dżemami i puszki z zupami. Dalej były delikatesy. Na ladach piętrzyły się najróżniejsze gatunki serów i rynekienki z oliwkami, a ściana zastawiona była koszykami ze świeżym pieczywem. Z sufitu zwieszały się warkocze czosnku i pęta kiełbas. Gdzieś przygrywała muzyka - dobrze znane stare przeboje wyśpiewywane przez Deana Martina czy Billie Holliday. Chodnik przed kawiarnią i kioskiem z gazetami był rano zapchany tłumem ludzi wracających z porannej przebieżki (solo lub z psami) w pobliskim Centennial Park. Jedni tłoczyli się, by kupić gazety, drudzy pospiesznie siorbali kawę z dymiących filiżanek, a liczne psy cierpliwie czekały z wywieszonymi różowymi językami i oddechami parującymi w zimnym powietrzu.

Pracowałam dla aukcyjnego domu sztuki, którego centrala mieściła się w Melbourne. Tu w Sydney na pełnych etatach pracowało nas tylko pięcioro, a Fran była recepcjonistką (na pół etatu). Fran to niezwykle uzdolniona malarka i niespecjalnie sprawna recepcjonistka. Bardzo ją lubię, stałyśmy się już prawdziwymi, dobrymi przyjaciółkami. Wydawała się kompletnie niezdolna do zrobienia komukolwiek jakiegokolwiek świństwa i obce jej były wszelkie intryżki i zazdrości. Lekko i radośnie wędrowała sobie przez życie, wciąż gubiąc klucze i

niezwykle ważne fakty, za to wszędzie znajdując przyjaciół. Była dla mnie cudowna, zwłaszcza odkąd Charlie się zmył, i wciąż zapraszała mnie na jakieś przyjęcia, imprezy i balangi, przedstawiając coraz to nowym osobom ze swego szerokiego kręgu przyjaciół. Większość z nich to byli artyści. Często za ich przyczyną myślałam o porzuceniu pracy w cholere, o zajęciu się ceramiką artystyczną i o życiu w stylu prawdziwej cyganerii. Marzenia te trwały, póki nie przypomniałam sobie fatalnej kompromitacji z czasów szkolnych, kiedy to na robotach ręcznych (zadanie: dekoracja bożonarodzeniowa) pracowicie pokryłam powierzchnię piankowej piłki cekinami przyszywając je wszystkie błyszczącą stroną do spodu.

Akurat tego poniedziałkowego poranka Fran promieniała.

- Spotkałam kogoś w ten weekend - oznajmiła, cała w skowronkach.

Tu przerwała swą opowieść, wiedząc, że może liczyć na moje zrozumienie. Szybko pobiegłam zrobić kawę, a Fran przyniosła paczkę czekoladowych herbatników i w pięć minut obie byłyśmy z powrotem w recepcji. Usiadłam na biurku, a Fran przełączyła wszystkie telefony na odbiór, tak że mogłyśmy spokojnie pogadać i nikt nam nie zwracał głowy pracą czy innymi głupstwami.

- No, to jaki on jest? - zagałam dziarsko, choć bełkotliwie z ustami pełnymi herbatników.

- Jest absolutnie zdumiewający. Byłam na Międzynarodowym Przeglądzie Filmów Niezależnych - no wiesz, taka impreza na wolnym powietrzu, no i jego koc był akurat tuż przy moim, no i zaczęliśmy rozmawiać. Jest bardzo przystojny, jest lekarzem i jest cudowny i uwielbia imprezy na wolnym powietrzu, i właśnie wrócił z Papui-Nowej Gwinei, gdzie był jako wolontariusz. Opowiadał mi, jak pomógł przyjść na świat dziecku jednej kobiety z wioski i zaczął płakać.

- Zaczął płakać, kiedy ci to opowiadał??

- No, nie - kiedy odebrał dziecko.

- O!

- Tak czy inaczej, po filmie szłam do domu, a doktor Jack miał rower i zamiast jechać, szedł ze mną całą drogę aż do domu i cały czas rozmawialiśmy.

Ostatnią słabością Fran był pewien facet od środowiska, mieszkający na wyspie na zatoce. Ten palant czarował ją przez dwie godziny, po czym oznajmił, że musi wracać do domu, by zająć się ranną turkawką, którą onegdaj znalazł. Naprawdę, nic nie ściemnam. Oczywiście Fran na taki dowód wrażliwości uczuć zareagowała po swojemu. Zakochała się na zabój. Następnego dnia wybrała się na jego wyspę, z własnoręcznie przyrządzoną zupką dla biednej turkaweczki (i jeszcze ze dwie godziny się katowała, czy dla tej ptaszyny, symbolu miłości i pokoju, lepsza będzie zupka z dyni czy raczej z porów). Oczywiście na miejscu zderzyła się w drzwiach z panienką swego ideału. No, ale trzeba znać Fran. Obecnie są z tą panienką w wielkiej przyjaźni, często razem się gdzieś wybierają, a faceta od środowiska zostawiają w domu, by sobie nocą na swej krypie słuchał śpiewu wielorybów.

Powiedzieć o Fran, że jest romantyczką i idealistką, to mniej więcej tyle co powiedzieć, że Casanova nie stronił od seksu, a Einstein był jak na swój wiek dość błyskotliwy. Odkąd ją poznałam, Fran kochała się już w strażakach, urzędnikach z ONZ, w przedstawicielu każdej zagranicznej organizacji charytatywnej, jaki się nawinął, i w pewnym młocie, który zbierał pieniądze dla Wilderness Society i nosił straszliwy parchaty kostium misia koali. Przy tej okazji Fran i ja o mało się (po raz pierwszy i ostatni) nie pobiłyśmy, gdy o mały włos nie zniweczyłam jej romansu obietnicą hojnego datku dla tego towarzystwa, by kupiło facetowi nowy kostium.

- Dziwne, że to właśnie nas w nich pociąga, prawda? Zadumałam się przez chwilę. - Wystarczy, żeby facet był odczytany albo umiał barwnie nawijać, i zaraz przypisujemy mu wszystkie możliwe cnoty. Może być kłamcą, oszustem, monstrem lubiącym tofu, a ja i tak się w nim zakochałam, bo przeczytał *Annę Kareniną*.

- Wiesz, jesteś dziwna.

- Nic bardziej dziwnego od zakochiwania się w facetach szlachetnych i bezinteresownych do przesyty - nagle zdałam sobie sprawę jak kretyńsko to zabrzmiało, ale Fran jakby tego nie zauważyła.

- Nie, ja miałam na myśli, jakie to dziwne, że tak bardzo nie cierpisz tofu. Przecież jest zdrowe i pożywne. To chyba nie kwestia smaku, ty chyba masz coś prywatnie przeciwko tofu.

- Kurczę, mam tego potąd - wrzasnęłam. - To i śmieszne i straszne. My, dwie inteligentne, odcytane i wygadane dziewczyny, zawsze kończymy rozmowę na facetach, i to na ogół o beznadziejnych kretynach, całkowicie nas niegodnych. Porozmawiajmy dla odmiany o czymś innym.

Fran potulnie wyraziła zgodę i usiłowała dzielnie ukryć to, jak bardzo ją zraniłam kwalifikując jej doktorka jako beznadziejnego kretyna. Jej twarz wyrażała teraz napięcie i koncentrację.

- No, to o czym będziemy rozmawiać? Na moment obie zamilkłyśmy.

- O polityce? - zasugerowałam raczej bez entuzjazmu. Milczenie tym razem trwało nieco dłużej.

- O jakiej polityce? - spytała ostrożnie Fran.

- No, oczywiście nie o australijskiej. Po co się jeszcze bardziej dołować?

- No to może łotewskiej?

Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałam, gdzie ta cała Łotwa leży.

- A co ty wiesz o polityce łotewskiej?

- Nic. Ale myślę, że się mogę czegoś dowiedzieć. Cholera, nierozmawianie o facetach okazało się trudniejsze, niż można było przypuszczać.

- A widziałaś fotografie łotewskiego następcy tronu? - zaryzykowała na chybił trafił.

- A, widziałam. - Poczulałam przyływ weny. - Jest dość słodki.

- Taa... I te ogromne, brązowe oczy. Ale nie mogę traktować na serio nikogo w stroju narodowym. Jest coś takiego w facecie w białym

mundurze ze złotymi epoletami, że od razu chce się go wsadzić na karnawałowy rydwan.

- Dobra, zapomnijmy o polityce - stwierdziłam widząc, że coraz bardziej odchodzimy od pierwotnego postanowienia. - Ty wybierasz temat.

Po chwili znowu zapadła cisza.

- To może o książkach? - w głosie Fran czuło się narastającą desperację.

- Ty czytasz *Znowu w Brideshead* i coś o teorii sztuki, a ja próbuję czytać *Portret damy*, ale dostaję fioła od tej lektury. Fran, my o książkach rozmawiamy na okrągło. Możemy z pamięci wyrecytować tytuły wszystkich książek, jakie przeczytałyśmy w zeszłym roku, więc nie ma o czym rozmawiać. Zresztą z tego samego powodu nie możemy rozmawiać o sztuce.

- No, nie wiem, dlaczego nie możemy...

- Cholera, dlaczego to takie trudne?

- Nie mam pojęcia, a w ogóle to rozboliła mnie głowa. Zrobię ziołowej herbaty. Dla ciebie też?

- Nie, dzięki, jedyne, czego teraz chcę, to porozmawiać, byle nie o facetach. To przecież nie może być takie trudne.

- No, oczywiście, że nie.

Ponownie zapadła cisza, tym razem nieco dłuższa i nagle doznałam olśnienia.

- Wiesz co, opowiedz mi o tym filmie, który oglądałaś ostatnio.

Na samą myśl, że wreszcie porozmawiamy o czymś, byle nie o facetach, Fran rozpromieniła się, ale zaraz spo-chmurniała, gdyż przypomniała sobie, że to był strasznie smutny film.

- To była chyba najbardziej tragiczna historia, jaką widziałam. Ryczałam przez cały czas. To był irański film o takiej biednej rodzinie, która próbuje zdobyć pieniądze na operację swojego kalekiego synka. Ale operacja nie może go uratować i on umiera, a oni przedierają się przez śnieżne zasy, a potem osioł spada i ginie.

- A co ten osioł ma z tym wspólnego?



- No, on niósł na grzbiecie tego małego kalekę.

- O rany - przez moment zastanawiałam się. - Ale właściwie, dlaczego ten osioł zginął?

- No, bo napoili wódką.

O żesz ty. Teraz nawet irańskie osły się urzynają.

- Ale czy wypicie wódki może zabić osła? Fran zadumała się przez chwilę.

- Nie jestem całkiem pewna, czy ten film oparty był na faktach - oznajmiła ostrożnie. - A jak myślisz, jak oni upili tego osła do filmu?

- Może go wcale nie upili. Może ten osioł jest po nowojorskim „Actors'Studio”.

Fran zdawała się wahać. - No, nie wiem. Na moje oko wyglądał jak autentycznie narąbany.

Zaczęłam się zastanawiać, jak wygląda narąbany osioł. Mogłam jedynie wyczarować wizję zalanego osła, gdy

próbuję podrywać owieczki, opowiadając im, że ma kaca, a potem wraca do stajni straszliwie zborsuczony i skrajnie ogłupiały goni za własnym ogonem. Potem prawdopodobnie budzi się następnego ranka, licząc po cichu, że jednak nie zrobił z siebie kompletnego osła. Nagle przyszła mi do głowy straszna myśl.

- A czy ludzie mogą umrzeć od picia wódki?

Fran błyskawicznie wyczuła nadciągający kryzys i próbowała załagodzić sytuację.

- No, raczej nie sędzę, inaczej obie już byłybyśmy martwe.

Zresztą nie uważam, że to wódka jako taka zabiła tego osła z filmu, tylko kombinacja wódki, temperatury poniżej zera i ciężaru tego biednego kaleki na jego grzbiecie.

- To znaczy, że jak długo nie napijemy się wódki wędrując przez Antarktydę i dźwigając bezbronne dziecko, tak długo nic nam nie grozi?

- No...to by było naprawdę szlachetne i bezinteresowne tak postąpić, to znaczy nieść dziecko przez Antarktydę. Założę się, że wywarłoby to wrażenie na doktorze Jacku. Jakbym zrobiła coś takiego,



na pewno poprosiłby, żebym z nim wyjechała i razem pracowałibyśmy dla tej organizacji, no wiesz, Lekarze bez Granic.

Kanał, kanał i jeszcze raz kanał. Okrążyłyśmy cały glob, wędrując przez Łotwę i Antarktydę tylko po to, by rozmowa wróciła w utarte koleiny: my i nasi faceci. Czasem naprawdę nawet nie warto próbować walczyć z własną naturą.

Obiecałyśmy sobie, że przy lunchu przedyskutujemy szczegółowo problem: dzwonić czy nie dzwonić, z którym obecnie zmagala się Fran, i wróciłam na górę do swego biurka. Uśmiechnęłam się do fotografii Charliego, przelotnie zastanawiając się, czy nad jego biurkiem wisi moja fotografia, czy też jeden z tych koszmarnych kalendarzy z fotografiami cycatych blondynek odzianych w futrzane bikini i jeżdżących na snowbordach. Na jakiś czas osunęłam się w krótki sen na jawie, wyobrażając sobie, że mam na imię Candii, płacą mi jakieś niewyobrażalne sumy za fotki, na których gdzieś w modnym ośrodku narciarskim, oblegana przez tłum błagających mnie o randkę zawodników z drużyny futbolowej, zalotnie wspieram się na narciarskich kijkach. W tym miejscu nagle i brutalnie wróciłam do rzeczywistości, zdając sobie sprawę, że prędzej umówiłabym się z kijem narciarskim niż z futbolista i że przecież jestem z zasady przeciwna noszeniu prawdziwych futer. A poza tym jak w ogóle można mieć na imię Candii?

Sprawdzałam właśnie swoje e-maile, gdy nagle zadzwoniła Fran. - Isabelle, na trójce masz WOSK; pierwszy w tym tygodniu.

Jęknęłam. WOSK był to nasz prywatny tajny kod na oznaczenie akcji „Wycena Obrazu Stukniętego Klienta”. Zdumiewające, ilu jest na tej planecie świrów myślących, że mają w swej kolekcji autentycznego Picassa z jego okresu błękitnego, i jacy bywają wkurzeni, gdy próbuje się im - w miarę taktownie - wyjaśnić różnice między oryginałem a oprawionym w ramę plakatem nabytym w muzealnym sklepiku. Zawsze starałam się być miła dla swoich rozmówców wiedząc, że większość z nich absolutnie nie zna się na sztuce. Tyle razy zdarzało mi się być potraktowaną jak kompletna idiotka przez mechanika sa-

mochodowego, fachowca od komputerów i przez innych tego typu mieszkańców kompletnie obcego i dziwnego równoległego świata, mających własny język, obyczaje, a pewnie i obrzędy inicjacyjne. Nie chciałam być taka wobec swoich klientów. No, ale zawsze istnieją pewne granice.

Podniosłam słuchawkę i włączyłam linię.

- Halo, tu Isabelle Beckett. Czym mogę służyć?

- A możesz, skarbie, możesz, mam nadzieję. Możesz wpaść do mnie i rzucić okiem na obraz i powiedzieć mi, ile jest wart?

- Oczywiście, że mogę. To zależy od tego, co pan właściwie ma. Wie pan, czyj to obraz?

- Po prawdzie to nie wiem, tyle tylko, że to ktoś naprawdę sławny. Liczę, że zechce pani przyjść i obejrzeć. Mój kumpel sądzi, że obraz wart jest miliony.

Jęknęłam znowu, choć tym razem tylko w duchu. Facet, któremu jakiś idiota kumpel powiedział, że posiadany przez niego obraz wart jest miliony, zawsze wpada w szal, gdy możliwie najdelikatniej i najtaktowniej próbuję mu uświadomić, że to wprawdzie bardzo ładny obrazek, ale nadaje się najwyżej na kiermasz dobroczynny cioci Kłoci. Z drugiej strony, zdumiewająca liczba cennych płócien objawia się wciąż na pchlich targach albo wala się po strychach.

- Czy może mi pan pokrótce opisać ten obraz? To olej?

- Tak, olej. Opisać? No więc, to jest kobieta. Jakaś taka dziwna, skrzywiona, no nie wiem. I jest ubrana w zieloną suknię, a za nią to jest tak brązowo. Jakieś wzgórza i coś tam. Ona ma takie długie brązowe włosy, a wyraz twarzy to ma taki bardziej erotyczny.

- Obawiam się, że to Mona Liza.

- Masz rację, skarbie. Ona nazywa się Liza; tak jest napisane z tytułu. Skąd wiedziałaś?

Spędziłam dobre pięć minut tłumacząc, że skrzywiona paniusia z erotycznym wyrazem twarzy to dama sportretowana przez Leonarda da Vinci, jednego z największych geniuszy włoskiego Renesansu i że

oryginał tego portretu jest arcydziełem i znajduje się w Paryżu w Luwrze.

Facet wysłuchał mnie cierpliwie, a gdy skończyłam powiedział - To by się zgadzało, skarbie. Ten obraz to dała mi moja babcia, więc on musi mieć więcej jak sto lat. I – tu wyczułam, że właśnie używa rozstrzygającego argumentu - moja babcia była Włoszką.

Próbowałam go przekonać, że jest raczej posiadaczem reprodukcji niż oryginalnego płótna, ale facet zaczął się robić nieprzyjemny, więc bez specjalnych wyrzutów sumienia poradziłam mu, by zadzwonił do Christie's, bo jak słyszałam ostatnio korzystnie opchnęli oni trzy Mony Lizy i sufit z Kaplicy Sykstyńskiej. Następnie szybko się rozłączyłam, zanim gość zdążył mi opowiedzieć o posągu gołego faceta z procą, który trzyma w ogródku, a u dołu podpisane jest „David”.

\* \* \*

Późnym wieczorem, po pracy, wybrałyśmy się z Fran na drinka, zamierzając dogłębnie i sumiennie rozważyć - pod każdym możliwym kątem - jej ewentualny związek z doktorkiem Jackiem i mój rozlatujący się związek z facetem, który nie dzwoni do mnie od tygodni. Podążyłyśmy rażno w dół ulicy do naszego ulubionego pubu, przytulnego i bezpretensjonalnego lokaliku z miękkimi kanapami i kominkiem. Zasiadłyśmy właśnie nad butelką merlota, gdy nagle z drugiego końca pubu ktoś zaczął wykrzykiwać nasze imiona i po chwili zobaczyłyśmy Zoe, jak pruje ku nam roztrącając tłum gości.

Zoe to przyjaciółka Fran. Spotkałam się już z nią wiele razy i bardzo ją polubiłam. To jedyna osoba, jaką znam, która może obwiesić się koralikami, rzemykami i cekinami i wyglądać olśniewająco. Poza tym jakoś udaje się jej być jednocześnie skrajnie bezpośrednią i wytwornie taktowną. Prowadza się z chłopakiem o wiele od siebie młodszym, którego nazywa Torebka. Na mój rozum nie wróży to dobrze

ich wspólnej przyszłości, ale naprawdę nie sędzę, aby oboje przywiązywali do tego nadmierną wagę. Zoe jakiś czas temu przeszła wyjątkowo bolesne rozstanie ze swym długoletnim partnerem i teraz cieszy się życiem.

Ale chyba nie wszystko układało się tak gładko, jak myślałam, gdyż Zoe, która właśnie klapnęła obok nas na kanapę, wyglądała jak wcielenie straconych złudzeń.

- Nie sędzę, abym mogła nadal się z nim widywać.

- Dlaczego? - spytałam, błyskawicznie rozważając możliwe powody: za młody, zbyt niedojrzały, nie dorasta do jej umysłowego i emocjonalnego poziomu, związek z nim nie ma żadnej przyszłości. Jasne, że taki przelotny romans znakomicie podbudowuje samopoczucie i wiarę w siebie, lecz zauroczenie szybko znika, gdy uświadomimy sobie, że całkiem do siebie nie pasujemy...

- On nie wie, kto to jest Jane Austen.

- Że co??

- On nie wie, kim jest Jane Austen - powtórzyła raz jeszcze Zoe.

Przyjrzałam się jej uważnie, lecz ona gapiała się ponuro w okno, skubiąc nerwowo chwast zdobiący poduszkę.

- No, nie oczekiwałam, że on przeczyta cokolwiek Jane Austen, ale przecież jakiegoś poziomu mogę oczekiwać, prawda? Po prostu w głowie mi się nie mieści, że on nigdy o niej nie sływał.

- A mnie się mieści - zareplikowała Fran. - W końcu Jane Austen to literatura dla pańienek.

- Bzdura - powiedziałam stanowczo i dobitnie niczym Elżbieta Bennet.

- No, ale pomyśl. Większość z nas czytała Jane Austen po raz pierwszy jako lekturę szkolną. A nie sędzę, że była to lektura w szkołach męskich.

- No, ale to by znaczyło, że nas nie uczono... - przerwałam. - Właśnie, co jest męskim odpowiednikiem literatury dla pańienek?

- Magazyny motoryzacyjne - stwierdziła ponuro Zoe.

- To śmieszne. Znamy przecież tylu odczytanych i wygadanych chłopaków. Co u diabła oni czytali, gdy my czytałyśmy *Małe kobiety*, *Emmę*, *Anię z Zielonego Wzgórza*?

- Pewnie *Władcę pierścieni*.

- O rany. To smutne.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, rozmyślając

oświecicie pełnym mężczyzn wychowanych na Bilbo i Frodo Bagginsach i języku elfów. Nic dziwnego, że faceci są tak emocjonalnie upośledzeni. Podczas gdy my, małe kobiety, zgłębiałyśmy zawilóści dziewiętnastowiecznych form towarzyskich i rozkoszowałyśmy się subtelnościami ówczesnego języka, tak formalnie i gramatycznie nieskazitelnego, że prośba o podanie cytryny do herbaty zajmowała trzy i pół strony, chłopcy toczyli ciężkie boje o panowanie nad Śródziemniem. To zaiste kiepskie przygotowanie do realiów nowoczesnych związków.

- Ja to kocham Gilberta - powiedziała nagle Fran. Tak, myśli Fran znowu ruszyły w podróż. Nam pozostaje

tylko dogonić jej pociąg i starać się wskoczyć. Pociąg Fran zatrzymuje się na najbardziej nieoczekiwanych stacjach, przemierza rozległe dziewicze tereny, gdzie czasami znika na długo, a potem pojawia się ni stąd ni z zowąd, zawsze z możliwością natychmiastowego wykolejenia.

- Gilberta Blythe. Tego z *Ani z Zielonego Wzgórza* - wyjaśniła, napotykać nasze raczej tępe spojrzenia. - Zawsze marzyłam, żeby mieć rude włosy, wtedy spotkałabym kogoś takiego jak on.

- Przecież ty masz rude włosy.

- No tak, ale to nie to samo - odpowiedziała z uporem.

- Mogłybyśmy nosić takie T-shirty z napisami - powiedziała Zoe wracając do wyjściowego tematu, wyraźnie podniecona. - Takie na przykład, jak: Nierozważna i Nieromantyczna.

- A może coś takiego: Dumna ze swego Uprzedzenia.

- Albo Perswersje? - włączyła się ochoczo Fran. Spojrzałyśmy na nią z niejakim powątpiewaniem.

- No, nie gapcie się tak na mnie. Jeden gość sprzedaje T-shirty na rynku Paddington i twierdzi, że delfiny to reinkarnowani szwedzcy turyści, a wy myślicie że moje T-shirty nie pójda? - Przerwała, siorbnęła nieco swego drinka i dodała nieco z lekkim niepokojem w głosie: - Ale i tak nie sędzę, że wypada robić takie T-shirty dla celów komercyjnych. Nie sędzę, żeby Jane to się spodobało.

Po opróżnieniu jeszcze jednej butelki, zaczęłyśmy się zbierać do wyjścia. W trakcie pożegnania Zoe spytała, czy nie wybrałabym się na tańce w piątek wieczorem.

- Przyjdzie Sebastian - dodała i obie z Fran wyszczerzyły się do mnie niczym dwa koty z Cheshire.

Staralam się udawać, że absolutnie nie mam pojęcia, dlaczego Zoe musiała wspomnieć o tym naprawdę nieważnym szczególe, choć nie wiem, po co się trudziłam. I tak wszyscy wiedzieli, że mam - jakby to powiedzieć - pewną słabość do Sebastiana, jeszcze jednego z niezliczonych przyjaciół Fran, którego poznałam parę miesięcy temu. Moja sympatia do niego miała prawdopodobnie coś wspólnego z faktem, że był doprawdy słodki i przyjemnie było na niego patrzeć. Miał śliczne (lekko zezujące) orzechowe oczy, wytworne maniery i nieco ekstrawagancki sposób ubierania się. Zwłaszcza rzucały się w oczy jego koszule: zawsze z długimi rękawami i sztywnymi kołnierzykami, za to w niezwykle malowniczych kolorach, takich jak cytrynowy czy lawendowy. Z nonszalancją nosił je do dżinsów i sandałów. Wydawało mi się, że dość rozsądnie ukrywam tę moją małą skłonność do Sebastiana i uznałam za lekką przesadę, kiedy Zoe powiedziała, iż w jego obecności zachowuję się jak napalona suczka. Uważam też, że i Fran przesadza bawiąc wszystkich dookoła pokazywaniem, jak to wypinam pierś, gdy z nim rozmawiam. Po prostu zawsze, gdy wiem, że go zobacze, zakładam bardzo wydekoltowane topy i nie muszę wcale wypinać piersi. Przyznaję, że gdy tylko Sebastian się pojawia, całkiem bezwiednie zaczynam zachowywać się a la Zsa Zsa Gabor. To chyba moja drugie sekretne ja, które nie pozwala mi wysiedzieć prosto i każe przeginać się uwodzicielsko nad stołem, wsłuchując się z fascynacją



jak fala po fali, opisuje on swe surfingowe przygody. Z drugiej jednak strony słabość do Sebastiana w żaden sposób nie zagrażała mojemu związkowi z Charliem. Miałam swojego chłopaka, w którym byłam zakochana, a towarzystwo miłego, przystojnego drugiego chłopaka po prostu sprawiało mi przyjemność. Ot, taki niewinny flircik.

- Może przyjdę - odpowiedziałam w końcu, możliwie niedbale, jednocześnie notując w pamięci, że muszę wydepilować nogi i pomyśleć, co też na siebie włożyć. - Dobra, zadzwonię później.

Podczas drogi do domu zaczęłam rozmyślać o Gilbertcie Blythe. Nie tylko Fran - ja także się w nim durzyłam. To był mój pierwszy wyśniony ideał partnera doskonałego. Myślę, że każda z nas, na swój sposób, tęskni za chłopakiem, który najpierw się z nas wyśmiewa, ciągnie za włosy i przezywa „Marchewką” (albo jakoś inaczej, zależnie od prawdziwych lub urojonych wad naszej urody), a potem bez nadziejnie i nieodwołalnie się w nas zakochuje, gdy odpłacamy mu za wszystkie zniewagi, rozbijając cokolwiek (może być i tabliczka) na głowie. Rozmyślałam o tych wszystkich romansach, które kiedykolwiek przeczytałam, i nagle wszystko stało się jasne. Wychowywana na takiej literaturze cierpię na klasyczny kompleks księżniczki z bajki: czekam na swojego rycerza w lśniącej zbroi, by przybył, padł mi do stóp i rozkochał mnie do szaleństwa. A powinien być koniecznie ciemny, przystojny, czarujący i inteligentny, wszyscy bowiem moi ulubieni książkowi amanci - od Gilberta Blythe i pana Darcy'ego aż po Cory'ego Harknetta III - byli właśnie tacy od stóp do głów. Teraz dodałam do tego jeszcze jeden wymóg: taki idealny mężczyzna powinien umieć korzystać z telefonu.

Charlie nie dzwonił do mnie już od ponad dwóch tygodni i miałam tej sytuacji serdecznie dość, ale postanowiłam sobie, że pierwsza nie zadzwonię. To może było głupie i dobrze to wiedziałam, ale nie chciałam być tą, co zawsze dzwoni pierwsza. Potrzebowałam jakiegoś znaku, że Charlie nadal mnie kocha i chce ze mną rozmawiać. Ale wszystko się jakby sprzysięgło przeciw mnie. Raz zadzwoniłam, gdy wychodził właśnie z jakimiś swoimi nowymi przyjaciółmi, których

oczywiście nie znałam. Gdy przypadkiem zaczęłam się dopytywać, co to za dziewczyna, której śmiech słychać było w tle, Charlie radośnie odpowiedział: - A, to Gigi - ojej, to znaczy opowiadałem ci o niej. - No i efekt był taki, że po odwieszeniu słuchawki przepłakałam resztę nocy, torturując się fantazjami na temat Gigi.

Oboje z Charliem byliśmy zdecydowani nie czepiać się jedno drugiego, więc większość rozmów upływała na wzajemnym przekonywaniu siebie (i kogo się tylko dało), że jesteśmy doskonale dobraną, niezależną parą ludzi tak straszliwie zapracowanych, że z trudem znajdują czas dla siebie. Problem jednak tkwił w tym, że ogromnie za nim tęskniłam, że tak powiem duszą i ciałem, i każdej nocy śniłam o nim, że jest ze mną i że w ogóle nigdy i nigdzie nie wyjeżdżał.

RS

## Zbrodnia...

Zacznijmy od tego, że nie mam w zwyczaju puszczać się na prawo i lewo. Mam takie przyjaciółki, które czy to idąc ulicą, stojąc pod światłami, czy przechodząc przez jezdnię po prostu nie mogą się powstrzymać od taksowania wszystkich przechodzących obok przedstawicieli rodu męskiego pod kątem ich, no, ewentualnej przydatności... Ja oczywiście też od czasu do czasu zwracam uwagę na jakiegoś przystojniaka albo eleganta, ale poza tym nic z tych rzeczy. Natomiast bez bicia przyznaję się, że łatwo się zakochuję. Jak już mi się zdarzy kogoś Lubić, zmierzam do tego, by Lubić jeszcze bardziej i zawsze to powoduje nieco zamieszania w moich uczuciach. A na nieszczęście teraz trafiło mi się, że Bardzo Lubiłam (oj, niedobrze!) Sebastiana.

Był piątkowy wieczór, a ja byłam zalana. Tkwiłam w kącie baru i prowadziłam niezmiennie ożywioną rozmowę z kimś, kto nie wiedział, że to zawsze jest u mnie zły znak. Muzyka grała za głośno, a lokal był pełen ślicznych młodych chłopców, noszących stanowczo za dużo cekinów i makijażu. Głośna muzyka sprawiała, że nie słyszałam ani słowa z tego, co mówiła do mnie dziewczyna, z którą rozmawiałam. Kiwałam więc od czasu do czasu głową, cały czas pociągałam ze szklanki i zamglonym wzrokiem wpatrywałam się w nią zastanawiając się, czy ona wie, że ja nie mam bladego pojęcia o tym, kim jest i o czym mówi.

Podeszła Frań i podała mi kolejnego drinka. O ile byłam w stanie rozpoznać, była to głównie wódka z symboliczną ilością soku z limety. Skończyłam z nim w pięć minut i mocno się dziwiłam, dlaczego tak świetnie się czuję. To było naprawdę niezwykle. Wypiłam już butelkę wina do kolacji, a potem jeszcze co najmniej cztery wódki i czułam się fantastycznie - szczęśliwa i przyjemnie przymulona, ale by-

najmniej nie narąbana, o nie. Możliwe, że po prostu robię się twarda. Ruszyłam w stronę baru, gdzie właśnie barman nalewał coś Zoe.

- Co masz? - spytałam

Skrzywiła się. - Ojej, nic takiego, sok z cytryny, limonka i bitter. Zaczęło mi się już kręcić w głowie, a jutro pracuję.

- Nu-uda - czknęłam. - Dodaj do tego trochę wódeczki, poprawi smak.

Zoe potrząsnęła głową. - Dzięki, nie. Nienawidzę potem budzenia się z kacem. - Zapłaciła za drinka i zniknęła w tłumie.

- Czego sobie życzysz? - zapytał (nieprawdopodobnie śliczny) barman.

Zadumałam się głęboko. Czego sobie życzę? Ot, na przykład, żeby spojrzał mi głęboko w oczy, jedną ręką wyciskając limonkę (ach, jak te mięśnie grają!), a drugą wypisywał mi swój numer telefonu i żeby choć przez pięć minut nie był gejem, jako że był chyba najatrakcyjniejszym facetem w lokalu (wyłączając Sebastiana).

Barman zaczynał zdradzać oznaki zniecierpliwienia.

Czego ja właściwie, u diabła, chcę się napić? Trudno mi było zebrać myśli. Nie miałam ochoty na wino, odrzucało mnie już od wódki. Co by tu jeszcze można...? Piwo - za ciężkie, szkockiej nie cierpię...

- Kahluę z mlekiem, poproszę.

Naprawdę nie wiem, dlaczego w tym fatalnym momencie przypominałam sobie moje młode lata i zamówiłam drink, który polubiłam podczas moich pierwszych doświadczeń z alkoholem, smakował bowiem niewinnie jak mleczny kok-tail. Prawdopodobnie - i to jest jedyne rozsądne tłumaczenie

- będąc w dołku psychicznym i emocjonalnym, zapragnęłam schronić się w bezpieczne wspomnienie dzieciństwa.

Barman poczęstował mnie spojrzeniem, które wyraźnie mówiło: wracaj kiciu na zachodnie przedmieścia, z których

- co widać jak na dłoni - się wywodzisz, ale olałam go, nagle bowiem tuż przy mnie pojawił się Sebastian.

- *Sebastian!* - ćwierknęłam radośnie. Cate, moja najlepsza przyjaciółka z Melbourne, gdy się zaprawi, zaczyna mówić po francusku, ja w takim stanie mam skłonność do mówienia kursywą. - *Jak się masz, kochanie?*

Roześmiał się. Przeszył mnie miły dreszczyk. Czułam się dowcipna i zabawna.

- Chyba się zalałaś - zauważył.

Sam też wyglądał na nieco zaprawionego. Przyganiał kocioł garnkowi.

Zapłaciłam za to swoje mleczko z wkładką i wykrzywiłam się do barmana. Nie zauważył, bo właśnie rozkosznie uśmiechał się do Sebastiana. Złapałam swego drinka, wzięłam Sebastiana energicznie pod rękę i odciągnęłam go jak najdalej od baru. Kit ci w oko, ty snobie ze wschodnich przedmieść, wycięty z „Cosmopolitan”, pomyślałam mściwie pod adresem barmana.

- Sebastian, muszę cię o coś zapytać.

Roześmiał się ponownie. Na moment zmieszałam się, bo jako żywo nie powiedziałam nic zabawnego, ale nagle uświadomiłam sobie, że on po prostu musi być bardzo szczęśliwy, znalazłszy się przy mnie. Kochany, kochany Sebastian.

- Czy nie za bardzo z tobą flirtuję?

Sebastian spojrzał na mnie tymi swoimi niewiarygodnie orzechowymi oczami.

- Mogę ja ciebie najpierw o coś zapytać? Zamarłam w oczekiwaniu.

- Czy ja nie za bardzo flirtuję z tobą?

Chciałam powiedzieć: „Nieee”. Zamiast tego golnęłam kolejny łyk mleka (z wkładką). Sebastian mówił coś jeszcze, ale było za głośno i nic nie usłyszałam, tak więc spojrzeliśmy tylko na siebie i roześmieliśmy się oboje. Kurczę, lubimy się nawzajem. Życie jest piękne.

Dopiłam swego drinka, próbując mężnie ignorować fakt, że zrobiło mi się trochę niedobrze. Nie czułam się na siłach stawić czoło temu niesympatycznemu barmanowi, ale nie byłam całkiem pewna, czy

utrzymam się na nogach. Było za głośno, a ja byłam już zbyt pijana, by podtrzymać konwersację, tak więc zdecydowałam się, że wycho-  
dzę. Sebastian też jakby miał już dość, więc razem ruszyliśmy na po-  
szukiwanie Fran i Zoe. Namierzyłam w końcu Fran siedzącą w kącie i  
wpatrującą się bałwochwalczo w jakiegoś faceta, który miał lewą rękę  
na temblaku. Zaczęliśmy dzielnie przedzierać się ku niej, lecz gdy  
znaleźliśmy się bliżej, usłyszałam, jak zatemblakowany gość tokuje: -  
Bycie korespondentem wojennym w Uzbekistanie nie jest wcale tak  
wspaniałe, jakby się zdawało... - więc szybko odciągnęłam Sebastiana  
i wycofaliśmy się, jasne było bowiem, że Fran jak na razie nie zamie-  
rza wychodzić.

Zoe znaleźliśmy na środku parkietu. Co nieco wytrzeźwiała i też  
nie chciała wychodzić.

- Na pewno chcesz zostać? - spytałam, uświadomiwszy sobie na-  
gle, że przede mną wspólna z Sebastianem jazda taksówką do domu, a  
chyba nie byłam tak trzeźwa, jak mi się wydawało.

- Na pewno - odpowiedziała Zoe i cmoknęła mnie na pożegnanie.  
- Zadzwoń jutro do ciebie.

No i wyszliśmy, torując sobie z wysiłkiem drogę przez zbity tłum.  
Staralam się nie stracić z widoku lawendowej koszuli Sebastiana, lecz  
nagle ujrzałam, że otacza mnie morze czarnych podkoszulków, zupeł-  
nie jakby do wnętrza pubu wlała się chmara instruktorów pływackich  
z Bondi. Sebastian, niczym bohaterski strażak (taki co bardziej trosz-  
czy się o ludzi niż o markowe ręczniki), przedarł się z powrotem przez  
ciżbę, złapał mnie za rękę i wyciągnął ze ścisku. Ruszyliśmy ku scho-  
dom i nagle zrobiło się przestronnie i luźno. Nie było już potrzeby,  
byśmy trzymali się nadal za ręce, ale on nadal trzymał moją dłoń, a ja  
jej nie wyrывałam. Czułam się cudownie i bezpiecznie.

Wciąż trzymając się za ręce, dotarliśmy na Oxford Street i prawie  
natychmiast złapaliśmy taksówkę. Usiedliśmy z tyłu. Poczułam, że  
jestem strasznie zmęczona i strasznie pijana, uznałam więc, że nie bę-  
dzie nic złego, jeśli oprę głowę na ramieniu Sebastiana. To mój przy-  
jaciel, który mnie kocha. I świat wpadł w korkociąg.



Taksówka zatrzymała się przed moją kamienicą, Sebastian wyskoczył i pomógł mi wysiąść. Odwróciłam się i zobaczyłam, jak płaci kierowcy i zatrzaskuje drzwiczki. Taksówka odjechała, a ja spojrzałam na niego lekko zaintrygowana. Obdarzył mnie tym swoim cudownym, nieśmiałym uśmiechem, od którego serce fiknęło mi koziółka, ale jakoś unikał mego wzroku.

- Co robisz? - zapytałam błyskotliwie.

- Wolę być pewien, że bezpiecznie dotrzesz na miejsce - odpowiedział.

I bez słowa wzięliśmy się znowu za ręce i ruszyliśmy schodami w górę, do mojego mieszkania.

\* \* \*

- To co się właściwie stało? - spytała Cate, ta moja najlepsza przyjaciółka z Melbourne, która zawsze dzwoniła do mnie w weekendy. Cate - poza tym, że niezmiernie opiekuńcza i rozsądna, była także wykwalifikowanym doradcą, co czyniło wszystkie jej porady bezcennymi podczas wszystkich dotychczasowych kryzysów, jakie przeżywałam.

Było to już dwa tygodnie po fakcie, kiedy zdobyłam się na porozmawianie o tym.

- Rzygałam. Bez przerwy. Ta cholerna mieszanka kahlui z mlekiem po prostu mnie wykończyła. Rzygałam całą noc.

- To znaczy, nie spałaś z nim?

- Spałam, i to jest najgorsze. A on nawet nie zauważył, jak latam do łazienki, by puścić pawia. W końcu wyrzygałam się przy łóżku.

- Ohyda. Znaczy, że on też był zalany.

- No był, ale to było takie obrzydliwe. Takie nieroman-tyczne.

- Belle, przecież masz swojego chłopaka - drgnęłam, gdy użyła czasu teraźniejszego. No, zdarzyła się przygoda jednej nocy. Tu nie ma nic romantycznego - to tylko seks.

Cate miała całkowitą rację, ale wcale mi to nie pomagało. Byłam straszliwie zniesmaczona estetyczną stroną tej sytuacji. Z jednej strony (pomijając oczywiście moralne konsekwencje) sprawa wydawała się prosta i jasna - namiętna przygoda ze wspaniałym facetem. W rzeczywistości jednak była to noc bezustannych obrzydliwych pawi, przerywanych - ledwie, ledwie pamiętanymi - wybuchami zwierzęcego, całkowicie nieromantycznego seksu. To było obrzydliwe i okropne.

Zbudziłam się wtedy następnego ranka i natychmiast zapragnęłam umrzeć. Czulałam się - i prawdopodobnie „pachniałam” - jak zdechła ryba. Chwila, w której wszystko opowiedziałam Charliemu, to był prawdziwy koszmar. Nie trzeba dodawać, że zerwaliśmy ze sobą, a ja uświadomiłam sobie (jak bohaterka najgłupszego z najgłupszych harlekinów), że z całą pewnością wciąż jestem w nim zakochana. Tak więc skoro tylko minął mój zaiste gigantyczny kac, symbolicznie i metaforycznie przypięłam sobie na piersi wielkie szkarłatne „Ś” (Ścierka) i pogrążyłam się w otchłaniach Winy i Pokuty przy okazji z przyjemnością odkrywając, że zapewne byłabym wspaniałą katoliczką (co prawda kiepsko to wygląda, odkrywać swą skłonność do duchowej odnowy przy okazji popełnianego grzechu; to tak jakby poświęcić się pracy w slumsach Kalkuty tylko dlatego, że habit zakonnicy jest taki twarzowy). Straciłam Charliego, straciłam przyjaźń Sebastiana i na dodatek uświadomiłam sobie, że będę się teraz bać wyjść z domu z obawy, że wpadnę na niego. A byłam twardo przekonana, że gdy go ponownie zobaczę, to normalnie umrę ze wstydu. Byłam więc uwięziona w Sydney i nienawidziłam tego. Najbardziej jednak nienawidziłam siebie.

Miałam wielu przyjaciół płci obojga co sypiali ze sobą na prawo i lewo, nie robiąc z tego żadnych problemów. Wędrując radośnie od jednej seksualnej eskapady do następnej, dawali sobie radę ze wszystkimi, no, kłopotliwymi sytuacjami wynikającymi z sypiania z byle kim oraz przy byle okazji, i czynili to z humorem i spokojem ducha. Mówiąc o kłopotliwych sytuacjach, nie mam namysli oczywistych

konsekwencji, takich jak ryzyko złapania Chorób Przenoszonych Drogą Płciową czy zmagania z własnym sumieniem nad problemami niewierności czy zawiedzionego zaufania. Nie, mam tu na myśli naprawdę kłopotliwe sytuacje, kiedy to budzisz się w jakimś obcym pokoju i przeżywasz atak paniki: co mnie napadło, by kupić tę narzutę drukowaną w sceny z *Gwiezdnych wojen*? Albo gdy musisz skorzystać z koszarnej wspólnej toalety, gdzie drzwi nie chcą się zamknąć i gdzie musisz załatwiać się na półstojąco (bo nie ma mowy, by usiąść na tym obrzydliwym sedesie) i gdzie spuszczonego woda spada z siłą wodospadu ochlapując cię obficie, podczas gdy bezskutecznie próbujesz przytrzymać drzwi i modlić się, by jakiś współspacz nie zaskoczył cię w drodze do toalety, bo potem można sobie tylko wyobrazić, jak obmawiają cię wspólnie, on i twój potencjalnie

nowy partner. Mam na myśli takie właśnie kłopotliwe sytuacje.

Cate, daj jej Boże zdrowie, wciąż próbowała przemówić mi do rozsądku.

- Belle, nie powinnaś być tak surowa dla siebie. I, na miłość boską, zjedz coś wreszcie. Zachowujesz się jak idiotka i dobrze o tym wiesz.

- Wiem, wiem, ale nic na to nie poradzę. Czuję, że muszę się jakoś ukarać, a tylko tak mogę to zrobić. Najgorsze, że wrębałam kilka tim tamów. Nawet ukarać siebie porządnie nie potrafię.

- Ty kretynko, nie masz absolutnie za co się karać. Dobrze, zrobiłaś coś, co uważasz za złe i niewłaściwe. Ale powinnaś przyjąć, że po prostu to zrobiłaś i gwizdać na to. Zrób coś konstruktywnego. Leć do Adelaide i spróbuj jakoś dojść do ładu z Charliem. Ale przestań wmawiać sobie, że jesteś zła i zepsuta, bo nie jesteś. Postąpiłaś źle, ale to nie robi jeszcze z ciebie potwora.

Bardzo chciałam jej uwierzyć, naprawdę chciałam, ale wiedziałam, że nie jestem w stanie po prostu powiedzieć sobie: przepraszam, stało się i przejść nad tym do porządku dziennego. Zraniłam boleśnie Charliego, wykorzystałam bezwstydnie Sebastiana i dlaczego? Bo byłam zalana, samotna i zmęczona bezowocnym czekaniem na telefon

od Charliego i ponieważ ktoś, kogo lubiłam, wziął mnie za rękę, a ja nie chciałam, by ją puścił. Dość kiepskie to wytłumaczenie na ten ogrom nieszczęścia, jakie spowodowałam, i dobrze o tym wiedziałam. Najgorsze zaś było to, że nie przypuszczałam nigdy przedtem, że jestem zdolna zrobić coś takiego.

- A co na to Sebastian? - spytała Cate, zmieniając temat.

Westchnęłam. - Ojej, był kompletnie zdruzgotany. Rozmawialiśmy parę dni po tym, jak to się zdarzyło, tak tylko, żeby oczyścić atmosferę i jakoś uporać się z tym „O Boże, widziałem cię nago”.

- A jak on wygląda nago? - spytała Cate, wyraźnie potrzebując jakiejś niedużej, ale pikantnej, odskoczni po prawie godzinnym udzielaniu mi poważnych rad. Westchnęłam ponownie, tym razem znacznie głębiej. - O, oszałamiająco atrakcyjnie, oczywiście. Wspaniałe silne ramiona. Pewnie wyrobił sobie mięśnie na surfingu i ciągłym prasowaniu tych swoich cudaczkich koszul.

Wreszcie Cate odchrząknęła i powiedziała: - Zdajesz sobie chyba sprawę, że to także jego wina? W końcu znasz go ledwie od paru miesięcy. Nie przyszło ci na myśl, że to facet, co łatwo wskakuje do łóżka?

Nie wierzyłam w to ani przez moment. - Cacie, on nie jest taki. On jest naprawdę słodki i bardzo nieśmiały. Gdybyś mogła zobaczyć, jaki był przybity, zrozumiałabyś, że to nie jest ten typ faceta, co sypia z dziewczynami innych facetów. On po prostu popełnił błąd. - I gdy tak mówiłam, mój nastrój jeszcze się pogorszył. Zdałam sobie bowiem sprawę, że moja w istocie pierwsza przelotna przygoda doprowadziła mego przelotnego partnera na skraj załamania nerwowego, co nie było dla mnie specjalnie pochlebne.

- No dobrze, to mi wytłumacz, dlaczego Sebastian, który nie wskakuje z byle kim i byle gdzie do łóżka, nadal jest w twojej opinii, po tym co się zdarzyło, miłym facetem, podczas gdy ty, która - o ile cię znam - też nie masz zwyczaju sypiać z kim popadnie, wyobrażasz sobie, że jesteś złem wcielonym i że popełniłaś zbrodnię gorszą niż - na przykład - robienie świątecznych konfitur z niewinnych dzieciaków?

To porównanie lekko mną wstrząsnęło i jednocześnie zanotowałam w pamięci, by odtąd podejrzliwie traktować wszystkie przysmaki, jakimi Cate kiedykolwiek mnie poczęstuje. Zastanawiając się jednak serio nad jej słowami, doszłam do wniosku, że może ona mieć rację. To znaczy, wcale nie myślałam, że Sebastian jest zły i zepsuty i że zasługuje na karę, ale gdy próbowałam zastosować to rozumowanie do siebie - nie zadziało. Po pierwsze Sebastian był wolny, a ja - teoretycznie - nie. Czułam, że nie zasługuję na beztronski powrót do swej dawnej osobowości. Chyba popadłam w niewolę staroświeckiej podwójnej moralności, wedle której mężczyznom łatwo odpuszcza się to, za co gromi się kobiety. A może po prostu łatwiej przebaczymy innym niż sobie?

- Belle, muszę cię jeszcze o coś zapytać.

- O co?

- Byliście zabezpieczeni, tak?

Poczułam się głęboko dotknięta. Oczywiście, że uprawialiśmy bezpieczny seks. Byłam prawie pewna, że był to bezpieczny seks. Oczywiście o tyle, o ile zdołałam zapamiętać. O żesz ty.... Na szczęście wciąż jeszcze byłam na pigułkach (raczej z przyzwyczajenia niż jako niezbędny środek ostrożności na wypadek, gdybym uprawiała z Charliem seks na telefon).

- Myślę jednak, że powinnaś się zbadać. Tak dla pewności.

Koszmar zdawał się pogłębiać i nie mieć końca. Boże, jak ja mogłam to zrobić rodzicom, nie będę śmiała spojrzeć w oczy mojemu psu, a teraz jeszcze muszę przejść przez hańbę badań na okoliczność choroby wenerycznej.

Solennie przyrzekłam Cate, że pójdę do lekarza i przestanę się głodzić, i odwiesiłam słuchawkę. Padłam na kanapę i wreszcie swobodnie pogrążyłam się w rozpacz. Co gorsza, zdałam sobie sprawę że na to całkowicie zasłużyłam i że uczyniłam nieszczęśliwym Charliem, który na to nie zasłużył. Nagle poczułam się słaba i zdezorientowana, nie byłam już pewna, kim jestem. A przecież ja nie byłam taka. Nigdy przedtem czegoś takiego nie zrobiłam. Byłam porządną

dziewczyną, to pewne. Miałam zasady moralne i sumienie. I nagle ni stąd, ni zowąd upiłam się i przespałam z Sebastianem, i zламаłam serce Charliemu. O Boże, co ja narobiłam?

RS



## 5.

### ... i kara

Zaczęłam się głodzić, ponieważ uznałam, że taki potwór jak ja nie zasługuje na to, by go karmić. Wiedziałam, że robię głupio, ale nic nie mogłam poradzić. Nienawidziłam siebie i chciałam się jak najsurowiej ukarać, a głodzenie było jedynym na to sposobem. Zastanawiałam się też, czy w ramach pokuty nie wybrać się na wystawę pajaków ptaszników do Taronga Zoo, ale uznałam, że to już byłaby przesada. W końcu nikogo nie zamordowałam, by karać się aż tak okrutnie. Decydując się na głodówkę, nie wzięłam pod uwagę swojej pasji do czekolady. Około dziesiątej rano mój żołądek wręcz wył do czegokolwiek czekoladowego, choćby czekoladowych herbatników. Zaczynałam mieć halucynacje, że klawiatura mojego komputera to wielki baton tim tam, mój telefon zaś zaczynał podejrzanie przypominać czekoladową babeczkę. Na szczęście nikt mnie nie przyłapał na próbie ugryzienia słuchawki, ale byłam już tego bliska. Gdy nachodziła mnie pokusa, by się poddać i wrzucić coś na ruszt, musiałam surowo napominać samą siebie, że jestem Zła i Zepsuta, że sprowadziłam na ten najlepszy ze światów smutek i zniszczenie i usiłując ignorować burczenie w brzuchu, próbowałam udawać, że jestem na Czterdziestogodzinnej Głodówce podjętej na rzecz głodujących dzieci. To spowodowało, że czułam się jeszcze gorzej. Wychodziło na to, że wmawiam sobie szlachetność i gotowość do poświęceń, a szara rzeczywistość skrzeczy, że jestem tylko neurotyczką ze skłonnością do samozniszczenia.

Odgłosy, jakie wydawał mój żołądek, stanowiły największą udrętkę. Bylibyście zdumieni, ilu ludzi cierpi na wady słuchu, uniemożliwiające im rozróżnienie głośnego burczenia od puszczenia bąka. Napotykając podejrzliwe spojrzenia rzucane w moim kierunku, łapałam się za brzuch i uśmiechałam się słabo, licząc że będzie to zrozumiane

jako: „przepraszam, jestem strasznie głodna”, a nie jako „przepraszam, trochę męczą mnie gazy”.

Straciłam nieco na wadze i zaczęłam się czuć dziwnie. Cały czas byłam zmęczona, podenerwowana, i nie mogłam się skupić. Nienawidziłam wszystkich i wszystkiego i zbyt łatwo wybuchałam płaczem. Gdy spotkałam raz gdzieś Sebastiana, byliśmy wobec siebie do obrzydliwości ugrzeczniejsi i formalni. Pomyślałby kto, że było to przesłuchanie kandydatów do głównych ról w jakiejś przedzeszłowiecznej, wiktoriańskiej sztuce. Parę razy dzwoniłam do Charliego, ale on - rzecz zrozumiała był wciąż wściekły i zraniony, i każda rozmowa kończyła się obustronnymi wrzaskami i ciskaniem słuchawki. Byłam już zmęczona tym, że wszystko to moja wina, i zaczynałam się nad sobą litować. A przysłowiowym gwoździem do trumny (choć może nie najszcześniejszą metaforą) była konieczność udania się do lekarza, by ten gmerał w moich dolnych rejonach w imię higieny płciowej.

Byłam więc w skrajnie podłym nastroju, gdy czekałam przez domem na taksówkę. Stojąc na chodniku, starałam się unikać wlepionych we mnie oczu przynajmniej dwóch setek robotników, którzy na naszej ulicy zjawiali się zawsze około ósmej rano. Chyba tylko budowa egipskich piramid i Wielkiego Muru Chińskiego dorównywała rozmachem skali robót budowlanych podejmowanych każdego dnia na wschodnich przedmieściach Sydney. Hordy hydraulików,

elektryków, malarzy, tynkarzy, murarzy i glazurników oraz ich uczniów i pomagierów zajeżdżały tabunami półciąga-rówek z przyczepami i zalewały wiktoriańskie segmenty, edwardiańskie bliźniaki i piaskowcowe domki (niegdyś) robotnicze. Od trzech do sześciu godzin później odpływali po położeniu parkietów lub paneli, pomalowaniu ścian, zainstalowaniu nieskazitelnych lśniących białych kuchni i zamontowaniu halogenowych punktowców w każdym możliwym miejscu.

Uwagę moją przykuł przeraźliwy gwizd. Przybrałam więc mentalnie swój dyżurny w takich okolicznościach wyraz twarzy, wy-

rażający kombinację trzech stanów ducha: starałam się wyglądać na wyniosłą, zaambarasowaną, skonfundowaną. Następnie przypomniałam samej sobie surowo, że nawet jeśli jestem o tej porze jedyną kobietą na widoku publicznym, to znajduję się w Sydney. Nie powinnam więc z góry zakładać, że jest to typowy heteroseksualny gwizd skierowany akurat pod moim adresem. Hydraulik o zgrabnych łydkach mógł w ten melodyjny sposób okazywać na przykład swe uznanie dla rozkosznego młodziutkiego praktykanta, lat siedemnaście, mającego skłonności do noszenia zbyt obcisłych szortów.

Jednak wszystko wskazywało na to, że gwizd był jednak skierowany do mnie przez nawet sympatycznego, ale dość głupkowatego na oko faceta, który zdążył do furgonetki zaparkowanej tuż obok mnie i który swój rytuał zalotów zaczął od nieśmiertelnego tekstu:

- Teraz to udajesz, że mnie nie znasz.
- Przepraszam??
- No, stoisz i udajesz, że mnie nie zauważasz.
- Nie reaguję na gwizdy - odpowiedziałam lodowato. O kurde.

Teraz facet wie, że go jednak go usłyszałam.

Uśmiechnął się szeroko.

- Wiedziałem, że mnie usłyszałaś.

Przez moment zastanawiałam się, czy nie zacząć pozorowanych poszukiwań czegoś w torebce i robić wrażenie osoby ogromnie zajętej. Potem nagle pomyślałam o zawartości swojej torebki (inhalator, tampony i pomięte chusteczki) i zrezygnowałam z tego pomysłu.

- To musi być mój fartowny dzień - powiedział facet, opierając się o furgonetkę.

O rany, czemu nie wsiada i nie odjeżdża? Nie miałam najmniejszej ochoty z nim rozmawiać. W ogóle było stanowczo za wcześnie na wszelki podryw i marzyłam tylko o tym, żeby ta cholerna taksówka wreszcie przyjechała. Ale oczywiście próżno jej było wyglądać.

Nagle zawstydziałam się. To przecież mój bliźni, który próbuje być po prostu miły i nawiązać jakiś ludzki kontakt w tym obojętnym, nieprzyjaznym świecie. Często narzekałam, jak bardzo ludzie w Syd-

ney są wyobcowani (żeby nie powiedzieć nieużyeci), a teraz, gdy ktoś chce się ze mną zaprzyjaźnić, zachowuję się dokładnie tak samo: niegrzecznie i odpychająco. Zastanowiłam się przez moment, czy komukolwiek zdarzyło się przejść przez podobną powódź rozterek moralnych, w jaką rzucałam się z głową przy każdej sposobności, a następnie zmusiłam się do czegoś na kształt uśmiechu, no, może nie uśmiechu, ale przynajmniej uprzejmego wyrazu twarzy.

- Dlaczego to ma być pana fartowny dzień?

- No, bo pani tu właśnie stoi.

Błee. Ale oryginalny gość. Teraz pewnie powie mi, że mam piękne oczy.

- Widziałem panią wczoraj - kontynuował facet. Noo, to już trochę lepiej. - Chciałem zwrócić pani uwagę, zawołałem, ale pani tylko przeszła obok z nosem w chmurach.

Wyszczrzył się do mnie. Dobra, może facet jest i sympatyczny, ale nic z tego nie będzie. Nie mamy o czym rozmawiać; choć byłoby miło mieć przy sobie kogoś, kto potrafi wymienić uszczelkę czy naprawić korki i ustalić, do czego służą te wszystkie ustrojstwa z dolnej szuflady w kuchni. O, do diabła, znowu oceniam ludzi po pozorach. Może on pracuje tu tylko dorywczo, a w istocie jest, bo ja wiem, artystą albo studiuje na uniwersytecie literaturę angielską? A właściwie, jakie to ma znaczenie, czym się facet trudni? Czemu przejmuję się tym, że jest prostym robotem i od razu zakładam, że w związku z tym nie jest intelektualistą? I właściwie dlaczego nie mogę się nauczyć, jak radzić sobie z tymi wszystkimi robotami domowymi - pomijając fakt, że są głupie i wolę sto razy zapłacić komuś za wymianę żarówki niż marnować czas i energię, głowiąc się, jak to zrobić samemu? Doprawdy, jestem okropną babą, leniwą i płytką, ponieważ prawdopodobnie cierpię na rzeżączkę i anoreksję razem wzięte, powinnam uważać się za szczęściarę, że pojawił się na mojej drodze taki silny i zaradny mężczyzna, który może się mną czule zaopiekować i pomagając sobie łomem będzie poprawiał mi poduszki. Na miłość boską, ten ciągle gada! O czym teraz nawija?

- No to mówię, że dziś jest mój fartowny dzień, bo wreszcie rozmawiam z tobą. A jak ci na imię?

- Isabelle.

O psiakrew. Wcale nie chciałam, żeby wiedział, jak mi na imię. Teraz, kurczę, będzie mógł wołać za mną wszędzie, gdziekolwiek bym poszła, a wszyscy jego kumple z budowy będą nas obmawiać podczas przerwy śniadaniowej nad kanapkami z kurczakiem. Poczulałam się podle i nędznie na samą myśl o tym.

- A ja jestem Trevor.

No tak. I po ptakach. Nazwijcie mnie idiotką i natrząsajcie się z mojego ewidentnego niedorozwoju umysłowego, ale ja nigdy, przenigdy nie mogłabym umówić się z kimś, kto ma na imię Trevor. Tego przecież nawet nie da się jakoś przyzwoicie skrócić. Kiedy Chris, Matt, Dylan i Josh wybywają, a Trevor, Norman i Cyryl przychodzą na ich miejsce, za okno wylatują równo: szacunek, pożądanie i zauroczenie.

- A gdzie to się wybierasz, Isabelle?

Ciekawe, co powiedziałby Trevor, gdybym się przyznała, że udaję się na badanie lekarskie, by sprawdzić, czy nie złapałam syfa, kiedy uprawiałam pijany i prawie cudzołożny seks. Zdecydowałam, że jednak mu nie powiem. Mogło to w istocie podnieść jego mniemanie o mnie, jak również sprawić, że na pewno stanę się głównym tematem pogawędek na rusztowaniach (nie tylko podczas przerwy śniadaniowej), a kto wie, może i przy popołudniowej kawie i marsach na przegrzykę.

- Mam umówione spotkanie. Kurczę, gdzie jest ta pieprzona taksówka?

- Mogę cię gdzieś podwieźć?

Jasne Trevor. Po prostu wskoczę do twojej bryki i pojedziemy sobie. A potem spotkamy się w nocy, może gdzieś tak około dziesiątej...  
*Kurczką, co ja robię?*

- Nie, dziękuję. Co robić? Nagły błysk natchnienia. - Lepiej będzie, jeśli zadzwonię jeszcze raz, by się upewnić, czy moja taksówka

nadjeżdża. Nerwowo zaczęłam grzebać w torebce w poszukiwaniu komórki.

- Jak przechodziłaś tędy wczoraj, w tej swojej czerwonej spódnicy, to pomyślałem, że jesteś naprawdę ładna, Własnemu szczęściu nie mogłem uwierzyć, gdy zobaczyłem, że stoisz tu dzisiaj.

O zesz. Trafił mnie. Uwielbiam ten styl wielbię-cię-z-oddali. Byli Lancelot i Ginevra, teraz będziemy my, ja i Trevor.

Prr. Chwileczkę.

- Wczoraj miałam na sobie szary kostium.

- Nie, nie miałaś.

- Owszem, miałam. A poza tym w ogóle nie mam czerwonej spódnicy.

- No dobrze, to różową.

- Ale wczoraj miałam kostium, a nie spódnicę. I nie mam spódnicy w takim kolorze.

- Owszem, masz.

- Nie, ja... - przerwałam, wzięłam głęboki wdech. Nagle uświadomiłam sobie cały kretynizm sytuacji: stoję tu i wyklócam się z kompletnie obcym facetem o zawartość mojej garderoby.

- Miło się z tobą rozmawiało, Trevor - wydukałam z godnością. - Myślę, że pójdę przez Queen Street i tam spróbuję złapać taksówkę. Uśmiechnęłam się jak najgrzeczniej i szybko odeszłam.

I wtedy zdarzył się cud, o który prosiłam. Ścisłej mówiąc, jeden z kumpli Trevora podszedł, zerknął na mnie, najwyraźniej negatywnie ocenił fakt, że nie jestem blondynką i kazał Trevorowi wracać do roboty. Następnie rzucił mi spojrzenie, w którym nieomal zawarta była insynuacja, że to przeze mnie Trevor został nieelegancko nazwany obibokiem. I tak w ciągu minuty z podziwianej z oddali spadłam do poziomu nieatrakcyjnej brunetki, która spowalnia poziom wydajności wspaniałej australijskiej kadry pracowniczej.

Trevor mrugnął do mnie i sięgnął po jakieś dziwaczne, ale bez wątpienia ważne ustrojstwo do swojej furgonetki.



- Miło było cię poznać, Isabelle. Możliwe, że jutro też się spotkamy. - Próbowałam jakoś zignorować rozbawione spojrzenia pozostałych robotników, będących świadkami naszego małego sam na sam z Trevorem. Przypuszczalnie zastanawiają się, co ten Trevor we mnie widzi i czy jestem dobra w łóżku.

Spojrzałam na zegarek i z przerażeniem stwierdziłam, że zrobiło się już strasznie późno i nie zdążę do lekarza. Ruszyłam więc do pracy, dumając smętnie po drodze, dlaczego nie potrafię uprzejmie i stanowczo powiedzieć takiemu facetowi, żeby się odchrzanił i dał mi spokój. Nie

wiem, czy to przez grzeczność i dobre maniery, czy raczej przez tchórzliwe lizusostwo pragnęłam, żeby wszyscy mnie

lubili i przez to byłam po prostu bezbronna wobec każdego, kto okazywał mi zainteresowanie. A właściwie dlaczego to takie trudne przejść koło gromady roboli i nie zastanawiać się, czy patrzą na mnie i co o mnie myślą. W końcu to, czy mnie oceniali i taksowali, to tylko moje domysły. Równie dobrze mogli jeden z drugim patrzeć nie na mnie, lecz na mój płaszcz, myśląc, że taki właśnie nadałby się jego żonie. Albo patrząc na mnie myśleli o tym, że trzeba umyć furgonetkę. A może zastanawiali się, czy jest jakaś szansa, że to ja ją umyję, i to swoim płaszczem.

Byłam już prawie na miejscu, gdy sobie uświadomiłam, że przez całą drogę myślałam o Trevorze, analizując na wszystkie możliwe sposoby tę całą kretyńską historię. Faceci tak się nie zachowują. Inne dziewczyny pewnie też nie. Zaczęłam się zastanawiać, czy byłoby mi dobrze w czerwonej spódnicy. Przełożyłam swoją wizytę u lekarza na jedenastą. Następną godzinę zajęło mi użeranie się z szurniętym kolekcjonerem łyżek, który chciał zrobić wycenę swoich - w przybliżeniu - trzydziestu tysięcy łyżeczek do herbaty. Skąd się biorą takie świry? Czy byli kiedyś normalnymi ludźmi, a potem popadli w jakieś porabane obsesje na skutek osobistych tragedii? Podczas gdy kolekcjoner łyżeczek mendził o królewskim wzorze i o ograniczonej edycji pamiątkowych chochelek koronacyjnych, mnie poraziła straszliwa

myśl, że być może w wyniku mojej fatalnej przygody z Sebastianem, resztę życia spędzę na zbieraniu porcelanowych lalek. Całkiem możliwe, że dokonam żywota w pokoju wypełnionym koszmarnymi lalkami w koronkowych halkach, z buraczkowymi rumieńcami, noszącymi takie imiona jak Roztropna Elżunia i Śliczna Mała Panienska.

\* \* \*

Do kliniki przyszedłem tylko odrobinę spóźniona, podałem swe nazwisko recepcjonistce, usiadłem i próbowałem nie robić tego, co zawsze robię w takiej sytuacji: gapić się na innych ludzi w poczekalni i zastanawiać się, kto na co choruje. Ciężko było się powstrzymać, bo w sekretach innych ludzi zawsze jest coś niewiarygodnie interesującego. Nie mogłem więc powstrzymać się przed wyobrażaniem sobie, że ta pretensjonalna baba w rogu cierpi na łuszczycę uszu albo jakąś wyjątkowo złośliwą grzybicę stóp. Zaczęło mnie to bawić. Starszego dystyngowanego pana obdarowałem infekcją od przekłutych sutków (w końcu jesteśmy w Sydney). Właśnie zastanawiałam się, czy dzieckowi bawiącemu się na podłodze przypisać wirus eboli (niezbyt rozsądne, wystawiałam się wtedy na ryzyko infekcji), gdy nagle pochwyciłem spojrzenie tej baby od grzybicy skierowane na mnie i zdałem sobie sprawę, że gra ona dokładnie w tę samą grę. Przestraszyłem się, przekonana że babsztyl na pewno bezbłędnie wyczyta krótką historię mojego skurwienia wypisaną jasno na mej zrujnowanej przez alkohol twarzy i że następnie pomyśli sobie z satysfakcją: - O, ta flądra to na pewno przyszła tu zrobić sobie test na syfa.

Zaczęła kaszleć i głośno wydmuchiwać nos, udając (raczej bez sukcesu), że przyszedłem tu ze zwykłą uczciwą grypą, ale osiągnęła tylko tyle, że wszyscy w poczekalni nagle podnieśli wzrok znad starych numerów „Women's Weekly” i spojrzeli na mnie z obrzydzeniem. Byłem właśnie w trakcie szczególnie realistycznego charkotu,

gdy nagle spojrzałam w górę i zobaczyłam stojącego w drzwiach doktora.

Jęknęłam w duchu. Wyleciało mi z głowy, że doktor Ross odszedł z kliniki i obecnie byłam pacjentką doktora Allena. Ross był miłym i sympatycznym człowiekiem. Pytania zadawał ciepłym, łagodnym głosem i ogólnie rzecz biorąc opiekował się mną po macierzyńsku (a tego głównie pragnęłam, gdy byłam chora). Allen zaś był co najmniej o czterdzieści lat za młody i zbyt atrakcyjny jak na lekarza. Wyglądał na gościa, który miota się po izbie przyjęć, wymachując stetoskopem i wykonuje naprędce skomplikowaną, operację mózgu na szpitalnym korytarzu, mając do dyspozycji tylko słomkę od koktajlu i kanapkę z jajkiem na twardo.

- Annabelle?

Wszyscy w poczekalni - poza doktorem Allenem - zdawali się patrzeć na mnie i nagle zdałam sobie sprawę, że mówi on do mnie już od paru minut. Najwyraźniej nie rozpoznał mnie od czasu mojej ostatniej wizyty. No, ale skoro inna Annabelle się nie odezwała, wyszło na to, że zwracał się do mnie. Wstałam i usiłowałam wyglądać na bardzo chorą, maskując cierpienie dzielnym uśmiechem.

- Witam doktorze - rzuciłam - pamiętając o tym, by zakaszleć, zanim weszliśmy oboje do gabinetu.

- Witam, witam - przebiegł szybko wzrokiem moją kartę i zapytał: Annabelle, złapałaś coś paskudnego, tak?

- Właściwie to on był całkiem miły - powiedziałam rozmarzona, myśląc o orzechowych oczach Sebastiana.

Na szczęście Allen nie słuchał, zajęty czytaniem e-maili.

- No, ale to nic dziwnego, biorąc pod uwagę tryb życia - ciągnął dalej z oczami wbitymi w ekran komputera i wystukując odpowiedź.

- Że co proszę??

Uśmiechnął się do mnie i znowu wbił wzrok w ekran.

- To wszystko z tego latania. Wy stewardesy jesteście strasznie chorowite.

- Nie jestem stewardesą - bąknęłam.

- O - spojrzał na mnie szczerze zdumiony. - Dałaś sobie z tym spokój, tak? Fakt, to nawet fajnie móc pooglądać trochę świata i jednocześnie zrobić trochę wolnocłowych zakupów. - Otworzył kopertę i zaczął chichotać, czytając list. Wyglądało na to, że Allen najwyraźniej załapał tylko połowę z uprzedniej naszej rozmowy, w której musiałam coś wspomnieć o lataniu z Charliem, z czego wy-dedukował, że muszę być stewardesą.

Skończył wreszcie czytać list i zapytał

- No więc, Annabelle, grypa cię dopadła, tak?

- Nie - odpowiedziałam, próbując zarazem nie poddać się panice z tego powodu, że mój lekarz nie odróżnia udawanego kaszlu od prawdziwego i nie ma bladego pojęcia, kim jestem. Postanowiłam wpierw zmierzyć się z łatwiejszym problemem i wyjaśnić swoje sprawy zdrowotne, a dopiero potem ustalić moje prawdziwe imię.

- Chciałam się zbadać. Na okoliczność chorób. To znaczy wenerycznych. Tak dla pewności.

Spojrzał na mnie z uwagą i tonem „jestem-tak-młody-i-atrakcyjny-że-możemy-sobie-porozmawiać-o-seksie”, zapytał przyciszonym głosem:

- Uprawiałaś hm, niebezpieczny seks?

- No, nie (to znaczy, nie licząc faktu, że walnęłam głową w nocny stolik).

- Aa, to czy uprawiałaś - tu przerwał i spytał delikatnie

- nietypowy seks?

O czym ten facet, do diabła, mówi? Co to znaczy nietypowy? Czy ma na myśli stosunek z tarką do sera? A może chodzi mu o nietypowe pozycje i myśli, że erotyczną satysfakcję osiągam tylko wtedy, gdy partner wkłada mi penisa do ucha? To jeszcze jedna pieprzona sydneyjska specjalność. Panuje tu taka presja na uprawianie niekonwencjonalnego seksu, że jeśli robisz to dwa razy w tygodniu i w pozycji misjonarskiej, zaczynasz się czuć jak totalny zbok.

Nie spierając się o swe imię i zawód, uśmiechnęłam się z całą gracją i godnością, na jaką mogłam się zdobyć:

- Nie jestem całkiem pewna, co ma pan na myśli, ale chcę się tylko zbadać. To znaczy chodzi o wymaz.

Cholera, co za ohydne słowo. Po pierwsze kojarzy mi się z czymś usmarowanym, uświnionym i co tylko chcecie. Nie ma w tym za grosz chłodnej medycznej elegancji innych słów, dotyczących pobierania próbek i badań wstępnych, jak biopsja czy tomografia.

Po drugie - procedura. Trudno wyobrazić sobie większe poniżenie; kompletnie obca osoba wpycha ci coś do środka i coś stamtąd wyskrobuje. Nie jestem specjalnie pruderyjna, wiem, że inaczej się nie da, ale twardo stoję na stanowisku, że trudno w takiej sytuacji prowadzić swobodną rozmowę.

Mówcie sobie, że jestem snobką, ale kiedy leżę na wznak, spowita w prześcieradła bez majtek i z rozłożonymi nogami, a ktoś obcy dłubie w moich intymnych miejscach, absolutnie nie jestem w nastroju do pogawędki. Za to doktor Allen nie miał nic przeciwko temu, bo to nie on był obiektem badania. Tak więc, gdy zgrzytając zębami gapiłam się tępo w sufit, doktorek żwawo nawijał o ostatnim filmie, który miał okazję oglądać. Wciągnął gumowe rękawiczki i nachylił się ku moim dolnym rejonom.

- Nie jesteś Annabelle, czyż nie? - zahuczał nagle gdzieś spomiędzy moich ud. Wystraszył mnie tak, że o mało go nie zdekapitowałam ścisnąwszy mu głowę nogami, niczym ta demoniczna agentka z któregoś tam Bonda. Po małej chwili usłyszałam jego głos nasycony przyjaznym uczuciem rozpoznania: - Ty jesteś Isabelle, tak?

O Boże. Nie rozpoznał mojej twarzy, za to bezbłędnie rozpoznał moją waginę. Nie, to było zbyt potworne. Może w tym leżał cały problem? Może zamiast przedstawiać się po raz enty ludziom, których już parokrotnie spotykałam, powinnam po prostu rozłożyć nogi niczym Sharon Stone w *Nagim instynkcie*. Wtedy każdy, tylko zerknąwszy, by wykrzyknął: - O teraz sobie przypominam! Trochę mnie przedtem zmyliła twoja nowa fryzura. - Nic nie powiedziałam, ale to i tak nie miało znaczenia. Doktor Allen wydawał się całkowicie szczęśliwy, recytując swą autorską wersję *Monologów waginy*.

- Tak, jasne, teraz sobie przypominam. Zawsze były małe problemy z wymacaniem u ciebie szyjki macicy, tak? - klasnął radośnie, jakbym była niedbałą flądą, która zapomniała, że macicę zostawiła w innej torebce albo zatknęła ją sobie przypadkiem za uchem.

Jakieś dwadzieścia minut później wychodziłam z kliniki, nienawistnie życząc Sebastianowi, by jego penis zzieleniał i porósł futrem tylko po to, by musiał tak jak ja poddać się badaniu: najlepiej przez osiemdziesięcioletnią lekarzkę z wąsikiem, która będzie uważać, że jest on hydraulikiem i ma na imię Alastair. Postanowiłam, że przerywam głodówkę i zaczynam przyzwoicie się odżywiać. Grozą przejmowała mnie bowiem myśl, że mogę się rozchorować i ponownie wpaść w ręce doktora Allena. I jeszcze postanowiłam, że *nigdy, przenigdy* nie wpakuję się już w przygodę jednej nocy.

RS



## 6.

### Mroczne przedmioty pożądania

Jakiś tydzień później zdarzyło się, że kompletnie zbrzydzone i znudzona pracą oddałam się swej ulubionej rozrywce, czyli pogawędce z Fran, przy jednoczesnym gapieniu się przez okno na pobliski plac budowy.

Moją uwagę przyciągnął nagle wspaniały okaz faceta.

- Wrócił - zawołałam.

- Że co? - spytała Fran, która z napięciem wpatrywała się w komputer i na chybił trafił klikała w coraz to nowe ikonki w złudnej nadziei, że coś z tego wyniknie.

- Ten budowlaniec. Super ciało. O, jest właśnie tam. Fran spojrzała przez okno, idąc za moim wzrokiem:

- Masz na myśli tego faceta podobnego do Charliego?

- Mmmmm. Co? Nie, wcale nie jest podobny.

- Ktoś ci w końcu to musi powiedzieć, słonko. - Teraz zaczęła wyciągać wtyczki z tyłu komputera, co jak sądzę nie wróżyło dobrze informacjom zawartym w naszej bazie danych, ale szczerze mówiąc zwisało mi to, gdyż przede wszystkim byłam zniesmaczona tym, że moja serdeczna przyjaciółka zupełnie nie interesuje się moim życiem uczuciowym.

Wątek przerwało przybycie naszych gońców z pakami obrazów. Musiałyśmy wraz z Fran pomóc im przy rozładunku i gdy tak stałyśmy w zimowym słońcu, nagle On przeszedł opodal. Szturchnęłam Fran.

- Widzisz Go?

- Kogo?
- Tego wspaniałego faceta.
- Mówisz o tym gościu podobnym do Charliego?
- Fran, co ci odbiło? No dobrze, mają ten sam kolor włosów. W końcu na świecie jest zatrzęsienie ciemnowłosych.
- Taa, mam nadzieję, że Charlie nie ma takich tatuaży jak ten Wsiok. Przecież on wygląda jak Neandertalczyk.
- Nie sądzę, by Neandertalczycy nosili tatuaże. Byli zbyt zajęci malarstwem jaskiniowym, wynajdywaniem koła i topieniem się w torfowiskach.

Spojrzałam, jak On żwawo podąży ulicą i znika w barze mlecznym, pewnie z zamiarem kupienia pieroga z mięsem lub innej męskiej przekąski. Fran coś mówiła, lecz ja pogrążyłam się bez reszty we śnie na jawie, w świecie, w którym spódnice stanowią zbędny balast i śmiałam się do rozpuku, gdy On delikatnie i czule zmywał flamastrowe tatuaże z rąk naszych uroczych dziątek.

Chwilę potem zauważyłam, jak On wyłania się z baru z kartonem papierosów.

Fran parsknęła na ten widok. - Pięknie, astmatyczka z nałogowym palaczem, dobrana para, nie ma co. Jak na pierwszej randce będziesz bez przerwy sapać, facet może się zniechęcić.

Olałam ją. Kto wie, czy te fajki były dla Niego. Może posłał Go po nie okrutny majster, który orał Nim jak wołem roboczym i nie dbał należycie o BHP. Moje kochane wyzyskiwane biedactwo.

ON tymczasem, zapalił papierosa, zgasił i nagle ruszył w naszym kierunku. No dobrze, będzie musiał stanowczo zerwać z nałogiem, zanim się pobierzemy, a przynajmniej nim będziemy mieli dzieci.

Rany. Ale ciało. No, fakt, że trochę, hm, nieociosany, ale poza tym opalony, umięśniony i cholernie dobrze zbudowany.

- Masz już wyniki?
- Że co? - *(Fran nie chce mi się z tobą gadać. ON jest tuż tuż i lada chwila nastąpi kontakt wzrokowy).*

- Wyniki - powtórzyła Fran odrobinę za głośno, dodając usłużnie:
- No tego testu na choroby weneryczne.

Jego cudowne aksamitne brązowe oczy stanęły w ślup. Odwrócił się i zmył szybciej, niż zdążyłam powiedzieć: Fran, ale z ciebie wredny troll.

Ale i tak to powiedziałam.

- Ale z ciebie wredny troll, Fran. To mogła być miłość mojego życia.

Fran wybuchnęła śmiechem. - Nie pozwoliłabym ci na to. Twoja matka też. Ten facet jest niechłujny, nieokrzesany, a na pierwszą randkę zabrałby cię do knajpy z piwskim i kotletami. Nie sądzę, by ci się to podobało. Oni tutaj mają skrajnie niehigieniczny bar.

Byłam do żywego dotknięta jej obłudą. - Niehigieniczny? Niehigieniczny? Tylko trzy słowa Fran: Kostium Misia Koali.

Przez chwilę Fran jakby się zmieszała, lecz nie zamierzała się poddać.

- W takich restauracjach podają takie różowe budynie. A ten różowy kolor jest oczywiście sztuczny. To wygląda jak pasta do zębów, chociaż nią nie jest - dodała raczej zagadkowo.

Nadal byłam niepoczyszona.

- Ale pomyśl, jacy mogliśmy być szczęśliwi. Zrujnowałaś moją szansę na szczęście w imię swoich durnych powierzchownych wartości. Osądziłaś Go tylko na podstawie wyglądu i zajęcia. Boże, jaka z ciebie pieprzona snobka. - Przez chwilę poczułam szarpiący wyrzut sumienia, wspomniawszy własne reakcje na zaloty Trevora, ale natychmiast je strzepnęłam ciągnąc:

- Założę się, że byłby cudownym ojcem. Na pewno sam robiłby naszym dzieciom zabawki.

- Słonko, ciężarówka zajechały. A twój ostatni chłopak też chyba lubił majsterkować.

Zmarszczyłam nos, gdy jeden z gońców minął nas, niosąc jakieś koszmarnie malowidło przedstawiające dziewczynę z pomarańczowo upierzoną głową.

- A tak na marginesie, jak ty mnie przedtem nazwałaś?
- Troll.
- Jak?
- Troll. No wiesz, taki owłosiony pokurcz, co siedzi pod mostem.
- A - powiedziała nagle - rozumiem. Chodzi ci o tolla? Spojrzałam na nią tępo.
- Dwa dolary dwadzieścia - dodała wyjaśniająco.
- Plus GTS.

Rany boskie, o czym ona gada?

Fran chyba zauważyła mój błędny wzrok i wyjaśniła: - no, nazwałaś mnie mostowym tollem \*<sup>4</sup>.

- Powiedziałam, że jesteś trollem. - Poczucie frustracji zawładnęło mną bez reszty. Dlaczego, do czorta, miałabym nazywać cię mostowym tollem. Co, nie czytałaś bajek, gdy byłaś mała?

- Oczywiście, że czytałam - warknęła obrażona. - Za to ty jako dziecko nigdy nie musiałaś płacić za przejazd przez Harbour Bridge.

Moja frustracja przekroczyła wszelkie dopuszczalne granice. Przez chwilę rozważałam, czy wrócić do początku i wyjaśnić jej wszystko od nowa, lecz uznałam, że może to się skończyć tym, że albo zabiję ją, albo siebie.

Fran zdawała się nie zauważać moich męczarni i uśmiechnęła się do mnie promiennie.

- Tak czy siak, to dobrze, że zaczęłaś oglądać się za chłopakami. Tyle tylko, że powinnaś uważać, za kim się oglądasz. Szkoda czasu na gapienie się na takich młotów jak ten budowlaniec.

Przez chwilę rozważałam, czy powiedzieć jej, że to działa w obie strony (bo gdy Trevor gapił się na mnie, to znaczy że marnował czas?), ale w końcu zrezygnowałam, bo to groziło ześlizgnięciem się rozmowy na moją mityczną czerwoną spódnicę (mam ją, czy nie?).

---

<sup>4</sup> \* *W org. Gra słów: troll i toll (opłata mostowa, myto) [przyp. tłum.].*

- Nigdy nie wiesz, czy nie spotkasz kogoś nawet dziś wieczorem  
- ciągnęła Fran, podczas gdy obie przyglądałyśmy się, jak jeden z gońców ściąga plastikowy pokrowiec z jakiegoś wyjątkowo dużego obrazu. Przerwałyśmy na chwilę naszą rozmowę, by uważnie przyrzeć się portretowi śledzia wysokiemu na sześć stóp.

- Na wernisażu raczej nikogo nie spotkam, Fran. Pomijając już fakt, że tam już wszyscy znają wszystkich, bo to jest zbieranina wyjątkowo pociesznych i pretensjonalnych indywiduów. A poza tym wcale nie chcę nikogo spotkać. Wciąż Kocham Charliego. W końcu mi przebaczy i znowu będziemy razem.

- Znowu nastąpiła krótka pauza, po czym Fran cicho powiedziała:

- A Sebastian to pytał o ciebie wczoraj wieczorem w pubie. O mojej niesławnej przygodzie z Sebastianem wiedziały

tylko Cate i Fran. Fran długo mnie utulała, gdy wypłakiwałam się na jej podołku, łkając o mojej strasznej winie i złamaniu serca Charliemu, a gdy wreszcie skończyłam się mazać, powiedziała nieoczekiwanie, że może i dobrze się stało. Spojrzałam wtedy na nią osłupiała. Wprawdzie w sprawach praktycznych Fran była beznadziejnie niepraktyczna, lecz w sprawach sercowych uważałam ją za autorytet. Tym bardziej nie pojmowałam jej słów. Jak, do cho-\* lery, moje zerwanie z Charliem może mi wyjść na dobre?

-A jak tam Sebastian? - spytałam, starając się, żeby nie zabrzmiało to zbyt obojętnie.

-No, prawie tak jak ty. Zrozpaczony, że go unikasz. Czuje się winny z twojego powodu.

Westchnęłam znowu.

- Frannie, ja go wcale nie unikam. Po prostu nie chcę go teraz oglądać. Za każdym razem, jak patrzę na niego, myślę o Charliem i wtedy znów zbiera mi się na płacz.

- Belle, Charlie nie zadzwonił - powiedziała Fran (znów bardzo spokojnie). - Przestań robić z niego kogoś, kim nie jest tylko dlatego, że czujesz się winna.

Skoncentrowałam swoją uwagę na portrecie śledzia, walcząc ze łzami szczypiącymi w oczy.

Fran spojrzała na mnie, otworzyła usta, by coś powiedzieć, i nagle zmieniła zdanie:

- Wiesz co, wybierzmy się dziś na lunch do Double Bay. Nie wiem dlaczego, ale nagle naszła mnie ogromna ochota na sushi.

\* \* \*

O piątej trzydzieści wyłączyłam swój komputer, a Fran ostatecznie zrezygnowała z ustalenia, które wtyczki jej komputera gdzie pasują. Władowałyśmy się do starej gabloty Fran i ruszyłyśmy do galerii. Jak wspomniałam wcześniej, wystawy i wernisaże to dęte i pretensjonalne imprezy i tego się trzymam, tu właśnie bowiem natura ludzka objawia swe najniższe, najprymitywniejsze, najgorsze strony.

Muzealnicy to dość inteligentny gatunek, lecz totalnie wyprany z poczucia humoru i stylu. W tym środowisku dzinsy uważane są za odpowiedni ubiór na każdą okazję: muzealnicy żywią jawną pogardę dla każdego, kto ma jakikolwiek związek z handlem sztuką, nie wiedzieć czemu, bo w końcu od niego zależą. Zupełnie nie czują ironii, jaka się czai w zestawieniu ich niechęci do uczciwego komercyjnego handlu dziełami sztuki z ich obłąkańczą obsesją na tle sponsoringu i fundacji.

Z kolei kolekcjonerzy to zarówno porządni ludzie, szczerze i uczciwie interesujący się sztuką, jak i okazy typu zająłem-się-tym-gdy-zarobiłem-mój-pierwszy-milion. Nie warto dodawać, że przedstawiciele tej właśnie odmiany kolekcjonerów wiedzą zawsze wszystko o sztuce, i znają się na niej lepiej niż artyści, właściciele galerii, a nawet autor dwudziestodwutomowego dzieła w twardej oprawie pod tytułem *Kompletna encyklopedia sztuki światowej. Od stworzenia świata*. Dla jakiś dziwnych przyczyn (zasługujących na szczodrze fi-



nansowany projekt badawczy), u męskich przedstawicieli tego podgatunku kolekcjonerów zawsze wyrastają z nosów obfite, bujne włosy.

No i są jeszcze galeriany. Jak by tu wyjaśnić, czym są te stwory? Właściwie najlepiej nawet nie próbować.

Aby zrozumieć galerianę, trzeba udać się do handlowej galerii sztuki w dowolny dzień tygodnia, poza poniedziałkiem, gdy większość tych galerii jest zamknięta, i piątkiem, kiedy wiele z nich zamyka się dość wcześnie. No i lepiej nie chodzić tam z samego rana, bo większość galerii otwiera się dopiero około południa, i nie za późno, bo niektóre zamykają już o czwartej. Należy się w tym celu także odpowiednio ubrać, najlepiej w coś w miarę obciachowego, jak na przykład solidny żakiet z kwiecistą spódnicą, którą od zawsze zamierzałaś wreszcie wyrzucić. Ale równie dobrze możesz się tu zjawić od stóp do głów w ciuchach od Scanlana i Theodora i też zostaniesz potraktowana Spojrzeniem. Spojrzeniem wyrażającym nieskończone znużenie, zapytującym niemo, po co taka niższa istota, taki podludź jak ty, czepia się życia, i powątpiewającym w to, czy w ogóle zasługujesz, by wstąpić do tego niepokalanego sanktuarium, a co gorsza jeszcze może zapytać o cokolwiek Nadistotę, która życie swe poświęca Sztuce i nie jest tu po to, by odpowiadać na Głupie Pytania. Galeriany to zdecydowanie Wyższy Gatunek Pomocnic Sklepowych. Szeregowie pomocnice są tu raczej po to, by je podziwiać (a nie po to, by służyć), lecz funkcje galerian znajdują się jeszcze stopień wyżej. Właściwie można zrozumieć ich frustrację. Niczym wykidajło w nocnym klubie (lecz zbrojne jedynie w ostre jak brzytwa zdolności osądzania i oceniania), nie mają możliwości powstrzymywania Hołoty i Osób Niepożądanych przed wtargnięciem do Świątyni Sztuki.

Galeriany mają zazwyczaj surowe gładkie fryzury, noszą się na czarno i używają dość szczególnego odcienia szminki tak czerwonej, że wyglądają jakby właśnie napiły się świeżej krwi. Są niepokalane, znudzone i całkowicie niezdolne do przejęcia się czymkolwiek. Ze swoją drobiazgową dbałością o szczegóły własnego wyglądu, w połączeniu z kompletnym brakiem osobowości, galeriany stanowią coś w

rodzaju krzyżówki znudzonego gronostaja z transwestytą. Galeriany, które bezbłędnie wyczuwały zapach biedy, zawsze były dla mnie skrajnie niemiłe dopóty, dopóki nie mówiłam im, gdzie pracuję. Wtedy nagle robiły zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i stawałam się dla nich niejako członkiem ich tajnego stowarzyszenia Ludzi Sztuki.

Podstawowe procedury przy ceremonii wystawy lub wernisażu są następujące:

- \* Wchodź i oceń gęstość tłumu, po czym przyjdź prosto do baru.
- \* Łap za szampitra, znajdź wolną przestrzeń i wdaj się w konwersację z jednym z członków stowarzyszenia Ar-terati, jak będą podążali w kierunku baru. Do Arterati należą marszandzi, dostawcy, kuratorzy, artyści, kolekcjonerzy, piszący o sztuce i wszelkiej maści ekscentrycy. Na takich imprezach Arterati - przybyli tu w pogoni za darmowymi drinkami (przeciętnie dziesięć drinków na łba) zwykle znacznie przewyższają liczebnie potencjalnych kupców i odpicowanych ważniaków.
- \* Nie marnuj czasu na utrzymywanie kontaktu wzrokowego z osobą z którą rozmawiasz. Stale obserwuj tłum w poszukiwaniu kogoś jeszcze bardziej interesującego/ważnego do porozmawiania. Osoba, z którą rozmawiasz, to zrozumie. Ci wszyscy ludzie także bezustannie błędzą wzrokiem gdzieś ponad twoim lewym ramieniem.
- \* Wytrzymaj mężnie, gdy typ z owłosionym nosem uwiesi się na tobie i zacznie głośno rozprawiać o sztuce (tak czy owak dostaniesz gęziej skórki). Znajdź jakąś wymówkę i szybko rejteruj.
- \* Wdajesz się w dyskusję z jakimś poważnym, statecznym osobnikiem. O dobry Boże, to artysta. Narastające znużenie i irytacja prowadzą do takiego spożycia alkoholu, jakiego nie doświadczyłaś od czasu, gdy w wieku trzynastu lat odkrywałaś beczkowe wino.
- \* Stajesz się powoli i łagodnie pijana, rozglądasz się za jakimś pożywnym żarełkiem, by odwlec moment kompletnego urznięcia.
- \* Zwycięsko wychodzisz ze starcia o ostatnią minipizzę z wylakierowanym na sztywno typem z Double Bay.

\* Próbujesz ratować Fran od rozmowy z artystą. Odkrywasz, że gość opowiada jej o malowidłach, które namalował na ścianach szpitala dziecięcego i że Fran wcale nie chce być ratowana

\* Zdajesz sobie sprawę, że spędziłaś tu już ponad godzinę i że zaczyna napływać tłum z konkurencyjnej imprezy. Czas spadać, jeśli masz dorwać jeszcze jakiś alkohol na innej imprezie.

\* Przypomnij sobie o sprawie sądowej wiszącej nad obscenicznymi malowidłami ściennymi ze szpitala dziecięcego, wracaj i siłą wywleczyć Fran.

\* Złap taksówkę na imprezę numer dwa i powtórz wszystko od początku.

Odwalając wszystkie punkty programu, raczej nie masz czasu przyjrzeć się eksponatom ani porozmawiać o nich. Ale prawdę mówiąc, jest to w złym guście. Zamiast tego, trochę popracuj. Jeśli koniecznie chcesz obejrzeć eksponaty, zawsze możesz tu przyjść naza jutrz, jak się wszystko przewali. Aby okazać właściwy respekt wobec sztuki na wieczornym przyjęciu z okazji otwarcia, wystarczy właściwie tylko nie wieszać torebki na obrazie i nie śmiać się z pełnymi ustami, opryskując buraczanym dipem najbliższe płótna. Chociaż właściwie obrazy wiszące na ścianach nie są specjalnym zagrożeniem. Natomiast prawdziwy koszmar to instalacje. Nie możesz się uważać za prawdziwego weterana takich imprez, jeśli nie zdarzyło ci się być w pomieszczeniu zapchanym ponad setką ludzi - jeszcze przed kolacją, ale już po paru drinkach - i próbować podziwiać jakiś elektrycznie podświetlony przewód i wachlarz ułożony z pomiętych stron gazet, podczas gdy monotony głos recytuje w kółko wyjątki z pamiętnika porzuconej nastoletniej matki. Ten akurat pokaz był tak stresogenny, że ululałam się prawie w trupa, całą noc spędziłam na dyskusji z pewnym artystą od eksperymentalnych widowisk i o mało nie zapisałam się na lekcje improwizacji ręcznie klaskanego jazzu.

Gdy dotarliśmy wreszcie z Fran do galerii, gdzie odbywała się impreza, z wprawą zahartowanych weteranów, bez zbędnych słów przepchałyśmy się ostro przez tłum, prując prosto do baru. Była to

jedna z bardziej tłocznych imprez, tak więc dla bezpieczeństwa zgarnełyśmy po dwa szampany każda i jakoś wywalczyłyśmy sobie drogę powrotną w kierunku małego skrawka lśniącej drewnianej podłogi, starając się ignorować koszmarnie abstrakcyjne malowidła, dosłownie wyjące do nas ze ścian, i znacznie bardziej koszmarny pisk i wrzask publiczności obecnej na otwarciu. Siorbiąc szampana i uśmiechając się fałszywie do chmary ledwo, ledwo nam znanych osób, prowadziłyśmy zarazem wspólną inspekcję pomieszczenia. Fran rozglądała się za swymi przyjaciółmi względnie kimkolwiek interesującym, by pogadać, ja zaś wypatrywałam potencjalnego zagrożenia ze strony pretenjonalnych gadułów i nudziarzy.

Po niedługim czasie mój radar był już bliski przekroczenia skali, Fran zaś była tak dziwnie osowiała, że wychyliłyśmy jeszcze kilka kieliszków szampana i następnie popełniłyśmy czyn nie do pomyślenia.

Zaczełyśmy rozmawiać o sztuce.

Po pół godzinie i jeszcze czterech szampanach zgubiłam gdzieś Fran i stojąc w zadumie przed wyjątkowo ohydną abstrakcją, zaczęłam przeprowadzać pewien interesujący filozoficzny eksperyment. Wpatrując się w obraz to mrużąc oczy, to zamykając je (co wyglądało, jakbym zasnęła przed obrazem na stojąco, i to w dodatku z kieliszkami szampana w obu rękach), próbowałam ustalić, czy obraz ten prezentuje się lepiej oglądany oczami, czy oczami duszy. Musiałam robić to przez około dziesięć minut, a w końcu znudzona, niespokojna i przede wszystkim oszołomiona, otworzyłam wreszcie oczy i ruszyłam w głąb pokoju zirytowana, wypatrując Fran.

Znalazłam ją w końcu koło baru, pogrążoną w rozmowie z dość sympatycznie wyglądającym facetem, schludnie odzianym, którego niestety nie mogłam zakwalifikować do żadnej wyraźnej kategorii, co źle wróżyło na samym początku. Olewając fakt, że wokół Fran i faceta czuło się wyraźnie barierę otaczającą wydzieloną strefę seksualnego napięcia, przepchałam się jakoś do nich, porywając po drodze jeszcze jeden kieliszek szampana.

- Dzięki Bogu, wreszcie cię znalazłam - powiedziałam udając, że nie zauważam wyrazu twarzy mówiącego jasno i wyraźnie „spadaj i to zaraz, jestem w połowie gry wstępnej”, i ciągnęłam wesolutko: - Tak się już nudziłam, że zaczęłam mrugać do obrazów i myślę, że galeriana była bliska aresztowania mnie za perwersyjne molestowanie dzieła sztuki. Wyjdziemy?

Fran posłała mi spojrzenie tak jadowite, że pomyślałam iż pewnie musiała zarazić się manierami od jakiejś galeriany.

- To moja przyjaciółka Isabelle - zwróciła się przeproszająco do pana Niedookreślonego.

Facet uśmiechnął się do mnie dość niepewnie, zważywszy że miał przed sobą osobę nie tylko ululaną, ale i wedle jej własnych słów - zboczoną.

- Miło mi pana poznać - powiedziałam, zapominając zapytać go o nazwisko i nawijałam dalej: - Oj Fran, patrz tam stoi Godfrey Nuda-Fartington. Słuchaj, może pożar-tujemy z tych dubeltowo nazwiskowych?

Fran spojrzała na mnie tak, jakby nie wiedziała, czy wybuchnąć sztucznym śmiechem, czy też zatkać mi usta roladą.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - powiedziała jakimś nienaturalnie wysokim głosem. - To ani mądre, ani zabawne wyśmiewać się z czyichś nazwisk.

Spojrzałam na nią, nie wierząc własnym oczom. - Cholerna hipokrytka! - wrzasnęłam.

- To ty wymyśliłaś Vanessę Rozbieralską, że już nie wspomnę o Deanie, pamiętasz Deanę, Królową Balu Seks-Zabawek? A co powiesz o...?

Fran czując, że jej szanse na upojny seks ze schludnie odzianym nieznajomym gwałtownie maleją, zadziałała błyskawicznie. Złapała mnie za ramię, rzuciła do Tego-jak-mu-tam - zaraz wracam - i wywlokła mnie z galerii, błyskawicznie złapała taksówkę i w ciągu kilku minut znalazłam się sama skulona na tylnym siedzeniu, wciąż ściskając swój kieliszek szampana.

- Gdzie teraz, skarbie? - zapytał taksówkarz. Pamiętałam, że to interesujący, choć być może asekurancki, wariant tradycyjnego - Dokąd pani sobie życzy?

- Na otwarcie wystawy - rzuciłam lekko urażona tym, że Fran potraktowała mnie, swoją serdeczną przyjaciółkę, tak brutalnie, bo tak się jej spieszyło, żeby porozpinać tego pozapinanego pod szyję faceta. W sumie jednak dobrze się stało. Wydostałam się stamtąd i byłam w drodze do domu, zanim jeszcze totalnie się urżnęłam.

- A co, coś z tej nowoczesnej sztuki? Ja tego po prostu nie trawię. Taki panie, Picasso, coś tam nabazgrze na serwecie, a oni sprzedają to za miliony dolarów. Moja córeczka ma ledwo sześć latek, a potrafi tak rysować...

Jęknęłam i usiadłam wygodniej, godząc się z nieuniknionym. Przynajmniej zostało mi trochę szampana.

RS



## Sztuka wymaga ofiar

Chyba nie ma nic obrzydliwszego niż kac po tanim szampanie z artystycznej imprezy. Następnego dnia w porze lunchu zarówno Fran jak i ja wciąż czułyśmy się bardzo słabo. Fran była w jeszcze bardziej opłakanym stanie niż ja, gdyż musiała odbierać telefony i odpowiadać na nie. Przez cały ranek wpatrywała się z lękiem w telefon, modląc się, by nie dzwonił zbyt głośno. Każdy dzwonek rozsadzał jej głowę. Za każdym razem podrywała się, jakby usiadła na jeżu i słabiutko jęczała w słuchawkę „Halo?”. Efekt był taki, że każdy rozmówca zaczynał mówić o oktawę głośniej, a Fran po każdym telefonie przez pięć minut masowała skronie i pojękiwała. - Dlaczego? Za co? - Potem brała się trochę w garść i znów zaczynała gapić się z przestraszeniem w oczach na telefon. W takim stanie' rzeczy nie byłam zaskoczona, gdy moja linia zabręczała i usłyszałam słaby, omdlały i kompletnie zdołowany głos, szepczący moje imię.

- Tak? - odszepnęłam.

- Ktoś do ciebie na jedyńce - powiedziała Fran grobowym głosem kogoś, kto lada chwila oczekuje ostatniej posługi.

- Oj, rozumiem, że nie spytałaś o nazwisko?

- Nie, nie spytałam - odpowiedziała Fran, wyraźnie uznając moje pytanie za niedopuszczalną impertynencję. - O mało mi przez niego bębenki nie popękały.

- No dobra. Przyjęłam. Pogadam z nim.

Zapadła taka cisza, że niemal słyszałam, jak Fran intensywnie myśli na drugim końcu przewodu. Nie mogłam podjąć anonsowanej rozmowy, póki ona się nie rozłączy.

- Chcesz mi coś powiedzieć Frannie? - spytałam zachęcająco, zastanawiając się, czy rozmówca jest jeszcze na linii, czy też zdesperowany już się rozłączył.

- On chyba prosił Edwarda - przyznała w końcu żałośnie.

- Frannie, to nieważne - odpowiedziałam dość rażno.

- Porozmawiam z gościem. Jedyńka, tak mówiłaś?

- Taa...

Rozłączyła się. Bez chwili wahania nacisnęłam guzik na dwójce i przedstawiłam się.

- EE? CO? - zagrzemiał głos w słuchawce.

O mało nie dostałam zawału. Wzięłam głęboki oddech i ostrożnie trzymając słuchawkę z dala od ucha, spróbowałam jeszcze raz

- Tu Isabelle. Czym mogę służyć?

- MOJE NAZWISKO BARROW. B-A-R-R-O-W - ryknął gość w słuchawkę. - MAM OBRAZ. CHCĘ, ŻEBY PANI PRZYSZŁA I OBEJRZAŁA GO.

Dopełniwszy wstępnych grzeczności, ryknął jeszcze

- DZIŚ PO POŁUDNIU MOŻE BYĆ. OKOŁO TRZECIEJ.

- Z przyjemnością przyjdę i obejrzę obraz - odpowiedziałam sucho i dostojnie, bo manieri tego gościa natychmiast uruchomiły moje najskrajniej snobistyczne zachowania. - Ale czy byłby pan uprzejmy podać mi nieco więcej szczegółów? - Na przykład, czy wie pan kto jest autorem?

- TEN TAKI SZURNIĘTY GOŚCIU. TAKI JEDEN CO MALOWAŁ GOŁE DZIWCZYNY.

No tak, to poważnie zawęży krąg autorów.

- Panie Barrow, czy mógłby mi pan opisać ten obraz?

- A PO KIEGO CZORTA MAM TO ROBIĆ, SKORO PANI PRZYJEDZIE I SAMA ZOBACZY? - zaszczekał zirytowany gość. Najwyraźniej właśnie wyrobił sobie kupiecką opinię o mojej zdolności do logicznego myślenia. Rzucił pospiesznie adres, który równie pospiesznie nagryzmoliłam na skrawku papieru i dowalił: - NO TO, O TRZECIEJ.

- Panie Barrow, chwileczkę. Pan chyba chciał się widzieć z Edwardem, moim szefem. On jest bardziej doświadczony ode mnie i...  
- rozpaczliwie szukałam wymówki, byle tylko uniknąć tego spotkania.

- W PORZAŚIU - ryknął pan Barrow. - TO NIECH ON BĘDZIE U MNIE TRZECIEJ.

- On w tej chwili ma ważne spotkanie, więc teraz nie mogę go powiadomić. Czy nie byłoby dobrze gdyby...

Nie sądziłam, by to było możliwe, lecz pan Barrow, najwyraźniej tracąc cierpliwość, podkreślił głos jeszcze bardziej. - DO DIABŁA, MŁODA DAMO, NIE MOGĘ GADAĆ Z TOBĄ CAŁY DZIEŃ. CO MA BYĆ ZROBIONE, TO MA BYĆ ZROBIONE. I UWĄŻAJ NA PSY! - dodał takim tonem, jakby właśnie sobie o czymś przypomniał.

- Co takiego? - spytałam kompletnie oszołomiona nagłą zmianą tematu. Z trudem zebrałam rozproszone myśli i oznajmiłam: - Nie ma sprawy. Lubię psy.

- DOSKONALE. NIE UFAJ LUDZIOM, KTÓRZY NIE DBAJĄ O PSY - zamruczał pan Barrow po raz pierwszy nieco ściszej głos, lecz prawie natychmiast powrócił do swego normalnego brzmienia i zaryczał: W PORZĄSIU. TO ZNACZY PANI PRZYJDZIE. PANI ROBI W SZTUCE, NO NIE? TO PEWNIENIE WIE PANI TO I OWO. TO WIDZIMY SIĘ O TRZECIEJ. PUNKTUALNIE.

I tu pan Barrow się rozłączył.

\* \* \*

Psy. Trzy wściekłe rotweilery, toczące pianę z pysków, którym z oczu wyczierała dzika żądza rozszarpania mi gardła albo czegoś innego.

- Śliczne pieski - wymamrotałam słabo. - Na miłość boską, naćpałyście się czy co? - Jeden z nich rzucił się na żelazną bramę, warcząc donośnie i prawie nadziejąc się na figurę orła zdobiacą odrzwia, jednocześnie cały czas wlepiając we mnie przekrwione ślepia.

Byłabym chyba zbyt powściągliwa, gdybym stwierdziła, że raczej nie miałam dobrych przeczuc co do tego spotkania. Wiadomo nie od dziś, że dom dokładnie pokazuje, jakie są gusty i skłonności jego właściciela. A tu, poza gorącym powitaniem zgotowanym mi przez te wściekłe bestie, zdążyłam zauważyć, że podwórze przed domem jest

całe wy-cementowane. Ani źdźbła trawy. Skrycie podejrzewałam, że pan Barrow spędza weekendy polewając wężem swe podwórze, a ja nie ufam ludziom polewających wężem cement. Poza tym jestem przekonana, że ludzie, którzy zdobiją swe bramy zdumiewająco szkaradnymi i bezsensownymi figurami heraldycznymi, mają w sobie zadatki na seryjnych morderców (o ile już nimi nie są).

Pokrzepiłam się nieco myślą, że jednak zostawiłam ten adres u Fran, tak więc, jeśli coś mi się stanie, policja będzie przynajmniej wiedziała, że kopać trzeba zacząć tam, gdzie leży świeża warstwa cementu. Nagle przypomniałam sobie, że Fran zazwyczaj gubi kartki z wypisanym hasłem dostępu do jej komputera średnio raz w tygodniu, i zaczęłam się czuć trochę mniej bezpiecznie.

Nagle nad ujadaniem całej sfory zapanował głos, który natychmiast rozpoznałam. Tyle tylko, że na żywo wydawał się dziesięć razy głośniejszy niż przez telefon. Psy skuliły się na ziemi, a ja zasłoniłam sobie uszy, gdy zgarbiony miły staruszek wyszedł z domu i ruszył do bramy wymachując laską. Głos niczym syrena okrętowa pozostawał w kompletnej dysproporcji do jego mizernej postury.

Pan Barrow doczłapał do bramy i przyjrzał mi się podejrzliwie. Psy zadowolily się głuchym warkotem.

- TO TY JESTEŚ TO DZIWCZĘ OD SZTUKI? - zawołał pan Barrow. Jego prawe oko zdradzało tendencje do uciekania na boki i fakt ten zdekoncentrował mnie na chwilę.

Potwierdziłam, że to ja.

- NO DOBRA, WCHODŹ - rzucił niecierpliwie, otwierając bramę i wskazując mi drogę - CHYBA MÓWIŁAŚ, ŻE NIE BOISZ SIĘ PSÓW? - warknął nagle wspinając się na palce i patrząc na mnie.

- Nie, nie boję się, odpowiedziałam najgrzeczniej jak umiałam, zgrzytając zębami.

Było to maciupcie, maciupenie kłamstewko. Psy wprawdzie porzuciły chyba na razie zamiar rozerwania mnie na strzepy, ale zaczęłam się nagle poważnie obawiać, czy mnie nie zgwałcą. Dość trudno mi było iść, jako że jeden z psów zaczął się wspinać na moją nogę, a

ten wyglądający na najmłodszego entuzjastycznie obwąchiwał mi kroczę. Trzeci zaś najwyraźniej postanowił dać smarkaczowi pogładową lekcję psiej etykiety i zaczął z kolei węszyć przy mojej pupie.

Perorując nadal z natężeniem głosu, którego mogłyby mu pozazdrościć wszystkie zespoły heavymetalowe, pan Barrow wszedł do domu. Dreptałam za nim, opędzając się od psów. Coraz bardziej upadałam na duchu. Nie chciałam wchodzić do tego straszliwego domu. Nie chciałam umierać, i to tak młodo - nie zdążyłam jeszcze zrobić tylu rzeczy, o jakich zawsze marzyłam: odbyć pieszej wyprawy dookoła Afryki, przeczytać *Ulissesa* i znaleźć taką pracę, w której mogłabym na co dzień nosić koronkowe topy do pępka, tak jak te dziewczyny w serialu *Czarodziejki*.

Wewnątrz domu było ciemno i ponuro. Unosił się też jakiś dziwny zapach, którego nawet nie próbowałam identyfikować (na wypadek gdyby wydało się, że to Na Wpół Zjedzone Zwłoki Listonosza). Pan Barrow wprowadził mnie

do pokoju, który jak przypuszczam był salonem, o ile mój wzrok, nieco już oswojony z panującym tu mrokiem, mógł to ocenić po bezkształtnych meblach i zatrzesieniu oprawnych fotografii na ścianach.

-NO I?

Podskoczyłam na dźwięk jego głosu i odwróciłam się, podążając wzrokiem za jego laską, wskazującą obraz wiszący nad kominkiem.

-NO I CO O TYM MYŚLISZ? - zagrzemiał pan Barrow, a kryształowe kieliszki w stojącej opodal serwantce o mało nie popękały pod naporem jego fal głosowych. Mój wzrok powędrował za końcem laski ku obrazowi. Podeszłam bliżej i nagle serce zabiło mi bardzo mocno.

To był obraz Bretta Whiteleya.

\* \* \*

Był nie tylko jak najbardziej prawdziwy i oryginalny, ale także niewiarygodnie piękny. Tak na oko reprezentował jeden z najbardziej

przeze mnie podziwianych okresów jego twórczości, wczesne lata sześćdziesiąte: spirale i zawijasy w różnych odcieniach rdzy, wspaniałe i wręcz płonące - nawet w tym fatalnym oświeceniu.

- PIĘĆDZIESIĄT DOLARÓW? CO TY NA TO?

- Tysiąc - wyjąkałam i przez chwilę przeżyłam prawdziwą satysfakcję na widok jego opadniętej szczęki.

- Jest pan zainteresowany sprzedażą? - Spytałam profesjonalnie i formalnie.

W jego oczach zamigotał chytry błysk.

- No, teraz to nie wiem. Gilbert go nie cierpi. Ale mam go od lat i brak by mi było gnoma.

Dobra, brak by mu było gnoma, ale na razie zdawało mi się, że straciłam wątek.

- Przepraszam, nie bardzo rozumiem. Gnoma?

- GNOMA, GNOMA - wrzasnął niecierpliwie, wymachując łaską.

- Jakiego gnoma? - spytałam, rozglądając się w panice za ogrodowym gnomem, ludzkim gnomem, jakimkolwiek gatunkiem gnoma, którego obecność zaświadczyłaby, że nie znalazłam się sam na sam ze świrem cierpiącym na halucynacje.

- NO, GNOMA NA OBRAZIE - zagrzemiał pan Barrow, patrząc na mnie z narastającym powątpiewaniem w moją wiarygodność jako eksperta od sztuki.

Zdjęłam obraz, oparłam go o krzesło, cofnęłam się nieco i uważnie przyjrzałam mu się znowu. Wzywając na pomoc całą swoją wiedzę z zakresu historii i teorii sztuki, najpierw przeanalizowałam płótno z formalistycznej perspektywy Greenberga; następnie zastosowałam semiotyczny punkt widzenia popierany przez Brysona, wreszcie użyłam niemodnej już gombrichiańskiej psychoanalitycznej teorii interpretacji. W ostatecznej desperacji odwołałam się w końcu do niezmiernie popularnej szkoły myślenia *Gdzie jest Wally*, ale nadal bez rezultatu. Żadnego gnoma.



Pan Barrow cały czas przyglądał mi się z pewnym zainteresowaniem.

- NIE WIDZISZ GO? - zaryczał pytająco. Potrząsnęłam głową, zastanawiając się, czy przypadkiem

nie dam mu pretekstu do poszczucia mnie psami.

- ON TRZYMA WIADRO - wrzasnął pan Barrow, jakby zakładał, że nie jestem w stanie rozpoznać gнома bez jego atrybutu. Podszedł bliżej i stanął obok mnie.

- O TU - zabuczał, po czym zamknął oczy i dodał - MUSISZ TO ZROBIĆ O TAK.

Rzuciłam mu powątpiewające spojrzenie i zaczęłam się cofać w kierunku drzwi.

- TO JEST JEDEN Z TAKICH OBRAZÓW DO OGLĄDANIA MAGICZNYM OKIEM - zatrafił. – PODEJDŹ TU I SRÓBUJ SAM. PATRZ Z BLISKA PRZEZ PARĘ MINUT I ZOBACZYSZ GNOMA Z WIADREM.

Spojrzałam na obraz, potem na pana Barrowa, potem znowu na obraz. Naprawdę bardzo chciałam zdobyć ten obraz, więc odkładając na bok godność i skrupuły, przyjęłam podobną co pan Barrow półprzymkniętą pozycję i przymknęłam powieki, intensywnie „wpatrując” się w płótno. I tak ramię w ramię tkwiliśmy ja i pan Barrow nieruchomo przed obrazem, przyglądając się mu spod półprzymkniętych powiek niczym para krótkowzrocznych i cierpiących na zatwardzenie obserwatorów ptaków. Pan Barrow wydawał się pogrążyć w transie, natomiast ja z niesmakiem rozmyślałam, dlaczego mój zawód zmusza do takich poniżeń. Gdybym występowała w cyrku czy trudniła się akwizycją, byłoby to zrozumiałe. Nie sposób zachować godność robiąc za kobietę z brodą czy usiłując przekonać do korzyści z domowego odsysania tłuszczu. Ale ja byłam przecież wykwalifikowaną specjalistką od sztuki. Miałam magisterium z historii sztuki. Nigdy nie przypuszczałam, że spotka mnie w życiu coś takiego. I nagle, przez króciutkie przerażające mgnienie oka pomyślałam, że właśnie zobaczyłam gнома. I że on mruga do mnie.

To był on. Błyskawicznie podniosłam się do pionu, ale o mało nie padłam, gdy za plecami usłyszałam czyjś rozbawiony głos. - Och, skarbie. Chyba nie wypatrywałaś tego gnoma?

Odwróciłam się, by przywitać nowo przybyłego, niewymownie szczęśliwa, że jednak nie jestem sama w tym zwariowanym domu z panem Barrowem i jego gnomem, a następnie o mało nie padłam ponownie.

- ON TAM JEST, MÓWIŁEM CI GILBERCIE - zahuczał pan Barrow kapryśnym tonem, najwyraźniej nie widząc nic niewłaściwego w tym, że Gilbert wita gości całkiem goły, tylko w skarpetkach.

- Wie pani, on jest całkiem stuknięty - powiedział Gilbert, uśmiechając się do mnie i wyciągając ku mnie rękę. Prawdę mówiąc, całkowicie się z nim zgadzałam, nawet zdając sobie sprawę z tego, że zaczynam wierzyć, iż ten starszy nagi pan w skarpetkach to głos rozsądku i mój sprzymierzeniec w tej diabolicznie niewiarygodnej sytuacji. Utrzymując jaki taki kontakt wzrokowy z Gilbertem, potrząsnęłam energicznie jego ręką (a przynajmniej miałam nadzieję, że to ręką).

- To znaczy, pan też nie widzi tu gnoma? - spytałam uprzejmie Gilberta, jako że towarzyskim formalnościami stało się zadość i mogliśmy wrócić do interesów, nieważne goli czy ubrani.

- Oczywiście, że nie. To tylko jedna z fantazji George'a. Dobry Boże, modliłam się w duchu. Błagam, nie pozwól

mu wspomnieć jeszcze choć raz słowa fantazje. Realny świat Gilberta i George'a był dostatecznie dziwny. Pod żadnym pozorem nie chciałam zagłębiać się dodatkowo w podświadomość George'a.

- Lubi pan ten obraz? - spytałam Gilberta. Gilbertem wstrząsnął nagły dreszcz, a ja wysłałam kolejne

rozpaczliwe SOS w niebiosy, by powstrzymały Gilberta przed jakimikolwiek ruchami wprawiającymi w ruch istotne elementy jego anatomii.

Rzuciłam ukradkowe spojrzenie na George'a i przysięgam, że dostrzegłam, jak na krótką chwilę jego wargi wykrzywiają się w coś na

kształt uśmiešku. Natychmiast jednak przegnał go, wracając do swego zwykłego wyrazu twarzy, mieszaniny prostactwa i chytrości.

- GÓWNO PRAWDA! - ryknął. - TY GILBERCIE PO PROSTU NIE POTRAFISZ DOCENIĆ PRAWDZIWEJ SZTUKI. GDYBY TO OD CIEBIE ZALEŻAŁO, WSZĘDZIE WISIAŁYBY TE PIEPRZONE FOTOGRAFIE.

Przemknęło mi przez głowę, że te pieprzone fotografie już wiszą wszędzie, ale na szczęście w porę ugryzłam się w język, Gilbert zaś wyjaśnił:

- Jestem fotografikiem.

- Ach tak? - zakwiliłam słabiutko, po czym jako konieczne uzupełnienie dodałam jeszcze: - Ojej.

Szczęśliwie moja zwięzła odpowiedź pozostała niezauważona, ponieważ patrzyłam we właściwym kierunku, choć wynikało to bardziej z prób ucieczki wzrokiem od stojącego przede mną nudysty niż z rzeczywistego zainteresowania hobby Gilberta. Wzrok Gilberta podążył za moim ku oprawnym fotografiom na ścianie i oznajmił dumnie. - To jedno z moich dzieł.

Dzięki Bogu, miałam teraz na czym się skupić. Obeszłam ostrożnie Gilberta i podeszłam bliżej do ściany, by przyjrzeć się fotografii. Wyraźnie było to zdjęcie jednego z rotwailerów... W blond peruce??...

- TO ROSZPONEK - zagrzmiał George, wskazując laską na bydlę, w którym rozpoznałam tego obwąchiwacza krocza.

Spojrzałam na psa, potem zaś, skamieniała ze zgrozy, z powrotem na zdjęcie. Czy to? - czy to możliwe że?., czy ten pies na zdjęciu był uszminkowany??

- No, i co o tym myślisz - zabrzmiał nagle w moim uchu głos Gilberta. Mało brakowało, bym wrzasnęła na całe gardło.

Odwróciłam się, potoczyłam wzrokiem po pokoju, próbując spokojnie i głęboko oddychać. Kurczę, przecież gdziekolwiek by się obrócić, wzrok natyka się na coś, łagodnie mówiąc osobliwego: wystawione na pokaz genitalia Gilberta, zdjęcie uszminkowanego psa i ze-

zowate oko George'a latające na wszystkie strony (i sam George, na chybił trafił szturchający laską wszystko dookoła). Czułam się dokładnie tak, jakby pozytywnie odpowiedziała na ogłoszenie w kolumnie „Osobiste” w typie mniej więcej takim: „Szurnięta para nudystów w podeszłym wieku poszukuje młodej kobiety do całodziennej rozrywki. Pożądane umiejętności w zakresie psiego makijażu i dostrzegania gnomów. Tylko poważne oferty”.

Nagle mój wzrok padł na obraz. Ponownie wzięłam głęboki wdech. W porządku, zapewniłam go milcząco. Uratuję cię. Podjęłam twarde postanowienie, że nie wyjdę stąd bez obrazu. Nie chodziło tylko o to, że to wspaniałe dzieło jest własnością pary świrów, lecz też o to, że para świrów, z których jeden nie cierpi tego pięknego płótna, a drugi ceni je tylko ze względu na tego nieistniejącego gnoma, po prostu, do cholery, nie zasługuje na to, by je mieć.

W nagłym przebłysku natchnienia, zwróciłam się z uśmiechem do Gilberta

- To bardzo interesujące zdjęcie. Nigdy nie widziałam przedtem...  
- chwila wahania, potem zimna koncentracja (obraz! obraz!)... tak wspaniałego portretu psa.

- Wystroiłem go tak jak jego imienniczkę, Roszponkę  
- wyjaśnił Gilbert, wyraźnie przejęty tym, że ktoś omawia z nim jego dzieło. To dlatego nosi blond perukę.

Pysznie. Poczułam się znacznie lepiej, wiedząc, że jest racjonalny powód, dla którego ubrano psa w blond perukę. Teraz pozostaje tylko wyjaśnić problem szminki i ustalić, dlaczego Gilbert nie odczuwa potrzeby ubrania się, gdy wychodzi przywitać gości. Wtedy wszystkie części układanki trafią na swoje miejsce, a wszystkie splątane nici zostaną rozplątane niczym w ostatnim rozdziale kryminału Agaty Christie, gdzie Herkules Poirot wyjaśnia wszystko zebrany w salonie niewinnym i podejrzanym.

Gilbert wyraźnie zmierzał powiedzieć coś jeszcze, ale wskoczyłam mu w słowo

- Ten obraz jest cudowny - powiedziałam absolutnie szczerze. - Bylibyśmy szczęśliwi wystawiając go na naszej następnej aukcji. Jest pan zainteresowany sprzedażą?

- Proszę cię, George, uwolnijmy się wreszcie od tego

- powiedział Gilbert łagodnie. - Przecież wiesz, jak bardzo go nie cierpię, a pieniądze się nam przydadzą.

Poczułam, że zdecydowanie zacznym lubić Gilberta, nawet jeśli ma lekkiego świra... O Boże. Nie patrzeć. Nie patrzeć.

- PEWNIEM, ŻE SIĘ PRZYDADZĄ - warknął niechętnie George. Rzucił mi prawie życzliwe spojrzenie i dodał: - NO I ONA PRZYNAJMNIEJ STARAŁA SIĘ ZOBACZYĆ GNOMA. NIE TAK JAK TAMTEN NADETY GNOJEK. - Zachichotał jakby przypomniał sobie coś bardzo przyjemnego. - POSZCZUŁEM GO PSAMI. TO POWINNO GO NAUCZYĆ.

- Dobra, dobra, rzucił pośpiesznie Gilbert. - Może usiądziemy i porozmawiamy? - O tak, uradowałam się w duchu. Usiądźmy i starannie, i mocno skrzyżujmy nogi. A jeśli to psisko obwącha krocze Gilberta jeszcze raz, to chyba wyskoczę przez okno...

George udowodnił, że jest twardym, kutym na cztery nogi, cwaniakiem. Całe, i to wyczerpujące, czterdzieści minut spędziłam na wyjaśnianiu mu naszych zasad i warunków kupna-sprzedaży. Po uzgodnieniu dodatkowej klauzuli, w której przyrzekłam ochrzcić swe pierwsze dziecko Rosz-ponką/Roszponkiem, w końcu podpisał dokument, a ja z uczuciem bezmiernej ulgi starannie zapakowałam obraz i pożegnałam się.

, Będąc już przy drzwiach, z obrazem pod pachą, odwróciłam się, by po raz ostatni spojrzeć na tę osobliwą parę. Stali tam, ramię w ramię, plecami do mnie, patrząc na puste miejsce nad kominkiem i nie mogłam się powstrzymać od refleksji że Gilbert ma.- jak na swój wiek wcale ładny, jędrny tyłek.

- Wiesz - usłyszałam, jak Gilbert mówi do George'a pocieszająco - za tę forszę za obraz możemy kupić prawdziwego gnoma i postawić go tu nad kominkiem.

- CO, MYŚLISZ O TAKIM OGRODOWYM GNOMIE?
- Nie, mam na myśli prawdziwego gnoma. Uciekłam.

RS



## 8.

### Wkracza Ślizeł, oślizła oboistka

Minęło prawie dwa tygodnie od mojej ostatniej rozmowy z Charliem i zaczęłam z wolna wychodzić z siebie. Klnąc się w żywy kamień za głupotę, słabość charakteru i niezdrowe uzależnienie, podniosłam w końcu słuchawkę i wystukałam jego numer, starając się jakoś opamnować bijące jak oszalałe serce. Gdy usłyszałam sygnał, pomyślałam sobie, jak szybko przeszliśmy od stadium kochającej się pary do tej żalosalnej sytuacji, gdy czuję się, jakbym dzwoniła do kompletnie obcego faceta, a jednocześnie ten obcy facet ma moc wyrywania mi serca z piersi na żywca, niczym w azteckim rytuale.

Nagle usłyszałam jego głos i konwencjonalne „Halo”. Miał głos szczęśliwego człowieka. Przez moment nie mogłam wydobyć głosu.

- Charlie, to ja.

Cisza w słuchawce. Kiedy znowu się odezwał, serce we mnie zamarło, gdyż zdałam sobie sprawę, że to już nie jest głos szczęśliwego człowieka...

- Hej, Izzy. Przepraszam, miałem zadzwonić... - jego głos zamarł nagle. Oboje wiedzieliśmy, że jeśli któreś z nas naprawdę chciałoby zadzwonić, to by, do cholery, zadzwoniło. Ja zadzwoniłam.

Znowu ta okropna cisza.

Wiedziałam. Czulałam to przez skórę, wiedziałam właściwie już od chwili, gdy odebrał telefon. Zdecydowałam się chwycić byka za rogi.

- Spotykasz się z kimś?

- Tak - odpowiedział najsmutniejszym głosem, jaki zdarzyło mi się słyszeć.

Nagle poczułam że pierś przygniata mi jakiś ciężki głaz, a oddychanie sprawia ból.

- Z kim? ... - mój głos brzmiał niesamowicie spokojnie. Dziwne, bo w środku cała się gotowałam i skowyczałam na przemian.

- To nieważne...

- Kim ona jest?

- Nie znasz jej. Jest muzyczką.

Taa. Znaczący się jest utalentowana, wrażliwa, subtelna i co tam jeszcze. Suka.

Znowu cisza. Nienawidziłam jego. Nienawidziłam jej. Na pewno jest nudna i brzydka, i zupełnie nie potrafi się wygłupiać i go rozśmieszać, tak jak ja to potrafiłam. To zwykła odbijaczka. Zwykle zero. Nikt.

Ale teraz była z nim.

Cisza przeciągała się. Mimo że serce rwało mi się na strzępy, byłam na tyle przytomna, by wychwycić w słuchawce jakiś dziwny dźwięk.

- Co to za hałas, na litość boską?

Gdy Charlie wreszcie wydusił z siebie odpowiedź, robił wrażenie bardzo zmieszanego.

- To obój.

- Obój? Od kiedy słuchasz takiej muzyki? - I nagle zrozumiałam

- Czy to ona gra na tym oboju?

- Och, jest naprawdę dobra. - Kurczę, nagle stał się znawcą gry na oboju. O, dupa blada.

- Mieszkacie razem?

- No nie, oczywiście, że nie. Jeszcze trochę na to za wcześnie.

Ale nie chcę cię okłamywać. Pewnie to niebawem nastąpi.

Okłam mnie, okłam. Proszę cię, skłam.

- To co, po prostu spakuje torbę ze zmianą ubrania, szczoteczką do zębów i obojem?

Charlie pominął to retoryczne pytanie milczeniem. A ja nagle poczułam osobliwą fascynację obojem. Skupiając się na oboju, przestałam na chwilę myśleć o straszliwej rzeczywistości: Charlie ma nową dziewczynę.

- To znaczy jest oboistką?  
- Co?  
- No, jak się nazywa ktoś, kto gra na oboju?  
- A skąd u licha mam to wiedzieć? Gracz-na-oboju?  
- Nie, to nie brzmi dobrze. - W głowie kotłowała mi się jedna myśl: on wcale chyba tak o nią nie dba, skoro ma kłopoty z obojową terminologią.

- A jak na imię tej twojej oboistce? - Mogę teraz trochę podręczyć samą siebie, czemu nie. Akurat zabrakło wykałaczek, więc nie mam nic do wbijania pod paznokcie...

Charlie westchnął. - Iz, to nie ma nic ...

- Ani słowa. Nie waż się mówić, że to nie ma nic wspólnego ze mną. No to, jak jej na imię?

Ma na imię Liesel.

Liesel. Lizel. Pizel. Fizel. Ślizel

Znowu cisza.

- Iz, jesteś tam?

Och Charlie, zamknij się. Właśnie wyszukuję rymy. Jeśli znaję ich dostatecznie dużo, ty się w niej nie zakochasz. Nadal będziesz zakochany we mnie. Jeszcze jeden....

-Liesel-diesel! - Ryknęłam triumfalnie.

Uups. Powiedziałam to na głos. Znowu cisza. Zabawne, że dopiero teraz pojęłam, jak cisza może być wroga. Czyżby Charlie się obraził? W końcu diesel to nic złego. Jakby oboistka miała na imię Donna-Maria, to dopiero byłby jarmark rymów.

Zdecydowałam, że zanim się rozłączę, wbiję sobie jeszcze jeden sztylet w serce.

- Kochasz ją?

- Nie, Izzy, nie kocham jej - usłyszałam (dzięki Ci za wszystko, dzięki za wszystko, o Boże, obiecuję, że się poprawię, a w przyszły weekend zgłoszę się do jakiegoś wolontariatu).

Cienkim głosem i nienawidząc siebie, zdecydowałam pociągnąć sprawę dalej:

- Nadal mnie kochasz?

Charlie znowu westchnął. - Wciąż cię kocham, Iz, ale nie sądzę, bym był w tobie nadal zakochany. Myślę, że w ogóle nie mogę się teraz w nikim zakochać - rozwinął twórczo temat (ten kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera, ty świński męski szowinisto!).

Rozłączyliśmy się wkrótce potem, jako że już naprawdę nie mieliśmy o czym rozmawiać. Zwalczyłam jakoś w sobie niepohamowaną, choć wypraną z wszelkiej godności, chęć spywania czy ona jest ładniejsza /bystrzejsza/ zabawniejsza ode mnie, zarazem zdając sobie sprawę, że każda wiadomość na jej temat, jaką uda mi się zdobyć, posłuży mi potem wyłącznie do dalszego samoudręczenia.

Siedziałam w gorącej kąpieli i czułam, że narasta we mnie złość. No dobrze, zdarzyła mi się przygoda jednej nocy. Cóż to jest w zestawieniu z pakowaniem się w regularny związek ledwo pięć tygodni po zerwaniu poprzedniego? To podłe i odrażające. Jakby wyglądała na przykład pięcioletniowa żałoba? Co, najpierw krokodyle łzy, potem grudka ziemi na trumnę, a potem szast-prast i już jesteśmy gotowi do wielkiej miłości z oboistką Ślizeł. Nieco podniesiona na duchu szybkim znalezieniem dostatecznie poniżającego rymu do imienia nowej flamy Charliego, spędziłam kilka przyjemnych chwil, wyobrażając ją sobie jako tę Liesel z *Dźwięków muzyki*. Tyle że w mojej wersji to ja byłam zakonnicą, która z radością patrzyła jak nazista Rolf musi zastrzelić Ślizeł w tej scenie na klasztorным cmentarzu, by zapobiec ucieczce rodziny von Trappów. Właśnie Rolf starannie celował prosto w serce Ślizeł, aż podniecona, odsunęłam nieco swój zakonny kwef dla lepszego widoku, gdy nagle mój sen na jawie runął. Oto niewiedomo skąd wyskoczył Charlie, o Boże, jaki przystojny i jaki bohaterski, odepchnął mnie i rzucił się ratować Ślizeł. Porwał ją w ramiona i uniósł i pewnie, cholera, przez resztę życia jedno drugiemu będzie śpiewać piosenki o miłości, wskakując na ławki czy biegając po łące, a ja dokonam żywota jako kolaborująca z nazistami zakonnicą.

Serce ścisnął mi nagle lodowaty strach. Dygocąc, odkręciłam gorącą wodę i czekałam cała w dreszczach, aż pozbędę się gęsiej skórki, która nagle pokryła mi całe ciało. Co będzie, jeśli odrzuciłam moją jedyną szansę na prawdziwe szczęście z najwspanialszym chłopakiem na świecie, chłopakiem, który mnie kochał i którego ja kochałam bardziej niż cokolwiek? Czując, że gorąca woda powoli mnie rozgrzewa, zdałam sobie sprawę, że podczas gdy rozkwita romans Charliego i Ślizel, ja siedzę opuszczona i porzucona w wannie, ze straszliwą perspektywą czekającej mnie przyszłości.

\* \* \*

Jakby moje życie nie było już dostatecznie spaprane, obudziwszy się następnego poranka, zdałam sobie sprawę, że weszłam w okres napięcia przedmiesiączkowego. Przez noc wczorajszy gniew i szok zmieniły się w tępe przygnębienie, zadzwoniłam więc do pracy, że jestem chora i spokojnie zanurzyłam się w bezmiarze desperacji, nieszczęścia i beznadziei. Parę godzin później w końcu wylazłam z betów tylko po to, by uwalić się na kanapie, rozmyślając cały czas, jaka brzydka, beznadziejna i bezmyślna ze mnie baba. Z tego wszystkiego zaczęłam przeglądać wszystkich innych odpowiednich dla mnie słów na „b”: blufa, biurwa, bździągwa, Beczuana. Załkałam. Beczuana, oto moje miejsce na ziemi. W Beczuanie na pewno znajdą się jacyś sympatyczni hodowcy bawołów, którzy pokochają mnie dla mnie samej, nie oglądając się na mój wygląd, na to, czy potrafię być wierna, i na moje umiejętności w warzeniu piwa z orzechów kokosowych. Włączyłam telewizor i właśnie zwinęłam się wygodnie na kanapie, by obejrzeć popołudniowy film, gdy nagle zadzwonił telefon. Cate. Westchnęła ciężko, słysząc moje rozelkane „halo”.

- Co ci jest? Dzwoniłam do ciebie do pracy i powiedzieli mi, że jesteś chora.

- Mam cholerne skurcze - skłamałam.

Na krótko zapadła cisza. Bez powodzenia próbowałam nacisnąć na pilocie odpowiedni guzik, by ściszyć telewizor.

- Oglądasz *E.T.*? - spytała Cate.

- Nie - zaprzeczyłam nieprzekonująco.

- Kłamczucha. Dobrze wiem, że w okresie przedmiesiączkowym zawsze robisz się płacziwa, użalasz się nad sobą i oglądasz durne filmy dla dzieci. Zeszłego miesiąca ryczałaś nad *Uwolnić orkę 2*, a teraz wyraźnie słyszę *E.T.* w tle.

- Nie jestem w okresie przedmiesiączkowym i nie oglądam *E.T.* - wrzasnęłam.

Znowu zapadła cisza, w której wyraźnie dało się słyszeć żalosne, straszliwie pozaziemskie beczenie Elliota. Zalałam się łzami.

- Belle, weź się w garść.

- Ale (chlip), on (chlip) zamarzaaaa... - zawodziłam.

- No, nie mogę tak z tobą rozmawiać. Jesteś beznadziejna. Zadzwoń jutro.

- Cate, Charlie ma nową dziewczynę - załkałam.

- Och, skarbie - westchnęła Cate. Następnie - z tą niezwykłą wewnętrzną mądrością, którą posiadają tylko najlepsze przyjaciółki, przez następne dwadzieścia minut pocieszała mnie, jak mogła, mówiąc, jaką jestem wspaniałą, cudowną osobą i że jako taka nie potrzebuję wcale tego debilnego kretyna Charliego, który nie wie, co jest dla niego najlepsze.

Tu przerwałam jej, by spytać nieco zmieszana:

- Cate, myślałam, że ty lubisz Charliego?

Cate natychmiast dała całą wstecz, widząc, że u mnie jeszcze za wcześnie na etap czystej, szczerzej nienawiści.

- No, lubię. Oczywiście, że lubię. Ale też nie sądzę, że to jedyny facet... I nie martw się tą Ślizel. On po prostu czuł się zraniony i dał się złapać.

- Powiedział mi, że jej nie kocha - pociągnęłam nosem.

- No to świetnie.

- Powiedział też, że mnie nie kocha.



- A, to gorzej.

- Tak właściwie to powiedział, że mnie kocha, tylko że nie jest we mnie zakochany. Naprawdę chciałabym, by mi ktoś wyjaśnił, jak facet tak totalnie tępy, do którego nie dociera, że dla jego dziewczyny może to być takie przykre, jeśli nie dzwoni do niej tygodniami, nagle potrafi tak subtelnie rozróżniać kochanie od bycia zakochanym.

- Wiem, wiem, skarbie, to nie w porządku. Tyle czasu tracimy żeby ich wychować, a tu nagle po zerwaniu przeskakują od razu co najmniej ze trzy poziomy ewolucji, a kolejna dziewczyna, która na takiego trafi, myśli, biedactwo, że on jest taki dojrzały i emocjonalnie rozwinięty z natury. Skarbie, postaraj się o tym nie myśleć. A jeśli już musisz, to tylko postaraj się oderwać od negatywnego myślenia. Na moim kursie medytacji powiedziano nam, żeby dać się nieść fali, żyć chwilą, nie wyprzedzać wypadków i skupić się na dniu dzisiejszym.

- Nie jestem zbyt dobra w medytacji - powiedziałam z powątpiewaniem. - Zawsze z jakiegoś powodu robię się wtedy strasznie głodna.

- No dobrze, zrób tak. Ilekroć złapiesz się na tym, że myślisz o Charliem albo wpadasz w dołek, spróbuj myśleć wtedy o czymś pozytywnym. To może głupio brzmi, ale wierz mi, to działa.

Cała we łzach zaczęłam dziękować Cate i mówić, jak bardzo ją kocham, na co ona rewanżowała się stwierdzeniem, że ona kocha mnie, że powinnam próbować się pozbierać i że na pewno mi się uda. Wreszcie rozłączyła się wymuszając na mnie uprzednio obietnicę, że wyłączę telewizor i przestanę ronić łzy na *E.T.* Naprawdę próbowałam to zrobić, skończyło się jednak na tym, że obejrzałam cały film do końca mając oczy na mokrym miejscu, zwłaszcza wtedy gdy *E.T.* dotknął swego serca tym swoim świecącym palcem, a potem Elliot wskazał na swoje serce i miękko powiedział „uch”. O rany, jakie to było prawdziwe. Moje serce wtedy też krzyknęło „uch”. Jakoś trudno pojąć i opisać tragedię zwaną życiem. Tylko Steven Spielberg i ten mądry kosmita to rozumieli. Gdy film się wreszcie skończył, byłam tak wyżęta emocjonalnie, że nawet nie mogłam porządnie sobie po-

płakać. Cały czas pociągając nosem zdecydowałam się na powrót do łóżka. Wstałam z kanapy, okręciłam się kocem i właśnie wtedy do mieszkania wpadła Hattie. Widząc, jak wlokę się do sypialni, z jedną ręką przyciśniętą do serca, mamrocząc non-stop „uch”, jakby to było jakieś zaklęcie zdolne zwrócić mi Charliego, Hattie przyjrzała mi się podejrzliwie. Lecz w swej depresji naprawdę nie dbałam ani trochę, co ona sobie o mnie pomyśli.

- Uch - Belle? - Spytała ostrożnie.

- Uch - odpowiedziałam mechanicznie.

- Dobrze się czujesz?

- Świetnie. - Zdusiłam szloch, wspomniawszy nagle, że tego właśnie słowa użyliśmy, Charlie i ja, by przekonać się nawzajem, że wszystko się ułoży, kiedy powiedział mi, że przenosi się do Adelaide. Cholera, gdziekolwiek się obrócę, wszędzie wspomnienia o Charliem.

- Belle, wiem, że jesteś rozkojarzona i zdołowana po tym zerwaniu z Charliem (och Hattie, po prostu mnie zabij) - ale dlaczego nie wyjdiesz z domu choć na trochę? Idę teraz trochę pobiegać. Chodź ze mną. Na pewno lepiej się poczujesz.

Naprawdę, ogromnie lubiłam Hattie i dobrze się nam razem mieszkalo, ale jej wiara w to, że ćwiczenia fizyczne stanowią lek na wszystko, zaczęła mnie już trochę wkurzać. Była taką aerobiczną wersją wędrownego handlarza sprzedającego cuchnący balsam, który miał być lekarstwem na wszystko (złamane serce? dziesięciokilometrowa przebieżka! Tendencje samobójcze: najlepiej spływ górską rzeką!). Trąd: trzy podwójne aksle na godzinę albo godzina kręcenia ósemek).

- Z pewnością masz rację, Hattie - powiedziałam grobowym głosem. - Ale ja raczej wolę wrócić do łóżka i zjeść trochę czekolady. - Chciałam jej jakoś wytłumaczyć, że moje łóżko i czekolada kochają mnie naprawdę, i to w sposób, w jaki żaden chłopak nigdy nie potrafił, lecz wyraz jej twarzy ostrzegł mnie, że nie okaże zrozumienia dla takiego programu wieczoru.

- No dobra, nie chcesz, to nie - powiedziała z powątpiewaniem. - Ale gdybyś zmieniła zdanie albo chciała spotkać się ze mną później,

to dzwoń na komórkę. Jutro jeżdżę konno w Centennial Park razem z kilkorgiem przyjaciół i będzie nam miło, jeśli się przyłączysz.

Dolna warga zaczęła mi się zdradziecko trząść. Hattie prawidłowo odczytała sygnał i wycofała się w pośpiechu. Charlie i ja urządziliśmy sobie kiedyś piknik w Centennial Park. Pięknie wyglądalibyśmy kłusując strzemię w strzemię. I Charlie też ma komórkę. Czy naprawdę wszystko musi mi o nim przypominać?

RS

## 9.

### **Na Boże Narodzenie chcę dostać wrotki!**

Na ogół byłam pojętną uczennicą, więc etap nienawiści osiągnęłam już następnego dnia. Całą sobotę spędziłam profilaktycznie, terapeutycznie w pościeli. Przez całe trzy godziny z samego rana rozmyślałam, co też powiem Charliemu do słuchu, gdy wreszcie zadzwoni. Moje odzywki, cyzelowane i dopieszczane, stawały się coraz bardziej błyskotliwe, ironiczne, sarkastyczne i bezwzględne. Po południu zaś przez cztery godziny płodziłam poważny, szlachetnie powściągliwy i pełen szczerego żalu list do Charliego, który miał mu uświadomić, że byłam jedyną osobą, która go rozumiała, i doprowadzić do tego, że gdy następnym razem zabierze Ślizel na przejażdżkę samolotem, dyskretnie przycisnie w odpowiednim momencie guzik katapultujący siedzenie pasażera i pośle ją na gwałtowne spotkanie z ziemią, gdzie nastąpi mile brzmiące „plask” i powstanie interesująca plama na polu lucerny. Ale z kolei sama myśl o ich obojgu pod chmurami sprawiła, że mój skrajnie nieposłuszny umysł zaczął budować straszliwe obrazy, jak Charlie i Ślizel uprawiają w samolocie wyszukany i akrobatyczny seks, poprzedzony wyrafinowaną grą wstępną pełną aluzji do kokpitów, dżojstików i wszelkich innych urządzeń nasuwających odpowiednie skojarzenia (ciągi przednie, suwy tylne, śruby...). Usiłowałam przywołać w pamięci nasze erotyczne rozmówki i nie mogłam przypomnieć sobie niczego specjalnego poza banalnymi szeptankami i nieodłącznym tekstem „zmęczony/a?”, beznadziejnie często skutkujący potwierdzeniem... Postanowiłam, że gdy Charlie i ja znów się zejdziemy, trzeba będzie dla urozmaicenia naszego życia erotycznego jakoś wykorzystać postać stewardessy Annabelle (zrodzonej z zawo-

dowego roztargnienia doktora Allena), po czym poprawiłam poduszki i zaczęłam pisać zupełnie nowy list.

*Najdroższy Charlie,*

*hej, jak się miewasz? Ja czuję się dobrze i już wyszłam ze szpitala. Nie mogłeś wiedzieć o mojej operacji, bo nigdy nie zadzwoniłeś, by sprawdzić, jak się miewam. Nie zaczynaj więc martwić się o mnie teraz! To był całkiem drobny zabieg, a mój powrót do zdrowia znakomicie przyspiesza świadomość, że mały Timmy będzie żył i niedługo będzie obchodził swe ósme urodziny dzięki najwspanialszemu z prezentów - (prawie) nowej nerce!*

*Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko gra i że dobrze się bawisz. Bardzo, bardzo, bardzo, bardzo się cieszę, że znalazłeś sobie kogoś, możemy teraz zapomnieć o starych urazach i znów zostać przyjaciółmi.*

*U mnie wszystko dobrze, dużo bywam i świetnie się bawię. Myślę o podjęciu lekcji gry na pianinie; tak wspaniale grałam, kiedy miałam 10 lat. Jak mówiłam, dużo teraz bywam, a ostatnio zaprosił mnie na imprezę pewien doktor, który właśnie wrócił z Indonezji, gdzie nie mógł się powstrzymać od łez, gdy przyjmował poród w pewnej wiosce...*

Przerwałam, by pomyśleć trochę nad ostatnim akapitem. Byłam pewna, że Frań nie będzie zbyt chętna do wypożyczenia mi swego doktora Jacka w szlachetnym celu odzyskania jakże mi potrzebnego szacunku dla samej siebie. Hm, może lepiej by wyglądało, gdyby w liście zrobić z doktora Jacka neurochirurga zamiast tego trywialnego akuszerza. Wprawdzie odbieranie porodów to zajęcie bardzo praktyczne i szlachetne, ale co tu trzeba umieć? Ciągłe się widzi w telewizji historie o kobietach rodzących w samochodach, które szczęśliwie wydały na świat swe pociechy przy pomocy jedynie usmarkanego piętna-

stolatka ze stacji benzynowej, bezustannie wycierającego nos rękawem.

Biorąc to wszystko pod uwagę, list właściwie nie miał sensu. Jeśli dopiero co opuściłam szpital po bezinteresownym ofiarowaniu nerki cierpiącemu dziecku, to jak mogłam jednocześnie dużo bywać, no i gdzie miałabym poznać doktora Jacka? Właściwie to mógłby on być chirurgiem transplantującym moją nerkę. Ale nie, to byłoby niesmaczne. Istnieją pewne ogólnie przyjęte normy co do czasu wymaganego dla pewnego stopnia intymności: co innego seks już na pierwszej randce, a co innego randka z kimś, kto nie tak dawno gmerał w tobie (co prawda w gumowych rękawiczkach), podczas gdy ty leżałaś nieprzytomna. Zamiast wzbudzić w Charlim dziką zazdrość o moje fantastyczne nowo nawiązane kontakty, wzbudzę w nim raczej podejrzenie, że wstąpiłam do jakiegoś seksklubu dla syd-nejskich chirurgów.

Hm, może ten list nie był najlepszym pomysłem.

\* \* \*

Późnym popołudniem nagły dzwonek telefonu zmusił mnie do zwleczenia się z łóżka. To byli Stella i Tim, moi mieszkający drzwi w drzwi sąsiedzi z Balmain. Zapraszali mnie na spotkanie w lokalnym pubie dziś wieczorem. Po pierwszym odruchu, by odmówić, nagle z wybuchem radosnego entuzjazmu zgodziłam się. Po prostu zdychałam z tęsknoty i za porządnym drinkiem, i za jakąś kompanią. Jeśli spędzę jeszcze godzinę na udręczaniu się rozmyślaniami o Charliem, Ślizel i Sebastianie, to skończę w wariatkowie.

Możliwe, że w przypiływie tego entuzjazmu nieco przesadziłam, malując się ciut za mocno i nakładając naszywany cekinami top bez ramiączek, też ciut za wytworny na dzielnicowy pub, ale miałam to gdzieś. Chciałam czuć się piękna i pożądana, miałam już wyżej uszu robienia za okutaną w szlafrok kupę nieszczęścia.

Pub tego wieczoru był szczególnie zatłoczony, a dźwięki muzyki, głośne śmiechy i ochryple głosy słyhać było już parę przecznic dalej.



Sam pub był miły i staroświecki, cały wyłożony ciemnym drewnem, z otomanami i kanapami wokół kominka w tylnym pomieszczeniu i z frontowym zadymionym i hałaśliwym (goście plus telewizor!) barem.

Wchodząc, zderzyłam się z falą dymu z papierosów i drugą, jeszcze silniejszą, falą hałasu. Całkiem jakby pub wynajęło na ten wieczór miejscowe towarzystwo stragania-rzy. W całym tym zgiełku dawało się słyszeć nie tyle fragmenty rozmów, ile fruujące gęsto wiązanki i bluzgi, czasem sklepane jakimś czasownikiem przy akompaniamencie uprzejmych zaproszeń typu: ja pierdołę, ale kurewsko dobrze wyglądasz, chciałabyś... (no i jak tu - do diabła - elegancko i stosownie odpowiedzieć? - Czemu nie, znajduję pana doprawdy czarującym. Czy zechciałby mi pan uprzejmie wyjaśnić, jakie znaczenie ma ten gest wylewania piwa na głowę kolegi?). W końcu namierzyłam Tima i Stellę, gdyż dzięki Bogu Tim był taki wysoki i taki głośny, że znalezienie go w tłumie stanowiło zawsze dziecinnie łatwe zadanie. Stali przy barze, zaczęłam więc przepychać się ku nim, przelotnie zauważając, że tłum tutaj zebrany składa się przeważnie z typków ubranych w czerwony dresy.

Miło było znów zobaczyć Tima i Stellę. Byli tacy zwyczajni i radośni, no i nie wiedzieli o moim ostatnio tak spapranym życiu uczuciowym - oczywiście poza faktem, że ja i Charlie zerwaliśmy ze sobą. Nagle zdałam sobie sprawę, jak głęboka była już moja depresja i że teraz będąc wśród ludzi zupełnie tego nieświadomych, w niewytłumaczalny sposób poczułam się dużo lżej i radośniej. Mój Boże, całkiem zapomniałam, że są na tym świecie ludzie, którzy o Ślizeł czy Sebastianie albo nic nie wiedzą, albo jeśli Charlie im powiedział - nie dbają o to. Nagle poczułam się bardzo, bardzo szczęśliwa.

Tim ruszył do baru, by kupić „dziewczynom” butelkę wina, Stella zaś rzuciła się natychmiast w streszczanie jakiejś długiej i wielce skomplikowanej historii o jakimś ich znajomym, którego kiedyś przelotnie poznałam. Staralam się słuchać, ale prowadzenie normalnej konwersacji w hałaśliwym pubie jest praktycznie niemożliwe. Stałyśmy tak kiwając głowami, od czasu do czasu rzucając - Ze co? - i

wpatrując się nawzajem w swoje buty, tak jakby jedynym sposobem na usłyszenie czegokolwiek było opuszczenie głowy, by druga osoba mogła ci krzyknąć wprost do ucha. Doszłam do wniosku, że to właściwe wyjaśnienie, dlaczego kobiety wydają się tak zafascynowane swym obuwem - one tylko starają się jakoś rozmawiać, gdy znajdują się w hałaśliwym miejscu.

O rany, ale tu było głośno. Tłum wydawał się hałaśliwszy i weselszy niż zazwyczaj. Nagle, gdy w przerwie naszej rozmowy rozejrzałam się dokładniej wokół, ze zgrozą spostrzegłam, co tu właściwie jest grane, i to dosłownie. W telewizorze leciał właśnie mecz rugby, a ja nic nie zauważyłam, bo stałam plecami do telewizora. Stąd też zapewne te pełne dezaprobaty spojrzenia, jakimi obrzucali mnie pozostali goście, pilnie śledzący grę, w której ja widziałam tylko wzajemne popychanie się dorosłych facetów, niczym małolaty na dużej pauzie. Ach, to stąd te czerwone i niebieskie stroje i dlatego większość facetów w pubie to pozbawione szyi prostopadłościany. Gracze i kibice. Żadnej drogi ucieczki. Postanowiłam się upić.

Jakaś godzinę później Tim wciąż próbował wytłumaczyć mi reguły gry w rugby, bez widocznych sukcesów – może dlatego, że był ode mnie osiem razy wyższy i nieco bardziej zawiany. Robił jednak, co mógł, zginając się w pół i wrzeszcząc mi prosto w ucho jakieś kompletnie dla mnie hermetyczne teksty o czołowym ataku i bocznych zagrywkach. Nagle kamery relacjonujące mecz skupiły się na jakimś ubłoconym kłocu w dziwnym hełmie, z jednym okiem chyba wybitym, a Tim widząc go, prawie stanął na baczność i wrzasnął: „To jest, kurde, to!”. Co się potem działo, to już nie pamiętam. Stella wdała się w długą i skomplikowaną rozmowę z jakąś dziewczyną, która zazdrośnie wpatrywała się w zgrabne sandały Stelli, całe z rzemyków, najwyraźniej zastanawiając się, gdzie Stella je zdobyła.

Ja tymczasem, trochę już przymulona, rozejrzałam się wokół. Paru facetów próbowało jakoś nawiązać ze mną kontakt wzrokowy, ale ja byłam już na etapie zauważania w nich wszystkiego najgorszego. Tu jakiś typ z czapą na sztywno wyželowanych włosach, tam inny w

T-shircie w stylu Marilyn Manson. Zapewne na co dzień byli to wszystko zwykli, nieciekawi faceci. Ktoś próbował przejść obok, usunęłam się więc, mamrocąc przeprosiny.

- Kotku, nie musisz za nic przeproszać - wyszczerzył się facet.

ŻESZ TY...Charlie, Charlie, gdzie jesteś?! I nagle przypomniałam sobie, gdzie jest i z kim jest i rezolutnie przylepiłam do twarzy prawie miły uśmiech.

- O kurde, jesteś kurewsko śliczna. Jak się nazywasz? - spytał gość.

- Isabelle - rzuciłam, zwalczywszy jakoś naturalny odruch, by zacząć mu się odwalić.

- A czym się zajmujesz Isabelle?

O rany, nienawidziłam takich pytań. Po pierwsze, nie powinniśmy określać ludzi wedle tego, czym się zajmują. Po drugie - zawsze kończyło się to tak samo. Najpierw potrzeba było pięciu minut, by mój rozmówca przetrawił informację. Potem zwykle następowała już szczegółowa rozmowa o mej pracy, która mogła potoczyć się dwoma torami. Albo faceci starali się szybko zmyć, by uniknąć konwersacji z Nadętą Pieprzoną Artystką, która potrafi mówić tylko o sobie, albo zaczęli wygłaszać własne opinie o sztuce, co było jeszcze gorsze. Mimo to odpowiedziałam, co trzeba, memu uroczemu rozmówcy i po ustaleniu (nieco mętym), że chociaż pracuję dla domu aukcyjnego, to w zasadzie nie jestem urzędnikiem państwowym, facet przyjął tę informację dość dobrze i nie drażył tematu dalej.

- A ty, czym się zajmujesz? - zapytałam uprzejmie starając się ignorować Tima, który stojąc za plecami tego Stanleya czy jak- mu- tam, mrugał i szczerzył zęby wznosząc kciuki do góry, jakbym właśnie wygrała na lokalnej loterii tackę przecenionej wędliny. No, może to niezbyt fortunne porównanie, bo Stanley to był soczysty kawał miecha z wyjątkowo grubą szyją.

- No, ja grałem w rugby - powiedział skromnie. Spojrzał na mnie, wyraźnie oczekując odpowiedniej reakcji, czyli totalnego zachwytu. Niestety, jako dziewczyna z Melbourne miałam prawie zerowe pojęcie

o tej grze, że o graczach nie wspomnę. Niemniej zrozumiałam, dlaczego wygląda tak, jak wygląda. Pochwycił moje spojrzenie skupione na jego kalafiorowych uszach i uśmiechnął się z dumą.

- Takie kontuzje zawsze wynikają z gry. Coś jak rany wojenne.

Szybko odrzuciłam myśl o Stanleyu dumnie wypinającym pierś, do której ktoś przypina mu wielki medal w kształcie ucha za zasługi, czyli za zerwanie nylonowych szortów jakiemuś innemu kłocowi.

- Teraz jestem działaczem sportowym. - Wyrecytował mi długą listę graczy, których obsługiwał. O żadnym z nich nigdy nie słyszałam.

- A - odpowiedziałam na odczepnego, ze zdumieniem zauważając, że kończymy już drugą butelkę chardonnay.

- To musi być wspaniałe. - I nagle, czując, że oczekuje ode mnie czegoś jeszcze, dodałam. - A kto pierze ich szorty? (czasami upodabiam się do Audrey, ale naprawdę bardzo rzadko).

Przez kilka sekund Stanley patrzył na mnie, jakbym była jakimś szczególnym okazem zboczeńca, wreszcie uśmiechnął się szeroko, najwyraźniej kwalifikując mnie jako lekko frywolną fankę rugby.

- Co? To znaczy chcesz, bym zdobył dla ciebie szorty?

- tu padło nic mi nie mówiące nazwisko gracza.

- Ach nie, dzięki. Ja tylko jestem ciekawa, czy gracze sarni piorą swoje kostiumy, czy jest ktoś specjalny do tej roboty?

Stanley spojrzał na mnie bardzo dziwnie, a ja nagle uświadomiłam sobie, że troszeczkę się ululałam. On tymczasem szybciotko się wycofał. Dziesięć minut później zobaczyłam go z jakąś laską, która wpatrywała się w niego z uszanowaniem i dyszała: - Tak jak Jerry Maguire?...

Trzy butelki chardonnay i pięć porcji tequila później, doturlałam się do domu. Dwukrotnie dzwoniłam do Tima i Stelli podczas mozolnego wdrapywania się po schodach, by im powiedzieć, jacy są kochani i jak bardzo ich kocham. Trafiwszy z niejakim trudem do własnych drzwi, zapaliłam kilka lamp i ostrożnie sterując ku kanapie, rzuciłam torbę na podłogę. Zamarłam na moment, rozważając, czy będę w stanie na tyle kontrolować swe ruchy, by torbę podnieść. Cholera, wy-

glądała tak jakoś przytulnie i wygodnie. Resztki rozsądku mówiły mi, że powinnam natychmiast wydoić z litr wody i iść do łóżka, ale znalazłam wyjście o niebo lepsze, najlepsze ze wszystkich. Zwaliałam się na podłogę i przytulona do swej torby natychmiast zasnęłam.

\* \* \*

Zbudziłam się, z radością konstatując, że zdarzył się cud. Nie miałam kaca! Tequila jest po prostu cudowna! Od dziś nie piję nic innego. Nagle dotarło do mnie, że wciąż jest ciemno. Macając dookoła, wymacałam wreszcie swój zegarek, odkrywając, że jest dopiero wpół do szóstej. Czyli dlatego nie mam kaca, że wciąż jestem pijana.

Parę godzin później, gdy promienie słońca na całego wlewały się już przez okna, ja konałam. Kac gigant pochwyił mnie w swe ohydne szpony. Po czasie, który zdawał się wiecznością, pragnienie i mętna myśl o proszkach przeciwbólowych zmusiły mnie do powrotu do (względnego) pionu i pocłapania do kuchni. Wydoiwszy kilka szklanek wody, zaczęłam się rozglądać za panadolem. Niestety, na naszą apteczkę składały się trzy opakowania naprogesiku, jakiś przeterminowany środek na kaszel i rolka starego, sparciałego bandaża, który kupiłam chyba z dziesięć lat temu, nigdy go nie napoczęłam, ale z jakichś powodów zabierałam ze sobą przez ostatnie cztery przeprowadzki. Przez chwilę rozważałam zażycie naprogesiku, by jakoś złagodzić łomot w mojej głowie, ale przeraziłam się, że to spowoduje zamieszanie między moją głową i macicą i jeszcze przemienię się w jakiegoś stwora z *Archiwum X*, z mikroskopijną, zdeformowaną istotą rosnącą za moim lewym okiem, a potem wypływającą mi przez nos.

Siadłam na kanapie, wciąż czując się bardzo, bardzo słabo. Zadzwoiłam do Cate po odrobinę sympatii i współczucia, lecz numer był zajęty. Pomyślałam, żeby wykręcić do Charliego i opowiedzieć mu, jaka jestem chora. Może się wzruszy? Lecz nagle wyobraziłam

sobie jego i Ślizeł przy jakichś sympatycznych wspólnych niedzielnych rozrywkach (z obowiązkowym użyciem oboju) i o mało nie zwymiotowałam. Zamiast do Charliego zadzwoniłam więc do Audrey. Niespodziewanie podniosła słuchawkę już po czwartym sygnale, z radosnym, rozćwierkanym „Hellouu!” Odsunęłam słuchawkę jak najdalej od ucha.

- Jestem chora, Audrey.

- A, to ty - odpowiedziała tonem, w którym nie było nic z siostrzanej miłości czy choćby sympatii. - Właśnie piekę maślane bułeczki. Co z tobą?

- Głowa mi pęka i cała się rozsypuję.

- To znaczy, masz kaca? Henry - zawołała swoim niepowtarzalnym tonem w stylu „znowu-użyłeś-niewłaściwego-ręcznika” - Henry, proszę cię, odwróć te placuszki. Och nie, nie tą szpatułką, ta jest do sałatek. Weź tamtą... - No więc - ciągnęła wracając do mnie, cały czas tonem, w którym wyczuwałam samolubny brak empatii dla mojego żalosego stanu - coś ty znowu wyprawiała ostatniej nocy?

- Poszłam do pubu z Timem i Stellą. Audie, to straszne być samotną, nie cierpię tego. Na całym świecie nie ma już żadnych miłych chłopaków do wzięcia.

- Oj, nie bądź taka powierzchowna. Przynajmniej rozmawiałaś z jakimś?

- Z jednym. Ale on nie miał szyi, a uszy miał jak kalafiory.

Nastąpiła krótka przerwa. Usłyszałam, jak zasłania słuchawkę i syczy - Nie, połóż ten talerz z powrotem. Weź truskawkowy półmisek.

Nie byłam pewna, czy półmisek jest koloru truskawki, czy w kształcie truskawki, czy też jest przeznaczony na truskawki. Tak czy inaczej, serdecznie współczułam Henry'emu, który biedak, zawsze miał problemy z prawidłową identyfikacją noża do masła, a teraz bez wątpienia walił głową w kredens-na-zastawę.

- No dobrze - powiedziała Audrey, wracając znów do rozmowy ze mną, ponownie okazując całkowity brak siostrzanego współczucia. -



Głowa do góry. Zrób sobie porządne gorące śniadanie, coś solidnego. Od razu poczujesz się lepiej. Co zamierzasz dziś robić?

Moje plany nie wykraczały dalej niż zakończenie tej rozmowy i ewentualnie powrót do łóżka.

- Nie jestem pewna - powiedziałam wymijająco, wiedząc doskonale, że jeśli jej choć wspomnę o powrocie do łóżka w piękny słoneczny dzień, marnując tak wspaniały weekend, Audrey będzie przerażona, a za dziesięć minut zadzwonią przerażeni rodzice, których Audie zdąży powiadomić i przekonać, że tak stoczyłam się w alkoholizm i trzeba mnie natychmiast poddać kuracji odwykowej.

- Muszę kończyć - powiedziała Audrey nieco zdenerwowana jakby mówiła: Henry-rozwali-kredens-szukając-truskawkowego półmiska. - Przychodzą goście na brunch.

- Co?

- O co ci chodzi?

- Jest niedziela rano. Że też ci się chce wstawać i gotować jakieś cuda niewiady o tej porze.

- Ponieważ to jest właśnie życie towarzyskie. A nie łażenie po pubach.

Co prawda to prawda, ale nie całkiem.

- Założę się, że żaden z twoich gości nie ma ochoty wstawać dziś rano. Założę się, że wszyscy teraz leżą i gryzą się, jak się należy ubrać na ten cały brunch i chcieliby wszyscy zostać w wyrach i zjeść sobie na śniadanie tosta z vegemitem<sup>5</sup>. Dlaczego zamiast brunchu nie możesz zrobić normalnego lunchu?

- Ponieważ nie chcę urządzać lunchu.

Dobry Boże, *nie chce* urządzać lunchu. Audie najwyraźniej przestała być Marthą Stewart, a stała się za to Królową Matką. Tylko patrzeć, jak zaczniesz nosić kapelusze i ćwiczyć łaskawy uśmiech przed lustrem w łazience.

---

<sup>5</sup> \* *Pasta do chleba na bazie drożdży [przyp. red.].*

- No, muszę kończyć. Muszę pomóc Henry'emu przy choince.

Głowa nagle rozbolała mnie jeszcze bardziej. Poczułam, że przez jakąś czarną dziurę osuwam się do przedziwnego równoległego świata Audrey, gdzie wszyscy muszą nosić rękawiczki i spędzają dni szydełkując pokrowce na czajniki przynoszone na wiejskie kiermasze.

- Audie, czy dobrze usłyszałam? Musisz pomóc Henry'emu przy choince?

- No, mmm. - Znowu przykryła słuchawkę, lecz wciąż mogłam usłyszeć, jak dyktatorskim tonem mówi: „Nie, Henry, zostaw, poczekaj na mnie. Źle to ustawiłeś. Niczego nie potrafisz zrobić porządnie”.

- Audie, dlaczego ubierasz choinkę w lipcu??

- W tym cała rzecz. Urządzam taką Wigilię w lipcu. To będzie fantastyczne. Robię kanapki z indykiem i mięsne zapiekanki i bożonarodzeniowe maślane bułeczki dla każdego gościa.

- Siostro, ty masz chyba fioła.

Audrey na chwilę zapomniała o manierach Królowej Mamuśki i warknęła:

- A ty nie potrafisz odróżnić serwetki od serwety.

No tak. Miałam kaca. Było mi niedobrze, a moja siostra jak lwica gotowa jest bronić swego honoru idealnej gospodyni. No to porozmawiajmy sobie jak dwie siostrzyczki.

- Boże, jaka z ciebie wredna trollica.

- To lepsze niż rozlazła alkoholiczka.

- Panna pieprzona.

- Strzelec w kołczan kopany.

- Wredna, upierdliwa suka.

- Paskudna flądra.

- Opłata mostowa. I mam nadzieje, że te twoje indyczki się przypalą.

Cisnęłam słuchawkę.

Poczułam się jeszcze gorzej niż przedtem. Było mi przykro z powodu naszej kłótni i zbierało mi się na wymioty na sama myśl o bożonarodzeniowym puddingu i innych przysmakach, zupełnie niesto-

sownych o tej porze roku. Pomyślałam o jej sugestii, by zrobić sobie solidne ciepłe śniadanie. Jednak po paru minutach tępego wpatrywania się w otwartą lodówkę i rozważań czy podsmażone resztki spaghetti z sosem *pesto* to dobry środek na kaca, zdecydowałam się wleźć pod prysznic i przynajmniej pozbyć się zapachu, jakim przesiąkły moje włosy.

Nie był to dobry pomysł. Próbowałam jakoś trzymać się w pionie, łapiąc za kurki i bezustannie nimi kręcąc, przez co zafundowałam sobie chińską torturę w postaci naprzemiennej wrzącej i lodowatej kąpieli. Jakoś udało mi się nałożyć troszkę szamponu na włosy, ale wmasować go - to już było zbyt bolesne. Potem popełniłam błąd, nakładając odżywkę. Było to wyjątkowe drogie świństwo, do którego kupienia namówiła mnie moja fryzjerka, jedna z tych straszliwych dziewczuch z wklęsłym brzuchem i wyjątkowo niechlujną fryzurą. Pozostaje dla mnie tajemnicą, dlaczego właściwie powierzamy swe włosy tym aroganckim smarkulom, zmuszamy się do picia kiepskiej kawy przy wtórze ohydnej, zawsze za głośnej, muzyki granej w tle i jeszcze musimy patrzeć na nasze odbicie w lustrze z mokrymi włosami zwisającymi w strąkach na oczy? Jednak Debbie przekonała mnie, że ten fantastyczny (tylko po trzydzięści dolarów!) Balsam Ożywiający i Odżywiający sprawi, że moje włosy staną się lśniące i gładkie niczym u bohaterki serialu *Przyjaciele*, nie mówiąc już o wspaniałym zapachu (zupełnie jak sałatka owocowa!). Co prawda, nie cierpię sałatki owocowej, ale kupiłam to paskudztwo, oczarowana wizją siebie z prostymi lśniącymi włosami, ubranej w wykwinną bawełnianą sukienkę, sączącą owocowy koktajl na tropikalnej wyspie. Niestety, w praniu okazało się, że za trzydzięści dolarów nabyłam śmierdzącą, przetrąwioną odżywkę dla dzieci, lepkie i oślizłe świństwo. Przez chwilę zrobiło mi się tak mdło, że aż musiałam przysiąść na brzegu wanny. Jakoś udało mi się w końcu splukać włosy, owinęłam się w ręcznik i czując się kompletnie wypluta, wykończona i nieszczęśliwa, znowu walnęłam się na kanapę.

Godzinę później byłam pogrążona w niebezpiecznej depresji, jaka dopada człowieka po zbyt zakrapianej imprezie. Czułam się kompletnie i totalnie zdolowana. Hattie gdzieś wybyła - pewnie wdycha pełną piersią świeże powietrze, biegając wzdłuż Bondi Beach z jakimś trójboistą, a Audrey teraz pewnie tworzy Zimową Krainę Czarów w stylu Marthy Stewart na przedmieściach Melbourne. A ja, jedyne co teraz mogę, siedzieć i starać się nie czuć zapachu własnych włosów.

I nie załamać się kompletnie.

Nurzając się w bagnie negatywnych emocji zламаłam jedną z podstawowych zasad bycia-świeżo-po-zerwaniu. Przygotowałam sobie przezornie pudełko papierowych chusteczek, podreptałam do sypialni, zamknęłam drzwi, nastawiłam płytę Jeffa Buckleya i rozciągnięta na łóżku, zaczęłam przeglądać album z fotografiami. Zanim jeszcze Jeff B. osiągnął wysokie C, zapatrzyłam się na zdjęcia Charliego i moje z tych szczęśliwych przedślizelowych czasów.

O, tu my przed naszym domem w Balmain, tu spacerujemy po plaży Bondi, a tu odwiedzamy „otwarte zoo” w Dubbo. Charlie zabrał nas tam małym czteroosobowym samolocikiem. Wzięłam wtedy podwójną ponad dopuszczalną normę dawkę aviomarinu, bo kiepsko znoszę loty małymi maszynami. W rezultacie przez cały dzień pytałam różnych obcych ludzi, czy oni też mają takie oklapnięte ramiona i koniecznie chciałam pogłaskać i przytulić jakąś lamę. Możecie mi wierzyć, próbować objechać rowerem otwarte ZOO, będąc kompletnie zamuloną i narąbaną aviomarinem, to jedno z najbardziej nieprawdopodobnych doświadczeń życiowych.

Chyba z dwadzieścia pięć minut próbowałam umieścić stopę na pedale roweru, ale moje nogi zdawały się nie mieć kości. Stopa w końcu omsknęła mi się i gruchnęła na ziemię. Z pomocą pospieszyła mi strażniczka od żyraf i jakoś wpakowałam obie stopy w pedały, ale gdy strażniczka puściła rower, zapomniałam, że mam teraz pedałować i znowu się wywaliłam, tym razem wraz z rowerem, a nadchodząca grupa japońskich turystów zaczęła mnie z zapalem fotografować.

Na domiar złego, jeden z uczniów Charliego, szczeniak imieniem Jake, został przydzielony do naszego samolotu. Uważam to za kretynizm, że trzynastolatkowi pozwala się na naukę latania, lecz Jake uznał, że jestem naprawdę *cool*, co było miłe do czasu, gdy nakryliśmy go, jak grzebał w mojej torebce, szukając prochów (którymi według Jake'a, tak świetnie się zaprawiłam), by opchnąć je u siebie w szkole.

Przerzuciłam kilka kartek w albumie, i zapatrzyłam się łzawo na zdjęcia z ostatnich świąt Bożego Narodzenia. Och, te wszystkie radosne, choć głupawe figle podczas świąt! Oto Charlie usiłujący za pomocą pianki do włosów postawić na sztorc uszy cocker-spaniela Audrey.

Przewróciłam następną stronę: zdjęcie zrobione chwilę później, gdy Audrey obsypywała Charliego gałką muszkatołową (o zapachu wanilii) z ręcznie robionej pieprzniczki. Urywane łkanie szybko przeszło w histeryczny szloch zbliżony do wycia. Dobra, poddaje się. Pieprzyć to. Muszę porozmawiać z Charliem. Pieprzyć rozmowy z Cate, Fran czy Audrey, czy z kimkolwiek innym, bo tylko z Charlieni tak naprawdę chcę w tej chwili rozmawiać. Tyle czasu byliśmy ze sobą, przekonywałam siebie samą, i jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, i powiedział mi, że mnie wciąż kocha. Kto by tam dbał o głupią dumę i zachowywanie godności, kiedy wszystko we mnie aż piszczy, żeby podnieść słuchawkę i wystukać numer?

Odebrał prawie natychmiast (dzięki ci, Boże) i nadal mówił tym specjalnym tonem, którym zawsze zwracał się do mnie. Może jeszcze nie mówił nim do nikogo innego? Pogwarzyliśmy wesoło i ostrożnie o swoich planach, pracy i o jego nowym domu, ja opowiedziałam mu, jak ciężko jest pojąć reguły rugby. Śmiał się serdecznie, i powoli, powolutku świat zaczął się stawać na powrót normalny, taki jaki był kiedyś, gdy mogłam dzwonić do niego zawsze, o każdej porze dnia czy nocy i rozmawiać o czymkolwiek

i o niczym. To było jak zakładanie ulubionego swetra i uczucie znajomego ciepła.

I wtedy nagle wszystko znowu się skiepsciło.

Tak, wiem, to moja wina. Nie powinnam pytać go o Ślizeł. Ale trudno, byłam ciekawa - jaka ona jest, jak wygląda. Po co mi to? Ot, choćby do przydania realizmu moim snom na jawie, gdy wyobrażałam ją sobie przywiązaną do głowicy jądrowej albo do fantazji pod tytułem: „Ślizeł pożarta przez rotweilery George'a" - kolor kosmyków jej włosów zwisających z zakrwawionych, zaślinionych pysków wściekłej sfory po tragicznym, lecz nieuniknionym wydarzeniu był wręcz niezbędnym elementem scenografii.

Na moje pytanie o Ślizeł Charlie wyraźnie się zmieszał.

- Nie wydaje mi się, że powinienem ci o niej opowiadać

- powiedział. - To nie w porządku.

- Oj, nie bądź śmieszny - rzuciłam w swoim najlepszym niedbałym-jestem-zachwycona-że-spotykasz-się-z-tą-głupią-pindą-stylu, na jaki tylko mogłam się zdobyć. - No dalej, to normalne, że jestem ciekawa, jaka jest ta twoja nowa - tu lekko się zawahałam - przyjaciółka.

- No dobrze, więc jest drobna, nieduża - powiedział jakimś nie wiedzieć czemu dumnym głosem, całkiem jakby Ślizeł była szelandzkim kucykiem i medalistką w kategorii „mały rozmiar”. Marne szanse dla perszerona, z którym spotykał się wcześniej.

- No, i jest zabawna. To wszystko między nami to jeszcze nie jest na poważnie (JESZCZE? JESZCZE!), ale, no lubię z nią być. Mamy ze sobą wiele wspólnego, lubimy robić te same rzeczy. Razem jeździmy na wrotkach.

Milczałam i klęłam się w duchu za to, że do niego zadzwoniłam. Jak ja mogłam sobie coś takiego zrobić, no..., nieważne. Te parę ostatnich słów Charliego wystarczyło, bym ze złości przez następne trzy dni obgryzała sobie paznokcie u obu rąk i nóg.

- Izzy - Charlie zająknął się, po czym zaczął od nowa. - Wiesz, ty i ja, pod koniec to było wszystko takie skomplikowane i pokręcone. No, to nie było nic zabawnego. Wiesz, ja teraz, no, po prostu jest mi dobrze i dobrze się bawię, i to jest takie proste i nieskomplikowane...



Co za świnią! Miałam ochotę wyć. Związki nie są po to, żeby cały czas było lekko, łatwo i przyjemnie. Jak się kogoś kocha, to czasem jest trudno, a bywa że i pokrętnie. Zagryzłam wargi i gdy wreszcie poczułam, że mogę ufać własnemu głosowi, postanowiłam przyjąć postawę mędrca czy też guru, który łagodnie, lecz stanowczo uświadomił mi, jak bardzo złądził. Zobaczy ten drań, jaka jestem mądra i dojrzała. Wzięłam głęboki wdech i zaczęłam przemowę bardzo cierpliwym i bardzo łagodnym tonem.

- Charlie, gdyby sens życia polegał na tym, że zawsze świeci słońce i na zabieraniu szetlandzkich kucyków na wrotki do parku, parki byłyby strasznie zatłoczone. Nie byłoby miejsca na cokolwiek innego i choć mogłoby to być zabawne przez jakiś czas, to jednak bardzo szybko poczulibyśmy - ale niestety, zbyt późno - że tylko perszerony są dość silne, by wyciągnąć nas z błota. A małe szetlandzkie kucyki zostawimy na pewną śmierć, gdyż ilekroć będą próbowały wyciągnąć z błota swoje małe kółka, zapadną się one z powrotem. To może jest bardzo smutne na pierwszy rzut oka, ale z czasem przekonamy się, że tak miało być.

Rozsiadłam się wygodniej na kanapie, po turecku, jak prawdziwy guru, czując wielką wewnętrzną satysfakcję, że w tak prosty, a zarazem poetycki sposób wyjaśniłam mu, jakim szaleństwem jest prowadzenie się ze Ślizel, i nie użyłam przy tym ani jednego wulgarne słowa. Upajając się tym całkiem nowym uczuciem, że jestem źródłem mądrości i oświecenia, przez chwilę rozważałam myśl o wędrowaniu boso od miasta do miasta, odziana tylko w prześcieradło, i głoszeniu pocrzepiających przypowieści wszystkim złamanym sercom. Nagle jednak uświadomiłam sobie, że opuściłabym wtedy zbyt wiele odcinków *Seksu w wielkim mieście*.

Natomiast w słuchawce panowała martwa cisza.

- Izz - głos Charliego był jakby odrobinę niepewny.
- Mów - odrzekłam zachęcająco.
- Znowu przedawkowałaś aviomarin?

- Nie bądź śmieszny. Wiesz, że nie tknęłam tego od czasów tamtej wycieczki do zoo. Ciągłe jeszcze śnią mi się lamy.

- No dobrze, dobrze, wierzę ci, ale nie mam pojęcia, o czym ty właściwie mówisz?

Moje biedactwo. Gołym okiem widać, że spędził już tyle czasu z tą bezmózgą Ślizeł, że jego intelekt całkiem wyparował i nie jest w stanie pojąć pereł mojej mądrości.

No, jego intelekt może i wyparował, ale zdolność do zadawania mi cierpienia była w pełnym rozkwicie, gdyż dodał:

- Naprawdę, bardzo lubię spędzać z nią czas. Jest bardzo troskliwa.

Troskliwa? Troskliwa? Co on chciał przez to powiedzieć? A ja nie jestem? To że ona potrafi się tak urządzać, by być muzyczką dniem, a prać mu skarpetki nocą? Co, u diabła, znaczy, że ta pinda jest troskliwa?

\* \* \*

- Co, u diabła, ma znaczyć, że ona jest troskliwa? Rozłączyłam się z Charliem jakieś trzydzieści pięć sekund

temu i natychmiast wystukałam numer do Cate, cała w dygotkach.

- Halo?

- To ja, rzuciłam niecierpliwie. - Charlie powiedział, że Ślizeł jest troskliwa. Jak sądzisz, co miał na myśli?

- Wrażliwa, ciepła, niesamolubna...

- Zamknij się. Doskonale wiem, co to cholerne słowo znaczy. Tyle tylko, że nie, sądzę by można je odnieść do wrednej karlicy oboistki, która spotyka się z *moim* chłopakiem. Cate, to straszne. Jestem zrozpaczona. Oni tam trzymają się za rączki i jeżdżą na wrotkach, i pewnie udają, że grają w reklamówce gumy do żucia. Boże, jak ja jej nienawidzę. Chciałabym przywiązać ją do pary małych wrotek i pieprznąć z całej siły kijem do hokeja.

Właściwie, jeśli jest taka malutka, mogłabym jej użyć jako krążka hokejowego (o, to wcale nie jest zły pomysł. Bardzo mi się podoba i sama myśl o tym podnosi mnie na duchu).

- Gniew źle umiejscowiony - stwierdziła fachowo Cate. - Nie możesz nienawidzić kogoś, kogo nie widziałaś. Naprawdę to nienawidzisz Charliego i siebie samej, ale o wiele łatwiej jest przenieść swój gniew na Ślizel, bo wtedy nie musisz stawić czoła rzeczywistości.

- A jaka właściwie jest ta rzeczywistość, której muszę stawić czoło? - spytałam próbując opanować rozczarowanie, że Cate nie podjęła, choć na małą chwilkę, wątku krążka hokejowego.

Cate zaczęła wykład tym swoim miękkim, łagodnym głosem. To ona była prawdziwym guru.

- Belle, to koniec. Przestań o nich myśleć i daj sobie wreszcie spokój. Co Charlie robi, myśli i mówi, to nie ma już nic wspólnego z tobą. Wasze zerwanie nie miało nic wspólnego z tą jego nową dziewczyną i dobrze o tym wiesz. Czas ruszyć do przodu, skarbie. Takie obsesyjne trzymanie się Charliego i tej jego nowej partnerki to niezdrowe. Niezdrowe emocjonalnie.

I nagle coś w mnie pękło. *To naprawdę koniec.* Nie spędzę tego roku Bożego Narodzenia z Charliem. Nie wrócimy do siebie ani teraz, ani za parę miesięcy. Oh, już na pewno myśli o mnie jako o swojej eks i pewnie mówi o mnie tym samym obojętnym tonem, jakiego używał, gdy rozmawialiśmy o jego poprzedniej dziewczynie. Nie będziemy już nigdy razem, nie będzie wspólnej herbaty o poranku, nie będzie wspólnych campingów. Nigdy już nie przytulę się w nocy do jego ciepłego nagiego, tak dobrze mi znanego, ciała i nie ukryję twarzy w jego szyi. I cokolwiek wydarzy się w przyszłości, nigdy już nie będzie tak jak na początku. Przyszłość bez Charliego przerastała moją wyobraźnię. Chciałam umrzeć. Zamiast tego pożegnałam Cate, a potem płakałam, aż znowu rozboleła mnie głowa, a oczy tak zapuchły, że ledwo mogłam patrzeć. I byłam taka słaba i chora, że mogłam tylko leżeć, milczeć i bezgłośnie płakać dalej.

Znienawidziłam Sydney i nagle nienawiść ta rozciągnęła się na wszystko i wszystkich. Byłam nieszczęśliwa i wszyscy byli temu winni. Winny był Henry James, bo napisał durną, nie nadającą się do czytania książkę. W dalszej kolejności, bez specjalnego porządku, nienawidziłam: Sebastiana, wynalazcę oboju, krów, za to, że dają mleko, producentów kahlui za stworzenie możliwości mieszania tego świństwa z mlekiem. Nienawidziłam Charliego i tej jego okropnej dziewczyny, tego kucyka szetlandzkiego z obojem w pysku.

Ale najbardziej nienawidziłam samej siebie.

RS

## Jak nie urok to deska do prasowania.

Nazajutrz był poniedziałek, a to oznacza to, że muszę w końcu wyleźć z betów i pójść do pracy. Przez chwilę rozważałam wariant dalszego udawania chorej, tym bardziej że pójście do pracy oznaczało konfrontację ze zdjęciem Charliego przyszpilonym nad moim biurkiem. Zważywszy, jakie szkody emocjonalne mogą być tego następstwem, pomyślałam, że jest to dostatecznie rozsądne usprawiedliwienie dla spędzenia jeszcze co najmniej trzech dni w embrionalnej pozycji, pojękującej owe „uch” z *E.T.* i śląccej telepatyczne wieści do Charliego, mające sprawić, by znów się we mnie zakochał. Niestety, opuściłam już piątek i niemal słyszałam mego szefa Edwarda (obrzydliwie praktyczny facet), jak nakazuje mi wyrzucić zdjęcie i zabrać się do roboty.

Niechętnie więc zwlokłam się z łóżka i poczłapałam pod prysznic.

Wychodząc z domu, na podjeździe wpadłam na Trevora Budowlanca, który właśnie wyczyniał jakieś strasznie skomplikowane rzeczy ze sznurem na chodniku.

- O, Isabelle, zaczynam myśleć, że za mną biegasz - wrzasnął radośnie.

- O żesz... O, cześć Trevor - odpowiedziałam zmuszając się do uśmiechu. To „cześć, Trevor” było absolutnie wystarczające. Teraz mogę iść swoją drogą, nie trapiąca wyrzutami sumienia, że go olałam. W związku z tym oczywiście zatrzymałam się i dodałam tchórzliwie: - Jak leci?

Będzie dobrze, jak skończymy robotę. Ci właściciele potrafią doprowadzić człowieka do szału. Cały czas zmieniają zdanie. No, ale

jest jedna dobra strona pracy tutaj - przerwał i spojrzał na mnie znacząco.

Wydawało się, że Trevor zamierza powiedzieć mi komplement...

- W tym sklepie, tam trochę dalej, mają fantastyczne kanapki z kurczakiem - oznajmił.

Pysznie. Cudownie. Bosko. Nawet taki Trevor nie jest już mną zainteresowany.

Właściwie, dlaczego obaj z Charliem nie zrobią zrzutki, by podarować mi (odpowiednią do trzymania w portfelu) fotografię Ślizel zjadającej kanapkę z kurczakiem, żeby mi stale przypominała o Rzeczach, Które Faceci Wolą Ode Mnie.

- Muszę już iść, bo spóźnię się do pracy - powiedziałam ponuro. - Cześć Trevor.

Nie jestem pewna, czy w ogóle mnie usłyszał. Skupiony wyraz jego twarzy wskazywał, że rozważa właśnie fundamentalny problem: kanapka z majonezem czy bez?

- Co? A, no to cześć, Isabelle. Do jutra.

- Będę w czerwonej spódnicy - rzuciłam kwaśno. Chyba nie usłyszał. Ruszyłam dalej, z opuszczoną głową, oczami wbitymi w chodnik, z trudem powstrzymując łzy. I choć z jednej strony czułam śmieszność dąsania się, że Trevor zamiast o mnie myślał o swoim lunchu, to z drugiej lepiej już rozmyślać o zdradzie Trevora niż o zdradzie Charliego.

\* \* \*

Właściwie to nie był zły pomysł, pójście do pracy. Fran-nie miała wolny dzień, a że nie byłam dziś w nastroju do rozmów z kimkolwiek innym, ruszyłam prosto do swego biurka, rezygnując z codziennej filiżanki gorącej czekolady i rozmówek o tym co kto robił w weekend. Postanowiłam być profesjonalistką i zająć się wyłącznie poważnymi sprawami. Skupiwszy się na trzymaniu emocji na wodzy i mając w



pamięci rady Cate, postanowiłam zacząć dzień od czegoś intelektualnego. Na początek sprawdziłam w kalendarzu „cytat dnia”, licząc, że okaże się znaczący i inspirujący i podsunie mi jakąś szczególnie głęboką myśl jakiegoś wybitnego człowieka, która wskazałaby mi dalszą drogę.

Dzisiejszy „cytat dnia” był autorstwa jakiegoś W. R. Inge'a i brzmiał: „to, co tolerujemy u ludzi, może nas przerażać u koni.”

Strawiłam co najmniej kwadrans, zastanawiając się co ten pieprzony W. R. Inge miał na myśli. W końcu spaso-wałam. Mam poważne podejrzenia, że ktokolwiek wyszukuje te cytaty do kalendarzy biurowych, zakłada, że i tak nikt ich nie będzie czytać. Właściwie dla mnie odpowiedni byłby dziś cytat na dzień 27 lutego, autorstwa Agnes Mac-phail, głoszący „Staraj się nie polegać całkowicie na drugim człowieku. Wobec największych prób życiowych stajemy samotnie”, jako że Agnes wyraźnie głosiła swą mądrość z perspektywy kogoś odrzuconego. Uznałam więc, że może to być mądrość zwodnicza i ostatecznie przepisałam ten dziwaczny koński cytat na samoprzylepnej kartce, którą następnie walnęłam dokładnie na uśmiechniętą facjatę Char-liego, po czym wreszcie zabrałam się do pracy.

A miałam jej, dzięki Bogu, mnóstwo, jako że trwało akurat układanie katalogu na najbliższą aukcję sztuki współczesnej. Zaczęłam więc brnąć przez literaturę na temat niejakiego Colina Winterbottoma z Canberry, który najwyraźniej nie miał nic lepszego do roboty niż urządzenie w noc letniego przesilenia jakichś obłąkanych obrzędów, podczas których rozbierał się do naga, rozlewał miód na skały i wyśpiewywał gromko jakieś pieśni, przypuszczalnie ku ogromnej (wizualnej i emocjonalnej) udręce tamtejszych wombatów.

Moim skromnym zdaniem nikt, kto ma na imię Colin i na dodatek jest z Canberry, nie nadaje się na druida. To trochę tak, jakby mieć na imię Debbie i nie chcieć być fryzjerką. Uważam, że nasze imiona wpływają na nasze życie o wiele mocniej, niż się nam wydaje, stąd też zapewne tak niewiele gwiazd popu nosi imię Cecil.

Zdałam sobie sprawę, że żywię zdecydowanie wrogię uczucia w stosunku do Colina z Canberry. Miało to zapewne ścisły związek z tym, że musiałam napisać notatkę do katalogu na temat jednej z jego prac, która miała być wystawiona na aukcji. Właściwie próbowałam napisać to już w zeszłym tygodniu, ale jakoś nie mogłam się uporać z faktem, że dzieło jest w istocie deską do prasowania z przyczepioną doń sztuczną (z papier-mache) wiązką dynamitu. Nie miałam bladego pojęcia, co u diabła ten Colin z Canberry usiłuje przekazać, czy też wyrazić, przez deskę do prasowania, a bałam się prosić o pomoc w sprawie interpretacji z obawy, że nawinie się jakiś Fanatyk Sztuki Nowoczesnej, który uśmiechając się szyderczo powie: „Cóż, jest to oczywiście nawiązanie do rytuału runicznego wystawionego przez artystę w 1988 roku, który wyrażał postkolonialną krytykę uroczystości dwustulecia”. A ja w odpowiedzi będę musiała powiedzieć „Och”, skrajnie nieprzekonującym tonem, a potem znaleźć i przeczytać wszystko o rytuale przedstawionym przez Colina w 1988 roku, co przypuszczalnie doprowadzi mnie do takiego stanu, że zacznę zawodzić druidyczne pienia, a potem rzucę się ze skały.

Wzięłam głęboki wdech i powiedziałam sobie, że absolutnie nie ma najmniejszego powodu stresować się nawąłem pracy czy też wpływających nieubłaganie terminów. Pamiętając porady Cate, spróbowałam medytacji, skupiając się na terażniejszości, olewając to, co było, i nie przejmując się tym, co będzie. Nie bardzo to jednak pomogło. Gdy otworzyłam oczy, wciąż piętrzył się przede mną stos pilnych robót, a z kalendarza krzyczały wpływające terminy. A dodatkowo tak przez tę medytację zgłodniałam, że nie miałam innego wyboru, jak tylko pożreć pół opakowania herbatników. A ta terażniejszość, na której miałam się skupić, wciąż miała postać nienapisanej notki katalogowej o desce do prasowania.

W tym momencie dało się słyszeć dzwonek do drzwi frontowych, a ponieważ Fran nie było, zesłam na dół, by otworzyć. Przybyli kolejni gońcy, by zabrać przygotowane na aukcje obiekty do sfotografowania. Przez następne pół godziny patrzyłam, jak znosili to wszyst-

ko do ciężarówki. Cały czas podczas pakowania przerzucali się mało śmiesznymi dowcipami o ślepych artystach i o tym, że właściwie nie wiadomo, gdzie w tych obrazach jest przód, a gdzie tył. Po tej półgodzinie uznałam, że jeśli usłyszę jeszcze jeden szampański dowcip o nowoczesnej sztuce, to albo zacznę wyć, albo powyklewam tym we-sołkom oczy, najlepiej pędzlem malarskim.

- No dobra, chyba zabraliśmy wszystko? - spytał Dave, który pracował u nas dorywczo jako chłopiec-do-rzeczy--noszenia i złota-rączka-do-wszystkiego, a poza tym czuwał nad fotografowaniem obiektów.

Rozejrzałam się po pomieszczeniu trochę nieprzytomnie, jakby jeszcze jakaś rzeźba mogła być schowana pod poduszką fotela lub jakiś obraz zawieruszył się w toalecie. Następnym razem muszę lepiej zorganizować sobie czas i pracę, bo w istocie coś pominęliśmy.

Wskazałam palcem na deskę do prasowania, opartą o ścianę.

- To też musi być sfotografowane.

- Co, Isabelle, robisz sobie teraz pranie w pracy?

Ha, ha, ha. Ale śmieszne. ZAŁADUJCIE DO CHOLERY TĘ PIEPRZONĄ CIĘŻARÓWKĘ I SZLUS! Nienawidziłam tej durnej deski z całej duszy, a tu mi przyjdzie jej bronić w imię kulturalnego relatywizmu i postmodernizmu.

- No, ale jak to sfotografować? - spytał Dave.

- Wiem tylko, że musi być rozłożona, no i powieszona na ścianie.

Prawdę mówiąc, nie byłam tego całkiem pewna. Moje doświadczenie jeśli chodzi o deski do prasowania było dość ograniczone. Nasza domowa deska do prasowania zadowalała się - wedle mej najlepszej wiedzy - spokojnym staniem w szafce w pralni i nigdy nie przejawiała żadnych artystycznych inspiracji do wspinania się na ściany z przywiązaną do siebie wiązką dynamitu. Ale z drugiej strony, kto wie? Może kiedy tylko ja i Harriet wychodzimy rano z domu, nasza deska zakłada beret i przybiera francuski akcent, a nasz toster przez cały dzień tworzy postmodernistyczne instalacje z wszystkich narzędzi kuchennych z dolnej szuflady.

- No dobra, to jak chcesz, żeby ją sfotografować, jeśli nie wiesz, jak ma być wyeksponowana?

- Ojej, w książce jest ilustracja. Tyle tylko, że książka jest w Queensland, więc muszę poprosić, żeby przefak-sowali tę stronę z naszej filii z Brisbane, a ja przefaksuję ją fotografom - mówiąc to podałam mu niechlujnie owiniętą paczkę.

- Co to jest?

Spojrzałam na niego martwym wzrokiem.

- To jest wiązka dynamitu z papier-mäche, do tej deski do prasowania. Przez oka mgnienie Dave miał na końcu języka jakąś, zapewne ciętą, replikę. Widząc jednak mój wzrok, złapał paczkę, kiwnął głową i ulotnił się bez słowa.

Trzy godziny później mogłam sobie pogratulować. Udało mi się ograniczyć wybuchy płaczu do czterech i, dzięki Bogu, zawsze zdążyłam umknąć przedtem do łazienki, nim ktokolwiek mógł być świadkiem mych łkań i szlochów, które nachodziły mnie, ilekroć pomyślałam o tej wydrze Ślizeł i o Charliem. To panowanie nad sobą tak wyczerpało mnie, intelektualnie, że nie byłam w stanie kreatywnie myśleć o desce do prasowania. Spojrzałam boleściwie na ekran komputera i przeczytałam na głos to, co zdołałam wypichcić.

„Deska do prasowania jest symbolem anachronicznego już dziś zniewolenia kobiet, polegającego na przypisaniu ich do prac domowych i jako taka potrafi wzbudzać silne reakcje kobiecej publiczności. Mam nadzieję, że Ślizeł dostanie parchów”.

W tym momencie zadzwonił telefon. Wzdychając, ostrożnie zabezpieczyłam dwie linie napisanego tekstu i podniosłam słuchawkę.

- Hej Isabelle, tu Dave. Doszliśmy właśnie do tej deski do prasowania i nadal nie wiem, jak mamy ją sfotografować.

- A nie możecie sfotografować reszty? - spytałam.

- Już zrobione. Pioruńsko szybko poszło.

- To znaczy zrobiliście już wszystko?

- Taa.

- Całą serię tych czarnych obrazów?

- Tak.

- I te skrzyneczki z próbkami włosów w środku? -Tak.

- A instalacja z tego oleju maszynowego i butelek z martwymi owadami w środku?

Dave najwyraźniej się zniecierpliwił.

- Mówię ci, że odwaliliśmy wszystko. Z wyjątkiem deski do prasowania.

- Ojej, nie myślałam, że uwiniecie się tak szybko. Ciągle jeszcze nie dostałam tego faksu z Queensland, ale mam notatki, jak to trzeba ustawić. Może ci przeczytam i to wystarczy, żebyś wiedział co robić?

Usłyszałam, jak szura wokół siebie, wyraźnie w poszukiwaniu papieru i pióra.

- Dobra, jestem gotów. Wal.

Zerknęłam na własne, kompletnie nieczytelne gryzmoły.

- No dobrze. Ee, tak jak mówiłam wcześniej, deskę najpierw trzeba rozłożyć i powiesić na ścianie.

- Ale tu nie ma niczego, za co by ją można powiesić. A jak ją oprę, to... nie, to też niedobrze. Zastanawiam się, czy nie podciągnąć jej jakoś w górę na sznurkach...

Przerwałam szybko, zanim rozmowa zeszła na przerażające szczegóły techniczne.

- Cokolwiek wymyślisz, będzie świetne. Jestem tego pewna.

- Dobra. A teraz, jak to wieszać?

- Co masz na myśli? Po prostu powieś pionowo i tyle.

- Nie, chodzi mi o to, którym końcem do góry. Przez chwilę doznałam zaćmienia umysłu. Jak wygląda

do cholery ta deska? Trudno, nie cierpię prasowania i już. Prawdę mówiąc, nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy robiłam to ostatnio. Zwykle zbieram ubrania z podłogi, strzepuję je i tyle. Gdybym przypuszczała, że na drodze mego życia zawodowego stanie deska do prasowania, pewnie bardziej uważałabym na lekcjach gospodarstwa domowego. Szybko przebiegłam wzrokiem notatki i wreszcie trafiłam na coś konkretnego.

- Spiczastym końcem. Jest tam spiczasty koniec? Chwila ciszy i znowu Dave.

- Nie ustaliłem jeszcze, czy jesteś bardzo bogata, czy tylko bardzo leniwa?

Nie miałabym nic przeciwko temu, by móc mu odwark-nać wytwornie: „Tak, jestem tak obrzydliwie bogata, że nie wiem, jak wygląda deska do prasowania”. Na razie jednak, odkładając tę ciętą replikę na później, wróciłam do tematu.

- Spiczasty koniec ma być do dołu, blisko podłogi. A dynamit trzeba przymocować po prawej stronie, do sznurka siatki.

- Ale siatka jest po lewej stronie.

- No to pewnie jest jakaś inna siatka.

- Nie ma innej. Trzeba przywiązać dynamit po lewej.

Miałam cichą nadzieję, że kontrwywiad nie założył podsłuchu na nasze telefony, gdyż ta rozmowa przebiegała jak dialog wyjątkowo tępych i niezdarnych terrorystów, takich, co to przypadkowo wysadzają w powietrze warsztaty naprawy rękawic roboczych zamiast ambasady, na którą się szykowali.

- Dynamit nie może być po lewej, bo cała koncepcja dzieła runie. Więc ta siatka musi być po prawej.

- Ale według mnie to dynamit powinien być pod deską, siatka po lewej, a żelazko po prawej.

Wzięłam głęboki wdech i tęsknie spojrzałam w okno, za którym był piękny, słoneczny zimowy dzień. Gdzieś tam na świecie lekarze i pielęgniarki ratowali ludzkie życie i starali się ulżyć doli tych nieuleczalnie chorych. Gdzieś tam byli prawnicy walczący o swych klientów i policjanci narażający swe życie, by zapobiec przestępstwu. Gdzieś tam był cały świat pełen ludzi czyniących rzeczy dobre, ważne, szlachetne, mające znaczenie. A tu byłam ja, bezskutecznie usiłująca rozwiązać problem deski do prasowania...

Przez kilka minut medytowałam, jak będzie wyglądać mój najbliższy szkolny zjazd. Pewnie spotkam się z moimi spełnionymi zawodowo i intelektualnie przyjaciółmi, którym udało się zostać obroń-



cami praw człowieka, chirurgami dziecięcymi, bankierami i handlowcami odnoszącymi sukcesy. A potem przyjdzie ten straszliwy moment, gdy rozmowa zejdzie na moją karierę zawodową i będę im próbowała wyjaśnić zawilosci i subtelności mej pracy, mówiąc o ekspozycji deski do prasowania ze sztuczną wiązką dynamitu. Byłoby cholernie zdumiewające, gdyby po tym nie wybrali mnie Absolwentką Dziesięciolecia.

Wchodząc przez główne wejście do naszej kamienicy, sprawdziłam skrzynkę na listy. Jak zwykle wypchana była tym, co zazwyczaj (rachunki, oferty dań na wynos i stosy ulotek reklamowych). Już miałam wchodzić na schody, gdy mój wzrok padł na nową wiadomość przypiętą do tablicy ogłoszeń wiszącej przy wejściu. Znowu Lokal Numer Dziesięć. Mieszka tam bowiem niestrudzony autor (autorka?) notatek umieszczanych na tablicy ogłoszeń. Ten (lub ta?) akolita/tka Jamesa Joyce'a przekuwa swe wzburzone maleńkie strumyczki świadomości w zgryźliwe i ironiczne notatki, które przypina do tablicy ogłoszeń i wtyka pod wycieraczki samochodów. Nieszczęściem dla mnie i Harriet, Lokal Numer Dziesięć znajdował się pod nami, a fakt, że mamy obie zwyczaj noszenia po domu wysokich obcasów, nie usposabia naszego Obrażalskiego (Obrażalskiej) do nas życzliwie. Czasem, gdy nachodził mnie szczególnie wredny i paskudny nastrój, urządzałam mały seans tupania o drugiej nad ranem, z uciechą czekając na pełną oburzenia notatkę następnego dnia. Ale skoro tym razem notatka jest na tablicy, musi to być skarga szczególnej wagi, skierowana do mieszkańców całej kamienicy, a nie tylko do tych niepoważnych pind z góry. Notatka wypisana była na maszynie, na jadowicie zielonym papierze, w całości dużymi literami, z mnóstwem podkreśleń. **UWAGA WSZYSCY MIESZKAŃCY (Podwójna przerwa dla większego efektu) NASZA PRALKA ZOSTAŁA BEZMYŚLNIE USZKODZONA. W ZWIĄZKU Z TYM NIE MOŻEMY JEJ DŁUŻEJ UŻYWAĆ. OSOBA, LUB NIEZNANE OSOBY, USIŁOWAŁ WYKRAŚĆ MONETY Z POJEMNIKA PRZYMOCOWANEGO DO PRALKI. SPRAWA ZOSTAŁA ZGŁOSZONA POLICJI I PO-**

TRAKTOWANA JAKO NADZWYCZAJ POWAŻNA I PIORYTE-  
TOWA. JEŚLI KTOKOLWIEK ZAUWAŻYŁ COŚ PODEJRZA-  
NEGO WE CZWARTEK, JAK NA PRZYKŁAD KOGOŚ POD-  
NOSZĄCEGO POKRYWĘ PRALKI, PROSZONY JEST  
O KONTAKT Z LOKALEM NUMER DZIESIĘĆ.

Ciekawe, czy Lokal Numer Dziesięć nawąchał się odplamiacza był lekko nawlony, gdy płodził ten krótki esej. Usiłowałam sobie wyobrazić kogokolwiek dostatecznie zdesperowanego lub dostatecznie głupiego, kto by majstrował przy pokrywie pralki dla zdobycia oszłamiającej sumy pieniędzy równej pi razy oko sześciu dolarom. Gdyby potraktować serio melodramatyczny ton notatki Lokalu Numer Dziesięć, nasz mały cichy kwartał był w istocie siedliskiem przestępczych gangów ze Wschodniego Przedmieścia, gdzie co noc powinny nas budzić policyjne syreny, a członkowie gangu włamują się, nocami do naszych mieszkań, gdzie olewając biżuterię czy stereo, kradną nam z zapalem poduszki z kanap, w nadziei, że znajdą tam może jakieś zgubione drobne. Weszłam do naszego mieszkania, cisnęłam torbę na stół i poczułam, jak znów zalewa mnie fala przygnębienia i osamotnienia, gdy zdałam sobie sprawę, że nie mam ukochanego, który by mnie oczekiwał w domu, nie mam wiernego psa, który by mnie witał skacząc radośnie - nie mam nawet pieprzonego kota, który przyglądałby mi się złośliwie, jakby chciał powiedzieć: I ty, i ja dobrze wiemy, że gdybym umiał samodzielnie otwierać puszki, wybyłbym stąd szybciej, niż zdążyłabyś powiedzieć „kompletne dno”. Czując się prawie jak ta deska do prasowania, której nikt nie rozumiał i z którą nikt nie chciał rozmawiać zaczęłam czytać jedną z ulotek reklamowych napisaną w stylu Drodzy Przyjaciele, zwracam się do was... i tak dalej - od jakiegoś sklepu odzieżowego. Następnie rozejrzałam się wokół zde gustowana. Nagle wzrok mój padł na automatyczną sekretarkę. W przypływie nadziei zerwałam się z kanapy i zaczęłam sprawdzać, czy są jakieś wiadomości. Nic. Zero. Nul. Doprawdy, tęskno mi czasami za Melbourne. Gdy tam mieszkałam, nigdy nie wra-

całam dzień w dzień do domu, w którym czekała na mnie tylko milcząca automatyczna sekretarka.

I nagle telefon zadzwonił. To na pewno Charlie. Po prostu to czułam. Złapałam za słuchawkę, czując jak wnętrzności skręcają mi się w ciasny supeł.

- Halo?

- Cześć, tu Brenda z Austel Market Research. Mam nadzieję, że możesz poświęcić mi pięć minut, by odpowiedzieć na kilka ważnych pytań w sprawie bezpieczeństwa twego samochodu.

- Nie mam samochodu - odpowiedziałam tępo, podczas gdy świat walił się wokół mnie.

- O, no dobrze, w takim razie, czy mogę mówić z właścicielką samochodu?

- Przepraszam, że co? Ach, tak. Chodzi pewnie o moją współkorkownicę, Harriet. Ale jej teraz nie ma w domu.

- Świetnie. Dobrze, zadzwonię później, by porozmawiać z Harriet. Dzięki. Na razie.

I Brenda z Austel Market Research rozłączyła się.

Przez dobry kwadrans, siedząc na kanapie, walczyłam ze łzami, które napływały mi do oczu, nawet bowiem ta namolna Badaczka Rynku, Brenda, nie chciała ze mną rozmawiać. Zjadłam samotną kolację i właśnie znowu siadałam na kanapie, włączając telewizor, by obejrzeć wiadomości, gdy usłyszałam zgrzyt klucza w zamku i Harriet wpadła do mieszkania.

- O, cześć - powiedziałam nieco zdumiona. - Coś wcześniej dziś wróciłaś.

- Miałam spotkanie w Randwick. Pomyślałam, że mogę wrócić prosto do domu. Która godzina?

Spojrzałam na zegarek.

- Wpół do szóstej.

Zaraz, zaraz, coś jest nie tak. Czyżbym przypadkowo wyszła z pracy o czwartej? Harriet zajrzała do kuchni, rzuciła okiem na rondel z spaghetti z sosem *pesto* i chyba się wzdrygnęła.

- O której godzinie wróciłaś do domu?

- O, dopiero co - odpowiedziałam, czując się jak flądra, i to bezrobotna. Wiadomości o piątej oglądali właściwie tylko licealiści, pewnie dlatego dzienniki te składały się głównie z informacji o występach i trasach gwiazd popu i o zwierzętach futerkowych w zoo. Ci, którzy układali te dzienniki, mieli do tego stopnia poplątane priorytety, że zeszłego tygodnia wiadomości o dużym trzęsieniu ziemi w Indiach nadano po dziesięciominutowym kawałku dziennikarstwa śledczego o najnowszym rozwodzie Jennifer Lopez.

- Wybierasz się biegać dziś wieczorem? - spytałam

- Nie.

- To co, wyścigi drakkarów? Ćwiczenia ze wspinaczki - pogubiłam się, którego wieczoru grywa w halową siatkówkę plażową, a kiedy jest pora na brazylijską capoeirę \*<sup>6</sup>.

- Nie, dziś wieczór nie robię nic. Zamierzam się po prostu odprężyć.

Nie byłam całkiem pewna, co Harriet właściwie robi, by się odprężyć. Ta dziewczyna była kompletnie niezdolna do wysiedzenia spokojnie choćby na czas trwania półgodzinnego widowiska w telewizji. Na każdą najmniejszą przerwę podrywała się, by wypełnić czas rozsądnie i pożytecznie: umyć zęby, wyprasować spódnice na jutro lub zabrać się do stosów swej Osobistej Korespondencji, podczas gdy ja siedziałam nadal przed telewizorem, chichocząc nad nową reklamą tim tamów i starając się zbytnio nie irytować reklamami samochodów. Już samo to, że nie mogłam sobie pozwolić na żaden z tych pieprzonych lśniących wehikułów, było dostatecznie wkurzające. Nie powinien mi jeszcze dołować przez fakt, że nie byłam w stanie za Chiny pojąć sensu ich reklam. Dlaczego trzydziestosekundowy klip, w którym zdjęcia jakiegoś europejskiego miasta i łza spadająca na otwarte stronie *Drugiej płci* Simone de Beauvoir, z Edith Piaff śpiewającą w tle, miał być w istocie reklamą nowego modelu Peugeota? Może była

---

<sup>6</sup> \* *Taniec brazylijski pochodzenia afrykańskiego [przyp. red.].*

to ze strony autorów reklamy przemyślana akcja, by niczym chwasty wyplenić tych, którzy nie są dostatecznie sprytni, zostawiając tylko tych zaradnych, których stać na te samochody. Podejrzywałam, że każdy, kto następnego dnia po obejrzeniu reklamy zjawił się u dealera i powiedział: „Chciałbym przetestować samochód, który zawiózłby mnie do dawnego Paryża z *Les Deux Magots*, napełnił mnie poczuciem intelektualnej wyższości i zapewnił mi pełne bezpieczeństwo dzięki podwójnym poduszkom powietrznym" - byłby przywitany porozumiewawczym uśmiechem, dyskretnym uściskiem dłoni, a nawet być może promocyjnym kółeczkiem na kluczyki.

Podczas gdy śledziłam dokonania nowo narodzonego niedźwiadka polarnego w zoo w Tarogna i dowiedziałam się więcej, niż potrzebowałam (a mówiąc szczerze, więcej niż chciałam) o odnawiającej się kontuzji jakiegoś rugbisty (o którym jako żywo nigdy nie słyszałam), Harriet wyrzuciła do kubła lekko już zapleśniały makaron, zmyła naczyńia i po upływie pół godziny znów zaczęła się wiercić. Wykonała kilka telefonów, lecz żadnego z przyjaciół nie zastała w domu, jako że było zbyt wcześnie. Mnie to specjalnie nie zdziwiło. Zapewne siedzieli w tybetańskich restauracjach, omawiając szczegóły planowanych wypraw w takie czy siakie kaniony, czy też spierając się, jaki rodzaj plecaków jest najodpowiedniejszy na wysokogórską wyprawę do Gwatemali.

- Dobry Boże, jak ludzie mogą wysiedzieć w domu o tej porze? - wyuchnęła Harriet. - O rany, ale mi się nudzi.

Staralam się nie brać tej odzywki do siebie, nawet jeśli byłam jedyną osobą w pokoju.

- Dlaczego nie poczytasz sobie czegoś? Pożyczę ci moją książkę - zaproponowałam podnosząc wzrok znad trzeciej strony *Portretu damy*, który złapałam w chwili desperacji, gdy w telewizorze zaczęły pokazywać zdjęcia rentgenowskie miednicy kontuzjowanego rugbisty.

- Nie, dzięki, nie jestem w nastroju - odrzekła Harriet raczej ponuro.

- No to zajmij się czymś przyjemnym. Weź kąpiel albo pomaluj sobie paznokcie u stóp. Spojrzała na mnie, jakbym była jakąś sybarytką w rodzaju Imeldy Marcos.

- Możemy pójść pobiegać - zaproponowałam, prawie się poddając.

- Ojej, na dworze jest najwyżej trzy stopnie i ciemno choć oko wykol.

- No to pobiegamy tam i z powrotem po schodach, choć parę minut. - Gdyby dała się namówić na rozgłośne trąbienie za każdym razem przy mijanym Lokalu Numer Dziesięć, to nie muszę się martwić o swoje rozrywki na ten wieczór.

- Och, nie bądź śmieszna.

Zamilkła na moment, po czym uznając widać, że pouczanie Isabelle jest o niebo lepsze od oglądania telewizji, spojrzała na mnie spode łba i spytała:

- Dzwoniłaś znów do Charliego?

- Nie, odrzekłam ponuro. - I proszę, czy mogłybyśmy o nim nie mówić? Inaczej będę zmuszona znowu się napić i tym razem spędzę noc obśliniając *twoją* torebkę.

Harriet zlekceważyła i prośbę, i groźbę, darząc mnie tym swoim spojrzeniem Nauczycielki Surowej, Ale Sprawiedliwej.

- Dobrze wiesz, Belle, że telefonowanie do niego nie ma sensu. Znowu skończy się to tak jak w niedzielę.

- Tamto, to było coś zupełnie innego - odpowiedziałam z godnością. - Wtedy naprawdę musiałam, to znaczy chciałam porozmawiać z nim o czymś ważnym, a poza tym wciąż jesteśmy przyjaciółmi i nadal się kochamy (jasne, on tylko tak przelotnie kręci ze Ślizel, ale skończy z tym natychmiast, gdy uświadomi sobie, jaka jest pospolita i że obój w żaden sposób nie dorównuje tak wspaniałemu instrumentowi jak fortepian, instrument Beethovena, Mozarta i całej reszty podobnych geniuszy w perukach).

Harriet przyjrzała mi się z aprobatą.



- Zgoda. Ale jeśli spróbujesz się napić i dzwonić, uprzedzam, że wyłączę telefon. Dla twego dobra.

W porządku, wszystko gra. Potrafię być nowoczesną kobietą, silną i niezależną, a poza tym zawsze mogę użyć komórki.

- A twoją komórkę położę na najwyższej półce - dodała nagle Harriet. - Tam gdzie nie sięgniesz, nawet jeśli wejdiesz na krzesło.

O żeby cię, ty bzdziągwo. Uległam nieco przedwczesnej panice, zastanawiając się co zrobię, jeśli nie będę miała sposobu, by zadzwonić do Charliego, gdy ponownie wpadnę w psychiczny dołek i dla wydobycia się z niego konieczne będzie usłyszeć, jak mówi, że nadal mnie kocha, choć już nie jest we mnie zakochany (a oboistka będzie dyskretnie przygrywać w tle).

Spojrzałam na zegarek. Było ledwo po szóstej, a ja czułam się kompletnie wykończona i znużona użeraniem się z deską do prasowania. Nade wszystko pragnęłam teraz wyciągnąć się w gorącej kąpieli. Właśnie zbierałam się kierunku łazienki, gdy nagle zadzwonił telefon.

- To pewnie ta Brenda do ciebie, rzuciłam przez ramię.

- Kto?

- Brenda. Badaczka rynku. Powiedziała jej, żeby zadzwoniła później, bo ty masz samochód. Ze mną nie chciała gadać. Nie odbierzesz?

- Jeśli to badaczka rynku, to w żadnym razie. Czemu, na litość boską, kazałaś jej dzwonić później? Masz pojęcie, ilu tych badaczy rynku dzwoni do nas? Doprowadzają mnie do szału. Nigdy ich nie zachęcaj, bo zadzwonią nas na śmierć.

Pomyślałam sobie, że jednak może byłoby miło wracać do domu, gdzie oczekuje automatyczna sekretarka przepełniona wprost wiadomościami od ludzi twierdzących, że znają świetnie moje potrzeby i gusty, i oczekujących ode mnie opinii na temat niezwykle ważnych posunięć na polu rynku i reklamy. Jednak tłumaczenie tego Hattie nie miało sensu. Na pewno powiedziałyby, że potrzeba mi więcej ruchu i prawdopodobnie zaproponowałyby, bym udała się z nią na jogging o piątej rano, jakby jedynym sposobem na zawieranie nowych interesu-

jących znajomości było wspinanie się na wzgórze bladym świtem z zapuchniętymi jeszcze oczami i zamulonym umysłem.

Poszłam wcześniej spać i miałam koszmarny sen, w którym Charlie i zamaskowana Ślizel zrzucali na mnie z samolotu wiązki dynamitu, a gdy próbowałam uciekać, uświadomiłam sobie, że nie zdołam, gdyż jestem cała wysmarowana miodem. Nagle jakiś straszliwie wyglądający koń, prychnąwszy wzgardliwie, oznajmił, że nigdzie nie pójdę, póki nie skończę prasowania. Obudziłam się nagle i siadłam na łóżku z łomocącym dziko sercem. W półmroku wszystko w sypialni wyglądało dziwnie i groźnie. Zdałam sobie nagle sprawę, że moja szczotka do włosów niesamowicie wręcz przypomina mi malutki obój. Byłam chyba tylko na wpół obudzona, ale w nagłym porywie gniewu i nienawiści porwałam szczotkę i cisnęłam ją przez okno. Pięć sekund później usłyszałam świdrujący skowyt i natychmiast pomyślałam, że na pewno był to Bunt, sznaucer miniaturka należący do Wrednego Gerarda Spod Jedyńki. Wytknęłam głowę przez okno i zobaczyłam Wrednego Gerarda macającego tył głowy i schylającego się, by podnieść moją obojową szczotkę.

Chciałam już wydać efektowny wrzask i udać, że to tylko wypadek, gdy nagle Wredny Gerard spojrział w górę. Nawet z wysokości czterech pięter i tylko przy świetle księżyca mogłam wyraźnie dostrzec *bardzo* gwałtowne emocje malujące się na jego twarzy. Uznałam więc, że lepiej nie przyciągać teraz jego uwagi. Szybko odsunęłam się od okna i - z sercem wciąż dziko łomoczącym - padłam na łóżko, i w końcu zasnęłam.

## Cory Czwarty

Pod koniec tych dwóch niewyobrażalnie długich tygodni zaczęłam rozumieć obrzydzenie i wzgardę, jaką Gość Spod Dziesiątki żywił do naszej pralki, gdy musiałam kupować coraz to nowe ciuchy tylko po to, by mieć coś czystego do noszenia. Szczęśliwie w weekend Hattie wypuściła się na jakąś absurdalnie trudną wspinaczkę na Górę Kościuszki czy na coś równie niemożliwie wysokiego i lodowatego. Planowałam, że spędzę sobie weekend spokojnie i przyjemnie: poczytam sobie, upichcę coś, kupię nową szczotkę do włosów... czyli generalnie będę się byczyć, układając przy tym straszliwe plany zemsty na Ślizeł.

Była wprawdzie - kalendarzowo - jeszcze zima, ale zrobiło się nagle bardzo, wręcz nienaturalnie, gorąco, postanowiłam więc wykonać pierwszy punkt mego weekendowego programu, wybierając się z książką do Centennial Park. Zwiedziona przez prawie letni już upał, włożyłam bawełniany top w stylu dziewczę z farmy (wciąż jeszcze czysty, gdyż nie nosiłam go od zeszłego lata) i zaplotłam włosy w dwa warkocze. W tym stroju i fryzurze poczułam się jak prawdziwie Słodkie Dziewczątko i byłam gotowa skakać i płaszać po ukwieconych łąkach, gdyby takowe znalazły się pod ręką. Kupiłam po drodze gazety, powędrowałam przez park aż do mojego ulubionego miejsca w pobliżu jeziorek i rozsiadłam się na słońcu. Szybko przekartkowałam gazety (dzisiejsze kolumny ze statystykami zupełnie nie dorównywały poziomowi informacji o bernardynie Barrym) i zabrałam się za *Portrait damy*. Udało mi się przeczytać całą stronę, nim moje myśli zaczęły swobodnie błądzić gdzieś daleko, a poza tym słońce tak pięknie świeciło, że zrezygnowałam z lektury i zaczęłam przyglądać się biegającym wokół psom.

Sydnejskie psy były dla mnie wciąż źródłem rozrywki (właściciele zresztą też). Wzrastałam na skraju przedmieść Melbourne, gdzie

każdy miał wielki dom z dużym kawałkiem grantu, a wszystko to otaczały parki i busz. Wielu ludzi trzymało więc duże agresywne psy: niemieckie owczarki, rodezyjskie brytany i inne podobne bestie. Natomiast Sydney (a zwłaszcza jego śródmieście) było nie-kwestiowanym liderem w konkurencji Małe Miejskie Pieski. W całym parku kłębiła się nieprawdopodobna ilość cocker-spanieli, minisznaucerów i obrzydliwych łysych szczeropodobnych stworzeń. Cała ta psiarnia jazgotała cienko, ale niezwykle donośnie, i miotała się po przeznaczonej dla psów części parku, oddając się wszelkiego rodzaju psim przyjemnościom.

Zobaczyłam labradora wspinającego się na pudła. Leniwie zastanawiałm się, czy ich ewentualne potomstwo to będą labropudle czy pudledory, gdy nagle podbiegł do mnie jeden z tych obrzydliwych szczerowatych psów i zaczął ujadać wrednym cienkim jazgotem. Pies był kompletnie łysy, poza wystrzępioną kępką białych kłaków na łbie i na końcu ogona, a ohydnie różowa skóra pokryta była przy łapkach wątrobianymi plamami. W życiu nie widziałam podobnego paskudztwa. Przyjrzałam się mu z obrzydzeniem i właśnie rozważałam czy nie kopnąć bydlęcia dyskretnie do jeziora, gdy nagle usłyszałam grzmiący i ryczący głos: - Yuan, do nogi! Yuan zostaw panią w spokoju! Niegrzeczny piesek! - i zobaczyłam gościa o czerwonej twarzy, cwałującego ku mnie w towarzystwie całej sfory.

-Przepraszam - wysapał, gdy dobiegł do mnie i przypiął na smycz Yuana (który mierzył mnie wzrokiem nie zapowiadającym niczego dobrego).

Facet uśmiechnął się, prawie z dumą.

- Ależ to nieznośne, nieprzewidywalne ladaco. Nigdy nie wiadomo, co zmaluje.

Uśmiechnęłam się uprzejmie, usiłując odsunąć się od Yuana (pfuj, wyglądał jak obdarty ze skóry!). Prawdę mówiąc przyprawiał mnie o drgawki.

- A jak się nazywają inne pana psy? - spytałam (nadal uprzejmie), gdyż czerwonogęby psiarz klapnął na trawę obok mnie, ocierając czoło zroszone potem.

Przez chwilę jakby się wahał, a potem odpowiedział.

- Ja to jestem maklerem, więc wszystkie moje psy mają imiona od nazw walut. Jamnik nazywa się Dojczmark, a Yuana to już pani poznała - to taka specjalna chińska rasa, bezwłosy grzywacz; chihuahua - ten, o tam, to Peso, a ten tutaj to Gulden. I jak są nieposłuszne, to grożę im, że je przetopię. Hihihihahaha!

Ryczał tak przez parę minut, podczas gdy ja walczyłam ze sobą, by nie cisnąć Yuana przechodzącemu obok dalmatyńczykowi, który wyglądał na niedożywionego.

Facet wreszcie się wyśmiał, ale jakoś wcale nie zamierzał odchodzić. Spytałam więc, by jakoś podtrzymać konwersację.

- Czy Gulden to nie blue heeler?

- A nie, to rodowity Australijczyk z Sydney - oznajmił dumnie Czerwonogęby.

- To dlaczego nie nazywa się Dolar Australijski? Czerwonogęby jakby się naburmuszył. - A niby dlaczego?

- No, wszystkie inne mają imiona od walut ich rodzinnych krajów. Czyli Gulden powinien nazywać się Dolar Australijski.

- Noo tak, niby tak, powinien. Ale to jakoś głupio brzmi jako imię dla psa.

Na krótką chwilę zamilkliśmy oboje, słuchając rozlegających się wokół wrzasków: „Rzuć to natychmiast księżniczko Karolino!”, „Yves Klein! Ani mi się waż w tym tarzać” i „Do nogi, Mulligatawne!”.

- A właściwie Dojczmark to powinien teraz zmienić imię na Euro - powiedziałam po zastanowieniu.

- A pani jak na imię? - zapytał Czerwonogęby z niepotrzebnym naciskiem na „pani”.

Już, już zamierzałam mu odpowiedzieć, lecz nagle przypomniałam sobie Trevora, jego kumpli - budowlańców i ich zgodne ryki „Cześć , Isabelle!”, którymi witali mnie, gdy rano szłam do pracy. Wolałam nie powtarzać tego błędu z całym personelem sydneyjskiej giełdy. A poza tym, kto wie, czy to nie jakiś psychol, choć na razie jakoś nie dostrzegłam na żadnym z jego psów śladów szminki. Ale ten gość, na litość boską, miał aż cztery małe psy, łącznie z Guldenem (może średniej wielkości, ale na razie szczeniakiem). Faceci trzymający małe psy byli dla mnie skrajnie nieatrakcyjni. Przecież mógł gość sprawić sobie jednego porządnego labradora zamiast tej jazgotliwej sfory uwijającej się u jego stóp.

- Mam na imię Annabelle. - Kiedy kłamię, zawsze się czerwienię, a głos robi mi się nieco piskliwy, ale na szczęście gość nie patrzył na mnie, tylko na swoje psy.

- A czym się zajmujesz, Annabelle? - zapytał lekko, wyciągnięty na trawniku, osłaniając oczy od słońca. Jego psy zaczęły teraz nawzajem obwąchiwać swe zadki i dzielnie atakować krążące nad nimi wielkie muchy plujki. Ja nadal siedziałam wyprostowana. Chciałam mimo wszystko mieć oko na Yuana. Wyglądał na takiego, który potrafi ugryźć zniecacka, gdy nikt nie patrzy.

Ponownie się zawahałam. Właściwie to nie wypada łągać (nawet obcym), a on w końcu powiedział, że jest maklerem, choć czort go wie, może dorabia jak taksówkarz? Nie, dzień był stanowczo zbyt piękny, by wdawać się w rozmowy o Picassie czy artystycznych walorach desek do prasowania. Doprawdy rozmowa z nieznanym bywa strasznie skomplikowana. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego nie damy sobie spokoju z rozmową i zamiast tego po prostu nie obwąchamy się nawzajem, by następnie wspólnie pobiegać po parku, łowić muchy i węszyć za czymkolwiek interesującym.

- Jestem stewardesą - rzuciłam niedbale, tym razem już bez zdradzieckiego pisku w głosie. - W Qantas <sup>\*7</sup> - dodałam na wszelki wpa-

---

<sup>7</sup> \* *Australijskie linie lotnicze [przyp. tłum.].*



dek. Może jak od razu zasypię go szczegółami, nie będzie drażył tematu?

Na szczęście nie wydawał się zbyt zainteresowany moją zawodową karierą, tak że nawet poczułam się trochę urażona. Przecież Annabelle musi znać mnóstwo interesujących i egzotycznych miejsc, a tego młota to chyba wcale nie interesuje. Fakt, gdyż zapytał mnie tylko:

- A czy masz psa, Annabelle?

- Owszem, ale on jest w Melbourne, u moich rodziców, bo ja pochodzę z Melbourne.

- A! - jesteś Meksykanką.

- Co?

- No, Meksykanką. Z tamtej strony południowej granicy. W życiu nie słyszałam takiego określenia i z jakiegoś

powodu strasznie mnie to zirytowało. Ten facet był taki, no... sydneyjski, rozwalający się na trawniku wśród tych swoich dumnych kurdupłowatych psów, pogardliwie wyrażający się o ludziach z Melbourne i olewający cały świat poza granicami Sydney. Próbowałam znaleźć jakieś obraźliwe określenie na tych sydneyjczyków, gdy gość nagle przetoczył się ku mnie się po trawie i powiedział.

- Myślę, że rozpoznałem twój akcent.

- O czym pan mówi? Ja nie mam żadnego akcentu.

- A owszem, masz. Melburniański.

- To najbardziej idiotyczna rzecz, jaką słyszałam. Nie ma czegoś takiego jak melburniański akcent.

- Ależ oczywiście, że jest. No dobra, dam ci przykład. Jak wymawiasz P-I-W-O? - starannie wymówił słowo.

- Piwo - odpowiedziałam tępo, zastanawiając się, co by się stało, gdybym się nagle zerwała i uciekła. Kurczę, nie dość, że w pracy co rusz muszę się użerać z jakimiś świrami, to teraz doszły mi nadgodziny weekendowe.

Ha! - Gość wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. - Widzisz, mówiłem.

Spojrzałam na niego najuprzejmiej, jak potrafiłam, i następnie powiedziałam powoli i wyraźnie:

- Powiedziałam piwo. Każdy tak mówi. To nie jest takie trudne słowo, by nie można było go poprawnie wymówić.

Usiadł i potrząsnął głową.

- Nie, - ty powiedziałaś P-Y-W-O. Typowo po melburniańsku. My w Sydney mówimy P-i-w-o.

- Ale to wcale nie znaczy, że mam jakiś akcent - odwarknęłam. Gość sprawił, że poczułam się jak jakiś nierozgarnięty wsiok z ostatniej pipidówki.

- Mmm - to się czuje. Używasz całkiem innych słów, jak ktoś, kto mówi dialektem.

- *Nie mówię żadnym dialektem!*

- Ależ oczywiście, że mówisz. Zamawiasz pywo zamiast szklanki lub kufla piwa. A poza tym wy tam w Melbourne na bułkę mówicie szneka, a zamiast ryby z frytkami sprzedają u was kartoflane knedle z małżami i...

- A woda w rynsztokach nadaje się do picia, a karaluchy nie mogą głosować w lokalnych wyborach - wrzasnęłam, zirytowana już na dobre, gotowa do upadłego bronić Melbourne przed tymi podłymi sydneyjskimi kalumniami.

Gość jednak zamiast się obrazić, uśmiechnął się szeroko i mimochodem gwizdnął na któregoś ze swych psów, któremu właśnie groziło stratowanie przez kaczkę.

- Tak czy inaczej - ciągnęłam, uspokajając się nieco i próbując jakoś przemówić mu do rozumu - nie ma czegoś takiego jak poprawne czy niepoprawne słowa czy wymowa. To tylko takie lokalne różnice. Skoro ja mówię z akcentem, to pan też.

Ale jesteś w Sydney - powiedział facet z satysfakcją, ponownie wyciągając się na trawie. - A jak tu jesteś, powinnaś mówić po tutajszemu. Wiesz, jak to się mówi: Gdyś w Rzymie, czyń jak Rzymianie.

Z całego serca życzyłam mu, żeby był w Rzymie. Najlepiej w Kołoseum, rzucony na pożarcie jakiegoś lwu z Melbourne.

- Miło się z panem rozmawia - powiedziałam wstając i otrzepując się z trawy i paprochów. Nasza konwersacja zdawała się zmierzać do nikąd. - Muszę już iść.

- Zaczekaj, wstał również. - Jest taki upał. Jeśli nie masz nic pilnego, może wypijemy razem kawę?

Odpowiadając, tak bardzo się starałam nie mówić z akcentem, że wyszło coś pośredniego między Kylie Minogue a tą szczególną odmianą Australijczyka, który wyjeżdża do Anglii na pół roku, a po powrocie mówi tak, jakby połknął w całości ostatnie wydanie *Przemowy dla klasowo uświadomionych*.

- Nie, dziękuję - odpowiedziałam wyniośle. - Wracam do domu. - I nagle dodałam, by złagodzić nieco szorstką odprawę, gdyż w sumie to miło być zaproszoną na kawę, nawet przez maklera i miłośnika małych psów. - Mam jutro wczesny lot i muszę się spakować.

Zamiast uprzejmie przyjąć moją odmowę, facet najwyraźniej pragnął ciągnąć konwersację dalej.

- A gdzie lecisz?

No nie, co za gruboskórny typ. Gdziekolwiek, młocie, gdzie nie zobaczę ani ciebie, ani twojej psiarni.

Zamiast tej szczerzej i prawdziwej odpowiedzi wymruczałam.

- Ach, do Uzbekistanu - przypomniał sobie w porę tego korespondenta wojennego Fran. Prawdę mówiąc, była to właściwie ostatnia rzecz, jaką pamiętałam z tamtej koszmarnej nocy. Przerażona, że gość gotów mi powiedzieć, iż loty do Uzbekistanu właśnie zawieszono, szybko dałam nogę.

Z Sydney to jest tak: ledwo się wkurzysz na jego idiotyczne fochy i pretensje, to cholerne miasto robi coś, co sprawia, że natychmiast ponownie się w nim zakochujesz. Szłam powoli przez park, gdy nagle dwie małowaty na rowerach zatrzymały się tuż przede mną i jedna z nich zaczęła chichotać. Najwyraźniej pękając z ochoty podzielenia się

jakaś sensacją, młodsza z dziewczyn krzyknęła na koleżankę, aby zdradzić jej ów sekret. Starsza, udając brak zainteresowania, podeszła.

- Zgadnij, co widziałam? - Spytała młodsza, najwyraźniej przejęta własną ważnością.

- No? - spytała młodsza, wyraźnie nieporuszona.

- Widziałaś tych dwóch facetów, co się całują?

- No i co? To geje. Co, nie wiesz, kto to taki?

- Oczywiście, że wiem - powiedziała młodsza pogardliwie. Ale jeden z nich ma różowe włosy. To jest takie...no, *cool*. Podejźmy popatrzeć.

Dobra, odrzekła starsza. - A potem chodźmy popatrzeć na kaczki.

\* \* \*

Po drodze zatrzymałam się na chwilę, by kupić na Queen Street cokolwiek czekoladowego, po czym skręciłam w moją ulicę. Przed naszą kamienicą rozwalał się jakiś bajerancki samochód. Goguś (założę się, że surfingowiec) siedzący za kierownicą przyglądał mi się, gdy przechodziłam obok, a ja starałam się udawać, że go nie dostrzegam.

Wóz podjechał parę metrów, goguś nadal się na mnie gapił i nawet się uśmiechnął, ale mnie nagle opadły najgorsze podejrzenia. Dlaczego w taki piękny dzień tkwi w samochodzie, gdy tyle jest pięknych fal do przelecenia i, desek do wywoskowania? Dlaczego na przednim siedzeniu nie ma psa czy przynajmniej blond przyjaciółki, najlepiej imieniem Cherilyn. To, że goguś wyglądał na surfingowca, to pewnie tylko przebranie. Kto wie, czy to nie jakiś maniakałny zabójca. W myślach dałam sobie potężnego kopa za niefortunny pomysł zaplecenia dziś warkoczyków. Jak amen w pacierzu, pobudzą tylko u tego świra jakieś buzujące w nim fantazje z uczennicami w roli głównej. Chociaż biorąc pod uwagę mój fart dzisiejszego dnia, pewnie okaże się, że to koleś Trevora, który zgodził się pośledzić mnie przez weekend.

Zerknęłam ukradkiem jeszcze raz.

Cholera, wciąż się gapi. I jeszcze się uśmiecha i - o ! puszcza oko!

Facet właściwie był całkiem, całkiem. Ale na razie widziałam wyraźnie tylko twarz i niezłe szerokie bary. Surowo nakazałam sobie nie poddawać się wrażeniu. W końcu te części jego ciała, których widok skrywał samochód, mogły prezentować się już całkiem nieatrakcyjnie. Może jest owłosiony (grube, czarne, na pewno skręcone jak baranie runo, włosy) albo tyłek ma cały w pieprzykach?

Podchodziłam coraz bliżej i desperacko próbowałam wyglądać poważnie i surowo. W myślach powtarzałam swą mantrę: to, co tolerujemy u ludzi, może nas przerażać u koni.

Taa. Może to właśnie jest to, co miał na myśli ten cały W. R. Inge. Być może znaczyło to, że powinnam patrzeć przez palce na ewentualne deformacje u mojego potencjalnego partnera, chyba że chcę dokonać żywota mieszkając w stajni z krzyżówką Człowieka-Słonia i Konia, Który Mówi.

Goguś patrzył nadal. Sytuacja osiągnęła ten krytyczny moment, gdy oboje wiedzieliśmy, że ja wiem, że on patrzy i że to do mnie należy rozstrzygnięcie. Mogłam przyjąć (najczęściej stosowany) styl Wyniosłej Obojętności. Drugi sposób: „Wielkie Dziękuję, Ale Nie Jestem Zainteresowana, Gdyż Pozostaję w Szczęśliwym Związku z Modelem od Calvina Kleina”, był trudny do realizacji, jako że byłam w ten piękny słoneczny weekend ewidentnie sama jak palec (zamiast wylegiwać się na jachcie i z wdziękiem rozsypywać winogrona na cudownie twarde brzuch wyżej wspomnianego Modela i zbierać je ustami). W końcu ostatnia opcja, najbardziej ze wszystkich nieprawdopodobna - Bezpośredni Kontakt Wzrokowy, uśmiech i zagajenie rozmowy.

Doszłam już do podjazdu przed naszym domem. Kompletnie skołowana zupełnie przypadkowo połączyłam Wyniosłą Obojętność z Bezpośrednim Kontaktem Wzrokowym. W rezultacie obdarzyłam gogusia surfingowca wyniosłym i okrutnym spojrzeniem, na które kompletnie nie zasługiwał. Przez chwilę robił wrażenie ciut zaniepokojonego. W tejże chwili z jednego z budynków tworzących nasz kwartał wybiegł kolega (na którego najwyraźniej czekał) coś do niego zawołał.

Nie usłyszałam co, gdyż wpadłam po uszy cała z głową. O rany, co za wspaniały facet. Ciemne włosy, starannie ostrzyżone, męska przystojna twarz z cieniem weekendowego zarostu. Jeszcze wetknąć mu pod pachę *Mandoliną kapitana Corellego*, dodać okulary (żeby wyglądał na jeszcze większego intelektualistę), no i wyposażyć go w słabość do dziewcząt z warkoczami, a byłby całkowicie i kompletnie doskonały. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się tym miłym „sąsiedzkim” uśmiechem. Na krótką chwilę nasze oczy się spotkały.

A potem, bez żadnego uśmiechania, spuściłam głowę i szybko przeszłam obok niego. Zanim weszłam na pierwszy podest, kilka razy mocno rąbnęłam głową w poręcz, kierując pod swym adresem słowa, których nie słyszałam od czasów wyjątkowo przykrego incydentu z Judy Taylor w czwartej klasie. Nie do wiary. Normalnie byłam tą, która do tego miasta wnosi trochę wiejskiej spontaniczności: uśmiechałam się, mówiłam wszędzie dookoła „cześć”, uchylałam kapelusza; zmuszałam do sąsiedzkich uprzejmości starsze panie, które chciały tylko zostać same, by pogwarzyć ze swymi kotami, i dzieci, które chłodno odpowiadały mi, że mamusia zabrania rozmawiać z nieznanymi, i małolaty, które gapiły się na mnie, jakbym właśnie anonowała im swoje zarczyni ze wszystkimi pięcioma członkami ich ulubionego zespołu. A teraz, gdy z domu wychodzi chłopak, który wygląda jak Johnny Deep, Hugh Jackmann i Keanu Reeves w jednym i nawet się do mnie uśmiecha, ja go kompletnie olewam.

Postanowiłam przez chwilę udawać, że jestem Cate i rozważyć sytuację rozsądnie i spokojnie, biorąc pod uwagę wszystkie za i przeciw. Po paru minutach, doszłam do takich oto wyników: ZA

\* Miałam na sobie ten mój śliczny top w stylu „dziewczę z farmy”, pokazujący ciut za dużo i, jak sobie wyobrażałam, był wprost zaproszeniem do „Chodź ze mną pofiglować na sianie”.

\* Miałam ze sobą gazety i klasyczne dzieło dziewiętnastowiecznej beletrystyki, wyglądałam więc na osobę inteligentną i politycznie uświadomioną, zdolną lawirować bez wysiłku między



twardą rzeczywistością dzisiejszych czasów a łagodnym urokiem czasów minionych.

\* Włosy miałam zaplecione w warkocze (przyjmijmy, że kojarzy mu się to z wesołym, pogodnym usposobieniem). PRZECIWIW

\* Na tyłku miałam plamy z trawy. Były w kolorze brązo-zielonym, w żaden sposób nie dającym się uprzejmie sklasyfikować jako „oliwkowy” i pewnie wyglądałam z tym, jakbym baraszkowała w bagnie, lepiej nie myśleć z kim.

\* Byłam samiuteńka w ten przepiękny słoneczny weekend, jasne więc było, że jestem nieudacznikiem, niezdolnym do nawiązywania kontaktów towarzyskich (pewnie dlatego niosłam w przezroczystej torbie trzy czekoladowo-serowe babki na lunch).

\* Włosy miałam zaplecione w warkocze (przyjmijmy, że jemu skojarzy się to z faktem, że nie potrafię się rozstać z minioną już młodością, próbując wyglądać jak jedna ze Spice Girls).

Zacząłam rozmyślać, gdzie i jak mogę go - oczywiście całkowicie przypadkowo - spotkać. Może Armia Zbawienia zgodzi się, bym w jej imieniu zrobiła obchód od drzwi do drzwi właśnie w tym kwartale. Gdybyśmy tylko mogli zacząć rozmowę... jestem pewna, że odkrylibyśmy rychło wspólną miłość do książek, włoskiej kuchni i filmów z lat osiemdziesiątych i że mamy takie samo poczucie humoru. No i rzuciłam się z głową w sen na jawie, w którym trzymając się za ręce, szliśmy sobie wzdłuż Bondi Beach, potem spotykaliśmy znajomych, szli na drinka... O Boże. Ten jego kolega. Ten goguś z samochodu. A ja tak na niego spojrzałam. Teraz będzie mnie nienawidził. A sytuacja znacznie się pogorszy, gdy Cory Czwarty (postanowiłam tak nazwać mój ideał, od Cory'ego Harknetta III, bankiera i Kawalera Roku, bohatera *The Bonds of Trust* Millsa i Boona) i ja zaczniemy spędzać razem więcej czasu. Goguś surfingowiec zrobi się zazdrosny, gdy Cory nie znajdzie już czasu, by pograć z nim w nogę lub posurfingować, gdyż będzie wolał spędzać popołudnia bawiąc się moimi warkoczami i czytając mi na głos *The God of Smali Things*.

Długo jeszcze w nocy leżałam w łóżku, próbując nie ekscytować się zbyt tym, że tuż obok, w sąsiednim domu, jest ten, który może być Tym Jedynym, zdolnym przegnać z mego umysłu i serca wszelkie myśli o Charliem, i który będzie mnie kochał mimo mego meksykańskiego akcentu. A najważniejsze, sprawi, że już nigdy nie zjem naraz trzech czekoladowo-serowych babek.

RS

## 12.

### Lekcje prania i botaniki.

W niedzielę zbudziłam się dość wcześnie, gdy słońce zaczęło przenikać przez zasłony. Próbowałam trochę poczytać, lecz słońce grzało tak silnie, że znów poczułam się senna. Przez chwilę poważnie zastanawiałam się nad włożeniem okularów przeciwsłonecznych. Uznałam jednak, że będę wyglądać zbyt ekscentrycznie leżąc w łóżku w okularach przeciwsłonecznych i flanelowej piżmie. A przy moim szczęściu, akurat dzisiaj może wybuchnąć pożar i strażacy wyłamując drzwi zobaczą mnie w tym stroju, niczym szczególną odmianę tego gatunku ludzi, którzy noszą przeciwsłoneczne okulary w nocnych klubach.

Zrobiło się stanowczo za gorąco, by dalej leżeć w łóżku, zdecydowałam więc, że wstanę i pójdę na Queen Street kupić gazety. Grzebiąc nerwowo w stosach brudnych ciuchów walających się na podłodze sypialni, wyciągnęłam w końcu parę dzinsów i trykotową koszulkę, która na oko nie miała żadnych plam. Włosy miałam tak splątane (koniecznie muszę dzisiaj kupić nową szczotkę!), że zdecydowałam zostawić je w tym stanie, przekonując samą siebie, iż nadaje mi to w istocie bardzo seksowny, rozkosznie niedbały i ogólnie pociągający wygląd rannego ptaszka (nieco potarganego w łóżku z oczywistych przyczyn). Wsunęłam stopy w klapki, złapałam portmonetkę i klucze i zatrzęsnęłam drzwi.

Na dworze niebo było wspaniale niebieskie, a słońce świeciło jasno, kompletnie ignorując fakt, że teoretycznie wciąż jest zima. Co prawda, było troszeczkę chłodno (zwłaszcza w cieniu) i wkładając trykotowy top, wykazałam się chyba zbyt dużym optymizmem. Przyspieszyłam kroku, postanawiając rozgrzać się szybkim spacerem.

Było jeszcze wcześniej i na ulicy spotykałam tylko gorliwych wiernych, podążających właśnie do kościoła, lub tych, co wracali do domu z nocnych imprez, co razem tworzyło dość ciekawą mieszanicę. Ignorując pijackie zaczepki ze strony paru facetów w czapeczkach, dziwnie przypominających damskie pumpy, ruszyłam ulicą, darząc ciepłym, pełnym poczucia porannego braterstwa uśmiechem starszą panią idącą z przeciwka. Pani na mój uśmiech odpowiedziała miną pełną potępienia mego wyglądu, zdecydowanie skreślając mnie jako jedną z tych Niechlujnych Dzisiejszych Dziewczyn, co to do supermarketu chodzą ubrane w telefon komórkowy, pantofelki za 400 dolarów i szydełkowe wdzianko. Poczułam nagłą i przemożną chęć wytłumaczenia jej, że moja koszulka to rezultat sauny, w jaką poranne słońce zmieniło mi sypialnię, a niewyszczotkowane włosy to do-prawdy drobiazg, który może się przytrafić każdemu i zawsze w następstwie chwilowego ataku ostrego obojowstrętu. Dama jednak przeszła obok, nie zmieniając wyrazu twarzy. Pozostało więc mi iść dalej z nagłym poczuciem zakłopotania i dyskomfortu, gdyż zorientowałam się, że sutki stwardniały mi od chłodu i zbyt nachalnie wypychają mi koszulkę.

Czekając na światłach na skrzyżowaniu, próbowałam jakoś nie zauważać, że wszyscy przejeżdżający kierowcy najwyraźniej zwalniają i wpatrują się w mój biust. Przez chwilę próbowałam drobić w miejscu udając, że jestem jedną z porannych biegaczek, lecz natychmiast zdałam sobie sprawę, że nie wyglądam na taką w dżinsach i klapkach. Jednak nie wszyscy wydawali się krytycznie odnosić do mego stroju. Wprawdzie kioskarz poczęstował mnie dość podejrzliwym spojrzeniem i wstrzemięźliwym powitaniem, za to ze strony szesnastolatka z delikatesów (znajdującego się w samym środku burzy hormonów) spotkało mnie niezwykle entuzjastyczne przyjęcie i nadzwyczaj gorliwa obsługa.

Gdy wracałam do domu z plikiem prasy, kartonem soku pomarańczowego i pierwszymi objawami wychłodzenia organizmu, chyba ze trzy osoby zatrzymały się pytając, czy aby nie zmarłam. Po jednej

tylko próbie wyjaśnienia (że to wszystko przez poranne słońce w mojej sypialni) i po następnej (że wszystkie moje swetry są w praniu), poddałam się i ostatniemu facetowi, który zatroszczył się, czy nie zmarłam, odwarknęłam, że takie twarde sutki mam od urodzenia i że w wielu kulturach zwracanie uwagi na deformacje fizyczne uważane jest za skrajnie nieuprzejme. Teoretycznie powinien się na to przyknieść i odczepić, lecz zamiast tego facet przyspieszył i zaczął iść za mną, musiałam więc - w tych swoich klapkach - zacząć biec, tym razem naprawdę.

Ciężko dysząc, skręciłam w swoją ulicę i nagle zobaczyłam dziewczynę z długim blond końskim ogonem idącą z przeciwka. Ubrana była w dokładnie takie efektowne obcisłe portki, jakich szukałam od dawna. Dziewczyna skręciła ku naszemu podjazdowi. Z nagłym przygnębieniem pomyślałam, że to na pewno boska dziewczyna Cory'ego. Na pewno szykuje teraz francuskie tosty, niecierpliwie oczekując jej powrotu, by mógł jej powiedzieć, że zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, kiedy zobaczył ją w tych obcisłych porteczkach, a jego wyznania skończą się pewnie tym, że już po raz czwarty tego ranka zaczął się kochać. Mój dobry nastrój wyparował w okamgnieniu. Wyobraziłam sobie, jak przydzwaniam złożoną gazetą w tą jej śliczną główkę. Poczułam się jednak nieco lepiej, gdy dziewczyna minęła nasz blok i weszła do budynku leżącego na prawym skraju kwartału. Uznałam natychmiast, że jest ona bardzo miłą dziewczyną i zastanawiałam się, czy nie obraziłaby się, gdybym ją spytała, gdzie kupiła te swoje porteczki.

Co do Cory'ego, jeśli - jak sądziłam - mieszkał w mojej kamienicy, to faktem jest, że nigdy jeszcze nie spotkałam go przed tym nieszczęsnym incydentem ze mną jako Poly-anną z warkoczykami i morderczym spojrzeniem. Zapewne dopiero co się wprowadził. Wystarczy tylko (zakładając optymistycznie, że nie jest gejem, nie ma dziewczyny i nie trzyma jakiegoś psiska-miniaturki), że wpadnę na niego (przypadkiem!) ponownie, a tym razem będę tak słodka i miła, że zaprosi mnie na randkę, zanim zdąży wpakować się w związek z którąś

z tych nienormalnie chudych dziewczyn z Oxford Street. Właściwie nie powinnam rozmyślać o kimś, kogo właściwie nie znałam, lecz stwierdziłam, że to zdrowsze od rozmyślań o moim byłym bez nadziejnym matole, który zamiast mnie wolał swoją dziewczynę, bezwartościową, wredną i kompletnie mi nie znaną. Następnie przeskoczyłam gładko do rozważenia wariantu tkwienia na podjeździe przez dwadzieścia cztery godziny, by być na posterunku, gdy Cory będzie następnym razem wychodził z domu.

Tym razem weszłam do kamienicy od tyłu i natychmiast zauważyłam coś bardzo podejrzanego (Lokal Numer Dziesięć byłby ze mnie dumny). Na podwórzu, na sznurach łopotało mnóstwo mokrego jeszcze prania, czyli pralka najwyraźniej została uruchomiona. Osoba lub Osoby Nieznane skończyły już z jedną porcją prania, a dochodzące z pralni odgłosy wskazywały, że następna właśnie się pierze. Sądząc z rzeczy zwisających ze sznura (narzuta w stylu Kylie Minogue, kolarzówki z lykry i elastyczne szorty), powzięłam podejrzenie, że przestępcą jest albo Dwunastolatka Spod Siedemnastki, albo Wredny Gerard Spod Jedyńki. Obstawiałam raczej Wrednego Gerarda, gdyż jego mieszkanie znajdowało się tuż koło pralni i jeśli ktokolwiek inny ośmielił się używać pralki poza godzinami, Wredny Gerard w odwecie kazałby swemu sznucerowi miniaturowe, Bunty'emu, nasiusiąć przestępcom na wycieraczkę.

Do głębi poruszona myślą, że mogę wreszcie mieć zapas czystych ubrań i w związku z tym nie być zmuszoną do dalszego noszenia przypadkowych kombinacji ciuchów, pognałam na górę, połknęłam śniadanie i załadowałam pełen kosz brudów. Złapałam klucze oraz proszek i ruszyłam z powrotem na dół. Tam, u drzwi naszej straszliwej, przerażającej pralni (przypominającej apartamenty Hannibala Lectera), nadziałam się na ogonek, który długością i nastrojem jego uczestników przypominał kolejki, jakie tworzą się w delikatesach tuż przed zamknięciem, kiedy to skądinąd spokojni i rozsądni ludzie gotowi są pobić się o ostatnie porcje befsztyków czy z lekka już oklapnięte i przejrzałe owoce.



Muszę powiedzieć, że obserwowanie tych dobrze wychowanych i dystygowanych mieszkańców Wollhary, jak szarpia się o cokolwiek, jest źródłem wielkiej uciechy. Niestety, po trzykrotnym bieganiu po schodach tam i z powrotem z ciężkim koszykiem pełnym brudów, tylko po to, by za każdym razem stwierdzić, że Wredny Gerard okupuje pralkę i wciąż kursuje między pralnią a swym mieszkaniem, w końcu sobie odpuściłam. Wbiłam się w dość oryginalny komplet ciepłej bielelizny w purpurowo-zielone paski, pożyczyłam od Hattie samochód i pojechałam odwiedzić Fran.

\* \* \*

Fran mieszkała na jednym z tych mało szykownych przedmieść, w ogromnym gmaszysku, które jakieś dziesięć lat temu mogło być straszliwie drogie i straszliwie trendy. Wchodziło się przez potężne obrotowe drzwi. Fran miała tu pracownię na parterze, nad nią zaś mieszkanie, do którego trzeba było się wspinać po straszliwie wąskich schodach, których pokonywanie zdawało się zawsze grozić śmiercią lub kalectwem. Odwiedzając Fran, trzeba było brać ze sobą własną poduszkę do siedzenia, gdyż z powodu tych koszmarnych schodów mieszkanie jej było praktycznie pozbawione mebli.

Gdy weszłam, Fran akurat wisiała na telefonie, położyłam więc poduszkę na podłodze i nalałam sobie czerwonego wina z otwartej butelki.

Usłyszałam, jak Fran mówi - Cześć Zoe. - Rozłączywszy się, odwróciła się do mnie, mówiąc (całkiem niepotrzebnie):

- To Zoe. Wydaje przyjęcie z okazji swych urodzin, ale mówiła, że zadzwoni do ciebie i poda szczegóły.

- Pysznie. Ale, ale, chciałam właśnie zapytać - jak tam twój doktor?

- To znaczy mój botanik?

- To on jest botanikiem? Myślałam, że jest doktorem medycyny, przecież odbierał poród w tej wiosce ...

- A, on. - Fran strzepnęła z siebie doktorka niedbałym ruchem lewej ręki (w której trzymała kieliszek wina; na szczęście nic się nie rozlało). - Zapomnij o nim, to facet z tej samej co Charlie podgrupy Facetów, którzy Nie Dzwonią. Nie zadzwonił. Chociaż z drugiej strony, wiesz, to zabawne, właśnie wprowadził się do domu Zoe.

- No, to szybki jest. A co, Zoe zerwała wreszcie z Torebką?

- No tak, ale ona nie spotyka się z doktorem Jackiem. Ona i ten jej współlokator Alex szukali kogoś na trzeciego, a Alex znał go skądś tam.

Rzeczywiście zabawne, ale i niezbyt zaskakujące, że ten doktorek położnik Fran wprowadził się właśnie do Zoe. Sydney może i wydaje się wielkim miastem, ale gdy już raz wejdiesz w jakiś krąg znajomych, okazuje się, że nie jest większy niż obsada *Sąsiadów*.

- Wydaje mi się, Belle, że polubiłabyś doktora Jacka. A on tym bardziej polubiłby ciebie - powiedziała i wyszczerzyła się.

- Co właściwie masz na myśli?

Ściągnęła wargi i zlustrowała mnie od stóp do głów.

- No, jesteś w jego typie. Wygląda mi na takiego, co to lubi określony typ urody, pewnie dlatego nie zadzwonił do mnie.

Okręciła wokół palca pasmo swych rudych włosów i przyjrzała się im smętnie.

- Mam nie ten kolor włosów. Nie dość egzotyczny dla niego. Za to ty jesteś właściwie jak na zamówienie. A to jest naprawdę uroczy, inteligentny facet. Kobiety za nim szaleją.

- Wielkie dzięki Frannie, ale nie skorzystam. Nie przepadam za powierzchownymi Niedzwoniącymi Facetami, nawet jeśli potrafią czytać i mają swoje fanki. - Przez chwilę myślałam, czy nie powiedzieć jej o Corym Czwartym, lecz postanowiłam, że nie: chciałam go jeszcze choć na trochę mieć tylko dla siebie.

Fran upiła trochę wina, po czym zauważyła nieśmiało.

- Teraz spotykam się z botanikiem. Pamiętasz tego faceta, którego poznałam na otwarciu wystawy? Wtedy kiedy się zalałaś i mrugałaś do obrazów.

O, to znaczy, że ten pozapinany pod szyję Pan Nieokreślony należy do rzadkiej rasy botaników, którzy potrafią używać telefonu.

- Przyrowadzisz go na przyjęcie do Zoe? - Byłam naprawdę ciekawa tego faceta, którego z tamtej imprezy właściwie nie pamiętałam. A poza tym nigdy nie spotkałam jeszcze botanika. Mętnie wyobrażałam go sobie jako skrzyżowanie Jamiego Durie z *Backyard Blitz* z Donem Burką.

- Chciałabym, ale nie jestem pewna, czy będzie mógł przyjść - odpowiedziała dość tajemniczo Fran i dodała dumnie: - wiesz, on teraz prowadzi ważne badania. Zapyła pręciki rododendrona pyłkami orchidei, czy coś takiego.

Dobry Boże, w niektórych zawodach, gdzie się obrócisz, wszędzie tylko seks, seks, seks. Botanicy nagle objawili się mi jako obleśni pornowładcy krainy kwiatów, zmuszający niewinne młodzietki pączki do robienia rzeczy pokretnych i nienaturalnych.

- Czy on nosi biały fartuch? - spytałam, usiłując wyrzucić z umysłu obraz podnieconego Dona Burkę w plastikowym płaszczu deszczowym wyczyniającego przedziwne rzeczy z kwiatowymi kompozycjami podobnymi do Georgii O'Keefe.

- On nosi granatową wiatrówkę - powiedziała Fran, chyba nieco zaskoczona moim nagłym zainteresowaniem garderobą botanika.

- Mnie chodzi o to, co nosi w laboratorium.

- A, no nie sądzę. Właściwie to nie wiem. Nigdy jeszcze nie byłam w laboratorium.

- Założę się, że on nosi biały fartuch. I na szyi taki mały podręczny zbiorniczek ze środkiem chwastobójczym. Całkiem jak doktor Carter z *Ostrego dyżuru*.

Mmm, prawdę mówiąc, taki zbiorniczek na szyi trochę upodobniłby botanika do bernardyna Barry'ego.

- Wiesz, on jest taki romantyczny - rzekła Fran rozmarzonym głosem. - Wczoraj wieczorem poszliśmy do parku i on zerwał dla mnie *Helioagapanthus* i wytłumaczył mi, że to bardzo rzadka od-

miana *agapanthusa*. W starożytności używali jej, by czcić boga słońca.

- Jakiego boga słońca?

- Ojej, nie wiem - odpowiedziała niecierpliwie Fran. Najwyraźniej skupiłam się na nieważnych szczegółach, pomijając romantyczne sedno. - Apollo albo Ra albo jakiś typ z reklamy kwarcówek. Jak wróciłam do domu, zasuszyłam kwiat w moim dzienniku.

Kątem oka zauważyłam dziennik Fran leżący przy łóżku. Zaczynał już po trosze przypominać szekspirowski Las Birnamski. Rozpychały go gałązki drzew i krzewów oraz mnóstwo zeschniętych brązowych płatków. Właściwie to łaska boska, że nie spotkała na swojej drodze zoologa. Wtedy między szczegółowymi relacjami z kolejnych wystaw i filozoficznymi rozważaniami, jak właściwie działają telefony komórkowe, spoczywałyby tu ślicznie rozplaszczony małe pandy i wombaty.

- On nie nosi butów - dodała Fran tonem wyraźnie aprobującym taki wybór.

- No, to ma sens. Pewnie lubi czuć przyrodę pod stopami, jesienne liście, miękką trawę i te rzeczy.

- Mhmmm. - Pociągnęła łyk wina i dodała. - Czy zwróciłaś uwagę, jak wiele osób w Sydney nie sprząta po swoich psach?

Wzdrygnęłam się. Nie, naprawdę nie mam ochoty wyobrazić sobie bosego botanika, jak nieświadomie stąpa po tym, co Bunty posadził na trawniku.

Spędziłyśmy przyjemną godzinę, wymyślając dowcipy o kwiatowym seksie i różnych pręcikach. W końcu pożegnałam się. Jadąc do domu, uśmiechałam się do siebie pełna nowych nadziei. Jeśli Fran trafił się taki wspaniały ekscentryczny botanik, to na pewno jest gdzieś ktoś, kto trafi się mnie.

Najlepiej Cory.

Obuty.

\* \* \*

W końcu gdzieś koło szóstej wieczorem udało mi się uruchomić dopiero co naprawioną pralkę. Wrzuciłam pranie do środka, a po dwudziestu minutach zbiegłam ponownie na dół, by wrzucić je do suszarki. Moja standardowa procedura korzystania z pralni polega na wpadaniu i wypadaniu tak szybko jak tylko możliwe, unikając patrzenia w górę, w dół lub gdziekolwiek, gdzie może czaić się pająk. Gdybym go bowiem zobaczyła, moja noga nigdy by już w pralni nie pozostała. Niestety, dziś musiałam przyhamować. Mrugające światełko wskazywało, że pralka jest przeładowana. Po dłuższej szarpaninie ze stosami mokrych ubrań i poskręcanych pończoch udało mi się jakoś rozdysponować cały ładunek, a pralka wreszcie zaczęła współpracować. Zostało jeszcze płukanie i odwirowanie. Nie warto było już drapać się na górę, by zaraz potem zbiegać, postanowiłam więc zostać w pralni i poczekać do końca prania.

O rany, jak ja nie cierpiałam pralni i prania. Nowe Drzwi Zabezpieczające Przed Złodziejem Monet zatrzasnęły się z głuchym hukiem, odcinając mnie od słońca, świeżego powietrza, zielonej trawy i stokrotek, zamykając mnie w betonowym bunkrze, który wyglądał tak, jakby urządzono go na specjalne zamówienie seryjnego mordercy. Oprócz pralki całkiem niedawno wzbogaconej o suszarkę, stały tu jeszcze olbrzymie pordezwiąłe wanny i jakieś zupełnie nieprawdopodobne przedwojenne ustrojstwo, nie wiadomo do czego. Poza tym na wyposażenie pralni składało się około trzystu ogłoszeń przypinanych wszędzie przez Lokal Numer Dziesięć, pouczających lokatorów o prawidłowym sposobie używania pralki, suszarki i wanien, o regułach rządzących zapalaniem i gaszeniem światła, o godzinach korzystania z pralni, i tak dalej, i temu podobne. Po kątach wisiały pajęczyny, w świetle lamp tańczyły drobinki kurzu, a ostatecznego efektu grozy dopełniała płatanina rur gazowych na jednej ze ścian, co przywodziło nieuchronnie na myśl: a co będzie, gdy gaz i centralne ogrzewanie wybuchną razem i zginiemy tu wszyscy, przysypani przez

poszarpane na strzepy pranie? Nagle zdałam sobie sprawę, że jeśli zostanę tu uwięziona, zemrę przypuszczalnie z głodu, zanim ktokolwiek mnie odnajdzie, a nawet jeśli jedyną osobą, która zauważy moją nieobecność i podniesie alarm będzie Trevor, to i tak nie potrafi zidentyfikować mych zwłok, bo akurat nie mam na sobie czerwonej spódnicy. Pograżyłam się w swych posepnych rozmyślaniach, wywołanych przez budzące grozę otoczenie, nie zdając sobie sprawy, że stoję ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, morderczym okiem łypiąc na pralkę i na dodatek mamroczać coś pod nosem. I wtedy właśnie do pralni wparował Cory z naręczem koszul, skarpet, całkiem miłych dla oka szortów joggingowych i bielizny. Wystraszyłam się tak, że wrzasnęłam. Cory zaczął nerwowo wypatrywać, któż kryje się w pralnicowych czeluściach, po czym wydał z siebie jakiś całkiem niebohaterski dźwięk, który można było opisać tylko jako skowyt.

- O Boże, ale mnie pan, kurde przestraszył - powiedziałam wytwornie, gdy wreszcie mogłam złapać oddech.

- To, pani mnie, kurde, przestraszyła na śmierć - odparował.

Ta króciutka, czarująca i dowcipna konwersacja, przypominająca najlepsze kawałki Spencera Tracy i Katharine Hepburn, urwała się nagle. Uświadomiłam sobie, że Cory dziwnie mi się przygląda. O żes ty. Tak już przywykłam do ubierania się - z braku czystych ciuchów - w byle co i kompletnie zapomniałam, że kostium baletowy naciągnięty na strój piankowy to dość nietypowy ubiór weekendowy. A niech tam. Teraz już za późno na przebieranie.

- Przepraszam - odezwał się Cory przepięknym niskim głosem. Przesunął się jakby trochę w tył, bliżej drzwi. - Mój sąsiad mówił mi, że tutaj ktoś pomyłon... - błyskawicznie poprawił się - ktoś, eee...pilnuje pralki - plątał się, gdyż dotarło do niego, że rozmowa idzie w jeszcze gorszym kierunku niż na początku.

Kompletnie zapomniałam o okupacji pralni przez Wrednego Geralda, nie byłam więc pewna, co Cory dokładnie ma na myśli. Chyba że Lokal Numer Dziesięć postanowił 'czatować' w pralni, by schwytać wreszcie Złodzieja Monet. Nigdy nie przypuszczałam, że w naszym



kwartale jest tylu chętnych do śledzenia: Trevor śledzi mnie, ja wypatruję Cory'ego, a Lokal Numer Dziesięć poluje na Złodzieja Monet. Dziw, że na tablicy ogłoszeń nie pojawiły się jeszcze reklamy zapowiadające okazijną wyprzedaż noktowizyjnych podczerwonych lornetek (z demobilu), a na podwórzu nie suszyły się jeszcze na sznurach czarne maskujące kombinezony i kominarki.

Zadumałam się na chwilę nad tym, jak ponure i wyobcowane jest życie we współczesnym mieście, gdzie najbliżsi sąsiedzi trzymają się oddzielnie i nigdy nie przyjdzie im do głowy, jak wiele ich łączy. Natomiast w jakimś szczęśliwym alternatywnym świecie Lokal Numer Dziesięć i ja moglibyśmy po bratersku dzielić się kanapkami i gorącą herbatą z termosu, gdy dobrze ukryci w klombach, o trzeciej nad ranem, czatowalibyśmy: ja na Cory'ego, a on na Złodzieja Monet. Ruszyłam w kierunku Cory'ego uśmiechając się przy tym szeroko i chyba odrobinę nieprzytomnie, gdyż naprawdę cieszyłam się, że go widzę i że okazał się tak przystojny, jak mi się na początku zdawało.

- Hej! - powiedziała błyskotliwie z twardym postanowieniem, że tym razem będzie to normalna, właściwa, zwyczajna rozmowa. - *Jak się pan miewa?* (Trzeba wiedzieć, że kursywą mówię nie tylko wtedy, gdy jestem pijana - także gdy jestem zdenerwowana).

- O, dziękuję, świetnie - odpowiedział dość nerwowo Cory, cofając się jeszcze o krok i gubiąc przy tym parę gatek. Schylił się, by je podnieść, lecz oczy miał cały czas czujnie wlepione we mnie. Rzuciłam się, by mu pomóc, złapałam gatki i nieszczęśliwym trafem podniosłam się i spojrzałam na niego w tym samym momencie co on, stuknęliśmy się więc z rozmachem głowami, aż pociemniało mi w oczach.

Staralam się skupić na jego pięknie rzeźbionych rysach, ale mój wzrok był jeszcze nieco mętny. Łypnęłam na niego, trochę jak ciężko zszokowana ryba lub zdemaskowany szpieg.

- Lubi pan kino? - Spytałam w ostatecznej rozpaczy, wciąż mrużąc i z takim entuzjazmem w głosie, jakby film dźwiękowy dopiero co wynaleziono. Cory podniósł się, lekko się zachwiał, wybąkał coś i

zwiął, podczas gdy ja rozpaczliwie wołałam za nim, machając jego gatkami, całkiem jak wojenna narzeczona machająca chusteczką na peronie, gdy pociąg uwozi w dal jej ukochanego żołnierzyka.

W końcu odwróciłam się i załamana wróciłam do pralni. Wciąż nie znałam jego prawdziwego imienia. Cholerna pralka stanęła znowu i światelko znów świeciło się na czerwono. Pomyślałam sobie, że może pralka w ten mało subtelny sposób komentuje stan mego umysłu. Przez chwilę bawiłam się pomysłem, by wszystko cisnąć w diabły, wdrapać się na pralkę, posiedzieć tam z godzinę, wszystko przemyśleć i jakoś się pozbierać, póki nie uświadomiłam sobie z narastającym uczuciem przygnębienia, że skoro nałożyłam strój baletowy na dres po raz pierwszy w ciągu paru tygodni, to przypuszczalnie byłam właściwie ubrana na ten właśnie moment.

Zupełnie na bakier z logiką, jak przystało na kogoś ze złamanym sercem, przejście od rozpaczki, że wobec Co-ry'ego wyszłam na idiotkę, do jeszcze głębszej rozpaczki, że Charlie nigdy nie zobaczy mnie w stroju baletowym, odbyło się błyskawicznie. Wkrótce potem znalazłam się w mieszkaniu, znów na kanapie i urządziłam sobie długi i wyczerpujący seans łkań, szlochów i czknieć, dopełnianych gwałtownym pociąganiem nosem, co w połączeniu ze strojem mniej więcej odpowiadało memu wyobrażeniu Umierającej Łabędzicy z *Jeziora łabędziego*. Zmusiłam się w końcu do wstania i poszukania chusteczek. Wytarłam oczy i wydmuchałam nos. Rany boskie, ileż to już razy w tym tygodniu się poryczałam? Nagle poczułam okropne obrzydzenie do samej siebie za ten cały czas zmarnowany na płacze i myśli o Charlie i Ślizel. Przecież to pewne jak w cholernym banku, że tych dwoje - o ile w danej chwili nie jeździ na wrotkach i nie troszczy się o siebie - na pewno nie siedzi rozmyślając sobie o mnie. I nagle postanowiłam sobie: szlus! To już ostatni raz tak siedzę sama w domu, rycząc i litując się nad sobą. Odtąd będzie tylko Nowa Ja. Koniec z piciem, koniec z rozczulaniem się nad samotnym i żalonym życiem... Od jutra zaczynam wszystko od nowa. Będę chłonąć życie pełną piersią i korzystać ze wszystkich rozrywek, jakie Sydney może mi ofiarować (oczy-

wiecie poza narkotykami i niedozwolonym seksem). Nie pozwolę, by Charlie i Ślizeł na odległość psuli mi humor. Zaczynam nie tylko nowe życie - zaczynam nowy Styl Życia. Z czasem Charlie zrozumie, jak straszny błąd popełnił i zadzwoni mówiąc, że znów chce być ze mną. A ja będę tak zajęta swoim nowym życiem z jego intelektualnymi wyzwaniem, swoim nowym programem utrzymania formy i linii oraz morale, a także niezwykle intensywnym i bogatym życiem towarzyskim, że nie będę nawet pamiętać, czy kiedykolwiek zależało mi na nim.

RS

## 13.

### Samodoskonalenie i gerbery

Siedziałam w do połowy wypełnionej sali. Bardzo Sławny Pisarz był właśnie pospiesznie przyuczony do obsługi rzutnika. Gdy tylko bowiem powiadomiłam Fran o swoich planach na temat Nowej Mnie, zaproponowała, byśmy się obie udały na wykład o dziewiętnastowiecznym pisarzu Johnie Ruskinie, który na Uniwersytecie Sydneyjskim miał wygłosić Bardzo Sławny Pisarz. W głębi duszy liczyłam na to, że na wykładzie będzie paru poważnych, ale też i niezmiernie męskich doktorów filozofii (pożądane okulary i rozwichrzona czupryna), z zaczytanymi do imentu egzemplarzami dzieł Ruskina i Prousta, wystającymi z ich plecaków. Zaczęłam już wyobrażać sobie powykładową kawę z okularnikiem w typie Keanu Reevesa i naszą rozmowę, w której używamy takich słów, jak postmodernizm i destrukcjonizm, a wokół kelnerzy przysłuchują się nam z podziwem.

Niestety, na wykład nie przyszedł ani jeden taki okaz, a sądząc po średniej wieku publiczności, większość pojawiła się tu, bo kolegowiała się z Ruskinem w szkole. Wzrokiem pełnym nadziei obdarzył mnie jak na razie tylko wiekowy jegomość ubrany w zielony kombinezon, w którego splecionej brodzie tkwiło mnóstwo jakiś smakowicie wyglądających okruchów. Przyznając z żalem, że jestem niewymownie płytka i próżna, i dlatego przejmuję się jego niezbyt wysoką pozycją w rankingu zrób-wrażenie-na kelnerze, udałam pochłoniętą miętoszeniem serwetki. Staralam się przy tym nie myśleć, że właściwie to jestem strasznie głodna, i nie zastanawiać się, co za herbatniki jadł Zielony Kombinezon, czy jeszcze jakieś zostały i czy dałoby się capnąć jeden bez konieczności udawania, że interesuje się nim seksualnie.

Bardzo Sławny Pisarz rozgryzał teraz problem, jak się cofa przezrocza. Na horyzoncie pojawiła się Frannie. Sączyła kawę i wyglądała absolutnie fantastycznie.

Zawsze czułam się kompletnie zdołowana, gdy na pokoje wkraczała Fran. Natychmiast chciałam wybiec i zmienić ubranie na jakieś bardziej zwariowane i wystrzałowe niż standardowy czarny kostium czy gustowna spódnica, zwykle przeze mnie noszone. Zresztą gdybym nawet obkupiła się w nowe ciuchy, zawsze brakowałyby mi talentu i śmiałości Fran w komponowaniu stroju, by na przykład okręcić wokół szyi chustę z czerwonego aksamitu czy przerobić jaskrawo-żółtą szatę z indyjskiego bazaru na cygańską spódnicę. Próbowałam ją naśladować, ale jedyna chusta, jaką miałam, należała niegdyś do babci Charliego i choć była ciepła i przytulna, w swej wełnianej szarości nie nadawała się jakoś do przekształcenia mnie w stylową, a zarazem ekscentryczną istotę, jak sobie skrycie marzyłam.

Pomachałam do Fran. Zauważyła mnie i odmachala, po czym ruszyła w dół sali, zatrzymując się praktycznie przy każdym rzędzie siedzeń, by powiedzieć „cześć” i porozmawiać ze znajomymi. Jeśli chodzi o mnie, mój krąg znajomych w Sydney był tak szczupły, że było wysoce nieprawdopodobne, że wpadnę na kogoś nieoczekiwanie (w Melbourne było akurat odwrotnie).

Rozejrzałam się jeszcze raz po sali. Spostrzegłam nagle pewną Umiarkowanie Sławną Pisarkę, którą spotkałam kilka razy w pracy. Pisarka pochwyciła mój wzrok, rozpoznała mnie, lecz zarazem obdarzyła mnie takim spojrzeniem, że poczułam się jak kawałek sera, który próbowała zidentyfikować. Uznałam, że jej nie cierpię, a potem zaczęłam marzyć, że podejdzie do mnie, a ja będę mogła zrobić wrażenie na tych wszystkich kolegach-Ruskina-z tej-samej--klasy, którzy zobaczą, w jakich jestem zażyłych stosunkach z taką znakomitością. Gdy Umiarkowanie Sławna Pisarka nadal patrzyła tak jakoś przeze mnie, poczułam, że znowu jej nie cierpię i opadły mnie wyjątkowo wredne myśli o jej fatalnie obciętych włosach. W końcu poczułam się taka samotna i nieszczęśliwa w tym tłumie, gdzie wszyscy się znali, że za-

częłam myśleć, czy nie pomachać przyjacielsko do Zielonego Kombi-  
nezonu. Szczęściem Fran klapnęła właśnie na krzesło obok mnie,  
światła pogasły i zaczął się wykład.

Właściwie to już dawno nie byłam na żadnym wykładzie, choć  
miło wspominałam swoje uniwersyteckie lata. Lubiłam czytać i pisać  
eseje, a studia naprawdę sprawiały mi przyjemność. Prawdę mówiąc,  
byłam kujonem. Teraz jednak pomyślałam, że chyba trochę upiększy-  
łam swe studenckie wspomnienia. Właściwie większość czasu na wy-  
kładach spędzałam rozmyślając nad różnymi aspektami swego życia  
osobistego, a monotony głos wykładowcy i szepty kolegów stanowi-  
ły doskonałe tło dla tych medytacji (prawie jak cichutko mrużona  
mantra).

Także i teraz, jakieś pięć minut po rozpoczęciu wykładu, moje  
myśli znów zaczęły błądzić wokół Charliego. Natychmiast dałam so-  
bie mentalnie w pysk i zmusiłam się do słuchania wykładu. Ledwo  
jednak zdołałam się skoncentrować na opinii Ruskina o Turnerze, po-  
wstał problem z rzutnikiem i przezroczami. Wykład na chwilę prze-  
rwano, a kilku poważnie wyglądających brodatych facetów zaczęło się  
miotać, by zmusić rzutnik do dalszej pracy.

Zanim jednak zbiorowisko najsubtelniejszych umysłów w dzie-  
dzinie historii sztuki zdołało rozeznąć się w zawiłościach budowy  
rzutnika, moje myśli poszybowały ku innemu miniproblemowi natury  
moralnej. Uznałam, że skoro jestem na tyle intelektualnie nieodpo-  
wiedzialna, że nie mogę skupić się na słuchaniu wykładu, to przy-  
najmniej zmuszę się, by rozmyślać raczej o Corym niż o Charliem.  
Zwłaszcza że rozmyślanie o tym ostatnim - miał przecież już nową  
dziewczynę - były nie tylko intelektualnie, ale i moralnie naganne.

Niestety, nic to nie dało. Zaczęłam natychmiast snuć wyjątkowo  
wredne i złowieszcze marzenia na temat Ślizel i całkiem niechcący i  
nieświadomie wydałam z siebie wzgardliwy okrzyk „Ha”, akurat pod-  
czas krótkiej chwili ciszy, przez co powędrowały ku mnie zgorzone  
spojrzenia wszystkich pilnych słuchaczy-kujonów, którzy z zapartym  
tchem śledzili kolejną próbę zmiany przezrocza.



Gdy wykład wreszcie się skończył (w przybliżeniu po trzech awariach rzutnika), rozbłysły światła, rozległy się słabe oklaski, a następnie wszyscy zerwali się z krzeseł niczym potraktowane wysokim napięciem kangury. Wszyscy ci wykształceni i subtelni ludzie zaczęli mówić bardzo głośno i profesjonalnie na temat wysłuchanego wykładu i, czy to miało związek z jakimiś gładzeniami jakiegoś kompletnie nieczytelnego filozofa, czy też z odzyskiwaniem czucia w zdrętwiałych nogach, faktem jest, że cała sala nagle wypełniła się ludźmi znajdujących się w różnym stopniu Teoretycznego Pobudzenia.

Gdy już wszystkie szpile zostały wbite gdzie i komu trzeba, Fran i ja zmyłyśmy się stamtąd i udałyśmy się do Glebę Point Road, by wrzucić coś na ruszt.

- No, to co sądzisz o wykładzie - spytała w końcu Fran, gdy przyniesiono nam zamówione dania (a czułyśmy się prawie tak jak wygłodniałe kangury, które zwątpiły już, że kiedykolwiek jeszcze ujrzą trawę).

Nabrałam trochę makaronu i zamyśliłam się.

- Najbardziej podobało mi się, jak on czytał na głos fragmenty, w których Ruskin opisywał obrazy Turnera. To taki piękny stary język. A poza tym nikt nie czytał mi na głos od czasów podstawówki (co prawda planowałam zaprząć Cory'ego do aktywnego zajęcia się literaturą, jak tylko znów się spotkamy, zakochamy w sobie i zamieszkamy razem, i dobrze by było, żeby to wszystko stało się, zanim dostanę okresu i wpadnę w swój zwyczajowy comiesięczny gigantyczny dołek menstruacyjny).

Fran upiła trochę wina. - Prawdę mówiąc, nie bardzo zrozumiałam, o co tam chodziło. Na przykład ten kawałek o rekonstruowaniu destrukcjonistycznej postmodernistycznej tendencji do neoklasycystycznej dwuznaczności. Co to ma wspólnego z Turnerem czy Ruskinem?

- Nie mam pojęcia - gdałam radośnie. - I mam to gdzieś. Może zamówimy jeszcze jedną butelkę?

Fran przyjrzała mi się jakby z zaciekawieniem.

- Ty chyba niewiele zrozumiałaś z wykładu?  
- Zero. Ale przezrocza były fajne.  
- To dlaczego jesteś nagle taka radosna? Dlaczego nie jesteś przygnębiona, nie wydziwiasz, jaka to jesteś głupia i jaki z ciebie nieudacznik i że powinnaś się zapisać na skrócony kurs o kulturze?

- Ponieważ tego wszystkiego już nie ma. Jestem całkowicie zadowolona i szczęśliwa. Podobał mi się wykład. To cudownie robić coś nowego i intelektualnie pobudzającego, nawet jeśli to tak cholernie długo trwa, i rozmyślałam

o moim życiu uczuciowym i o chuście, którą chcę kupić. Ale jeśli mam wymienić swe własne już oswojone lęki

i obawy na cały stos jakichś innych intelektualnych, zrozumiałych rozwiązań, tylko po to, by potem o tym głądzić i zanudzać każdego idiotę na temat arbitralności i płynności znaczeń, to ja chromolę.

Fran spojrzała na mnie z niejakim szacunkiem.

- Chcesz powiedzieć, że naprawdę nie dbasz o to, że nic nie zrozumiałaś z wykładu?

Potrzebowałam minuty, by pojąć, co ona mówi, po czym skinęłam głową i nalałam nam obu wina.

Fran nadal patrzyła na mnie, jakbym była czymś w rodzaju kosmity. I nagle znalazła rozwiązanie.

- Czujesz się tak dobrze, ponieważ byłaś dziś wieczorem jedną z najlepiej ubranych osób. O kurczę. To jest właśnie problem z dobrymi przyjaciółmi. Zawsze mają jakiś dziwny radar naceLOWany na ciebie i nie możesz ani na minutę osłabić swej uwagi, gdyż natychmiast wślizną się w najbardziej tajemne zakamarki twego umysłu, zanim zdążysz powiedzieć: „Odchrzań się, to mój umysł i nie ma tu miejsca dla dwojga”.

- Łatwo ci mówić - odparłam. - Ty po prostu wpadasz do pokoju ustrojona w ręcznie robioną biżuterię i jakieś hafty, które zdobywałaś na targu w Radzastanie. Ja kupuję ubrania w zwykłych sklepach,

zresztą nie zawsze szczęśliwie. Jedyne, co potrafię, to jakie takie zgranie kolorów, i to tylko dlatego, że wszystkie moje ubrania są czarne.

Fran podniosła szklanę

- I tak trzymać! Wznieśmy toast. Za Nową Ciebie! Stuknęliśmy się szklankami.

- A tak w ogóle to spodobałam się facetowi, który miał w brodzie pełno okruchów.

\* \* \*

Ponieważ mieszkałam w Sydney i byłam aktualnie osobą samotną, wiedziałam, że to tylko kwestia czasu, kiedy zapiszę się na jakieś kursy. Obojętnie: jogi, tańca brzucha, kick-boxingu, tańca afrokubańskiego, ceramiki inspirowanej jazzem czy też odkrywania w sobie dziecka przez podwodną kaligrafię. Każda samotna dziewczyna w Sydney chodzi na jakieś kursy.

Kiedyś wpadłam do Zoe bez uprzedzenia i zastałam ją wśród płataniny butów do stepowania, koszmarnych obrazków z natury i sprzętu do nurkowania, ukradkiem czytającą *Dziennik Bridget Jones*. Gdy tylko mnie zobaczyła, nerwowo wepchnęła książkę pod głowę i ułożyła się płasko na podłodze udając, że właśnie uprawia ćwiczenia odprężające.

Przez jakiś czas pieściłam myśl o nauce kick-boxingu, wyobrażając sobie, że stanę się czymś w rodzaju Buffy, Postrachu Wampirów, słodkiej dziewczeczki o żelaznej pięści (i **stopce**), w obcisłych spodenkach i topie do pępka, zawsze gotowej do akcji przeciw siłom zła. Wybrałam się więc na taki kurs razem z Harriet, lecz zamiast uczyć mnie, jak z gracją wymierzać kopniaki z półobrotu, przysiadu i odskoku, tak by raz na zawsze wyeliminować paru złoczyńców, dano mi skakanę i kazano skakać przez nią pół godziny. Zrezygnowałam już po pięciu minutach i resztę kursu spędziłam łapiąc oddech i zazdro-

śnie przyglądając się innym uczestnikom udającym, że już świetnie potrafią kopać powietrze i siebie nawzajem.

Wydaje mi się, że moje próby w zakresie kick-boxingu były skazane na niepowodzenie od samego początku. Spróbowałam więc kursów jogi. Tak szybkie (w ciągu jednego tygodnia) przerzucenie się od nauki sztuki walki do ćwiczeń duchowych opartych na medytacji i przeżywaniu wewnętrznym, zdaje się wiele mówić o moim stanie ducha i kompletnym zagubieniu. Harriet odkryła, że ma w swym napiętym programie zajęć wolną godzinę, którą dotąd marnowała na sen lub podobną nieproduktywną czynność, tak więc obie zapisałyśmy się na kurs jogi (dla początkujących).

Kurs odbywał się w Bondi (oczywiście). Na pierwszą lekcję szłam zupełnie nie wiedząc, czego się spodziewać. Ośrodek jogi mieścił się nad tajską restauracją, co właściwie trochę mnie rozczarowało. Dla większej autentyczności powinni poszukać lokalu z restauracją indyjską. Ale w sumie miejsce wydawało się miłe i poczułam, że się odprężam, jak tylko weszłam do pokoju ćwiczeń. Miłe wrażenie spokoju i zrównowazenia dopełniało łagodne światło i niena-chalna muzyka gdzieś w tle (brzmiała jak duet wielorybów i mnichów z ambicjami w zakresie muzyki pop). Kursanci, odziani w dość, no, niedbałe i wygodne stroje, rozmawiali przyciszonymi głosami, siedząc na matkach porozkładanych na podłodze.

Nasza instruktorka miała na imię Anna. Była urocza, miła i miała ten szczególny miódopłynny, łagodnie usypiający głos. Do prowadzenia ćwiczeń z jogi był to głos idealny, do prowadzenia rozmów (nawet z nauczycielem duchowym) w lokalnym pubie - już trochę mniej. Ponieważ (tak mam, cholera, w zwyczaju i już) nie wzięłam ze sobą żywej gotówki, próbowałam zapłacić za kurs kartą kredytową. Anna uśmiechnęła się i ciepło powiedziała, że przyjmują tylko gotówkę, przez co od razu poczułam się podle, jako ta, co wspiera wielkie korporacje, które jak wiadomo mają swe ohydne globalizacyjne zakusy na całą ludzkość. Na szczęście Anna powiedziała, że nie ma sprawy i

że mogę zapłacić w przyszłym tygodniu, po czym kazała mi zdjąć buty i położyć się na macie.

Podczas pierwszej części ćwiczeń myślałam już, że umarłam i dostałam się do tamtejszego nieba. Wszyscy leżeliśmy na wznak z zamkniętymi oczami, oddychając miarowo. Leżałam więc sobie, szczęśliwa, tylko oddychając (to jedno potrafię robić kompetentnie). Nic dziwnego, że tylu ludzi bredzi o dobrodziejstwach jogi. Czułam się trochę tak, jakbym znów była w przedszkolu, gdzie przedszkolanka gładzi cię po główce i chwali, że tak ładnie odbyłaś popołudniową drzemkę. Zdecydowanie było to ćwiczenie specjalnie dla niepewnych siebie nieudaczników.

Potem Anna zaczęła mówić o oddychaniu. Wszyscy mieliśmy brać głęboki wdech przez nos i zatrzymywać powietrze, by wypełnić nim miejsca między żebrami. Z początku było z tym trochę kłopotów, lecz Anna powiedziała, by wsłuchać się, gdy zademonstruje, na czym polega taki oddech. Następnie zaczęła dyszeć ciężko przez nos, jakby była ukochanym dzieciąciem Dartha Vadera, czym tak mnie wystraszyła, że ostrożnie otworzyłam jedno oko, by sprawdzić, czy nagle jej głowy nie okrył czarny hełm, a sali przypadkiem nie opanowali już szturmowcy.

Potem zaczęliśmy się uczyć podstawowych pozycji. Przez godzinę odstawiałam Leżącego Psa i oddychając przez uszy, skupiałam się na punkcie znajdującym się między moimi nogami, próbując spojrzeć na osobę po prawej stronie, patrząc do tyłu przez lewe ramię. Czułam się już kompletnie wykończona i właśnie gdy sądziłam, że moje mięśnie udały się chyba (w ramach protestu) na dół, na porcję tajskiego curry, zostawiając mnie na podłodze jako drżącą galaretę, nagle wróciliśmy znowu do przyjemnej i odprężającej części ćwiczeń.

Anna kazała nam teraz usiąść po turecku na matach, zamknąć znowu oczy i wyobrazić sobie, że każde z nas jest pączkiem lotosu stopniowo rozkwitającym w ciepłych promieniach życiodajnego słońca.

W teorii brzmiało to wspaniale, lecz mój umysł znalazł się nagle w stanie kompletnego ośpienia i to bynajmniej nie w tym sensie, że został duchowo oczyszczony, tylko w bardziej przyziemnym, streszczającym się w przerażonym o-kurczę-nie-mam-przecież-bładego-pojęcia-o-tym-jak-wy-gląda-początek-lotosu.

Otworzyłam jedno oko i zerknęłam na resztę kursantów. Wszyscy wydawali się skoncentrowani i całkowicie zdolni do przywołania paczka lotosu. Banda zadowolonych z siebie ogrodniczo uświadomionych pupilków pani instruktorki.

Pomyślałam przez chwilę, czy Ślizeł na własnym ślubie z Charliem (we wrotkach i na plaży), będzie miała bukiet paczków lotosu. Wyobraziłam sobie, jak Charlie wtyka jej czule jeden paczek za ucho, a druzbowie-piloci na warczących kukuruźnikach rozsypują nad młodą parą i gośćmi płatki lotosu. Charlie zaś szepce Ślizeł do uszka, prosząc by w ich domu był ołtarz zawsze przystrojony świeżymi paczkami lotosu na pamiątkę ich wiecznej miłości.

Szybko, choć z wysiłkiem, wydostałam się z tego koszmaru na jawie, uświadamiając sobie zarazem, że właśnie zniweczyłam wszystkie rezultaty ćwiczeń. Diabli wzięli dobro, wewnętrzną siłę i pełne odprężenie. Znowu jestem gotowa mordować żywe istoty zardzewiałą siekierą.

Wzięłam głęboki wdech i ponownie zamknęłam oczy, próbując przywołać ducha Jamiego Durie z *Backyard Blitz*. Liczyłam, że możemy się telepatycznie połączyć i że potrafi mi on pomóc przesyłając obraz myślowy tego pieprzonego paczka lotosu. Jednak Jamie musiał być strasznie zajęty polerowaniem swej szpady lub praniem nieskazitelnie białych podkoszulków, bo nie złapałam z nim kontaktu. Nagle zdałam sobie sprawę, że logiczniej będzie wywołać mentalne SOS do tego botanika od Fran. Tyle że będzie jeszcze trudniej złapać kontakt psychiczny - i to pilny! - z kimś, kogo spotkam tylko raz i nie znam nawet jego prawdziwego imienia. Uświadomiłam sobie w końcu, że nie powinnam szukać pomocy u mężczyzn, lecz polegać na swych własnych (niewyczerpalnych) zdolnościach i mądrości matki ziemi, co



sprawiło, że poczułam się bardzo jogistycznie i bardzo mi się to spodobało.

Zdecydowałam więc, że będę nie pączkiem lotosu, lecz gerberą. Byłam cudownie lśniącą różową gerberą, rozchylającą swe płatki do słońca. Tyle tylko, że nie mogłam tych cholernych płatków rozchylić, gdyż z tępym uporem sterczały już rozłożone i wyprostowane, kompletnie olewając urok łagodnego rozkwitania. Próbowałam mentalnie złożyć swe płatki z powrotem, by potem je wdzięcznie i porządnie rozchylić, ale były one tak proste i sztywne, że wystarczyła chwila nieuwagi i znów odskoczyły do poprzedniej pozycji. Byłam tak wkurzona swoją beznadzieją walką z tym upartym zielskiem, że zapomniałam o oddychaniu, nie słuchałam, co mówi Anna, tylko siedziałam z zamkniętymi oczami, z twarzą straszliwie napiętą i wykrzywioną od intensywnej koncentracji.

O żesz ty, dlaczego postanowiłam być gerberą? To takie durne kwiaty - błyszczące i radosne jak uśmiech podrywacza, ale jakieś takie... puste. Gerbery to jakby króliczki „Playboya” w królestwie kwiatów: kolorowe, lśniące i śliczne jako dekoracja, ale nie mają, no, duszy. Teraz już wiem, dlaczego ani Szekspir, ani Keats nie napisali *Ody do gerbery* (no bo z czym się rymuje gerbera? Najwyżej z „megierą”). Nikt też nie wydaje zwracać się do gerbery w chwilach wielkiego smutku lub pełnych powagi uroczystości. Teraz już wiem, dlaczego gerbery po prostu nie zdają sobie sprawy, czego się od nich oczekuje, i zamiast posłusznie symbolizować ulotność życia i nieuchronny jego koniec, leżą sobie, błyszczą bezczelnie i drą się: „Patrz na mnie! Patrz na mnie! Patrz, jaka jestem śliczna!”

Próbowałam wywinąć się z tej pułapki i stać się tulipanem, ale z jakichś powodów gerbera nie chciała ustąpić i zniknąć. Stała się nagle wkurzająco wesoła i rozrywkowa, zasłaniała tulipanowi słońce, kręcąc się w różne strony i od czasu do czasu grzmocąc biednego tulipana po głowie. Udało mi się wreszcie pochwycić tę zołzę i właśnie zaczęłam ją dusić, gdy poczułam, że ktoś szarpie mnie za ramię. Ziry-

towana otworzyłam oczy. Harriet przyglądała mi się z dziwnym wyrazem twarzy.

- Przepraszam, że ci przerywam, ale kurs skończył się pięć minut temu. - O Boże, co za kanał. Wszyscy kursanci musieli widzieć tę cudaczną dziewczuchę („całkiem jakby miała zatwardzenie”), gdy zwijali swe maty. Teraz nikt z nich nie zechce się ze mną zaprzyjaźnić i zapraszać mnie na jogistyczne rekolekcje w Byron Bay. Muszę rozejrzeć się za innym kursem. Tyle tylko, że rzygać mi się chciało na samą myśl, że znowu będę wędrować po ogłoszeniach o tresurze kotów, wróżeniu z kart tarota czy nauce robienia batików (Zrób sobie spódnice! Podkoszulek! Obrus! Ple, ple, ple).

- Jesteś gotowa? - spytała przepraszająco Harriet (czy ja dobrze słyszę? Tak... jakby z szacunkiem?). Spojrzałam na nią, próbując zinterpretować jakoś wyraz jej twarzy. To był ... czyż to możliwe, podziw?

Pomogła mi wstać, złożyliśmy nasze maty i pożegnałyśmy się z Anną, która podarowała nam kolejny ciepły uśmiech. Tym razem było w nim coś szczególnego, jakbyśmy dzieliły ze sobą pewien rodzaj wiedzy.

- To było zdumiewające - westchnęła Harriet, gdy już byłyśmy na zewnątrz i szłyśmy w kierunku jej samochodu. - Uprawiałaś kiedyś wcześniej medytację?

- Nie, jeśli nie liczyć czasów, gdy mama zabrała mnie z wizytą do ciotecznej babci Beryl, jak miałam osiem lat i wtedy przez prawie pięć godzin udawałam, że jestem szyszką sosnową - przyznałam się trochę zawstydzona.

- Byłaś naprawdę w środku, prawda? Właściwie to sprowadziłam cię siłą z powrotem do realnego świata. Wszyscy przyglądali ci się z takim podziwem. To wyglądało tak, jakbyś była w transie.

Nastrój jakby ciut mi się poprawił.

- Naprawdę? Wszyscy?

Harriet energicznie przytaknęła. - Czy sądzisz... - przerwała, po czym podjęła dość nieśmiało - Czy sądzisz, że mogłabyś nauczyć mnie tak medytować?

Złożyłam palce obu dłoni razem, tworząc trójkąt na czole.

- No, nie wiem, Hattie. Tego właściwie nie można nauczyć. To jest raczej coś, co się czuje (wolałabym nie objaśniać jej szczegółów swoich myślowych zapasów z gerberą).

- No tak, oczywiście - rzekła Harriet, chyba troszkę zawiedziona.

Dotarliśmy do samochodu, usiadłam obok Harriet i uśmiechałam się przez całą drogą do domu. Kocham jogę.

RS

## 14.

### Nowa Ja

Zoe ma nowego chłopaka. Jest troszkę starszy niż Torebka, ale ma nad nim tę przewagę, że orientuje się, kto jest największą damą angielskiej literatury z początków dziewiętnastego wieku. Nie jestem, co prawda, całkiem przekonana, że to konieczny element udanego związku, lecz Zoe wygląda na dużo szczęśliwszą niż wtedy, gdy była z Torebką, i tylko to się liczy. W tym tygodniu wypadają jej urodziny i z tej okazji Zoe wydaje u siebie w domu uroczystą kolację.

- Z radością przyjdę. Mam coś przynieść?

- To miło z twojej strony, ale ten mój nowy współlokator, Jack, jest wspaniałym kucharzem i wszystko ma pod kontrolą. Jest tylko jedna rzecz.

- Co takiego?

- Nie chcę żadnego tortu ze świeczkami, a jeśli zechcesz ofiarować mi kartkę z życzeniami, to mogłabyś nie wspominać, ile mam lat? To znaczy, czy mogłybyśmy w ogóle o tym nie rozmawiać?

- Co jest, trafił ci się przedwczesny kryzys wieku średniego? Co się nagle tak zaczęłaś przejmować swoim wiekiem? Przecież masz ledwo dwadzieścia dziewięć lat. Myślę że panikować możesz zacząć dopiero za rok.

I nagle przypomniałam sobie, że spotyka się z chłopakiem dużo od siebie młodszym i za ten brak taktu dałam sobie w myśli potężnego kopniaka. Ale to jednak było dziwne.

Właściwie wszyscy chłopcy Zoe byli od niej młodszy, a ona nigdy przedtem nie okazywała, że jest taka czuła na różnicę wieku.

- Zoe, przepraszam. To było głupie z mojej strony. Oczywiście, nic nie wspomnę. To z powodu... - przerwałam. Kurczę, dlaczego nigdy nie mogę zapamiętać imion tych jej kochasiów? I jak, do ciężkiej

cholery, nazywa się ten najnowszy? Wiedziałam tylko, że jakoś tak bardzo młodzieżowo, coś jak Petey, Macca albo Johnno.

- Tak, to z jego powodu. Widzisz, ja go okłamałam w sprawie mojego wieku.

- Ale dlaczego to zrobiłaś, do wszystkich diabłów? Przecież on i tak wie, że jesteś starsza od niego.

- No wiem, ale nie o to chodzi. Tylko... on mnie niespodziewanie spytał, ile mam lat, i byłam tak zaskoczona że, no, chlapnęłam.

- To on myśli, że ile ty masz lat?

- Dwadzieścia siedem.

Musiałam to przetrwać przez krótką chwilę.

- Powiedziałaś mu, że masz dwadzieścia siedem skończone?

- Tak.

- Zoe, nie chciałabym być zbyt upierdliwa, ale na Boga, dlaczego? Po co odejmujesz sobie tylko jeden rok? To nie mogłaś pójść na całość i powiedzieć mu, że masz dwadzieścia pięć?

- No, nie wiem, co mnie naszło - chlipnęła Zoe. - Tak mi się jakoś powiedziało i wiesz, to mnie gryzie. Ze tak łatwo mu skłamałam. A ty nie powinnaś mnie namawiać, bym wcisnęła mu jeszcze większy kit. To doprawdy niemoralne.

Taa. To znaczy, Zoe jest Kłamczucha, a jej nowy kochaś to Okłamczusio, ja zaś byłam tu tylko niewinnym postronnym obserwatorem. Próbowałam jakoś wesprzeć przyjaciółkę, a tej się nagle przypomniało sumienie i zasady moralne. W ogóle w przyjaźni najtrudniej jest, gdy przyjdzie pochwalić lub poprzeć coś, co drugiej stronie wydaje się skrajnie negatywne. Ot, na ten przykład: psia-psiółka ma fatalnie ostrzyżone włosy i biada nad tym tak długo, że w końcu godzisz się z jej zdaniem, a ona wtedy ryczy: „Ach więc i ty uważasz że są okropne?” To całkowicie nie w porządku; muszą być jakieś zasady.

- Dlaczego po prostu nie powiesz mu prawdy? Udaj, że się pomyliłaś.

- Nie mogę mu powiedzieć, że pomyliłam się co do swojego wieku! Wiek to coś tak podstawowego jak nazwisko czy adres. Pomyśli

sobie, że jestem idiotką albo że mam uprzedzenia co do różnicy wieku między nami.

- A masz?

- Aż dotąd nie miałam. Ale teraz jestem przerażona. Czuję, że to będzie koszmarny wieczór. Jestem pewna, że ktoś coś na pewno chlapnie.

Przyrzekłam i zaklełam się na wszystkie świętości, że nie zdradzę jej sekretu, ona zaś wydarła ze mnie jeszcze przysięgę, że postaram się nie pić za dużo, gdyż, i tu zgodziłyśmy się obie, obietnice i dobre intencje idą w ką, gdy umysł przejmuje w swe władanie Pani Wóda.

Zadzwoiłam też do Fran, by naradzić się nad prezentem dla Zoe, i przez prawie dziesięć minut deliberowałyśmy nad wyższością haftowanych kapci nad nową biografią Sylwii Plath i odwrotnie. Potem przez jakąś godzinę zastanawiałyśmy się, w co się ubrać na przyjęcie. Dla mnie była to szansa na przećwiczenie wizerunku Nowej Mnie, Całkiem Innej Mnie, która nie będzie miała nic wspólnego z tym żalonym, zużytym plastrem na kurczaki, którego Charlie już nie kochał. Fran obiecała pójść ze mną na zakupy, by służyć mi radą i wsparciem oraz chronić przed nabyciem wszystkiego, co może i nieźle wygląda, póki jest na stoisku na rynku Paddington, ale jest w rzeczywistości kompletnie nienadającym się do noszenia lachem.

Co prawda, ja już wiedziałam, co chcę włożyć na przyjęcie Zoe. Harriet miała czekoladowobrazowe cudowne porteczki. Prawie się w nich zakochałam i postanowiłam kupić sobie podobne. Nagle wyobraziłam sobie, że nosząc te portki stanę się niesamowicie atrakcyjna. Ich obniżona do granic możliwości talia ogłaszała z rykiem całemu światu, że oto jest kobieta nie tylko bez brzucha, ale pewnie także i bez wnętrzości, wspaniale koścista i szykowna.

Gdy zamierzasz nabyć konkretny, określony, wyszukany ciuch czy pantofle, musisz twardo wmówić sobie, że bajerancka spódnica z Alannah Hill czy różowa pashmina uczyni cię nieskończenie piękną i pociągającą. Przy odrobinie szczęścia, obraz ten będzie trwał przez jakiś czas noszenia nowego ciucha. Wkrótce jednak ciuch się opatrzy,



przestanie mieć tę magiczną moc i trzeba szukać czegoś nowego. Ale przez ten nawet krótki okres, gdy bezustannie zachwycasz się sobą obleczoną w ów magiczny obiekt twych pożądań, żywisz w głębi duszy nadzieję, że możesz wyglądać jak jedna z gwiazd serialu *Przyjaciele* (oczywiście pod warunkiem, że dopadniesz właściwy rozmiar upragnionego ciucha oraz oddasz się w ręce modnego fryzjera i profesjonalnego wizażysty), pamiętając też o ustawianiu się pod właściwym kątem i w odpowiednim oświetleniu).

Z głową pełną takich oto marzeń wędrowałam nazajutrz wraz z Fran wzdłuż Oxford Street, przemykając się wśród tłumu dziewczyn o wspaniałych lśniących włosach, obleczonych w dzinsy od Sass&Bide, w botkach o wykwintnych kolorach i na niebotycznych obcasach i w podrabianych (na Gucciego) okularach słonecznych wysadzanych sztucznymi diamentami. Wszystkie bezustannie ćwierkały do swoich malutkich komóreczek, umawiając się z jakąś Weroniką w barze sushi, a jakiemuś Justinowi przypominając po raz enty o spotkaniu na drinku w Kinsela, jednocześnie pilnie i czujnie lustrując jakiegokolwiek braki urody czy ubioru u innych przechodzących obok dziewczyn oraz oceniając bystro seksualną orientację każdego mijanego chłopaka.

Gdyby ten nasz najlepszy ze światów rządził się jakiegokolwiek logiką, dziewczyny te powinny absolutnie zostać ambasadorami w najbardziej zapalnych i politycznie niestabilnych krajach, jako że ich umiejętność wykonywania kilku skomplikowanych czynności naraz zapierała po prostu dech w piersiach. Zagraniczni ministrowie, oczarowani ich nieskazitelnym wyglądem, rzuciliby się, żeby uchwałać ustawy o zakładaniu lepszych salonów fryzjerskich dla klas upośledzonych społecznie, a bezwzględni watażkowie odkrywaliby w końcu sens prawdziwej demokracji podczas weekendów w ośrodkach zdrojowych.

Gdy weszliśmy do sklepu, gdzie miało się spełnić marzenie o Nowej Mnie, czułam taki przyływ nadziei i szczęścia, jaki rzadko przytrafia się dziewczynom na ich ciernistej drodze przez życie. W sklepie panował straszliwy ścisk, bo właśnie była wyprzedaż. Co za

radość! To prawdziwy cud! Przecudowne porteczki będą moje za pół, a może i jedną trzecią, ceny! Zaczęłam już całkiem poważnie myśleć o kolczyku w pępku, by zwrócić uwagę na mój wspaniale płaski i twardy brzuch (nad którym zamierzałam pracować zaraz od jutra, by okazać się godną Cudownych Porteczek).

Ekspedienci płci obojga obsługujący wyprzedaż wyglądali dokładnie tak, jak każdy z kupujących chciałby wyglądać, i właśnie głównie po to tu byli. Wszyscy klienci doskonale to rozumieli i nie popełniali rażących gaf, na przykład prosząc którąś z tych przepięknych istot o pomoc czy radę przy zakupach. Szybko namierzyłam, gdzie znajdują się Cudowne Porteczki i następnie dwie i pół godziny spędziłam beztrąsko, oczekując na miejsce w przy mierzalni. Jednocześnie snułam prawie erotyczne fantazje na temat blisko dwumetrowego ekspedienta, pięknego Jamajczyka, który śmiał się tak uroczo i swobodnie oraz wdzięcznie przeginał się do wtóru muzyki granej na bębenku i basie, całkiem obojętny na jęki padających z głodu i znużenia klientów stojących w długich ogonkach do kas. Facet był niewiarygodnie pociągający. Wyobrażałam sobie, że mówię (lub robię) coś niezwykle dowcipnego, co wywołuje jego cudowny, seksowny, nisko brzmiący śmiech.

Nagle zostałam brutalnie przywołana do rzeczywistości przez biuściastą blondynkę, która właśnie wychodziła z przymierzalni cała rozszlochana. Jej towarzyszka delikatnie odebrała jej, ściskany przez nią kurczowo, złocisty, bardzo skąpy top, naprawdę porażająco wspaniały, lecz niestety należący do tej (bardzo ostatnio szybko rosnącej) grupy strojów, których - niestety - nie jest w stanie nosić żadna kobieta posiadająca biust.

Wśliznęłam się do przebieralni zwolnionej przez blondynę i podjęłam beznadziejne, jak się wkrótce okazało, próby zaciągnięcia dość oszczędnej zasłony, która natychmiast omsknęła się w prawo, z lewej zostawiając pokazną szparę dla podglądaczy. Ściągnęłam zasłonę w lewo, czując daremność tych poczynań. Teraz z kolei otwierał się szeroki widok z prawej strony. Ponieważ uważałam, że z tej strony zde-

cydowanie lepiej wyglądam, zrezygnowałam z dalszej walki z zasłoną. Przebieralnia była jedną z tych wspaniałych (trochę przerobionych) schowków na miotły, z lustrem na zewnątrz. Rozejrzałam się za czymś, na czym mogłabym powiesić dzinsy. Brak jakichkolwiek wiszaków nasunął mi podejrzenie, że dzinsy, jako nie pochodzące z tego sklepu, zasługują jedynie na rzucenie ich w kąt, na dość brudną podłogę, co zresztą niezwłocznie uczyniłam.

Cudowne Porteczki były naprawdę cudowne. Gdy wciągałam na siebie tę cieką połyskliwą tkaninę - okazało się, że są trochę przydługie. Nieważne, to się da poprawić.

Przez chwilę napawałam się uczuciem bycia kimś Zupełnie Nowym, potem obróciłam się wokół. Hmm. Przecudownie - choć może ciut za obcisłe? Może na wszelki wypadek zmierzyć inne, trochę większe? Pociągnęłam z pewnym wysiłkiem za suwak, który utknął w połowie długości. Spróbowałam jeszcze raz - nic. Dalsze próby spowodowały nagły przyływ paniki (szarpanie, ciągnięcie), ale ten wredny suwak jakby się zaparł. Nagle zobaczyłam jedną z tych cudownych istot zaludniających sklep, zbliżających się ku mnie.

- Czy potrzebuje pani pomocy? - zapytała strwożona istota.

Zaciągnęłam zasłonę (od jej strony).

- Nie, dziękuję. Wszystko w porządku. Szarpnięcie. Jeszcze raz. Wzrastająca niechęć do Cudownych Porteczek.

Istota wetknęła swą nieskazitelnie ufryzowaną główkę z drugiej strony zasłony. Wyglądała trochę jak ładniejsza i młodsza Liv Tyler.

Przyjrzała mi się, jak stoję w tych potwornie obcisłych portkach, z falami brązowej tkaniny opadającymi z moich przykrótkich nóg na podłogę.

- Może by tak większy rozmiar? - spytała uprzejmie. Uśmiechnęła się i odfrunęła. Moje próby z suwakiem

zaczęły powoli przypominać zapasy. Nie szło. Nie dawało się. Potrzebowałam pomocy.

Wytknęłam głowę zza zasłony i zobaczyłam Fran zadumaną nad szyfonową narzutką bez podszewki, która byłaby zapewne w sam raz,

gdyby kiedykolwiek przyszło jej uwodzić Jamiego Olivera, lecz którego głównym przeznaczeniem było najwyraźniej Zmarnowanie Forsy.

- Fran - syknęłam.

Odwróciła się i zachęcająco się uśmiechając skinęła, bym wyszła z przebieralni. Kolejka oczekujących tymczasem znacznie się rozrosła, długi sznur dziewczyn spoglądał na mnie z mieszaniną zniecierpliwienia i otwartej wrogości. Potrząsnęłam głową w jej kierunku i uśmiechając się boleś-ciwie przez zaciśnięte szczęki, syknęłam ponownie.

- Możesz pozwolić tu na minutkę?

Fran chyba wyczuła desperację w moim głosie, gdyż szybko odłożyła narzutkę i po chwili (z niejakim trudem) obie znalazłyśmy się w przebieralni

- Suwak się zaciął.

- Co?

- Ten cholerny suwak się zaciął i jeśli teraz zaczniesz się śmiać, to zbiję cię na kwaśne jabłko.

Fran z miejsca przystąpiła do działania. Uklęła i zaczęła szarpać suwak.

- Wciągnij brzuch - rozkazała.

Próbowałam robić, co mi każe. Jedną ręką przytrzymując kawałek zasłony przy ścianie, a stopą usiłując przytrzymać ją zaciągniętą z drugiej strony, posłusznie wciągnęłam brzuch. Miałam rozpaczliwą nadzieję, że mój tyłek nagle nie wypryśnie z drugiej strony Cudownych Porteczek.

- Chyba jest zepsuty - powiedziała nagle Fran.

- Niemożliwe. Zapinał się bez problemów. Spróbuj jeszcze raz.

W tym momencie Liv Tyler Młodsza wetknęła główkę w szparę utworzoną przez tę cholerną nieposłuszną zasłonę, którą ciągle próbowałam przytrzymać stopą. Dziewczę najpierw spojrzało na Fran klęczącą i z wyrazem najwyższego skupienia walczącą z suwakiem, po czym wybałuszyła oczęta na mnie, a było na co. Stałam na jednej

nodze, z drugą idiotycznie odstawioną w bok, z palcami stóp kurczowo zaciśniętymi na zasłonie, podczas gdy ręką podtrzymywałam jej drugi koniec.

- Co tu się wyrabia? - spytała słodko Liv Młodsza, z lekko zaznaczonym cieniem zainteresowania.

- Taniec nowoczesny - odwarknęłam nienawistnie. Zarówno Liv Młodsza, jak i Fran zignorowały moją replikę.

- Suwak się zaciął - podsumowała Fran (podła zdrajczyni).

- Niech ja spojrzę - zaćwierkała Liv. Fran wstała z kolan i zrobiła jej miejsce, by Liv mogła zbadać okolice moich pachwin.

Podciągnęła suwak dość słabo - najwyraźniej myśli jej opanowała straszna wizja połamanych paznokci.

- Sądzę, że trzeba by, no wyciąć panią z nich, ojej, to znaczy rozciąć je - powiedziała po paru sekundach. - Zamierza je pani nabyć?

Co ta pinda ma na myśli pytając, czy zamierzam je nabyć? Przed, czy po tym, jak je rozetną, by mnie uwolnić?

- Nie, raczej nie - odpowiedziałam możliwie niedbale.

- Właściwie to nie lubię tego koloru.

- Aha, no to dobrze. To ostatnia para tego rozmiaru i szkoda byłoby je niszczyć, gdyby zamierzała je pani nabyć.

O dobry Boże. Wiem, że starała się być miła. Ale co ona sobie myśli? Ze pocwałużę do kasy, by nabyć parę portek, które wymagają pomocy drugiej osoby i stalowych ostrzy, by je ze mnie ściągnąć? A poza tym, czy ona myśli, że będę je wciągać z powrotem?

Liv pobiegła na poszukiwanie nożyczek, zostawiając zasłonę szeroko odsłoniętą (na pewno zrobiła to specjalnie, małpa jedna). Tak więc byłam teraz na widoku całego ogonka, w którym najwyraźniej narastała żądza mordy. Zdobywszy się na słaby uśmiech, ukryłam się w kącie przymierzalni.

Usłyszałam, że Fran coś tam mamrocze i nagle jedna z dziewczyn z ogonka zapiszczała:

- No nie, bez jaj! - będą na niej rozcinać te portki? - i gruchnęła śmiechem. Natychmiast włączyłam Fran na listę osób, których nie za-

proszę na swój ślub z Georgem Clooneyem. Nagle zobaczyłam Liv, jak zwiewnie płynie ku nam, dzierżąc parę ogromnych ogrodowych nożyc.

- To jedyne, jakie znalazłam - rzekła przepraszająco. - Szczęściem Marco przyniósł je do przycinania bonsai, które trzymamy na biurku.

Osobiście uważam, że bardziej odpowiednie byłyby do tego celu nożyczki do paznokci, gdyż małe bonsai przypuszczalnie uschłyby z samego przerażenia na widok Marca-Edwarda Nożycorękiego. Ponieważ jednak Marco (Jamajczyk) był tak bosko piękny, uznałam, że cokolwiek robi, będzie dla mnie dobrze.

Tymczasem Liv próbowała uwolnić mnie (a przy okazji nie wyciąć mi niechcący wyrostka) i wreszcie mogłam odetchnąć z ulgą, gdy te Ohydne Portki ześliznęły się na podłogę. Nareszcie wolna, wolna, o dzięki ci Boże Wszechmogący, w końcu wolna! Sięgnęłam po dzinsy (cholera, trzeba było włożyć jakieś lepsze majtki) i wtedy Liv wyciągnęła ku mnie drugą, większą parę Cudownych Porteczek. Prawdę mówiąc, były to raczej Pory.

Uśmiechała się przy tym promiennie.

Spojrzałam tępo najpierw na nią, potem na Pory, potem znowu na nią.

- Nie zmierzy pani? - spytała Liv radośnie.

Przez sekundę rozważałam odpowiedź w następującym stylu: - Nie, Liv. Nie zmierzę ich. Nie chcę ich mierzyć. Naprawdę to chcę...

- Powinna pani - szczebiotała dalej Liv. - Te są dostatecznie obszerne i naprawdę świetnie wyglądają z tymi sweterkami, co tuje mamy po okazyjnej cenie za jedne 350 dolarów...

Chyba coś było w moim wzroku, który wędrował od niej ku leżącym obok nożycom, a potem znowu ku niej, gdyż coś w jej główce najwyraźniej zaskoczyło. Pospiesznie złożyła Pory, nożyce i poszarpane resztki Cudownych Porteczek i oddaliła się bez słowa. Rychło okazało się, że ta słodka istotka jest w rzeczywistości wredną suką. Jakies dziesięć minut później dało się słyszeć serdeczny wybuch



śmiechu Marca. I pomyśleć, że marzyłam, aby ten śmiech usłyszeć!  
Tyle że nie w takich okolicznościach.

Usiłowałam, przechodząc obok Marca, nie zwracać na niego uwagi. Chyłkiem wymknęłam się ze sklepu, z Fran drepczącą z tyłu. Marzenia o Nowej Mnie zwiędły i oklapły. Nie pozostało mi nic innego, jak odesłać je do Zakazanej Strefy, by tam szezły wraz ze wspomnieniem o mojej nocy z Sebastianem.

RS

## Przyjęcie

Na przyjęcie urodzinowe Zoe dotarłam z butelką chardonnay w jednej ręce i elegancko opakowaną butelką chardonnay w drugiej. Spędziłyśmy z Fran tyle czasu na kupowaniu ciuchów, że zabrakło nam już czasu na szukanie prezentu dla Zoe. Uznałyśmy więc, że o wiele sympatyczniejsze będzie zrobienie dla niej czegoś osobiście. Tak więc Fran namalowała śliczną małą kartę z zaproszeniem dla solenizantki na elegancką kolację w jej ulubionej restauracji (data do uzgodnienia). Dzwoniąc do drzwi, wygładziłam pośpiesznie swoją nowiutką czarną spódnicę i dobrany do niej nowiutki czarny top. To tyle jeśli idzie o Nową Mnie, jednak w głębi duszy wciąż dziewczyną z Melbourne.

Zoe mieszka w cudownym, sympatycznym domu w Surry Hills wraz ze swym (jeszcze bardziej sympatycznym) współlokatorem, Alexem (który jest aktorem). Drugim zaś (od paru tygodni) współlokatorem Zoe jest przyjaciel Alexa, ten doktorek położnik, którego Fran poznała na festiwalu filmowym. Może kto inny uznałby tę sytuację za krępującą, ale nie Fran. Ona po prostu szczerze się cieszyła, że znów go zobaczy. Po wielokroć życzyłam sobie, by móc tak jak ona podchodzić do życia: na luzie i bez żadnych zbędnych fochów. A poza tym przychodziła na imprezę z botanikiem, to też sytuacja typu „znów jestem samotna, więc bankowo coś jest ze mną nie tak”, raczej jej nie dotyczyła. Piękna i wystrzałowio ubrana Zoe otworzyła drzwi. Uściśkałam ją, życząc wszystkiego najlepszego. Wręczyłam jej to wytworne opakowanie chardonnay mówiąc, że nasz prawdziwy prezent Fran przyniesie trochę później. Ponieważ było wciąż bardzo ciepło jak na sierpień, goście rozsiedli się na zewnątrz przy wielkim drewnianym stole, na którym już mrugały maleńkie zapachowe świeczki, stały potwierane butelki wina i szklanki oraz półmiski z przekąskami (z ja-

kichś strasznie bajeranckich składników, jak młode ośmiorniczki i kozi ser). Zoe zaznaczyła, że wszystko to przygotował doktor Jack. A więc oprócz tego, że jest ofiarnym i oddanym swej pracy lekarzem, uroczy doktor okazał się także zaradnym i pomysłowym facetem w dziedzinie gospodarstwa domowego. Zoe pociągnęła mnie do kuchni, by przestawić mi słynnego doktora, który właśnie szykował pierwsze danie: nadziewaną przepiórkę, czy równie coś efektownego i oryginalnego.

- Strasznie chcę, żebyście się poznali - gruchała podekscytowana Zoe. - Opowiadałam o tobie i chyba jesteś *dokładnie* w jego typie. Jestem pewna, że z miejsca się w nim zakochasz.

Byłam pewna, że z punktu faceta zniechęcę. Nie znoszę takich facetów jak doktor Jack, co to są przywiązani do jednego typu urody, umawiają się więc z tabunami identycznie wyglądających kobiet. A to, że podobno jestem w jego typie, tylko pogarszało sprawę. Znaczyło nie tyle, że mu się spodobałam, ile że nie ma we mnie niczego specjalnego. No i - jak dowodziło (dość krótkie) doświadczenie Fran - należał do tych Niedzwoniących. Dość już wycierpiałam z tego powodu przez Charliego, więc dziękuję, postoję.

Weszłam do kuchni i usłyszałam Zoe mówiącą do doktora: „To moja przyjaciółka, Isabelle”. Doktor zaś, ponad jej ramieniem, pomachał mi przyjacielsko tasakiem. Był to miły gest z jego strony, lecz zarazem poczułam niezmierną ulgę, że to nie on przeprowadził moją wyimaginowaną operację przeszczepu nerki. Uśmiechnęłam się (raczej symbolicznie) i wtedy Zoe usunęła się na bok. Nasze oczy się spotkały i oboje z doktorem zamarliśmy na moment, patrząc jedno na drugie z niedowierzaniem. Doktor Jack okazał się bowiem tym maklerem od małych piesków z Centennial Park. A to oznacza - uświadomiłam sobie z przerażeniem - że ja jestem Annabelle, stewardesą, która właśnie wróciła z kolejnego rejsu do Uzbekistanu.

Doktor znajdował się zdecydowanie (i niesprawiedliwie) w korzystniejszej sytuacji ode mnie, gdyż był uzbrojony w tasak, a ja nawet nie miałam przyzwoitego drinka. Z pewnym zaskoczeniem jednak

zauważyłam, że bez tej czerwonej spoconej gęby i sfory szczurokształtnych psów kręcących mu się pod nogami prezentował się właściwie bardzo dobrze. Można by go nawet nazwać przystojnym (jeśli ktoś lubi ten typ). Szczęśliwie Zoe nie zwróciła uwagi na nasze mamrotane pod nosem powitania i pomknęła do drzwi, gdzie znów rozbrzęczał się dzwonek. Tak więc zostaliśmy z doktorkiem sami w kuchni i nadal obserwowaliśmy się nawzajem (zdecydowanie nieżyczliwie) ponad ladą kuchenną.

- Cześć, Isabelle - powiedział wreszcie doktorek raczej sarkastycznie. - Powiedz, czy zawsze używasz pseudonimu?

Przez sekundę rozważałam pouczenie go, że tak naprawdę Isabelle to melburniańska wersja Annabelle, uznałam jednak, że i tak wdepnęłam już w niezłe bagno. Wybrałam więc bezpieczniejszy wariant: potraktowania faceta z góry i tak, jak na to zasługiwał.

- Hmm, a ty powiedziałaś mi, że jesteś maklerem. To kim w końcu jesteś - lekarzem czy maklerem?

Doktorek raczył się nieco zawstydzić.

- Jestem lekarzem - przyznał ze skruchą.

- Udowodnij to.

- Co?!

- Nie wierzę ci. Udowodnij to. - Wskazałam palcem na biedną wypatroszoną przepiórkę leżącą przed nim na desce do mięsa. - Zrób coś... *lekarzkiego*. Zrób jej usta-usta. Albo usuń jej śledzionę, albo coś innego.

Wybuchnął śmiechem.

- Ojej, to ma być na przystawkę. Nie sądzę, abyś naprawdę chciała, bym zrobił usta-usta przystawce. Nie jestem też pewien, czy przepiórki w ogóle mają śledziony.

- No dobrze, to skąd mam wiedzieć, czy naprawdę jesteś lekarzem?

- W ten sam sposób, w jaki ja ustaliłem, że ty nie jesteś stewardessą. Od Zoe.

Zignorowałam go i ruszyłam do ataku. Jeśli nadal będę go przesłuchiwać, może Zoe zdąży wrócić, zanim facet zacznie przepytывать mnie.

- A dlaczego powiedziałeś, że jesteś maklerem? Teraz naprawdę wyglądał na zmieszanego. - To może

głupio zabrzmieć - przerwał na chwilę, złapał nóż i zaczął energicznie siekać warzywa, tak więc nie musiał patrzeć mi w oczy. - Ale to wszystko potoczyło się tak szybko, gdy Yuan rzucił się na ciebie. No, powiedz sama, czy nie zdarzyło ci się nigdy, że po prostu nie mogłaś wdawać się w długie wyjaśnienia z kimś kompletnie obcym?

Pomyślałam o niezliczonych kłamstwach, które powiedziałam, by uniknąć trudnych rozmów z taksówkarzami.

- Nie, nigdy mi się nie zdarzyło - powiedziałam stanowczo.

- A, no tak. A te psy są mojej znajomej. Wyjechała wtedy na weekend i opiekowałam się nimi. Ona istotnie jest maklerem. Kiedy mnie spytałaś o imiona psów, to po prostu nie chciałam wdawać się w długie wyjaśnienia, no i poszedłem na skróty, dlatego odniosłaś wrażenie, że jestem maklerem.

- Ja nie odniosłam wrażenia, ty mi powiedziałeś, że jesteś maklerem - warknęłam. Nawet jeśli byłam w stanie przyjąć jego tłumaczenia, wcale nie zamierzałam mu odpuścić.

- No, ale ja przynajmniej nie skłamałam co do mego imienia - oznajmił dumnie doktorek, dodając żałośnie. - Wcale mnie nie spytałaś, jak mam na imię.

- No to przepraszam. Ale byłam zbyt pochłonięta obserwowaniem Yuana. Na jego widok ciarki chodziły mi po plecach.

- Już mi to mówiłaś. Ale ty nie musiałaś go dotykać. Mnie też wtedy ciarki chodziły po plecach. Ale nie to było najgorsze - przerwał i po chwili dodał ponuro - ja go musiałem wykapać.

Spojrzałam na niego z pełnym zgrozy podziwem i oboje zgodnie się wzdrygnęliśmy. By oderwać myśli od straszliwej wizji kąpienia łysiego psa, złapałam ze stołu kawałek marchewki, którą właśnie kroił w eleganckie słupki i zaczęłam ją żuć.

Po chwili ciszy, spytałam raczej opryskliwie.

- Zamierzasz mnie spytać, dlaczego kłamałam?

- Nie.

- Dlaczego? Nie chcesz wiedzieć?

- Ja wiem.

Jego arogancja i zarozumiałość były doprawdy wkurzające.

- Wiesz, wiesz. Nie możesz zakładać, że wiesz, co sobie myślałam.

- Zakładam i to z dużym prawdopodobieństwem - myślałaś, że jestem psychopatą ze sforą przerażających psów, więc nie chciałaś podać mi ani swego prawdziwego imienia, ani miejsca pracy. Zresztą całkiem słusznie. To by było zbyt niebezpieczne. Chociaż, swoją drogą, nie uważam, że wyglądam na psychopatę.

Z jakichś powodów jego absolutnie logiczne i prawidłowe rozumowanie tylko mnie rozjuszyło i ze zdwojoną furią zaczęłam żuć resztki marchewkowego súpka. Przez kilka minut przyglądałam się, jak doktor sieka warzywa. Robił to fachowo, niczym prawdziwy szef kuchni. Ani jeden kawałek nie spadł ze stołu, ani nie pofrunął przez kuchnię (co mnie zdarza się zawsze, gdy próbuję cokolwiek kroić).

- Mogę ci w czymś pomóc? - Zaofiarowałam się niezbyt szczerze, głównie aby cokolwiek powiedzieć.

- A umiesz gotować?

- Oczywiście, że umiem. Każdy, kto umie czytać, umie gotować.

- Akurat. Gotowanie według przepisu to żadne gotowanie. To tylko łączenie składników.

Ale wredny facet - stwierdziłam. Dobrze, znałam takie typy. W eleganckich delikatesach słyszy się ich, jak z poczuciem wyższości dopytują się, z jakiego dokładnie gospodarstwa w Toskanii pochodzi dana oliwa z oliwek (pięćdziesiąt dolarów butelka), podczas gdy zwykli, normalni klienci po prostu nabywają te swoje importowane ręcznie robione czekoladowe krówki i idą swoją drogą.

- Naprawdę chcesz mi pomóc?



- Nie naprawdę. Tylko przez grzeczność.

Albo nie usłyszał, albo udał, że nie usłyszał. - Powiedz co... to jest, pozwolę ci sobie pomóc, jeśli powiesz, jaka jest różnica między moździerzem a tłuczkiem.

Zakrztusiłam się marchewką.

- Co? Dlaczego? Uśmiechnął się szeroko.

- To taki mały test. Zawsze poddaję mu tych, którzy mówią, że potrafią gotować. Niewiele osób potrafi odpowiedzieć poprawnie.

- Zaraz, wyjaśnijmy coś - urządzasz ludziom quiz na temat narzędzi kuchennych?

- Taa (wydawał się kompletnie nieporuszony). - No to, jak z tym jest, Isabelle?

- Zdaje się, że nie usłyszałaś, co mówiłam. Oferowałam ci pomoc tak tylko, by okazać uprzejmość. A teraz cofam ofertę, gdyż nie czuję się bezpiecznie przy tobie i ostrych przedmiotach.

Uśmiechnął się promiennie.

- Znaczy, nie wiesz. Rany, co za bęcwał.

- Wiem.

- Nie wiesz.

- Wiem... - Wzięłam głęboki wdech, po czym powiedziałam wyraźnie i powoli. - Moździerz to naczynie. Schowałam ręce za plecami i zacisnęłam kciuki. Na litość boską, pomyślałam, kto dziś używa moździerzy i tłuczków? I po co komu ta wiedza?

- Doskonale - skinął głową doktorek, wyraźnie pod wrażeniem. Bezgłośnie odetchnęłam z ulgą i rozprostowałam dłonie. - W porządku - możesz oczyścić te krewetki.

Bęcwał. I to wredny. Właśnie przebyłam pomyślnie wysoce specjalistyczny test, a w nagrodę mam czyścić skorupiaki, zamiast zostać przynajmniej zastępcą szefa kuchni.

Roześmiał się, widząc moją niezadowoloną minę. - Żartowałem, Isabelle. Są już oczyszczone. Możesz doglądać roboty, no, być nadzorczą.

Na moment rozbawiła mnie wizja, jak wtykam mu dwa szczególnie grube kawałki marchwi do nosa. Lecz to jego znęcanie się nade mną przypomniało mi o jeszcze jednej kwestii.

- Wiesz - powiedziałam - uważam, że to nie było zbyt miłe z twojej strony, tak mnie potraktować, tam w parku.

Spojrzał na mnie znad tej swojej stolnicy i zauważyłam rozbarwienie w jego oczach.

- Naprawdę ogromnie mi przykro. Ale... co takiego właściwie zrobiłem?

- Po pierwsze i najważniejsze - skłamałeś. No, ale ja też nakłamałam tobie, więc zapomnijmy o tym - powiedziałam wielkodusznie. - Ale teraz bardziej chodzi mi o to, że nazwałeś mnie Meksykanką i nabijałeś się, że niby mówię z akcentem.

- Masz moje najszczerze i najgłębsze przeprosiny. A teraz, możesz przeprosić mnie.

- Za co?

- Za to, że mnie okłamałaś.

- Ale ty też mnie okłamałeś. A poza tym powiedziałeś, że rozumiesz, dlaczego to zrobiłam.

- No tak, ale teraz już wiesz, że nie jestem psychopatą i że te koszmarne psy nie są moje. Myślę, że należą mi się przeprosiny.

Popatrzyłam na nóż migający w jego rękach.

- Myślę, że byłbyś całkiem niezłym psychopatą.

- Piękne dzięki. A przy okazji, jak długo już pracujesz w Quantas?

- Zamknij się.

- Zamknę się, jeśli obiecasz, że w przyszłym tygodniu dasz się zaprosić na drinka i nie potraktujesz mnie tak jak wtedy.

- Wtedy to nie byłam ja, to była Annabelle. Ona ma bardzo wybredny gust. Dziękuję za zaproszenie, ale nie.

- Jeden rozsądny powód tak wrogiego odrzucenia? Usiłowałam zignorować fakt, że doktorek miał nader bogate i wyszukane słownictwo i był przygnębiająco wręcz wygadany.

- Czy ja mam na czole wytatuowane „Nagroda dla Stereotypowo Myślącego Samca”?

Doktorek odłożył nóż, odsunął mi włosy z czoła i wpatrzył się w nie uważnie.

- Nie, tak... zaraz, poczekaj chwilę, chyba rozpoznaję N i M... nie - ciągnął dalej z głębokim ubolewaniem - tu jest napisane „Autorka Niezwykłe Wyszukanych i Nieprawdopodobnych Metafor”.

Gwałtownie odepchnęłam jego dłoń. On spokojnie wziął nóż i dokończył siekanie.

- A tak w ogóle, to co miałaś na myśli? - spytał lekkim tonem.

Złapałam kolejny kawałek marchewki.

- Ciebie. I twoje patriarchalne i szowinistyczne przywiązanie do pewnego typu kobiet.

- A, o to chodzi. Owszem, wolę brunetki. Masz z tym jakiś problem?

Ponieważ od urodzenia jestem brunetką, w zasadzie każdy facet, któremu podobają się ciemnowłose, miał moje gorące poparcie i najlepsze życzenia, ale ten tu był tak kretyńsko zadowolony z siebie, że po prostu zmuszał do wyszukiwania w nim wad i niezgadzenia się z niczym, cokolwiek powiedział.

- Wcale mi nie przeszkadza, że wolisz brunetki. Ale wiem z dobrego źródła, że umawiasz się z kobietami tylko ze względu na ich wygląd, a zwisa ci ich intelekt i osobowość. Uważam to za odstręczające.

- Naprawdę? Ciekawe, od kogo to wiesz? - rzucił mi przenikliwe spojrzenie. Nie chciałam wsypać Zoe, zważywszy, że doktorek był jej współlokatorem. Zdecydowałam, że jeśli mnie spyta wprost, po prostu wszystko zwałę na Fran. Ona się tym nie przejmie. Próbowałam sobie przypomnieć, czy to Fran, czy Zoe powiedziała, że doktor Jack nie zwraca uwagi u kobiet na osobowość i inteligencję, ale w końcu uznałam, że to bez znaczenia. Nawet jeśli nie powiedziały tego dokładnie tymi słowami, to z całą pewnością jasno i wyraźnie mówiły o jego preferencji dla pewnego typu kobiet. A teraz, gdy poznałam go osobi-

ście, było jasne jak tysiąc słońc, że taki arogant i zarozumialec nie jest w stanie zadawać się kobietą, która ma własny rozum i własne zdanie.

Poszukałam ucieczki w milczącym przeżuwananiu marchewki, doktorek zaś nawijał.

- Isabelle, to co powiedziałaś, to kompletna bzdura. Spotykam się z kobietami, które uważam za interesujące, no i tak, oczywiście zwykle mają ten typ urody, który mnie się podoba. W przeciwnym razie to, no, no nie umawiam się z nimi, a tylko zaprzyjaźniam. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego upodobanie do pewnego typu urody ma być odstręczające. A tak przy okazji, twoich, no powiedzmy, trzech ostatnich chłopaków, to jaki miało kolor włosów?

- Tak się złożyło, że wszyscy mieli ciemne - odpowiedziałam wyniośle. Ale nie spotykałam się z nimi tylko dla ich wyglądu.

- Dobry Boże, Isabelle, ale ty potrafisz... A jeśli ściągniesz ze stołu jeszcze jedną marchewkę, to ci odrąbię palce.

Wolałabym żeby nie mówił „Dobry Boże” w taki sposób. To sprawiało, że robił się cholernie atrakcyjny, coś jak lord Szkarłatny Kwiat\*<sup>8</sup>.

W tym momencie do kuchni wróciła Zoe, cała zdyszana, z górą prezentów w rękach.

- O, Isabelle, a ty ciągle nie masz drinka! Jack, bądź gospodarzem!

- Och, przepraszam - powiedział potulnie doktorek, podchodząc do lodówki. - Właśnie miałem jej podać py-wo.

\* \* \*

Zostawiłyśmy doktorka w kuchni, by dokończył swe kulinarne operacje. Zoe pociągnęła mnie do grupy gości, by przedstawić mi swego Okłamaczusia. Chłopaczek okazał się miły i inteligentny, ale

---

<sup>8</sup> \* Scarlet Pimpernel, *tytułowy bohater romansu historycznego pióra baronowej Orczy [przyp. tłum.]*.

beznadziejnie młody. Podczas rozmowy zdawaliśmy się mówić różnymi językami i pochodzić z dwóch różnych światów. Okłamaczuś wspominał jakieś zespoły kompletnie nam nieznane i miejsca, o których nigdy nie słyszałyśmy. Poczuliśmy się nagle bardzo stare i staceczne, tym bardziej że w niedzielę wieczorem wybierałyśmy się do eleganckiej restauracji, zamiast w przyciasnych topach (i trochę „Ecstasy”) pójść na tańce do nocnego klubu.

Okłamaczuś czuł się chyba trochę nieswojo, usiadłam więc przy nim i zachęcałam do opowiadania wszystkich plotek uniwersyteckich. Zoe uśmiechnęła się do mnie z wdzięcznością, ale zarazem z ostrzeżeniem. Odpowiedziałam jej spojrzeniem, które jasno mówiło: - nie, nie zapomniałam, masz dwadzieścia siedem lat (skończone...) - i ponownie odwróciłam się do Młodego Okłamaczusia, próbując udawać zainteresowanie jakimiś obłąkanymi wariactwami na Wydziale Inżynierii.

Półtorej godziny później myślałam tylko o tym, jak uprzejmie umknąć przed dalszym wysłuchiowaniem przeraźliwie nudnych wywodów Okłamaczusia. Skąd biorą się tacy nudziarze? Jedyne, co w nich dobre, to fakt, że rzadko zwracają uwagę, czy ich ofiara słucha tego, co mówią, czy nie. Ograniczyłam się więc do kiwania głową od czasu do czasu i wydawania niezobowiązujących pomruków, a tymczasem mój umysł poszukiwał ucieczki w rozważania nad interesującym, choć tylko hipotetycznym problemem. Wyobraziłam sobie oto, że jestem ludożercą i zastanawiam się, które części ciała Okłamaczusia skonsumentuję jako pierwsze i jak je przyrządę. Doszłam już do Smażonych Płatków Uszu na warstwie makaronu z rukolą i lekko Przyrumienionych Pośladków w marynacie, z ziemniaczanym puree. Właśnie rozważałam, co będzie na drugie danie (pomijając oczywiście tę część ciała, gdyż myślenie o chłopaku Zoe w ten sposób byłoby bardzo nie stosowne), gdy wtem pojawili się Fran i jej Botanik. Natychmiast zauważyłam trzy rzeczy:

a) on nie nosił butów;

b) na pewno lepiej by wyglądał w białym fartuchu, gdyż ta granatowa wiatrówka zupełnie mu nie pasowała; oraz

c) Fran miała we włosach cały snop kamelii (z ogrodu sąsiadów najwyraźniej) przez co wyglądała trochę jak Carmen Miranda, tyle że bez owoców.

Jedną kamelię Fran trzymała w palcach i bez przerwy spoglądała na Botanika takim maślanym, rozanielonym wzrokiem, że o mało nie włączyłam jej do mego ludożerczego jadłospisu. Było jasne, że Botanik ukradł dla niej te kwiaty, bo raczej nie wyhodował ich sam, i oczywiście nie zdobył się na wydatek, by je samemu uczciwie kupić. Wydawało mi się nad wyraz niestosowne, że Botanik potajemnie kradnie kwiaty z cudzych ogrodów, tak prywatnych, jak i publicznych. Wydawałoby się, że powinien mieć większy szacunek do przyrody.

Skorzystałam z ich przybycia, by uciec od Okłameczusia. Rzuciłam się Fran entuzjastycznie na szyję, Okłameczuś zaś spokojnie kontynuował swój monolog jeszcze co najmniej przez dziesięć minut, nie zauważywszy mej rejterady. Fran oficjalnie przedstawiła mnie Botanicowi. Z uśmiechem wymieniliśmy uściski dłoni, a potem zapadła cisza.

Zawsze gdy spotykasz nowego mężczyznę twojej najlepszej przyjaciółki, pojawia się problem: o czym rozmawiać? Ty wiesz o nim wszystko, rozebrałaś na części pierwsze jego osobowość i przeprowadziłaś głęboką psychoanalizę. Znasz jego problemy, zachowania, nawet typowe odzywki. Dlatego też w chwili spotkania niezmiernie trudno poprzestać na „Cześć, jak się masz?“, gdyż natychmiast odczuwasz nieodpartą pokusę kontynuowania „...ale dlaczego mówiłeś, że chcesz się z nią spotkać we czwartek wieczorem, skoro

już wtedy planowałeś wizytę u matki? Czy w głębi duszy liczyłeś na to, że ona zechce ci towarzyszyć i będziesz mógł przedstawić ją rodzicom? A może to z twojej strony była subtelna wskazówka, jak bardzo sobie cenisz silne rodzinne więzy?” Najgorsze zaś jest to, że on



wie, że ty wiesz, więc uważnie mierzycie się wzrokiem, starając się ocenić zasięg waszej wzajemnej wiedzy o sobie.

Wtedy jedynym wyjściem jest wspólnie się upić, by następnie pograć się w wesołej, a czasami frywolnej rozmowie o jedynej osobie, którą znacie oboje... W tym wypadku jednak nie wchodziło to w grę, ze względu na nasze pierwsze krótkie spotkanie, kiedy nieco się zalałam, a on pamiętał, jak mrugałam do obrazów. Trochę głupio było proponować teraz popijawę. Poza tym obiecałyśmy przecież Zoe, że postaramy się dziś wieczór zbytnio nie zalać, by przypadkiem nie zdradzić Okłamaczuszce jej prawdziwego wieku. Pozostało więc tylko jedno wyjście - rozpoczęłam rozmowę.

- Śliczna kamelia - wydukałam wreszcie.

Botanik w istocie wyglądał na nieco spłoszonego. Biedaczek. Przywykł do swej cichej oranżerii i bez wątpienia czuje się nieswojo tu, gdzie wszyscy piją i gadają.

- To nie jest kamelia - oznajmiła z dumą Fran, wtykając twarz w płatkę kwiatu i wachając go tak intensywnie, że aż przestraszyłam się, że powciąga je sobie do nosa. - To jest... jak ty to nazwałeś pączuszkę?

Botanik był wyraźnie zakłopotany, ale kto by nie był? Żaden dorosły mężczyzna nie powinien być publicznie nazwany pączuszkiem (ani puszką, ani okruszkiem, ani karaluszkiem).

Zamruczał coś niewyraźnie.

- Przepraszam - postąpiłam nieco do przodu i zajęłam klasyczną pogawędkową pozycję: głowa w dół, wzrok wbity w buty (gdzie buty?!), rozmówcy i w ucho, w odpowiedniej odległości od jego warg.

- To jest... - Botanik wybąkał coś w kołnierzyk. Wyglądał naprawdę żałośnie. - To jest *rhododenronomnibus*.

- To po łacinie - wtrąciła Fran z podziwem, choć raczej niepotrzebnie.

- Doprawdy? - Myślałam przez chwilę, by niedbale rzucić *carpe diem*, które mętnie pamiętałam ze *Stowarzyszenia umarłych poetów*,

lecz zdecydowałam, że lepiej nie. Zamiast tego - by jakoś zapęłnić powstałą w konwersacji dziurę - zaczęłam nawijać:

- To musi być wspaniałe, znać łacinę. Zawsze uważałam, że to wstyd, że dzisiejsza młodzież marnuje czas na naukę informatyki i marketingu, zamiast opanować martwy język. Znajomość łaciny sprawia, że człowiek wydaje się taki, no, głęboki. A poza tym to się zawsze przydaje przy czytaniu napisów we włoskich kościołach z epoki Renesansu...

Przerwałam i pociągnęłam ze szklanki solidnego łyka. Dobry Boże. Czy naprawdę przed chwilą powiedziałam „dzisiejsza młodzież”? Oto skutki kontaktu z Okłamczusiem.

- Uczyłam się starożytnej greki na uniwersytecie, wie pan? - Ponieważ Fran odfrunęła gdzieś, by przynieść drinki, a Botanik nadal nie podejmował próby rozmowy, poczułam, że cały ciężar konwersacji spoczywa na moich barkach.

- Och, doprawdy? - W głosie Botanika nie było nawet zdźbła zainteresowania.

Nawijałam dalej.

- Taa. O, proszę posłuchać - zastanowiłam się przez moment, po czym wyrecytowałam *Kalei ton paida hina opendo*.

- A co to znaczy - spytał Botanik. Chyba mimo wszystko był podrażnieniem.

- „Wezwij niewolnika, by spełnił płynną ofiarę”.

- Dość poręczne.

- Tak, przydało się kiedyś, kiedy ubzdryngoliłam się na Krecie. Powiedziałam to i od razu ktoś przyniósł mi nowego drinka.

Poczułam, że odwaliłam już swoją część towarzyskiej pańszczyzny. Teraz przyszła pora, by Botanik poprowadził rozmowę, najlepiej na temat *mnie*, bo w końcu na tym znałam się najlepiej. Niestety, Botanik był beznadziejnie na bakier z podstawowymi zasadami etyki przyjęciowej. Wodził tylko wzrokiem wokół dość nieprzytomnie, póki Fran nie wróciła z drinkami. Doprawdy, nie wiadomo co gorsze: być zagadany na śmierć przez Okłamczusia, czy też podtrzymywać roz-

mowę (rozmowę?) z Botanikiem, który zdawał się kompletnie mnie ignorować, i jasne było, że marzy tylko o tym, by ktoś pociągnął za dźwignię uruchamiającą zapadnię pod moimi stopami. Teoretycznie (zgodnie z podstawowymi zasadami randkowania) powinien próbować bez skrępowania wkupić się w łaski przyjaciół Fran, byśmy mogli potem w rozmowie z nią pisać peany na jego chwałę i pochwałać jej wybór. Natomiast zachowanie Botanika nasuwało mi uzasadnione podejrzenia, że nie traktuje Fran poważnie i perspektywicznie, choć z całej duszy pragnęłam się mylić, gdyż Fran wydawała się taka szczęśliwa.

Dalszy ciąg przyjęcia byłby wspaniały, gdyby nie doktorek, który najwyraźniej postanowił, że wkurzanie mnie to główny cel i sens jego życia. Zostałam posadzona, dzięki Bogu, dość daleko od Botanika i Okłamaczusia, lecz niestety doktorek tak się jakoś zakreślił, że zdobył miejsce obok mnie. Nie mogłam zaprzeczyć, że gość jest odczytany, dowcipny i uroczo nadszkakujący (co sprawiło, że choć trochę przestałam się czuć jak aseksualna łyżka do butów), lecz zarazem było w nim coś takiego, co wyzwalało moje najgorsze instynkty. To nasze pierwsze, tak katastrofalne, spotkanie w parku sprawiło, że wciąż pamiętałam, jaką zrobiłam z siebie idiotkę, a jego stosunek do całej sprawy powodował, że moje wkurzenie rosło i rosło.

Po pierwszym daniu (nadzwyczajna przepiórka, której doktorek odmówił reanimacji, ale pozostawił śledziona) zaczęliśmy nawzajem prześcigać się w opowiadaniu głupawych anegdot. Dołożyłam swoje, relacjonując statystykę dotyczącą bernardyna Barry'ego. Wszyscy się roześmiali, za to doktorek spojrział na mnie pytająco, unosząc przy tym brew.

- Na pewno tego nie zmyśliłaś, Isabelle?

Pfff. Bęcwał. Teraz myśli sobie, że zmyślam wszystko, zawsze i wszędzie.

- Nie - odpowiedziałam krótko. - Dlaczego uważasz, że to zmyśliłam?

- No, Barry to nie jest typowo szwajcarskie imię, prawda?

Uśmiechnęłam się najśłodziej jak potrafiłam.

- Oj, rzeczywiście, ale ze mnie idiotka, musiałam się przejeździć. Oczywiście, teraz sobie przypominam, on nazywał się Frank. - Przerwałam na moment i dorzuciłam jadłowicie - tak jak frank szwajcarski. - Niestety, doktorek zamiast się zmieszać, wybuchnął śmiechem i puścił do mnie oko. Z rozkoszą bym mu je podbiła. Niemożliwy facet.

Jako danie główne wjechała wspaniała domowa *bouillabaisse* \*<sup>9</sup> podana ze świeżym chrupiącym chlebem. Doktorek pewnie przez trzy dni gotował rybie głowy i inne składniki na wywar. Pomyślałam sobie, że to idiotyzm i marnotrawienie czasu i wysiłku w dzisiejszych czasach, gdy w supermarketach leżą stopy przeróżnych rosółów i wywarów w proszku. A poza tym trzeba uczciwie przyznać, że była to najwspanialsza esencjonalna i aromatyczna zupa, jaką kiedykolwiek jadłam. Starłam się powściągnąć uczucie zazdrości i urazy, jako że sama spędziłam mnóstwo czasu, starając się (bez sukcesu) zgłębić tajemnice kuchni śródziemnomorskiej.

Po spożyciu głównego dania przy stole rozgorzała długa, hałaśliwa i w sumie bardzo zabawna debata. Najpierw ustalono, kto to właściwie jest kuzyn drugiego stopnia, następnie wszyscy zaczęliśmy udzielać rad Danielowi (jeszcze jeden artysta) co do jego planów opracowania ilustrowanego słownika muzyki pop. Potem rozmowa zeszła na książki i właśnie otworzyłam usta, by elegancko, wykwintnie i intelektualnie dać wszystkim poznać, że czytam właśnie *Portret damy*, lecz ubiegł mnie doktorek, który zaczął mówić o *Harrym Potterze*. I wtedy nagle wszyscy zaczęli z wyraźnym ożywieniem tokować o Szkole Magii i Czarodziejstwa w Hog-warcie i o jakimś Lordzie Voldemorcie. Naprawdę, nie ściemniam. Nie rozumiem, po co w ta-

---

<sup>9</sup> \* Prowansalska zupa z różnych ryb, krabów, homarów, gotowanych w wodzie z cebulą i korzeniami, zabarwiona szafranem [przyp. red.].

kim razie udawać, że jesteśmy poważnymi, dorosłymi ludźmi na poważnym dorosłym przyjęciu, gdy przy lada okazji cofamy się w głębokie dzieciństwo. Równie dobrze moglibyśmy się spotykać, by pogryzając chleb wróżek, oglądać na wideo *Ciemny kryształ*. Poza tym jasne było, że poza mną wszyscy czytali *Harry'ego Pottera*, przez co poczułam się wyjątkowo podle, nagle wykluczona z rozmowy. Co prawda Okłamczuś wyczekał na chwilę przerwy i desperacko wtrącił: „Właściwie to tylko wersja klasycznej interpretacji mitycznego bohatera przez Josepha Campbella, czyż nie?”, i wtedy wszyscy spojrzeli na niego tępo, po czym zwawo powrócili do omawiania zasad gry w quidditcha.

Zaczął się robić chłodno. Zadrżałam i objęłam się ramionami, nic jednak nie mówiąc, gdyż wcale nie chciało mi się wchodzić do środka. Na zewnątrz było tak przyjemnie. Świecek na stole migotały, gwiazdy na niebie też. Doktorek musiał jednak zauważyć mój dreszcz, ponieważ wszedł do środka i wrócił po chwili, przynosząc mi swój sweter. Podziękowałam mu, myśląc że to bardzo miło z jego strony i że może nie jest on taki wredny, jakby się wydawało. Wtedy nagle śmiertelnie poważnie powiedział: - Nie chcę, byś złapała przeziębienie przez nagłą zmianę klimatu. W Uzbekistanie jest teraz chyba strasznie gorąco. - Wciągałam właśnie ten sweter, więc rzuciłam mu tylko jadowite spojrzenie, uwolniwszy wreszcie głowę, nie mogąc zarazem nie zauważyć jak ten cholerny sweter przyjemnie pachnie. Zanim zdążyłam się odciąć, Alex wniósł uroczyście urodzinowy tort Zoe (na którym płonęło wesoło dwadzieścia sześć świeczek). Zrobiło się na ten widok wielkie zamieszanie. Wszyscy zaczęli żartować, jak to Zoe wydaje się młodsza z każdym kolejnym dniem, co według nas było bardzo zabawne, chociaż Zoe patrzyła na nas z wściekłością, Okłamczuś zaś siedział mocno zmieszany, jakby nigdy jeszcze nie był na dorosłym przyjęciu bez rodziców.

Przyjęcie zaczęło powoli zamierać, gdy Zoe i Okłamczuś jęli wymieniać między sobą spojrzenia, z których wynikało, że chcą już zostać sami, by się kochać. Fran miała spędzić noc u Botanika, a że

mieszkał po drodze do mojego domu, postanowiliśmy wspólnie wziąć taksówkę. Uściskałam Zoe i pożegnałam się, doktorka zaś zaszczyciłam tylko pomachaniem ręki. Gdy staliśmy tak przed domem, czekając na przyjazd taksówki, zobaczyłam nagle, że doktorok pruje ku nam i jęknęłam w duchu.

- Wykorzystujesz każdą okazję, by się zmyć bez pożegnania, co, Isabelle? - Robił wrażenie rozbawionego.

Wyciągnęłam rękę, dość sztywno.

- Dziękuję za uroczy wieczór. No i wspaniałą kolację.

- Było mi bardzo miło, Isabelle. I dzięki za nieocenioną wprost przyjemność, jaką sprawiło mi twoje towarzystwo.

- Czy zawsze musisz być taki złośliwy? - prychnęłam. Wyglądał na zaskoczonego. - Przepraszam, nie miałem

takiego zamiaru. Ale skoro jesteś tak oficjalna, pomyślałem, że się dostosuję.

Poczułam, że się gotuję. Co, u diabła, jest w nim takiego, że wychodzę przy nim na idiotkę?

Tymczasem doktorok zignorował moją wciąż sztywno wyciągniętą dłoń, nachylił się i pocałował mnie w policzek. Pachniał dokładnie tak jak jego sweter - ciepłym, cudownie męskim zapachem.

- Przepraszam, że poczułaś się urażona, gdy nazwałem cię Meksykanką - powiedział.

O zesz, kurczę, ale on jest przystojny. „Uważaj” - darł się mój umysł. Znowu wpadniesz! „Och” - wyło moje ciało - chcę się z nim kochać!”

Wzięłam głęboki wdech.

- W porządku. A ja cię przepraszam za to, że życzyłam ci, by porządk cię lew.

- Isabelle, proszę nie obraż się znowu, jestem pewien, że jest na to, co mówisz, jakieś logiczne wytłumaczenie. Ale czy ty przypadkiem nie bierzesz jakichś prochów, tak dla zabawy?

- Jako lekarz powinieneś wiedzieć, że o wiele gorsze są prochy zapisywane na receptę. Chętnie opowiedziałbym ci o moich doświad-



czeniu w tej sprawie, ale to dość długa i skomplikowana historia, w którą zamieszane są lamy i rower. A także Charlie, pomyślałam z nagłym wyrzutem sumienia, i błyskawicznie uświadomiłam sobie, że nie jestem jeszcze gotowa paść w ramiona facetowi tylko dlatego, że miło pachnie i wyraźnie się mną interesuje (choć może wyłącznie w celu zawieszenia sobie na pasie skalpu jeszcze jednej brunetki).

- Od dawna nie miałem okazji posłuchać jakiejś dobrej historii o lamach - powiedział doktorek. No, ten facet łatwo się nie poddaje, to fakt. Nie byłam jednak pewna, czy dlatego, że mu się podobam, czy dlatego, że jest tak cholernie pewny siebie.

Na szczęście zajechała taksówka, a kierowca niecierpliwie zatrąbił. Sądząc po nateżeniu klaksonu, był to miłośnik Moneta. I Renoira.

Fran i jej Botanik byli przez cały czas zbyt zajęci gruchaniem, kłaskaniem i obrzucaniem się nawzajem płatkami tych rodokamelii, nie słyszeli więc naszej rozmowy. Gdy klakson wyrwał ich ze stanu kwiatowego upojenia, Fran odwróciła się nagle ku mnie z rozmarzonym wyrazem twarzy i oznajmiła:

- Jestem pewna, że się oboje polubicie. Macie ze sobą tyle wspólnego. Na przykład oboje lubicie *Annę Kareniną*.

- Ty czytałeś *Annę Kareniną*? - Szyderstwo i niedowierzenie wyzierało z każdej wypowiedzianej przeze mnie sylaby.

- Nie, ale kiedyś załapałem się na parę minut wersji filmowej, jak skakałem po kanałach, po meczu krykieta - odpowiedział doktorek bardzo poważnie, po czym dodał nieco rozgoryczonym głosem. - Oczywiście, że czytałem *Annę Kareniną*. Dlaczego wydaje ci się to takie dziwne?

- A, to teraz Belle zakocha się w tobie na zabój - zapiszczała Fran, szczerząc się w uśmiechu. Chyba była jednak trochę zalana. - Ona zawsze zakochuje się w odczytanych facetach.

Nie, ja jej tak zwyczajnie i po prostu nie zamorduję. Raczej nałożę na nią fatwę jak fundamentaliści na Salmana Rushdiego.

- W przeciwieństwie do *niektórych osób*, nie zwracam uwagi na wygląd - oznajmiłam z godnością.

- Ach tak, mówiłaś mi już o tym. No więc, skoro w twoim guście są nieatrakcyjne mole książkowe, to pozwolisz, że zapoznam cię z Eugenem, który pracuje w archiwum mojego szpitala. Trądzik, jak rozumiem, ci nie przeszkadza?

- Typowe - prychnęłam. - Po prostu nie może ci się pomieścić w głowie, że kobietę może w mężczyźnie pociągać jego intelekt. I rzeczywiście, uwielbiam odczytanych facetów.

Fran z Botanikiem zdążyli się tymczasem władować już na tylne siedzenie taksówki, więc mnie pozostało tylko przednie. Doktorek przytrzymał mi drzwi i gdy wsiadałam, zapytał jakby od niechcienia.

- No, to jaki jest twój ideał mężczyzny, Isabelle? Zastanowiłam się przez chwilę.

- To ktoś taki, kto potrafiłby mi wyjaśnić, dlaczego tolerujemy u ludzi to, co przeraża nas u koni. Dobranoc.

Gdy wdrapywałam się po schodach do mieszkania, uświadomiłam sobie, że czuję się niewiarygodnie szczęśliwa i że znów od nowa jestem zakochana w Sydney. W jego klimacie, dzięki któremu w sierpniu można urządzić przyjęcie pod gołym niebem, w jego interesujących i zabawnych mieszkańcach odznaczających się tym, co da się opisać jedynie słowem sydneyjskość, a przede wszystkim byłam zakochana w myśli, że do tego wszystkiego niepotrzebny mi jest Charlie. Gdy rozbierałam się, by położyć się do łóżka, zdałam sobie sprawę, że wciąż mam na sobie sweter doktora (no, niech będzie: doktora Jacka). Przyjrzałam się swej piżamie i nagle, z jakiegoś mglistego powodu, naciągnęłam sweter z powrotem i wskoczyłam do łóżka. Wtulając się w miłe ciepło i upajający zapach swetra, próbowałam sobie sennie uprzytomnić, co daje mi to poczucie bezpieczeństwa i spokoju. I nagle, tuż przed zapadnięciem się w sen, przypomniałam sobie. To było tak, jakbym czuła, że obejmują mnie czyjeś ramiona.

## 16.

### Hamish, zaginiony kot

Przez kilka następnych dni byłam w cudownym nastroju. Gdy rano szłam do pracy, cały świat się do mnie uśmiechał. Cieszyło mnie wszystko - kolor nieba, piękno szerokich trzypasmowych alei i ptaki śpiewające tak głośno, jakby brały udział w przesłuchaniu do najnowszego musicalu Andrew Lloyd-Webera. Nic nie było w stanie zmącić mej euforii: ani fakt, że odetchnęłam pełną piersią akurat w chwili, gdy obok przejeżdżała śmieciarka, ani to, że facet zamiatający ulicę, gdy obdarzyłam go promiennym uśmiechem, spojrział na minie tępo, odchrząknął i splunął (najwyraźniej w moim kierunku).

Szłam dalej, usiłując zwalczyć poczucie zranienia i odrzucenia, które na krótko mną owładnęło. I właśnie wtedy zobaczyłam tę wiadomość o zaginionym kocie, przypiętą do drzewa przy sklepach na Oxford Street.

Nawiasem mówiąc, zawsze uderza mnie wysiłek i inwencja, jaką tutejsi ludzie wkładają w tego typu ogłoszenia. Niewątpliwie zasługują na osobne miejsce na wielkanocnym kiermaszu (gdzieś między najlepszymi domowymi bułeczkami a najśliczniej wyszywanymi kocami dla psów miniaterek). Wszędzie, na jakimkolwiek przedmieściu w Australii, można spotykać te ogłoszenia - czarno-białe kiepskie kserograficzne odbitki z wizerunkami zaginionego pupila i wielkim słowem ZAGINAŁ/EŁA, wypisanym ręcznie odblaskowym mazakiem, oraz rozdzierającym serce błaganiami: „Jeśli ktokolwiek widział Miau-Miau, proszę zadzwonić do Billy'ego. Nosi niebieską obrozę z dzwoneczkiem i uwielbia łapać szcury" (należy się domyślać, że to ostatnie zadanie dotyczy nie Billy'ego, lecz Miau-Miau).

Ogłoszenie, które zwróciło moją uwagę, było jednak nieco inne. Przede wszystkim nie zamieszczono fotografii kota, tekst zaś wydru-

kowany był na drogim papierze wymyślnym i trudnym do odcyfrowania gotykiem. Karta została schludnie wsunięta w plastikową kopertę (dla ochrony przed deszczem??) i równie schludnie przypięta na wszystkich czterech rogach lśniącoymi pinezkami. Tekst brzmiał następująco:

## MÓJ KOCI PRZYJACIEL ZAGINAŁ

Mój ukochany kot, Hamish, jest nieobecny od 8 marca. Choć moi drodzy i kochający przyjaciele radzą mi pogodzić się z jego, prawdopodobnie bezpowrotnym, zniknięciem, ja jednak nie mogę wyrzec się nadziei.

Jeśli macie jakiegokolwiek wiadomości o miejscu pobytu Hamisha, proszę przekazać je Pani Beverley Barking-Mad, na jej komórkę, numer poniżej.

Dziękuję wszystkim za pomoc i wsparcie, i ufam, że będziecie pamiętać o Hamishu w swych modlitwach.

Niżej zaś, drobniejszym drukiem, widniało coś w rodzaju postscriptum.

Nagroda za zwrot Hamisha wynosi 600 dolarów. Jeśli wróci cały i zdrowy, nie będą stawiane żadne kłopotliwe pytania.

Ciekawe skrzyżowanie modlitwy za drogiego nieobecnego kota i bredzeń szurniętego członka sekty czcicieli kotów. Pierwszą moją reakcją było rozdarcie między pragnieniem natychmiastowego urządzenia czuwania przy świecach w intencji Hamisha a chęcią poinformowania pani Barking-Mad, że niepotrzebnie czuje się winna, gdyż jej wredne kocisko prawdopodobnie po prostu bryknęło sobie w świat w typowo samolubny koci sposób.

Chwilę potem jednak zdałam sobie sprawę, że w ogłoszeniu tym są punkty potencjalnie bardzo interesujące. Po pierwsze, oczywiście nagroda. Co prawda z trudem mieściło mi się w głowie, że dla kogoś

kot jest wart tyle, co porządny zimowy płaszcz, ale w tym punkcie nie spierałabym się z panią Beverly Barking-Mad. W końcu to jest Wolahra, jedna z bogatszych dzielnic Sydney, i ta cała Barking-Mad jest pewnie tak bogata, że Hamish ma obrózkę wysadzaną diamentami i sypia na poduszce z gęsiego puchu.

Drugim interesującym elementem ogłoszenia było imię kota. Kto, na litość boską, nazywa kota Hamish? Pani Barking-Mad pewnie przypadkowo nazwała swe dzieci Rover i Kitty, ale za to jej buldożek nazywa się Jonathon Worcester III.

No i w końcu całe postscriptum. Pozwalało przypuszczać, że nawet gdyby udało mi się odnaleźć Nieobecnego Kota Hamisha i przyprowadzić go, niczym syna marnotrawnego, na kochające łono pani Barking-Mad, niewątpliwie wręczono by mi pokaźny czek, lecz potraktowano nie tyle jako miłą, dzielną pracownicę opieki społecznej nad zwierzętami, lecz raczej jako kryminalistkę porywającą biednego Hamisha w celu wyłudzenia nagrody. Rozważywszy to wszystko, uznałam, że mogę się tym zająć. Ponieważ Fran miała tego dnia wolne, zadzwoniłam do niej zaraz po przybyciu do pracy.

- Cześć, to ja. Słuchaj, pamiętasz, jak mówiłaś, że jesteś kompletnie splukana?

- Och, nie przypominaj mi o tym - zazgrzytała Fran. - Zaczynam poważnie myśleć o włamaniu się do przedszkola, by ukraść maluchom farby. Masz pojęcie, ile teraz kosztują przybory malarskie?

- Dobra, na razie się nie włamuj. Masz czas dziś wieczorem?

- Tak sędzę, ale dlaczego?

- Będziemy szukać kota.

- Czyjego kota?

- Takiej jednej Beverley. Myślę, że to jedna z tych zwariowanych bogatych bab, która urządza dobroczynne imprezy na rzecz ubogich u Prądy.

- A dlaczego mamy szukać jej kota?

- Bo nagroda wynosi 600 dolarów.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Fran przetrawiała tę informację.

- Tyle bym nie dała - powiedziała w końcu. - No, gdyby to był pies, mogłabym zrozumieć...

- Taa, rozumiem i popieram. Ja też bym tyle nie dała. Nie sądzę, by moi rodzice chcieli wyłożyć tyle nawet za mnie.

Ponarzekaliśmy jeszcze trochę, kiwając smętnie głowami nad wypaczonymi priorytetami zwariowanych milionerów, z drugiej jednak strony uznałyśmy za wspaniałe to, że są na tym świecie takie Beverley Barking-Mad, na których bziku możemy skorzystać, i umówiłyśmy się po pracy. A ponieważ, choć nadchodziła wiosna, pogoda wciąż sprawiała niespodzianki, a zmierzch zapadał dość wcześnie, Fran obiecała, że przyniesie latarki, coś-co-koty-lubią najbardziej (gdyby trzeba było przywabić Hamisha) i wszystko, co mogłoby się przydać w naszej akcji.

Wieczorem, gdy Fran przysłała do mnie, pokazałam jej notatkę o Hamishu (którą dyskretnie wyciągnęłam z plastikowej koperty podczas przerwy na lunch). Fran jednak najwyraźniej nie była pod wrażeniem ewentualnych złotych gór w takim stopniu jak ja.

- Belle, nie powiedziałaś, że ten Hamish zaginął ponad pięć miesięcy temu! Jeśli nie jest teraz w Ameryce Południowej, to mogę się założyć, że po prostu przejechał go samochód.

- Nie mów takich okropności. - Wprawdzie, podobnie jak Fran, nie lubiłam kotów, lecz mimo to czułam jakieś dziwne przywiązanie do Hamisha, mające swe źródło zapewne w tym, że podejmując poszukiwanie go, zaczęłam czuć się jak nie przymierzając bernardyn Barry, Bohaterski Ratownik.

- A właściwie, jak zamierzasz go szukać? W tym kretyńskim ogłoszeniu nie ma nawet zdjęcia tego po trzykroć kretyńskiego kota. Nie napisali, jaką nosi obrózkę, jakiej jest maści i tak dalej.

- Wysadzana diamentami - powiedziałam potulnie.

- Co?



- No, po prostu jestem pewna, właściwie przeczuwam, że Hamish pewnie nosi obrożę wysadzane diamentami - odpowiedziałam jeszcze bardziej potulnie. - Hamish nie może zostać znaleziony martwy (ups!) w jednej z tych masowo produkowanych imitacji ze skóry.

Fran trochę dziwnie na mnie spojrzała, po czym westchnęła. - No dobra. Myślę, że możemy to zrobić, zważywszy, że już zadałam sobie tyle trudu.

Nieco uraziło mnie to ostatnie zdanie. W końcu to *ja* zerwałam ogłoszenie i w ogóle, ale nic nie powiedziałam.

- Co przyniosłaś? - zapytałam nadąsana. Rozchmurzyła się i podała mi torbę. - To nasz ekwipunek

do szukania kota. - Oprócz wielu innych rzeczy, w torbie znajdowały się dwie latarki. Jedna miała baterie na wymarcie, druga zaś była to dziecięca latarenka, której światło przypominało raczej migotanie gasnącej kadzielnicy.

Prosząc Fran, by przyniosła coś-co-koty-lubią-najbardziej, miałam na myśli otwartą już puszkę kocięj karmy, ewentualnie kłębek włóczki, no może jeszcze mleko i miseczki (które można by porzucić). Fran natomiast uznała, że bardziej przydatne będą: broszura na temat wycieczek na Wielką Rafę Koralową, pełna błyszczących fotografii ryb tropikalnych i kasetta video z filmem *Mouse Hunt*.

- Brr, ale robi się zimno. - Obie wzdrygnęłyśmy się pod nagłym podmuchem lodowatego wiatru. - Właściwie, dlaczego by nie wpaść do pubu na małego drinka, by rozgrzać się przed akcją?

Rozsiadłyśmy się w zacisznym ciepłym pubu, z drinkami w zasięgu ręki. Obie starałyśmy się przez chwilę odegnąć pełne poczucia winy myśli o biednym Hamishu, gdzieś tam drżącym i skostniałym, by nie mieć sobie przyjemności tego co, jak przekonywałyśmy się nawzajem, miało być „tylko jednym, szybkim drinkiem”.

- A jak tam Botanik - spytałam nie dlatego, że mnie to interesowało, lecz że Fran chyba chciała, bym o to spytała.

- Ach, cudownie - odpowiedziała rozmarzona. - On jest zupełnie inny od wszystkich, jakich dotąd znałam.

Fakt, nie nosi butów i wydaje się kompletnym niemową. Właściwie ciekawe, co Fran w nim widzi.

- W jakim sensie inny?

- Wiem, że to głupio zabrzmiało, ale przede wszystkim on nie jest seryjnym randkowiczem. I już to samo sprawia, że czuję się wyjątkowa.

- Co masz na myśli, mówiąc „seryjny randkowicz”? Fran prychnęła niecierpliwie. - No wiesz, ktoś kto zawsze umawia się na randki z określonym typem dziewczyny.

- A - oświeciło mnie nagle - znaczy taki ktoś jak ten doktor Jack?

- Właśnie - odpowiedziała Fran, uszczęśliwiona, że tak szybko załapałam. Lecz nagle nieoczekiwanie dodała, ku memu zaskoczeniu.

- No i tak jak Zoe, ty i ja.

- O czym ty mówisz? Jakie z nas seryjne randkowniczkę? Takie seryjne randkowanie jest typowe dla takich żalonych facetów jak ten cały doktor Jack, który nie potrafi wyjść poza te swoje powierzchowne stereotypy (nie wiedziałam, czy użyłam właściwego słowa, lecz byłam zbyt pochłonięta odrzucaniem jakichkolwiek podobieństw między doktorem Jackem i mną, by martwić się o gramatykę).

Fran najpierw parsknęła, a zaraz potem zakrztusiła się, gdyż zbyt gwałtownie pociągnęła łyk swego drinka. Wykaszlawszy się powiedziała.

- Ależ oczywiście, że jesteśmy seryjnymi randkowniczkami. Spójrz na Zoe i jej wszystkich młodocianych kochasiów. A ty z kolei tracisz głowę dla każdego faceta przypominającego Byrona, no wiesz, „brunet piękny i posepny”.

Teraz to ja się zakrztusiłam i zanim zdążyłam się wykaszleć i coś odpowiedzieć, Fran zapytała:

- A jak właściwie jest z tobą i doktorem Jackiem? On jest taki słodki. Dlaczego stale jesteś dla niego taka niemiła?

- A ty, dlaczego jesteś stale dla niego taka miła? - odgryzłam się.

- Nigdy do ciebie nie zadzwonił, pamiętasz?

Fran wyglądała na lekko zawstydzoną. - Właściwie to on nigdy nie obiecał, że do mnie zadzwoni. To nie jego wina, że sobie fantazjowałam na jego temat. Jeśli nie lubisz go z mojego powodu, to niepotrzebnie.

Już miałam zacząć jej tłumaczyć, że nie lubię takich facetów jak on, ale wstrzymałam się, gdyż zgodnie z teorią Fran byliśmy takimi facetami jak oni, no z wyjątkiem tego, że jesteśmy dziewczynami. Poczulałam się zupełnie skołowana.

- ...No i wiem, że to się może wydać takie płytkie i powierzchowne, ale właśnie to mnie pociąga. Dlatego zawsze umawiam się z blondynami.

Spojrzałam na Fran, zastanawiając się, czy żartuje. Nie żartowała.

- Frannie?

- Tak?

- Nigdy ci nie przyszło do głowy, że poza kolorem włosów jest jeszcze coś, co łączy mężczyzn twego życia?

- Niby co? - spojrzała na mnie zdumiona.

Nie mogłam uwierzyć, że nigdy o tym nie pomyślała. Postanowiłam więc bardzo ostrożnie podejść do sprawy.

- Czy ten twój Botanik robi gdzieś za wolontariusza?

- Tak. Jej twarz pojaśniała. - Dbą o krzewy w paru ogrodach.

Drażylałam ostrożnie dalej. - A dlaczego się tym zajął?

- Bo nikt inny nie chciał i było mu przykro z tego powodu. Już ci o tym mówiłam. Teraz krzewy w ogrodach są niemodne.

- I co o tym sądzisz? To znaczy, co czujesz? - zaczynałam nawiązać jak psychoterapeutka. W sumie nie było to złe, gdyż im dłużej przepytywałam Fran o Botanika, wolontariat i krzewy, tym bardziej dochodziłam do przekonania, że wkrótce sama mogę potrzebować psychoterapii.

- Kocham go za to. On zawsze troszczy się o zaniedbanych i odrzuconych.

- No to widzisz, Frannie, o to mi właśnie chodzi. Ciebie nie pociągają blondyni jako tacy, ciebie pociągają altruści, ludzie niesamo-

lubni. Przykro mi to mówić złotko, ale nie jesteś aż tak powierzchowna, jak uważasz.

Fran rozważała przez chwilę moje słowa. Czułam, że dopasowuje moją teorię do faceta od środowiska, korespondenta wojennego i tego wolontariusza w kostiumie misia koali.

- Czyli że nie jestem powierzchowna, tak? - powiedziała w końcu z pewnym podziwem w głosie.

Poklepałam ją po ręce. Właśnie złotko, nie jesteś. Ale na pocieszenie powiem ci, że jesteś jedną z nas. Myślę, że możemy wypić za seryjne randkowiczki. - Wstałam, by przynieść kolejne drinki, lecz Fran nagle wyciągnęła rękę, zatrzymując mnie.

- Belle? Wciąż mi nie powiedziałaś, dlaczego tak bardzo nie lubisz doktora Jacka?

Zastanowiłam się. Właściwie nie mogłam go już nie lubić za jego powierzchowny stosunek do randkowania, gdyż w sposób oczywisty zachowywaliśmy się podobnie. Oh, na pewno było jeszcze z tysiąc powodów, by go nie lubić: jego arogancja i to bezlitosne dokuczanie mi. Ale w tej chwili jakoś jedyną rzeczą, która uparcie powracała mi w pamięci, był jego widok, gdy się śmiał, co było właściwie bardzo pociągające - wesołe iskierki w oczach i szeroki uśmiech.

- Przyrządził tę przepiórkę - powiedziałam w końcu.

- W przepiórcie jest coś tak bezbronnego. Myślę, że to dowodzi jego arogancji, no wiesz „Jam jest Władcą Wszechświata, na szczycie łańcucha pokarmowego”. No i trochę to ostentacyjne.

- No, ale zjadłaś tę przepiórkę - zauważyła Fran.

- Wiesz, co o tym myślę, Belle?

- Wiem. Że każdy, kto nosi prawdziwe futra, zasługuje na to, by posłużyć za karmę dla zwierząt, których skóry nosi.

- Oj nie, kretynko jedna, chciałam powiedzieć, co myślę o tobie i doktorze Jacku. Myślę, że on w samej rzeczy dokładnie odpowiada twojemu ideałowi inteligentnego, czytanego i wygadanego faceta, i to cię właśnie przeraża. Ponieważ w miejsce wymyślonego ideału,

spotkałaś ideał z krwi i kości, i nie chcesz go bliżej poznać, żeby cię nie rozczarował.

- To śmieszne. A poza tym, jeśli jest moim ideałem, to nie może mnie rozczarować, bo wtedy przestałby nim być...

Fran wyglądała, jakby nagle rozbolała ją głowa, co było dziwne, gdyż zazwyczaj to ja tak wyglądałam przy końcu naszej rozmowy.

- Oj, Belle. Myślę, że jesteś po prostu ślepa, ale trudno

- twój wybór. Jeśli wolisz nadal żyć fantazjami albo marzeniami o Charliem, to nic na to nie poradzę. No, ale teraz wypijmy jeszcze po jednym, zanim wreszcie pójdziemy szukać tego durnego kota.

Idąc do baru i czekając, aż mnie obsłużą, myślałam

o tym, co powiedziała Fran. Z jakiegoś powodu jej słowa wzburzyły mnie, gdy nagle przypomniałam sobie o Corym. Nie powiedziałam jeszcze o nim Fran, ale on był jak najbardziej prawdziwy, a odpowiadał mojemu ideałowi o wiele bardziej niż ktoś, kto nakłamał mi że jest maklerem, i nawet nie wiedział, czy przepiórka ma śledzionę.

\* \* \*

Jak to się w życiu dziwnie plecie. Zaczynasz dzień niemal opluta przez funkcjonariusza oczyszczania miasta, a kończysz o dziesiątej wieczorem pełna ciepłych uczuć

i wdzięczności dla tegoż funkcjonariusza, bez którego ciężkiej i niewdzięcznej pracy siedziałabyś teraz w brudnej i zapchanej liśćmi rurze. A tak, czułam się właściwie świetnie i wygodnie, pogodnie ululana, oglądając przy słabiutkim świetle dziecinnej latarenki fotografie przeraźliwie opalonych par w broszurze o wakacjach na Wielkiej Raffie. Fran była w daleko gorszym stanie niż ja. W tej chwili czołgała się pod splątanymi krzakami, waląc kasetą z *Mouse Hunt* o pnie drzew i od czasu do czasu wołając „Kiiiciii-Kiiiciii, KOTECZKU” tak rozdzierająco, że każde stworzenie futerkowe usłyszawszy to, rzuciłoby się - w obawie o swe życie - natychmiast na szosę, prosto pod samo-

chody. Nagle usłyszałam czyjeś kroki. Spojrzałam w górę i zobaczyłam Cory'ego Czwartego. Zbliżał się, chłodny i elegancki, z niebieską chustą wokół szyi i w pięknym swetrze typu „pójdź-i-przytul-mnie-przy-ognisku-w-starym-irlandzkim-zamku”. Jak dotąd mnie nie zauważył. Siedziałam przez chwilę jak wmurowana, zastanawiając się, czy mam dość czasu, by ukryć się pod krzewami. Zdecydowałam jednak, że nie byłoby to zachowanie stosowne dla wytwornej światowej kobiety, wyskoczyłam więc z rury i uśmiechnęłam się z radosną determinacją.

Cory o mało nie dostał zawału. Dowcipne i błyskotliwe słowa powitania zamarły na moich wargach: ciężko oddychałam i ogólnie zachowywałam się jak Laurence Olivier w *Otelli*. Dlaczego, dlaczego... czy to jakaś klątwa, czy przekleństwo, że przy każdej okazji przerażam na śmierć kogoś, na kim chcę zrobić dobre wrażenie? Zaskoczenie, niespodziewane spotkanie, nieoczekiwana sposobność... to są pożądane reakcje i sytuacje... O mój Boże, nie chcę doprowadzać mężczyzny swych snów na skraj zawału za każdym razem, gdy się spotykamy. Jak tak dalej pójdzie to zamiast poczuć się piękną i pożądaną boginią seksu, poczuję się raczej jak wyjątkowo nieatrakcyjna brukiew albo jak coś w rodzaju tego garbusa żywiącego się pieczonym mięsem kosmitów, jak to pokazywali w ostatnim odcinku *Archiwum X*.

- Kto tu jest? - wyjąkał wreszcie Cory.

- To ja - powiedziała cieniutkim, wątlm, garbatym głosikiem i skierowałam latarkę na twarz, co chyba nie było najmądrzejszym posunięciem, jeśli chciałam jakoś załagodzić przestach, jaki spowodowałam.

- O, Boże, to pani! - jęknął Cory, a ja już wiedziałam, że następne trzy dni spędzę na roztrząsaniu zaistniałej sytuacji w aspekcie pozytywnym, negatywnym, negatywno-pozytywnym i pozytywno-negatywnym. Nagle poczułam, że go nie cierpię. Pieprzony Picuś-Glancuś, taki kawał chłopca, a przestraszył się niegroźnego małego garbuska spokojnie sobie siedzącego w rurze. A poza tym to wszystko



nie moja wina. To nie ja zostawiłam otwarte drzwi, pozwalając by Hamish wybiegł i zgubił się w tym ogromnym okrutnym świecie. To wszystko przez tę cholerną, pieprzoną Beverey Barking-Mad. Cory spojrział na mnie, jakby nie wiedział, co robić - roześmiać się czy wziąć nogi za pas.

- Ee, cześć. Mieszkasz w tym samym bloku co ja, prawda? (precz, precz smutek i gniew wszelki, niech anielskie zabrzmiały chóry, Alleluja, Alleluja! Zapamiętał mnie!). - Czy mogę zapytać, co tu właśnie robisz?

- Planuję następne wakacje - odpowiedziałam nonszalancko.

- Aha. Oczywiście. - Stał tak przez minutę, jakby zastanawiał się, co powiedzieć. Ja też stałam i zastanawiałam się, dlaczego nie ucieka.

- Tak naprawdę - poprawiłam nieśmiało - szukałam mojego kota.

- Ach - uśmiechnął się do mnie i błyskawicznie zmienił wyraz twarzy na współczująco-sympatyczny (utrata kota jest w opinii niektórych bardzo smutną rzeczą). - Tak mi przykro to słyszeć. Jaki to kot?

Panika. Rany boskie, dlaczego powiedziałam, że to mój kot? Gdybym powiedziała, że to czyjś kot, to nie tylko powiedziałabym prawdę, ale jeszcze wyszłabym na osobę dzielną i zatroskaną, szukającą cudzego kota. Nerwowo szukałam w pamięci imienia tego cholernego kocura.

- Hmm... to znaczy, on, on się nazywa Hamish. - Uniesiona brew Cory'ego skłoniła mnie do szybkiego uzupełnienia. - On jest taki bardziej szkocki.

Cudnie. Wspaniale. Teraz do mojego porąbanego żywota dodałam jeszcze kota noszącego kilt, zajadającego się haggisem\*<sup>10</sup> i grającego na kobzie. A czemu nie tresowaną fretkę i rodzinę tańczących traszek?

Cory roztropnie postanowił nie drażnić problemu narodowości Hamisha.

---

<sup>10</sup> \*Szkocki pudding z podrobów baranich lub cielęcych [przyp. red.].

- Kiedy się zgubił?

O kurczę, dlaczego on sobie po prostu nie pójdzie? Czemu ja nie mogę po prostu umrzeć? Tyle się słyszy historii o porwaniu przez kosmitów albo o samorzutnym samozapaleniu, ale myślicie, że kiedykolwiek coś takiego przytrafiło się komuś, komu potrzebna jest naprawdę dobra wymówka, by wyplątać się z Gigantycznego Kłamstwa o Kocie? Stanowczo, świat nie jest sprawiedliwy.

- W marcu.

Właściwie już wiedziałam, że nigdy nie spojrzymy sobie głęboko w oczy, podczas gdy rodzina i przyjaciele będą szampanem wznosić toast na naszej uroczystości złotych godów. Dlaczego więc starotestamentowy Bóg, który obracał ludzi w słupy soli, musiał mnie tak kompletnie unicestwić i skompromitować w obecności Cory'ego - do prawdy nie wiem. Możliwe, że niebiosy miały tego wieczoru swój, że tak powiem, gorszy dzień, lecz jakiegokolwiek były tego powody, On (bo jestem absolutnie pewna, że ten Bóg to ON) wybrał ten właśnie moment, by pchnąć ku nam Fran z trudem podnoszącą się do pionu, z kawałkami gałązek we włosach i wrzeszcząc niestrudzenie HA-AAMish kiiiiici-kiiiiici oraz wybijającą dłonią jednej ręki osobliwy (w jej intencji zapewne przywołujący koty) rytm na kasecie z *Mouse Hunt*, niczym na bębenku.

Na ten widok Cory znów podskoczył jak oparzony (zaczynałam powoli myśleć, że chyba jest trochę zbyt nerwowy). Jednak kiedy przedstawiłam ich sobie, trochę się uspokoił i przez małą chwilę było miło i wesoło, gdy wspólnie zaśmiewaliśmy się, że przedstawiłam go Fran jako Cory'ego Harknetta, chociaż naprawdę nazywał się Sam Peterson. Wyjaśniłam, że jest po prostu zdumiewająco podobny do mego przyjaciela Cory'ego Harknetta, a następnie ze zręcznego półobrotu przyłożyłam moją latarkę w głowę Fran, która właśnie otwierała usta, by powiedzieć, że nigdy o żadnym Corym Harknecie nie słyszała (ta mała latarka była doprawdy wielozadaniowa). Podczas gdy Fran, krzywiąc się lekko, obmacywała głowę, gapiąc się na mnie nieco podejrzliwie, ja wpatrywałam się w Cory'ego (znaczy w Sama) i gorącz-

kowo myślałam, co by tu powiedzieć zamiast „O żesz ty w życiu, ale z ciebie kurewski przystojniak”. Wybąkaliśmy coś tam o niskich temperaturach, potem on wspomniał coś o pralce, lecz tu jego głos zamarł. Chyba oboje przypomnieliśmy sobie w tym momencie, że ciągle jestem w posiadaniu jego gatek. Było to właściwie dość niesmaczne, coś, jakbym zobaczyła kierowcę swego autobusu albo listonosza, albo kogoś podobnego, kompletnie gołego.

Pomyślałam, że zwrot gatek byłby właściwie dobrym pretekstem do odwiedzin i małych oględzin jego mieszkania. Dałoby mi to także możliwości sprawdzenia, czy mieszkanie nosi ślady damskiej obecności (fotografia Cory'ego i jej obciskujących się czule, dziewczyna imieniem Louise siedząca na kanapie i ubrana tylko w górę od jego piżamy czy też mini-wieszaczki w łazience: tak to byłby dowód koronny, gdyż mężczyźni są chyba genetycznie niezdolni do zrozumienia potrzeby nabycia czegoś do suszenia ubrań w mieszkaniach, kiedy można je przecież normalnie powiesić na krześle).

- Lubisz kino? - spytał nagle Cory/Sam, niestety dokładnie w tym samym momencie, gdy lekkomyślnie powiedziałam. - Chcesz dostać z powrotem swoje gatki?

Zapadła straszliwa cisza, podczas której dało się słyszeć jedynie gwałtowny kaszel Fran.

Cory i ja pokaszleliśmy również nieco, potem zaczęliśmy się jąkać, a potem on zaczął kaszeć, chyba dla zachowania pozorów. Wreszcie oboje wybąkaliśmy jakieś niewyraźne słowa pożegnania i każde wycofało się w swoją stronę, bojaźliwie mierząc się nawzajem wzrokiem, jakby jedno o drugim myślało, że nagle stanie się jeszcze coś okropnego.

Patrzyłam potem za nim, jak coraz szybciej (w końcu prawie galopem) oddalał się ulicą. Smutno machałam mu broszurą o wycieczkach na Wielką Rafę Koralową - koszmarne powtórzenie sceny Wojenna narzeczona i brudne gatki.

Nie mogliśmy już teraz zrobić nic innego, jak wrócić z Fran do pubu. Pocięszam się, że przynajmniej teraz znam jego prawdziwe imię i nazwisko. Obie zgodziłyśmy się, że to ogromny postęp.

RS

## Styl życia

Wciąż pamiętałam o swym potrójnym zobowiązaniu podjętym w szczególnym celu dążenia ku Nowemu Stylowi Życia. Sprawność fizyczna była już pod kontrolą dzięki uprawianiu jogi, moje życie towarzyskie utrzymywało się na przyzwoitym poziomie (choć może nie takim, o jakim czasem marzyłam, czytając kroniki towarzyskie w gazetach). Tak więc do wypełnienia pozostało trzecie, ostatnie, zobowiązanie (i nad nim powinnam naprawdę zacząć solidnie pracować): stanie się osobą, która zawsze ma w domu wystarczający i urozmaicony zapas balsamów do rąk i nie potrzebuje kieszonkowego słownika, by zrozumieć restauracyjne menu. Krótko mówiąc, powinnam (o zgrozo!) popracować nad dorównywaniem (przynajmniej co nieco) Audrey.

Od czasu naszej ostatniej kłótni, moje stosunki z Audrey nieco się unormowały. Ona przysłała mi ręcznie wykonaną kartkę (z dekoracją z suszonych płatków różanych) i słoik domowego dżemu z malin, a ja zadzwoniłam do niej pytając, kiedy są urodziny mamy (zapomniawszy już żeśmy się pokłóciły i nie rozmawiamy ze sobą). Malinowy dżem zaś od Audie sprawił, że postanowiłam pójść w jej ślady i przyrządzić dla przyjaciół i rodziny domową pastę curry. Pomysł ten wydawał mi się niezmiernie podniecający, a sama czynność straszliwie wymyślna, czasochłonna i ogromnie staroświecka.

Stąd też całą sobotę spędziłam przerzucając wszystkie posiadane przeze mnie książki kucharskie, patrząc pożądliwie na isticie gastronomiczne zdjęcia podniecających kopczyków pasty, francuskich kotletów rozkładających się bezwstydnie na łóżach z kartofli puree oraz istnej orgii krótko smażonych warzyw ułożonych w sterty nasuwające przedziwne skojarzenia i polanych przedziwnymi sosami. Gdy w końcu znalazłam przepis na tajską pastę curry, byłam już taka głod-

na, że pożarłam pospiesznie całą paczkę chipsów i talerz błyskawicznych klusek, by nabrać sił przed udaniem się na zakupy (i zarazem zabezpieczyć się przed bezsensownym kupowaniem błyskawicznego śmieciowego żarcia z supermarketów). Natomiast erotyczne skojarzenia wywołane przez fotografie sprawiły, że przez chwilę marzyłam iż, jestem takim francuskim kotлетem, lecz szybko obudziłam się ze snu na jawie, uświadomiwszy sobie, że rozkosze oralne, jakich doświadczyłby biedny kotlet, trwałyby bardzo krótko, zanim rzucono by mnie ukochanemu pieskowi (i spotkałby mnie ponury paszczkowy pogrzeb, a następnie całkiem pozbawione godności zmartwychwstanie).

Uważanie przeczytałam przepis. Nie wydawał się zbyt skomplikowany. Było w nim dużo siekania, a szczególnie wielki udział w procesie tworzenia przypadają świeżym ziołom i przyprawom. Właściwie nie rozumiałam, po co potrzebne są świeże, skoro mam pełen kredens suszonych, z lekka tylko przeterminowanych. Postanowiłam jednak, że zastosuję się ściśle do przepisu, nie idąc na skróty (na przekór Pewnej Osobie, uważającej, że nie potrafię gotować). Sporządziłam więc listę potrzebnych ingrediencji (i żądanych ilości) i - czując się prawie jak Nigella Lawson, oblizałam palce i ruszyłam na zakupy.

W supermarkecie nie było na oko nawet połowy potrzebnych mi składników. Ponieważ jednak nie miałam właściwie pojęcia, jak większość z nich wygląda, poprosiłam o pomoc. I to był błąd. Następnie dziesięć minut spędziłam stojąc skulona przy ladzie, kartkując machinalnie „Who” i próbując udawać, że ochryple ryki grubej ekspedientki - „Trawa cytrynowa, potrzebujemy natychmiast trawy cytrynowej, Brian z Działu Piątego niech zgłosi się natychmiast do lady” - nie mają nic wspólnego ze mną. Brian z Działu Piątego okazał się czymś w rodzaju golema z kamienną twarzą i zasobem środków wyrazu ograniczonym do charkotliwych pomruków i tępych spojrzeń, który na finał poczęstował mnie warkotem „kurde, paniusiu, nie wiesz, jak wygląda trawa cytrynowa”, co było niewątpliwie prawdziwe, ale trochę zbyt okrutne z jego strony.



Spróbowałam następnie szczęścia w dwóch sklepikach z zieleńką. Udało mi się kupić bazylię i kolendrę oraz zapamiętać (mniej więcej) co jest co. Nadal brakowało mi tej cholernej trawy cytrynowej i małych zielonych papryczek chili, bałam się jednak ponownie poprosić o pomoc, gdyż okrucieństwo Briana było wciąż żywe w mej pamięci. W trzecim warzywniaku przez prawie dziesięć minut gapiałam się bezradnie na stosy kompletnie nierozpoznawalnych warzyw i owoców, zastanawiając się kto, poza moją siostrą i doktorem Jackiem, rozróżnia rozmaite rodzaje pomidorów o przedziwnie brzmiących nazwach. Sklepikarz, wyczuwając chyba moje oszołomienie i bezradność, podszedł pytając, w czym może pomóc. Był taki miły i sympatyczny, że w końcu streściłam mu pobieżnie swój problem z pastą curry i przyznałam się, że nie potrafię rozpoznać trawy cytrynowej (tak że siedząc na łące bujnie porośniętej tym zielskiem, dziwię się tylko, dlaczego moje siedzenie wonieje cytrusowo). Sklepikarz uśmiechnął się szeroko i jał z zapalem objaśniać mi, które warzywa i zioła są które. Tłumaczył mi tak przez okrągłą godzinę (podczas której nie wszedł zresztą do sklepu żaden klient).

Trudności pojawiły się, gdy zaczął mi objaśniać, że nie ma na składzie małych zielonych papryczek chili, ale pocieszył mnie, że mogę zamiast nich użyć dużych czerwonych. Wybrał mi pół tuzina najbardziej dorodnych, a ja chichocząc powiedziałam mu, że te duże, uważałam za zwykłą paprykę, a nie papryczki chili. Na to on powiedział, że tak mówią w niektórych krajach, ale prawidłowa nazwa to „pikantne czerwone papryczki chili”; czyż nie słyszałam

o kapeli noszącej tę nazwę? Poczulałam się nieco urażona tym, że osiemdziesięcioletni sklepikarz poucza mnie w kwestii współczesnego rocka, ale uznałam, że po prostu dziadek chce być uczynny, a mnie by nigdy bez jego pomocy nie przyszło do głowy, żeby użyć czerwonej papryki jako substytutu zielonych papryczek chili. Podziękowałam mu i posłusznie wrzuciłam papryki do plastikowej torby.

Następnie dziadek wieki całe spędził szukając trawy cytrynowej, wreszcie powędrował na zaplecze. Po dziesięciu minutach wrócił,

otrzepując fartuch i niosąc coś, co wyglądało jak wiązka cienkich patyczków. To była właśnie ta trawa cytrynowa (która okazała się droższa od eleganckich pantofli, jakie ostatnio nabyłam). Dziadek zresztą nie omieszkał poinformować mnie, że to właśnie cytrynowa trawa nadaje tajskiej paście curry tak subtelny i wyszukany smak.

Opuściłam sklepik, dźwigając chyba z dziesięć ciężkich plastikowych toreb i lżejsza o ponad sto dolarów. Kompletnie skonana, zaczęłam marsz powrotny do domu, z niewesołą perspektywą spędzenia całego popołudnia na siekaniu

i krajaniu tego całego zielska, na dodatek z poczuciem winy, że używam malaksera zamiast młotowca i tłuczka, które niewątpliwie miały mieć decydujący wpływ na nadanie tajskiej paście curry subtelnego i wyszukanego smaku. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego po prostu nie cisnę tego w diabły i nie kupię paru słoików porządnej pasty curry, lecz w porę wymierzyłam sobie mentalnego klapsa za chęć pójścia na łatwiznę i postanowiłam w ramach kary przez resztę drogi do domu (cały czas pod górę!) rozmyślać o wyższości produktów naturalnych nad syntetycznymi.

Gdy wreszcie dowlokłam się do swojej ulicy, byłam spocona i zziębnięta, jakbym co najmniej spędziła ostatnią godzinę na koncercie *Red Hot Chili Peppers*. Torby zrobiły się ciężkie, jakbym wypchała je cegłami ukradzionymi ze wszystkich placów budowy, które mijałam po drodze. Zazdrośnie popatrzyłam na klimatyzowane wille stojące tuż obok mojej kamienicy, o architekturze gustownie naśladowanej Białym Domem. Były to przestronne, jasne i lśniące domostwa z rzędami strzyżonych krzewów w terakotowych donicach i z marmurowymi schodami o kantach tak ostrych, że wbiegając po nich zbyt szybko można było postradać nogi. Kiedyś, gdy przechodząc tędy musiałam paść na ziemię, by uniknąć staranowania przez mercedesa dziarsko skręcającego na podjazd, zdołałam z tej pozycji z zainteresowaniem zauważyć, że posadzki garaży są tu z takiego samego żyłkowanego marmuru jak owe śmiertelnie niebezpieczne dla kończyn dolnych schody. Mieszkańcy Białych Domów zdecydowanie nie czuli się są-

siadami drzwi w drzwi naszego skrajnie pospolitego kwartału. Czasami napotykało się ich spojrzenia taksujące nasze domy wzrokiem, w którym odczytać można było tylko jedno pragnienie: zburzyć te baraki i zbudować na ich miejscu coś pożytecznego, jak nowe centrum gry w polo lub podręczny suchy dok do budowy eleganckich łodzi.

Nagle moim oczom ukazał się dziwny i nieoczekiwany widok: dwie dziewczynki ustawiły mały straganik z lemoniadą przed jednym z Białych Domów. Zadały też sobie panienki (a może tylko ich lokaj) sporo trudu, nakrywając stół nieskazitelnie białym obrusem i przyczepiając z przodu duży napis: LEMONIADA - 50 centów. Na stoliku oprócz zastawy i dzbanka z rzezoną lemoniadą stała także dziecinna kasa-zabawka. Panienki siedziały schludnie i grzecznie za stołem, ubrane w jednakowe czarne golfiki, kremowe spodnie i buty do konnej jazdy wyglądające na pioruńsko drogie. Zastanowiłam się przez chwilę, czy ich wierzchowce to miniaturowe szetlandzkie kucyki i czy dziewczynki zdają sobie sprawę, że za dziesięć lat miejsce biednych zwierczaków zajmą chłopaki z liceum. Chyba lepiej jednak nie panienkom nie mówić i pozwolić im się cieszyć jak najdłużej niewinnością wieku dziewczęcego. Panienki były urocze i patrzyły na mnie z nadzieją, gdy tak włókłam się objuczona swymi torbami. Nagle pomysł wypicia domowej lemoniady wydał mi się kuszący. Pomyślałam, że powinnam jakoś poprzeć ich działalność, tak miłą, tradycyjną i staroświecką, doprawdy godną pochwały w tym zbankrutowanym moralnie stuleciu młodzieżowej przemocy i gier wideo.

- Ja pierdołę, ale to ciężkie - zazgrzytałam, stawiając torby na ziemi i rozmasowując ramiona, które chyba rozciągnęły mi się poniżej kolan. Podniosłam wzrok, by spojrzeć na dwie młodziutki, niewinne twarzyczki lustrujące mnie uważnie.

- Użyłaś brzydkiego słowa - powiedziała mała blondyneczka wyglądająca jak miniatura Gwyneth Paltrow.

- O cholera.

O żesz ty w życiu... Znowu zakląłam. No, nie przesadzajmy, chyba nie jest tak, że dziewczątka nigdy wcześniej nie słyszały brzydkich wyrazów.

- A co właściwie znaczy „pierdolę” - spytała ta druga, słodka bruneteczka, wypisz wymaluj mała Winona Ryder, błyskawicznie niszcząc mą (moralnie wygodną) pewność, że wszystkie dzieci powyżej wieku embrionalnego są obznajomione z brzydkimi wyrazami.

Gwyneth była wyraźnie bardziej oblatana od swej przyjaciółki.

- To takie wulgarne słowo na seks - oznajmiła triumfalnie.

- A co to jest seks?

O Boże. Zobaczyłam nagle, jak lokaj/szofer/majordomus zezuje ku nam podejrzliwie z otwartych drzwi wejściowych u szczytu marmurowych schodów, uznałam więc, że lepiej położyć kres tej rozmowie, zanim rodzice pańienek (na pewno dwunazwiskowi i z myślnikiem) ją posłyszają i każą lokajowi, by wywiózł mnie ich jachtem na środek Zatoki i cisnął rekinom.

- Cześć - ćwierknęłam (na dobry początek). - Ta lemoniada wygląda cudownie. Mogę prosić trochę?

Panienki rozpromieniły się i na szczęście nie doszło do wyjaśnień na temat związku brzydkich wyrazów z reprodukcją gatunku ludzkiego. Winona zaczęła nalewać lemoniadę do ślicznej białoniebieskiej filiżanki, Gwyneth zaś przyglądała mi się, wyraźnie zaciekawiona, jakby po raz pierwszy zobaczyła kogoś tak nieprofesjonalnie ostrzyżonego.

Winona podała mi filiżankę. Nie była to jakaś plastikowa jednorazówka, lecz wykwintna staroświecka porcelanowa filiżanka, zapewne z babcinego serwisu. Nie miałam już odwrotu, zaczęłam więc pić, mając jednak nieznośne uczucie dyskomfortu. Oto stoję na ulicy siorbiąc lemoniadę, z torby walającej się na chodniku wyłazi na wszystkie strony ta cholerna cytrynowa trawa kłując mnie w łydki, a dwie małe lenkie dziewczeczki taksują mnie bezlitosnym spojrzeniem.

- Mmm - powiedziałam może nieco zbyt entuzjastycznie, starając się zwalczyć niemile uczucie, że te dwie siedmiolatki poddają mnie

właśnie okropnemu, poniżającemu, aczkolwiek milczącemu przesłuchaniu. - Wspaniała lemoniada (faktycznie była wspaniała). - Same ją przyrządziłyście?

- Nie - odpowiedziała Gwyneth, która w tym duecie wyglądała na bystrzejszą i bardziej wygadana (uważaj Winona, bo sprzątnie ci sprzed nosa Nagrodę Akademii ani się spostrzeżesz). - To nasz kucharz.

- A, no tak. A wy pomagałyście mu wyciskać cytryny?

- Nie, wtedy miałyśmy naukę jazdy konnej. Ponownie zapadło milczenie, a ja zaczęłam z goryczą

pytać samą siebie, po kiego licha wydaję moje ciężko zapracowane pięćdziesiąt centów na lemoniadę, na którą tak naprawdę wcale nie miałam ochoty, podczas gdy te dwie małolaty mają pewnie kieszonkowe wyższe niż moje roczne zarobki.

- Dlaczego jesz patyki? - spytała nagle Gwyneth, wskazując palcem na trawę cytrynową, która podrapała mi już łydkę prawie do krwi.

No, to panienka Uświadomiona jednak nie wie wszystkiego.

- To trawa cytrynowa - zaczęłam bohaterским tonem. - To jedno z najważniejszych ziół w tajskiej kuchni i...

- Wiem, co to jest trawa cytrynowa - przerwała niegrzecznie Gwyneth. - Czasami pomagam naszemu kucharzowi. Ale to nie trawa cytrynowa. To tylko patyki.

Spojrzałam ze zgrozą na moją trawę (cytrynową? paty-czaną?). Czyżbym naprawdę wywaliła kupę pieniędzy na wiązkę patyków? Nagle poczułam przemożną chęć, by wrócić do tego dziadzia, zabić go, okaleczyć i seksualnie wykorzystać przy pomocy największej cukini z jego sklepu, dokładnie w takiej kolejności. Zapewne te pikantne papryczki też były tylko zwykłą czerwoną papryką. Nagle przyhamowałam. Skąd siedmiolatka ma znać się na ziołach i przyprawach? Postanowiłam dać Pannie Przemądralskiej małą lekcję.

Postawiłam moją lemoniadę na stoliku i wyciągnęłam z torby pęczek kolendry.

- Widzisz, to śliczna świeża kolendra - oznajmiłam wachając ostentacyjnie listki.

Podetknęłam pęczek pod ich snobistyczne zadarte noski. - Chcecie powąchać?

Gwyneth spojrzała na mnie, jakbym była czymś, co służący każdego rana wyrzucają na łopatach z boksów kucyków.

- To bazylia - oznajmiła znużonym tonem. - Kolendra ma takie małe piórkowe listki w dużo bledszym odcieniu. Nie sędzę, byś była wielką pomocą dla swego kucharza.

To ostatnie stwierdzenie było całkowicie błędne. I bynajmniej nie najważniejsze było tu jej przypuszczenie, że mój kucharz nie ceni ani mojej pomocy, ani mych zdolności kulinarnych. To znaczy nie ceniłby, gdybym go miała.

Już brałam głęboki wdech przed wygłoszeniem wykładu, by zapoznać Gwyneth z teorią na temat wpływu, jaki ma postkolonializm na sztukę współczesną, zakładając optymistycznie, że tego tematu ze swą guwernantką nie przerabiała. Lecz nagle przeraziłam się, że zacznie sypać cytatami z końcowych rozdziałów *Orientalizmu* Edwarda Saïda (którego to dzieła nigdy w istocie nie zdołałam doczytać do końca) i że na domiar złego nagle przemówi płynną francuszczyzną. Nic więc nie powiedziałam i gapiąc się na nią, starałam się jak najszybciej dopić lemoniadę. Nie było raczej sensu próbować przeciągnąć na swą stronę Winonę, która robiła wrażenie małej wrednej aklitki-donosicielki, z radością odstepującej Gwyneth wszystkie dobre role tak długo, jak długo może bez przeszkód spotykać się z długim korowodem odpowiednich kawalerów do wzięcia i póki jest pewna, że Johnny Depp nie usunął sobie z ramienia tatuażu „Winona Na Zawsze”.

Dopiłam ostatni łyk lemoniady i lekko beknęłam.

- Wielkie dzięki - powiedziałam, zbierając z powrotem swe torby.  
- To było pyszne.



- Nie zapłaciłaś - powiedziała surowo Gwyneth, a ja znów zobaczyłam, jak w drzwiach domiszcza majaczy groźny cień gajowego/łowczego/masztalerza.

- Ach, prawda. Przepraszam. - Upuściłam ponownie torby i zaczęłam grzebać w torebce, szukając portmonetki, przekopując się przy tym przez gąszcz chusteczek jednorazowych i starych recept, drapiąc się przy okazji dotkliwie o nową szczotkę do włosów, która była tak samo przerażająca jak jej poprzedniczka i wyglądała jak przeznaczona do rozczesywania futra skrajnie sparszywiającego dzikiego zwierza. Wymacałam wreszcie portmonetkę, mażąc przy okazji torebkę kremem do rąk z niedomkniętej tuby i z przerażeniem stwierdziłam, że portmonetka jest całkowicie i dokładnie pusta.

Próbując nie okazywać zdenerwowania, obmacałam wszystkie kieszonki i domacałam się pięciu centów australijskich i około pięciu bahtów<sup>11</sup>. Cholerna Gwyneth na pewno miała gdzieś pod ręką aktualny kurs walut, ale tak czy inaczej wciąż byłam o co najmniej dwadzieścia centów do tyłu.

Zaczęłam grzebać w kieszeniach dżinsów. Nic.

Uśmiechnęłam się krzywo i przepaszająco.

- Zrobimy tak - zakrakałam. - Pobiegnę szybciotko do domu i przyniosę pieniądze. Wydaje mi się bowiem, że nie mam ich przy sobie.

Gwyneth i Winona wymieniły się spojrzeniem, po czym wspólnie zwróciły ku mnie surowo taksujące oczęta.

- Mieszkam tuż obok - pospieszyłam z wyjaśnieniem. - Wrócę za minutkę.

- To musisz coś zostawić w zastaw - powiedziała Gwyneth. Spojrzałam z niedowierzaniem najpierw na nią, a potem na Winonę, która z aprobatą kiwała główką. Poczekaj, pomyślałam mściwie. Poczekaj,

---

<sup>11</sup> \*Waluta Tajlandii [przyp. tłum.].

aż jedna z was dostanie Oskara, a druga trafi do kartoteki. Wtedy zobaczymy, jakie z was kumpele.

- Wtedy będziemy miały pewność, że wrócisz - dodała Gwyneth łagodnym, rozsądnym głosem. Zupełnie jakby musiała układać się ostrożnie i dyplomatycznie z jakimś sparszywiałym dzikim zwierzem (pewnie z Tasmanii).

- Mieszkam tuż obok! - wrzasnęłam. - Co sobie, do cholery, wyobrażacie, że co zrobię?

- Mamusia mówi, że „cholera” to też brzydkie słowo - wydeła usteczka Winona.

Aha, więc Winusia może wymówić to słowo, narażając swą nieśmiertelną duszyczkę na zatrącenie. Niech ci się poszczęści z tym szarpidrutem noszącym farmerki na szelkach, przewodniczącym koła Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej, Nigelem, który z pozwoleniem mamusi zabierze cię na pierwszy szkolny bal, ty mała purytańska niemoto.

- W porządku. - Zwalczyłam w sobie gwałtowną chęć wylania całej lemoniady na ich śliczne główki. - Zostawię swoje zakupy.

Gwyneth łagodnie potrząsnęła głową. Wyglądała na ubawioną.

- A na co nam wiązka patyków? Powinnaś zostawić coś wartościowego.

Nie wierzyłam własnym uszom. Miałam ochotę w przyszły weekend wypożyczyć Ślizel i gdy jaśnie panienki będą brały lekcje jazdy konnej, wtargnąć tam na tym szetlandzkim kucu Charliego i zaszarżować na te ich wystawowe kucyki niczym szalony jeździec w typie Mad Maxa.

- Możesz zostawić swój zegarek - powiedziała uczynnie Gwyneth.

- Ale wam się należy tylko pięćdziesiąt centów!

- No to co? A twój zegarek to podróbka - parsknęła. Miałam ochotę wyć i płakać jednocześnie. Wydawało

się, że takie poniżenia zostawiłam za sobą wieki temu. To nie było w porządku. Tak się starałam, by wyrobić się na stylową osobę z klasą, a tu obraża mnie bezczelna bogata smarkula (z drugiej strony,

ledwo cudem tylko uniknęłam potraktowania moich przyjaciół domową pastą z curry z czerwonej papryki i patyków). Może mój własny osobisty mściwy Bóg postanowił ukarać mnie za wszystkie brzydkie myśli na temat Nigela Winony i za chęć przejścia na islam, by nałożyć fatwę na Fran i doktora Jacka. Niepewna co czynić dalej, stałam tak bezradnie, nie mogąc zdobyć się na żaden *Wybór Zofii*. Wtem dał się słyszeć czyjś gwizd, odwróciłam się i zobaczyłam Cory'ego Czwartego wychodzącego z naszego podjazdu i z daleka uśmiechającego się do tej miłej sąsiedzkiej scenki (jakby mogło się zdawać postronnemu obserwatorowi). O Boże, jaki on przystojny. Doprawdy byłam niegodna takiego cudownego faceta. Do niego pasowałaby dziewczyna, która nosi dzinsy od Calvina Kleina i ma proste lśniące włosy sięgające aż do pasa, a nie ktoś, kto przed obcymi udaje stewardessę i nie odróżnia jednego końca deski do prasowania od drugiego.

- Cześć - powiedział Cory podchodząc do mnie. Uśmiechnął się odrobinę niepewnie i szybko obejrzał za siebie. - To wygląda wspaniale. Mogę prosić?

Och, gdyby to było pytanie do mnie, odpowiedź byłaby tylko jedna: „Kiedy tylko chcesz, jak często chcesz i jakkolwiek chcesz”. Niestety, Cory patrzył nie na mnie, lecz na lemoniadę.

Gwyneth przyjrzała mu się podejrzliwie. - A masz czym zapłacić?

Roześmiał się i powiedział bardzo poważnie. - Myślę że mogę sobie na to pozwolić.

- Ona nie ma czym - oznajmiła ta mała blond wiedźmulka, wskazując na mnie.

- Mam tylko banknot pięćdziesięciodolarowy - skłamałam, licząc że może dziura ozonowa przesunęła się właśnie dokładnie nad Gwyneth i możliwie szybko ją unicestwi.

- Możemy rozmienić - powiedziała słodka blond narzeczona laleczki Chucky.

Patrzyłam na nią błagalnie, prosząc bezgłośnie, by przestała się nade mną znęcać. Czułam się jak mucha, której właśnie wyrywa nóżki

szczególnie złośliwy bachor. Cory zauważył chyba desperację w moich oczach, ponieważ bez słowa wyjął portfel i podczas gdy usiłowałam zapuścić żurawia, by wypatrzeć, czy jest tam fotografia jego dziewczyny, wyjął pięć dolarów i podał je Gwyneth.

- Płacę za nas oboje i możecie zatrzymać resztę. - Jego słowa sprawiły, że niedobre siostry Kopciuszka przemieniły się nagle w urocze cherubinki.

Winona naląła mu lemoniady (nieco więcej niż uprzednio mnie) i Cory'emu nie pozostało nic innego jak wypić. Ja tymczasem znów pobierałam swoje torby. Mogłam tak stać bez końca i patrzeć na niego, ale czułam, że ta sytuacja może się rychło obrócić w kolejną katastrofę (gdzieś na horyzoncie majaczyła wizja randki Cory'ego z debiutantką Gwyneth).

- Dzięki za moją lemoniadę - wydukałam, próbując jakoś schować za plecami torbę z trawą cytrynową, żeby Cory jej nie zobaczył i nie pomyślał, że jem patyki.

- Nie ma za co - odpowiedział uśmiechając się i siorbiąc lemoniadę. - Ale, ale, czy znalazłaś już swego kota?

- Nie mam kota - odpowiedziałam machinalnie, wpychając głębiej do torby liście bazylii. Równie dobrze mogła to być kolendra.

- Ale przecież szukałaś go zaszłej nocy. Mówiłaś, że nazywa się Hamish.

Ups. Obie z Fran tak zaprawiliśmy się potem w pubie, a cały incydent był w sumie tak traumatyczny, że musiałam pogrzebać go w najgłębszych pokładach podświadomości, tuż obok pewnego zdarzenia z czasów szkolnych, w którego wyniku przez dobre półtora roku chłopcy z drużyny krykieta z Welsh College nazywali mnie dowcipnie Panna Dracznę Majtki.

- A, ten kot - pisnęłam nienaturalnie wysokim głosem. - Wciąż usiłuję pogodzić się z jego stratą i pomyślałam, że łatwiej będzie mi mówić, że w ogóle nie mam kota. To taki psychologiczny trik.

- Przyjaciółce mamusi, Beverley, zginął kot - zaszczebiotała Gwyneth, teraz już cała w skowronkach (cholerna mała wydra). - On też nazywa się Hamish. A zginął w marcu.

Oczywiście. Jasne, że wszyscy oni znają się nawzajem. Cholerna mafia z Wschodnich Przedmieść, gdzie trwający przez pokolenia chów wsobny zaowocował w końcu legionem psychopatów, nie mających nic lepszego do roboty jak naklejanie kretyńskich ogłoszeń i wystawianie straganów z lemoniadą tylko po to, aby złapać w sidła swych bezbronnych, nikomu nie szkodzących sąsiadów i zrujnować im życie. To subtelny, lecz skuteczny sposób, by wszystkich, którzy Nie Są z Naszej Sfery, usunąć z sąsiedztwa.

Tymczasem Winona, która gapiła się na Cory'ego maślanym wzrokiem (niesamowicie podobnym do mojego), wybrała ten właśnie moment, by włączyć się do rozmowy w swoim zwykłym donosicielskim syku.

- Ta dziewczyna powiedziała brzydkie słowo.

- Powiedziała dwa brzydkie słowa - uściśliła Gwyneth (zawsze lepsza we wszystkim), po czym konfidencko dodała. - To pierwsze było na „p”.

Najśmieszniejsze w tym wszystkim było to, że wszystko mi już kompletnie zwisało. Małe jędze mogą mnie zranić tylko wtedy, gdy im na to pozwolę. A teraz - nie pozwolę. Z podniesioną głową wrócę do domu, ugotuję sobie na lunch trochę tej trawy cytrynowo-patykowej i zjem tyle czekolady, ile wynosi... no powiedzmy połowa mojej wagi. A potem założę eksperymentalno-edukacyjny teatr mario-netek i resztę życia spędzę jeżdżąc z turnée po Urugwaju.

I nagle stał się cud.

- Być może jej torby były bardzo ciężkie - usłyszałam głos Cory'ego. - Czasami ludzie przypadkiem mówią brzydkie słowa gdy, są bardzo zmęczeni. - Winona skinęła główką (nadal gapiła się na Cory'ego z uwielbieniem), za to Gwyneth nie wyglądała na przekonaną. Co do mnie, chciałam odejść stąd teraz, zaraz, póki sprawy stoją dobrze, Cory jest po mojej stronie i zanim znowu coś zmaluję.

- No, to w porządku. Zmywam się. Dzięki, dziewczęta, dzięki Cor... e... Sam.

- Zaczekaj chwilę. Dokończę lemoniadę i pomogę ci z zakupami.

Podobno gdy człowiek tonie, przed oczami błyskawicznie przelatuje mu całe życie. Bez namysłu katapultowałam się na kilka minut w najbliższą przyszłość i wyobraziłam sobie Cory'ego (wciąż nie potrafiłam go nazwać Sam), jak wchodzi do naszego mieszkania i stoi pośród chaosu pootwieranych książek kucharskich, pustych butelek po winie i zmiętych gazet, a w sypialni, na specjalnym ołtarzu urządzonego przeze mnie, wiszą jego gatki.

Wizja ta zdenerwowała mnie do tego stopnia, że zaczęłam bełkotać bez ładu i składu:

- Och, naprawdę, nawet nie śmiałybym o tym marzyć. Mimo to dziękuję. Wpadnij kiedyś i zabierz swoje gatki. To niemądre tak je wciąż trzymać, zupełnie na mnie nie pasują. No, chyba, że na głowę. Dobra. Dzięki raz jeszcze. Pa-pa.

\* \* \*

Cate o mało nie umarła ze śmiechu, gdy opowiedziałam jej całą historię. Kiedy w końcu wyśmiała się do końca, powiedziała:

- A teraz Belle, pomyśl bardzo uważnie. Powiedziałaś mu, że jedyne miejsce, na które *pasowałyby* jego gatki, to twoja głowa czy też, że twoja głowa to jedyne miejsce, na które one *pasują!* Bo ta zasadnicza różnica. Jedna wypowiedź sugeruje tylko, że myślałaś o noszeniu jego gatek na głowie, druga zaś - że już to zrobiłaś.

- Jeśli w tej chwili nie przestaniesz się śmiać, dołączę cię do mojego teatru marionetek. Będziesz odpowiedzialna za oczy z guzików.

Cate zrobiła co mogła, by jakoś zapanować nad niekontrolowanym chichotem. Wreszcie odbyłyśmy długą miłą pogawędkę, dyskutując między innymi nad problemem, czy cała ta historia przy straganie z lemoniadą może być liczona jako pierwsza randka. Cate podkreśliła fakt, że właściwie Cory postawił mi drinka, więc - chyba



tak. Gdy rozłączyłyśmy się, byłam szczęśliwa jak nigdy dotąd, zwłaszcza gdy uświadomiłam sobie, że jest już pod wieczór, a ja w ciągu całego dnia ani razu nie pomyślałam o Charliem.

RS

## Spacerkiem przez miasto (czyli, gdzie podziąła się torebka Anny Kareniny?)

Od dawna już jestem świadoma faktu, że są na tym świecie siły potężniejsze ode mnie. Dawno też zdałam sobie sprawę, że Hattie to jedna z takich sił, gdzie wszelki opór nie ma sensu. Tak było i wtedy, gdy radośnie wtargnęła do mej sypialni w środę wieczorem i oznajmiła, że zgłosiła mój udział w Wielkim Hecnym Biegu przez Miasto Nawet nie pisnęłam, choć moje myślenie i płuca wydały jeden Wielki Pierwotny Jęk. Sprawa wyglądała na przesądzoną z góry i wygraną już na starcie, ale my, Beckettowie nie poddajemy się tak łatwo, bez próby choćby symbolicznego oporu.

- Hecny Bieg? A gdzie dokładnie zacznie się ta heca? Przed czy po tym, jak pękną mi płuca, padnę na ziemię i zostanę stratowana na śmierć przez pięć tysięcy tych hecarzy.

- Oj, nie bądź śmieszna - powiedziała niecierpliwie Hattie. - Nie ma mowy, żeby cię ktoś stratował. Będziesz w ostatniej grupie oczywiście.

Hattie ma niezwykły dar ucinania Wszelkich wahań i wątpliwości, jednak mimo jej słów ciągle nie mogłam wygnać ze swego umysłu wizji dziarskich osiemdziesięciolatków z klubów seniora radośnie cwałujących po moich rozplaszczonych zwłokach. Wciąż próbując oporu spytałam opryskliwie:

- A co cię na litość boską napadło, by zgłaszać mój udział? Jestem totalną niewysportowaną łamagą i dobrze o tym wiesz. Jako za-prawa sportowa całkowicie wystarcza mi pobieganie wieczorem tam i z powrotem po schodach. W końcu to aż trzy piętra.

- Już ci mówiłam, że nie masz się czego obawiać. Będziesz biegła w ostatniej grupie, na końcu. Jak chcesz, możesz całą trasę przebyć

spacerkiem. Wielu ludzi tak robi. - Mówiła dokładnie takim tonem, jakiego użyłaby, aby wyjaśnić, że są kraje, gdzie zdrowi i sprawni ludzie każą się każdego ranka wozić z łóżka pod prysznic riksami obsługiwanyimi przez niedożywione sieroty.

- A poza tym - ciągnęła - to ci dobrze zrobi. To znaczy słońce i ruch na świeżym powietrzu. Przestanieś wreszcie jójczyć za Charliem.

- Wcale nie jójczę! - wrzasnęłam. - Nie jójczę za Charliem już od wieków.

- Dobra, dobra, nie jójczysz, ale ciągle dziwnie się zachowujesz.

- Niby jak? - Wysiliłam mózg, ale naprawdę nie mogłam sobie przypomnieć, żebym ostatnio zrobiła coś nieoczekiwanego czy dziwnego.

- Jak? Belle, chyba nie mówisz poważnie. Na początek

- co właściwie robisz teraz?

Spojrzałam pełna poczucia winy na zdjęcie przedstawiające szetlandzkiego kucyka, które właśnie wycinałam starannie z ostatniego numeru „Equestrian Monthly”.

- Kolaż? - podsunęłam uczynnie.

- Oczywiście, kolaż. A teraz możesz powiedzieć prawdę

- po co ci to zdjęcie? Spojrzałam na nią ponuro.

- Zamierzam przykleić je na swojej tablicy i rzucać w nie, czym popadnie.

- No, jasne. A druga sprawa, to ten pęczek patyków na dolnej półce lodówki.

- Jesteś absolutnie pewna, że to patyki? - spytałam cieniutko, gdyż jakaś częśćka mnie ciągle żywiła nadzieję, że Gwyneth przynajmniej w tej sprawie nie miała racji.

- Oczywiście, że to patyki. I nawet nie chcę wiedzieć, co robią w mojej lodówce. Uważam, że coś jest z tobą nie tak, a ten hecny bieg na pewno wyjdzie ci na zdrowie.

Już otwierałam usta, by zaprotestować, klócić się, oburzyć, ale spojrzałam na Hattie. Ona naprawdę troszczyła się o mnie. Po prostu

w taki właśnie typowy dla siebie sposób starała mi się pomóc. Uśmiechnęłam się do niej. Napięcie na jej twarzy nieco złagodniało i też się uśmiechnęła.

- W porządku, Hattie - powiedziałam. - Zrobię to. Hattie jest naprawdę kochaną dziewczyną

\* \* \*

Cholerna, pieprzona Harriet. W dzień Hecnego Biegu pogoda była wspaniała, słońce świeciło jak na specjalne zamówienie, a ja zamiast, jak przystało, wylegiwać się w łóżku, stałam w środku miasta i w środku przerażającego tłumu (pi razy oko sześćdziesiąt tysięcy przerażająco wysportowanych albo przynajmniej robiących takie wrażenie ludzi).

Stałam tam z torebką pod pachą.

Hattie powiedziała, że nie muszę biec, że mogę iść spacerkiem. Powiedziała, że robi tak wiele osób. Wysnułam z tego wniosek, że cały ten Hecny Bieg będzie w istocie miłą przechadzką, która mniej więcej po kwadransie od startu zakończy się wypiciem kawy w którejś z eleganckich kafejek Bondi. A na kawę w eleganckiej kafejce potrzebne są pieniądze, czyli, że muszę wziąć portmonetkę. No i rzecz jasna klucze. I okulary przeciwsłoneczne. I komórkę. I krem do opalania. I butelkę wody mineralnej. I nawilżający spray „Evian”. I błyszczący do warg. I pojemnik ze środkiem w spreju na owady (niestety pusty), by mieć czym rzucać w pająki. I około tuzina innych rzeczy, absolutnie niezbędnych do funkcjonowania tak skomplikowanego organizmu jak Isabelle. Biorąc pod uwagę to wszystko, wydawało mi się nie tylko rozsądne, ale absolutnie konieczne, zabranie ze sobą torebki.

Rozsądne, absolutnie konieczne. Tyle że teraz w tłumie Hattiepodobnych istot dla rozgrzewki robiących a to gwiazdę, a to jakieś jogistyczne łamańce, z nylonowymi sportowymi plecaczkami czy torbami zaczepionymi na paskach, poczułam się jak kompletny dziwoląg. A

właściwie jak turystka, która nierozważnie spytała o drogę na Bondi i której powiedziano, by szła za tym sześćdziesięcioletnim tłumem, a na pewno trafi.

Stałam jak głupia i machinalnie słuchałam, jak Hattie gawędzi z jakimś wyjątkowym okazem zdrowia i sprawności fizycznej imieniem Brad. Po około pięciu minutach słuchania ich rozmowy, połapałam się, że nie rozumiem z tego ani jednego pieprzonego słowa, gdyż dla mnie brzmiało to mniej więcej tak:

Harriet (żałośnie): - Och, tak mi przykro, że ta kontuzja uniemożliwiła ci trening. Ja ostatnio miałam straszny atak korzonków i musiałam się ograniczyć do trzech triathlonów dziennie. A najgorsze było to, że akurat kupiłam nową parę butów treningowych z monitorowaniem satelitarnym, poduszkami powietrznymi, GPS i wbudowanym sygnalizatorem odstrasżającym rekiny.

Brad (tragicznie): - Doskonale wiem, co masz na myśli. W moim czyraku zerwało się wiązadło i nie mogę już podnosić hydraulicznych krów.

Harriet (z sympatią): - Próbujesz pozbyć się węglowodanów po zachodzie słońca ćwicząc miednicę na trampolinie czy tylko pijąc herbatkę z echinacei?

Brad (z entuzjazmem): - O tak, czyż to nie wspaniałe? Ale czy sądzisz, że to wpłynie na liczbę repów, które możesz wykonać w podwójnym, odwracalnym przeczucie?

Prawie więc z ulgą powitałam moment, gdy Hattie i Brad oznajmili, że muszą mnie opuścić i przesunąć się na czoło biegu, dołączając do grupy innych poważnych biegaczy, którzy przypuszczalnie mieli dobiec do Bondi godzinę przedtem, zanim my wyruszymy ze swych dołków startowych. Zostawszy sama, zaczęłam próbować figur jogi, ale gdy tylko udało mi się zrobić Leżącego Psa, torebka otworzyła mi się i wszystko się wysypało, a na dodatek poczułam, że ktoś uszczypnął mnie w tyłek, ale właściwie nie poczułam się tym dotknięta, gdyż był to swego rodzaju miły objaw zainteresowania po tak długim okresie postu.

Zebrałam pospiesznie zawartość torebki, upychając rzeczy z powrotem, po czym usiadłam z boku, by się poprzyglądać.

Parę minut poważnych antropologicznych obserwacji przywiodło mnie do konkluzji, że na świecie istnieją dwa typy ludzi - Rozumiejących Lycrę i Nierozumiejący Jej. Niestety, w lycrę ubiera się właśnie ta druga grupa, czego właśnie dowód miałam przed oczami. Uważam bowiem, że podjąwszy w pełni władz umysłowych decyzję przyobleczenia stroju z tkaniny w kolorach, które nawet mieszkańcom Złotego Wybrzeża wydawałyby się nieco krzykliwe, ludzie tacy powinni, przez zwykłą przyzwoitość, usiąść cicho gdzieś w kącie i czekać na moment, gdy przyjdzie ich pora na włączenie się do Hecnego Biegu. Ale nie. Oni podskakują, fikają koziołki i jeszcze sto innych, mniej lub bardziej skomplikowanych wygibasów, aż niewinny obserwator zaczyna się obawiać, że wnętrzności nagle wyprysną im na zewnątrz, a gałki oczne pofruną w obie strony i zaczepią się za uszami.

Odsunęłam się nieco od jednej wyjątkowo przerażającej przedstawicielki lycrą okrytego gatunku, która właśnie ćwiczyła tai-chi, nucąc coś do wtóru melodii ze swych słuchawek i wycofałam się. Tu znalazłam się pośród sympatycznego tłumu szczęśliwych rodzin z dzidziusiami w wózkach, dziarskich weteranów wojennych i ludzi ewidentnie niepełnosprawnych. Wdałam się w przyjacielską rozmowę z Bertem, który mieszkał w Balmain i pracował kiedyś w stoczni i, gdy wreszcie rozległ się sygnał do rozpoczęcia biegu, właśnie zaczęłam się dobrze bawić.

Szliśmy lub drobiliśmy truchcikiem. Próbowałam konwersacji z grupą kobiet z Mosman, ubranych w jednakowe spódniczki tenisowe od Laury Ashley. Nie bardzo mi to wyszło. Gdy usłyszały, że mieszkałam na Wschodnich Przedmieściach, po prostu mnie olały i kontynuowały własne rozmówki o tym, jak ciężko jest obecnie znaleźć dekoratora wnętrz, który zna się na dobrych lampach. Odtrącona, zaprzyjaźniłam się natychmiast z Oliverem i Briony. Też mieszkali w Balmain i prowadzili własny mały biznes grafiki i wzornictwa. Briony zachwycała się moją torebką, poczułam, że staję się lubiana i popular-



na, zwłaszcza gdy po pół godzinie tego spaceru zorientowałam się, że wszyscy wokół są już spoceni i zdyszani, a do mety jeszcze cholernie daleko i zaczęłam wszystkich wokół spryskiwać swoim nawilżaczem.

Zaczęłam się wczuwać w ten cały Hecny Bieg i nawet mi się to spodobało. Pomyślałam, że może tak gdzieś w głębi duszy lubię sport, tylko dotąd nie zdawałam sobie z tego sprawy. Poczulałam, że już idealnie włączyłam się w ten drepcący truchcikiem tłum, zachęcany do dalszego marszu przez tłum stojący na poboczu. Obserwatorzy ci zdawali się być pod ogromnym wrażeniem naszej dyszącej i zlanej potem, ale dziarsko maszerującej armii. Właśnie gawędziłam sobie miło z Bertem, gdy usłyszałam znajomy głos wołający moje imię i odwróciłam się.

- Nie mogę uwierzyć, że wciąż reagujesz na imię „An-nabelle” - powiedział doktor Jack, przepychając się w stronę Berta i mnie.

- Nie reaguję. To znaczy reaguję, ale tylko dlatego, że brzmi prawie tak samo jak Isabelle. Bert, to jest doktor Jack. Doktorze, to jest Bert.

Gdy tylko padło słowo „doktor”, twarz Berta pojaśniała i natychmiast rozpoczął niezmiernie długi i szczegółowy wywód na temat swych zastawek, pleśniawek, brodawek czy czegoś w tym guście. Przestałam go słuchać po paru minutach, nie mogąc się powstrzymać od dyskretnej uciechy z faktu, że oto doktorek wpadł jak śliwka w kompot. Musiałam jednak po chwili przyznać, że okazał się słuchaczem wytrwałym, cierpliwym i sympatycznym. Bert, oczarowany, pod koniec wziął mnie konfidencko pod ramię i szepnął, że mam naprawdę dobrego chłopca, po czym cofnął się, by z kolei OHverowi i Briony opowiedzieć, co doktor poradził mu na jego brodawki na zastawkach (a może odwrotnie?).

- Co tu właściwie robisz? - Spytałam doktora zaciekawiona.

- Dotleniam się. - A co niby miałbym robić?

- Pytałam nie, *co* robisz, tylko *co tutaj* robisz? Tu, z tyłu grupy, z tymi dziadkami, inwalidami i mamusiami? Sądziłam raczej, że bę-

dziesz na czele, razem z tymi pomyłkami, którzy próbują pokonać barierę dźwięku.

- Naprawdę, masz o mnie nie najlepsze zdanie, delikatnie mówiąc - odpowiedział nie zmieszany. - Przyznaję, lubię biegać, ale nie wy-czynowo.

A niech cię. Znaczący wziął mnie za amatorkę.

- Tam z przodu jest mnóstwo pięknych dziewczyn - warknęłam niezbyt uprzejmie - możesz absolutnie legalnie i uczciwie zapolować.

- Niestety, nie zezwala się na podryw podczas biegów, zwłaszcza hecnych - powiedział bardzo poważnie. - Mówi o tym paragraf trzeci specjalnego dekretu.

- No to poderwij Berta - zaproponowałam, oglądając się do tyłu, gdzie Bert nadal katował Oliwera i Briony szczegółami bezinwazyjnej ekstrakcji brodawek (a może zastawek?).

- Mógłbym - zgodził się doktor Jack, ale wolę żeby moje jachty budowali faceci bez brodawek. Ale jak już koniecznie chcesz wie-dzieć, jestem tu jednym z lekarzy ochotników. Wiesz, na wypadek, gdyby ktoś padł z gorąca lub wyczerpania, skrzył kostkę albo coś ta-kiego.

- A, to bardzo pięknie z twojej strony - powiedziałam potulnie, czując, że chyba za bardzo się go czepiam.

- Naturalnie, to tylko kiepski wykręt i pretekst, by dokuczać ko-bietom - ciągnął doktor Jack - ale może zmienimy temat? Co za wspa-niały dzień! Popatrz tylko na te widoki!

Wspinaliśmy się już na wzgórze nad Rose Bay, kierując się ku klasztorowi, a po naszej lewej stronie rozpościerał się jeden z naj-wspanialszych widoków na Sydney. Zatoka, cała w słońcu, migotała i lśniła. Białe żagle i błyszczące kadłuby łodzi wyglądały tak, jakby rozmieścił je pieczołowicie kolorysta Francesco z Double Bay, w celu wydobycia głębokiego szafiru wód zatoki. Dało się już odczuć łagod-  
ne i ożywcze podmuchy morskiej bryzy.

Po chwili milczącego podziwiania widoku, nagle przypomniałam sobie, że przecież zabrałam aparat. Wyciągnęłam go, po czym spytałam doktora Jacka, czy pottrzymałby przez chwilę moją torebkę.

- Ależ z przyjemnością. Bardzo pasuje do moich trampek - oznajmił rycersko. Czułam, że mi się przygląda, jak robiłam zdjęcia gmachu Opery i mostu. Niestety, na pierwszym planie utrwaliałam głowę jakiegoś typa, który wlaźł w kadr, gdy akurat nacisnęłam guzik. Zrobiłam jeszcze jedno zdjęcie i odwróciłam się z triumfalnym uśmiechem do doktora Jacka.

- Isabelle?

Nadal podziwiałam widoki - Co? Słucham?

- Jak długo mieszkasz już w Sydney?

- Ee... zabawne. Dokładnie to nie wiem. Będzie już ze dwa lata.

- Czy wiesz, że wciąż zachowujesz się jak turystka?

Spojrzałam na niego zdumiona. - Naprawdę? - Pomyślałam przez chwilę. - No, przypuszczam, że tak. Myślę, że to dlatego, że wciąż czuję się tu outsiderką. Tutaj ludzie są zupełnie różni.

- W czym, na przykład?

- Nie wiem, jak to wyjaśnić. Tu wszyscy ciągle gdzieś się spieszą i dokądś pędzą, są ciągle w ruchu i stale *coś* robią. Spójrz choćby na tych ludzi - może ta impreza nazywać się Hecny Bieg, ale oni traktują swój udział w nim bardzo poważnie.

- Och, nie przesadzaj. Jak mieszkasz w Sydney przez dwa lata, to powinnaś wiedzieć, że nic, co kończy się w Bondi, nie jest traktowane poważnie.

Roześmiałam się. - Zapewne. Czy mogę teraz dostać z powrotem swoją torebkę, czy też zacząłeś się do niej przywiązywać?

- Uważam, że o wiele bardziej pasuje ona mnie niż tobie. Czy mogę spytać, co jest w środku?

- Podstawowy ekwipunek torebkowy. I proszę nie wydziwiał, że wzięłam ją ze sobą. Nie przypuszczałam, że wszyscy potraktują tę imprezę tak poważnie.

- Wcale nie zamierzam wydziwiać, że wzięłaś torebkę. Bardziej jestem ciekaw, po co wzięłaś ten wielki pojemnik ze sprejem na owady?

Poczułam, że się czerwienię.

- Strasznie boję się pajaków (Boże spraw, by nie zauważył, że pojemnik jest pusty!)

- Ale on jest pusty!

Boże na wysokościach, dlaczego choć jeden jedyny raz, raziczek nie możesz być po mojej stronie? Czy jestem jakąś zdegenerowaną Sodomitką, okrutnym faraonem, czy może członkiem Partii Liberalnej, że uznałeś prześladowanie mnie za słuszne i sprawiedliwe?

- No tak. Jest pusty.

Być może wstrząsający fakt, że wreszcie w czymś przyznałam mu rację, skłonił go do porzucenia tego tematu.

- Przepraszam, może się czepiam, ale nie bardzo widzę sens noszenia ze sobą pustego pojemnika ze sprejem na owady.

- To jest, no, do rzucania w pajaki. - Westchnęłam, że muszę wyjaśnić sprawę do końca. - Ja po prostu tak się boję tych obrzydlistw, że nie mogę podejść dość blisko, by je popsikać. No to noszę ze sobą ten pojemnik, żeby w razie czego mieć czym w nie rzucać, to wtedy nie muszę kupować nowej szczotki do włosów.

- Wiem, że prawdopodobnie wydam ci się wyjątkowo tępy - powiedział przeproszającym tonem - ale co tu właściwie ma do rzeczy szczotka do włosów?

- No, czasem ciskam nią w różne rzeczy - powiedziałam nonszalancko, zmierzając ku dalszym, bardziej szczegółowym wyjaśnieniom. Lecz wtedy nagle w tłumie mignął mi tył czyjejs znajomej głowy i nagle aż się wzdrygnęłam. To był Sebastian.

Typowe. Cholernie typowe. Prawie sześćdziesiąt tysięcy luda drepcze w tym Hecnym Biegu, a ja musiałam wpaść na doktorka, a teraz na Sebastiana. Co, u diabła, jest z tym miastem?

Dotychczas jakoś udawało mi się unikać Sebastiana - od rozmowy, którą odbyliśmy zaraz po naszym krótkim spotkaniu, nie widzieli-

śmy się ani razu. No dobrze, to było durne, niemądre i niedojrzałe, ale byłam wciąż jeszcze tak pełna poczucia winy i zakłopotana, że po prostu nie chciałam go oglądać. Ale - co zabawne - właśnie dziś (właściwie nie wiem, czemu) zdałam sobie sprawę, że moją normalną reakcją na widok Sebastiana zdominowało jedno tylko pragnienie: żeby Sebastian nie dołączył do nas. To znaczy do mnie i do doktora Jacka.

Wtedy ku mojemu przerażeniu Sebastian zaczął się z wolna odwracać, jakby wyczuł, że gdzieś blisko za nim znajduje się ktoś, kto się raz z nim bzyknał, a potem wyrzygał. Chyba ludzie tacy jak ja mają szczególnie silne aury. Oj, jeszcze sekunda i mnie zobaczy. Nie wiedząc, co robić zrobiłam jedyną rzecz, na jaką było mnie stać.

Wpadłam w panikę.

Wiele godzin później, gdy już siedziałam w domu na kanapie z torebką lodu na kostce, doktor Jack spytał mnie spokojnym, rozsądnym głosem, dlaczego odczułam tak nagłą potrzebę rzucenia się pod nadjeżdżający wózek dziecinny. Odpowiedziałam mu na to, równie spokojni i rozsądnie, że czegoś potrzebowałam. Na to on zaczął się dopytywać, co to było, czego potrzebowałam tak straszliwie, żeby rzucać się pod dziecinny wózek. I wtedy nagle wypaliłam, że odczułam nagłą potrzebę posiadania dziecka. Wtedy on spojrzał na mnie dziwnie, a ja na moment pograżyłam się w gorzkich myślach o dzieciach. O tym, jak te bachory samolubnie rozpychają się w tych swoich wózkach. Ponieważ doktor Jack ciągle patrzył na mnie bardzo dziwnie, wymruczałam coś tam na temat mojego zegara biologicznego, po czym udatnie zasymulowałam nagły atak bólu mej biednej kostki i doktor Jack przestał drażnić temat wózka, stając się na powrót miłym i sympatycznym facetem.

No, ale to wszystko to była przyszłość. Tymczasem tu i teraz leżałam na ziemi, z przeszywającym bólem w kostce i śladami po kołach wózka na czole. Bachor w wózku darł się jak opętany, jakby to on był tu najbardziej poszkodowany. Klasyczny przykład na to, dlaczego nie ufam dzieciom. Niech tylko na moment cokolwiek odwróci od nich uwagę (wszystko jedno co: trzecia wojna światowa czy lądo-

wanie kosmitów), zaczynają koncert ryków i wrzasków sprawiający, że wszystkie singlowy w promieniu dziesięciu kilometrów zbiegają się do źródła ryku i zaczynają trzepotać się wokół, gdacząc o kolce i rozważając wady i zalety takich i siakich pampersów. Dzieci to samolubne potwory.

Zorientowałam się ponieważ, że w tym jazgocie urządzonym przez bachora i zamieszaniu spowodowanym przez tłum gapiów, którzy zaczęli się tłoczyć wokół, ciekawych o co ten cały raban, powinnam po prostu dopaść Sebastiana, zakryć mu oczy dłońmi i zawyc co sił w płucach. „Zgadnij, ktio tio?”. W tamtej chwili uznałam jednak, że najrozsądniej postąpię leżąc na ziemi, z mocno zaciśniętymi powiekami, póki nie zapadnie noc, a wtedy pod osłoną ciemności będę mogła wdrapać się na wózek dziecięcy i wjechać na urwisko jak w *Telmie i Louise*.

Tłum dobrych samarytan i zwykłych żądnych sensacji gapiów najwyraźniej wciąż kłębił się wokół mnie, gdyż jak przez mgłę słyszałam ich głosy i nieśmiertelne teksty typu: „Wszystko w porządku, skarbie?”, „Oj, chyba zostanie blizna” i „Czyja to torebka?”

I nagle usłyszałam znajomy głos. Głos mówił, że nic mi nie jest, że on jest lekarzem i że wszystkim się zajmie. Wtedy wszystkie głosy zaczęły z wolna niknąć i oddalać się. Zastanawiałam się, czy on naprawdę jest lekarzem, skoro nie widzi, że umieram i że powinien wezwać helikopter, a wtedy doktor Jack powiedział tym swoim zwykłym, spokojnym i rozsądnym tonem: - Usiądź, Isabelle.

- Nie, dziękuję - odpowiedziałam grzecznie, wciąż mocno zaciśkając powieki. Prawdę mówiąc, ból w kostce był dotkliwy i nie byłam pewna, czy dam radę usiąść.

- No, dalej Isabelle, pomogę ci - nalegał doktor Jack. Zrozumiałam, że nie zamierza mnie zostawić i otworzyłam oczy. Otoczył mnie ramieniem i pomógł usiąść.

Zaczął zdejmować mój but, a ja jęczałam, jakby jakiś czarownik, gdzieś tam w Indiach Zachodnich, wbijał kolejne igły w kostkę lalki wudu z moją twarzą.



- Przepraszam - odpowiedział patrząc na mnie. - Ale muszę jakoś ściągnąć ten but, by obejrzeć twoją kostkę.

- Nie chciałbyś zamiast niej obejrzeć moich piersi? - Zapropnowałam prawie mdlejąc.

Uśmiechnął się szeroko, lecz zamiast się odgryźć, czule i delikatnie nakazał mi się zamknąć. Następne minuty, podczas których ściągał mi but i przykładał lód, były wypełnione tak straszliwym cierpieniem, że zadowolłam się siedzeniem cichutko, skowycząc za to w duchu.

Gdy kostka została wreszcie obandażowana, poczułam się troszkę lepiej. Z pomocą doktora Jacka jakoś wstałam i wykuśtykałam z tłumy. Ruszyliśmy oboje ku cichej bocznej ulicy. Doktor zadzwonił po taksówkę. W oczekiwaniu na nią usiedliśmy na niskim murku obiegającym jakiś ogród. Z jakiegoś powodu poczułam się nagle idiotycznie nieśmiała i zakłopotana. Właściwie, na litość boską, dlaczego? W końcu widział naga tylko moją stopę!

Upewniwszy się, że siedzę wygodnie, doktor Jack z widocznym zadowoleniem rozsiadł się przy mnie.

- Nie musisz wracać? - spytałam. Nie żebym była niewdzięczna, ale nie chciałam mu psuć reszty dnia.

- Nie, chcę być pewien, że bezpiecznie dotrzesz do domu.

- Dam sobie radę, naprawdę.

- Musisz w domu wchodzić po schodach? Jęknęłam. - Trzy piętra.

- A, skoro tak, zostaję z tobą. Nie sądzę, byś poradziła sobie sama.

- Ale nie chcę ci popsuć tego Hecnego Biegu.

- Isabelle, byłem tu na wypadek, gdyby ktoś ucierpiał. No i tak się złożyło, że ucierpiałas ty. A więc nie martw się o mnie. A poza tym - dodał (bezcelnie!) - spełniam swój obywatelski obowiązek, usuwając cię stąd. Stanowisz zagrożenie dla zdrowia i życia obywateli.

- Och, nie sądzę, żeby aż tak.

- Mogę cię o coś zapytać, Isabelle?

- Już pytałeś.

- Nie myślałaś tak naprawdę, że jestem psychopatą, wtedy, kiedy spotkaliśmy się w parku?

- Myślałam - skłamałam gładko i szybko.  
- Ale ja przecież nie wyglądam na psychopatę?  
- Ojej, przecież powszechnie wiadomo, że psychopaci mają swoje duchy pod postacią zwierząt. Tak jak czarownice. A wokół ciebie kręciły się cztery małe potwory.

- Więc to tylko moje psy sprawiły, że odrzuciło cię ode mnie?

- Tak. To znaczy nie. Ty też to sprawiłeś.

- Proszę, nie krępuj się. Nie chciałbym, żebyś martwiła się, że zraniłaś moje uczucia czy coś takiego.

- Przepraszam. Ale czy zawsze nasza rozmowa musi schodzić na ten dzień w parku?

- Ależ oczywiście, że nie. A o czym byś chciała porozmawiać? Zastanawiałam się przez chwilę.

- O krzesłach.

- O krzesłach?

- Tak - odpowiedziałam stanowczo. I na wszelki wypadek, by rozwiać wszelkie wątpliwości, powtórzyłam. - O krzesłach.

Zauważyłam, że doktor Jack rozmyśla nad czymś intensywnie.

- Niewiele można powiedzieć o krzesłach. Czekalam.

- Aha. To taka cienka aluzja, tak? Dobra, już się zamykam.

Siedzieliśmy w całkowitej ciszy, aż do przybycia taksówki. Nie chciałam wyjść na niewdzięcznicę, zwłaszcza wobec kogoś, kto udzielił mi pierwszej pomocy, ale on był taki cholernie uparty, a poza tym nie miał w moich oczach dobrej opinii. Byłoby o wiele lepiej, gdyby zostawił mnie w spokoju.

Taksówka wreszcie podjechała i z pomocą doktora Jacka jakoś się wgramoliłam, ładując na twarz na tylne siedzenie (dziwnie pachniało). Taksówkarz przyjrzał mi się z powątpiewaniem.

- Proszę nie zwracać na nią uwagi - powiedział wesoło doktor Jack, ładując się na przednie siedzenie (mogłam więc pozostać z tyłu rozciągnięta na płask). - Jest kompletnie zalana.

- Nie jestem zalana! - wrzasnęłam, lecz twarz nadal miałam wciśniętą w pokrowiec siedzenia, stąd wyszło to jakoś tak „Jeziem ziama-

la", jakbym była ( narąbaną) szkocką karlicą, właśnie dokonującą prezentacji.

Łypiąc jednym okiem, zauważyłam jak doktor Jack smutno potrząsa głową. - Muszkat - powiedział dość cicho, ale na tyle głośno, bym go mogła usłyszeć. - To wszystko przez ten muskat, że się tak zaprawiła. A mówi się, że deserowe wina są nieszkodliwe.

Muszkat? Muszkat?? Desperacko próbując obrócić się, by dać odpór jego kłamstwom, prawie zjadłam włochaty wałek na siedzeniu.

- Ale jak ona puści pawia, to pan zapłacisz na czyszczenie tapicerki - powiedział leniwie taksówkarz.

\* \* \*

Jak człowiek jest słaby, chory i ranny, fajnie jest przez pierwsze półtora dnia. Wszyscy dookoła są strasznie mili, telefon dzwoni bez przerwy, wszyscy skaczą koło ciebie, a poczta przynosi wciąż nowe kartki z życzeniami powrotu do zdrowia. Mijał już jednak trzeci dzień, jak byłam uwięziona w domu, i ruch wokół mnie wyraźnie osłabł. Kostka miała się już znacznie lepiej, ale pokonanie trzech pięter nadal przekraczało moje możliwości. Miałam więc surowo przykazane nie wracać do pracy, póki całkiem nie wydobrzeję. Byłam znudzona i chyba wchodziłam w okres napięcia przedmiesiączkowego. Jedyną drobną pociechę stanowił fakt, że w danej chwili byłam niekwestionowaną mistrzynią w rzutkach do szetlandzkich kucyków, grze którą sama wymyśliłam i w której ćwiczyłam się wytrwale przez ostatnie trzy dni. System obliczania punktów był nieco skomplikowany, choć generalnie trafienie w jakikolwiek punkt między grzywą a ogonem (odcinek równy długości oboju) dawało pięć punktów.

Ale nawet rozkosze rzutków w szetlandzkie kucyki w końcu nieco zbladły, ucieszyłam się więc ogromnie, gdy w środowe popołudnie ktoś zadzwonił do drzwi. Podskoczyłam na jednej nodze i nacisnęłam domofon.

- Hallo?

- Isabelle, tu Jack. Przyszedłem z wizytą kontrolną. Och, pieprzyć to. Nawet nie miałam na sobie swojej najładniejszej pidżamy. Pomijając ten wygłup z opowiadaniem taksówkarzowi, że jestem pijana, doktor Jack był bardzo miły. Pomógł mi wdrapać się na schody i zaofiarował się, że zostanie za mną aż do powrotu Hattie. Odmówiłam najwdzięczniej jak mogłam, gdyż po tej wspinaczce po schodach byłam kompletnie wykończona i kompletnie nie w sosie. Bałam się, że w każdej chwili może mi się zebrać na płacz i zacząć po prostu ryczeć w poduszkę, a nawet w dywan. Doktor Jack chyba wyczuł bluesa, gdyż zostawił mi tylko trochę środków przeciwbólowych, poradził trzymać się z dala od muskatu i poszedł sobie. Byłam lekko zdziwiona, że nie zadzwonił i nagle zdałam sobie sprawę, jak bardzo się cieszę z tego, że właśnie przyszedł.

Zostawiłam otwarte drzwi wejściowe i wróciłam (wciąż na jednej nodze) na kanapę, łapiąc po drodze *Portret damy*. Usłyszałam, jak wchodzi do mieszkania, i zwróciłam się ku niemu z uśmiechem powitania - idealny obraz cierpiącej, ale dzielnej rekonwalescentki. Twardo postanowiłam sobie, że nie zrobię ani nie powiem przy nim tym razem nic głupiego.

- Cześć Isabelle, jak się czu... rany boskie, co to takiego?

- Uśmiech na jego twarzy zamarł i spęzł, zastąpiony przez wyraz najwyższego niepokoju, gdy uważnie przyglądał się mojej tablicy do rzutek w szetlandzkie kucyki.

No tak, cudnie. Udało mi się prawie zachować z godnością (przez pięć sekund).

- Hej. To? To gra. A ty jak się masz? - zapytałam żywo, zdecydowana nie robić ze sprawy wielkiego halo.

Oderwał wzrok od tablicy, przyglądając mi się uważnie.

- Ty *naprawdę* nie cierpisz małych zwierząt, prawda?

- Nie, to nie tak. To tylko... A, niech tam. - Tak - odpowiedziałam stanowczo.

- Nie cierpię.

- No, to szkoda, bo właśnie coś ci przyniosłem. Ale nie wiem, czy powinienem ci to teraz dawać.

- Przyniosłeś mi coś? - spytałam, nie mogąc pohamować podniecenia (Boże, uwielbiam prezenty!).

- Pomyślałem sobie, że pewnie się nudzisz. No to masz.

- I doktor Jack rzucił mi coś na kolana.

- Spojrzałam. Była to kasetka wideo z *Przygodami Milo i Otisa*.

- Rozryczałam się.

- Och, na litość boską Isabelle, to miało cię trochę podnieść na duchu - wyjąkał doktor Jack głosem jednocześnie rozbawionym i zrozpaczonym. - Otis to mops, ale jest dopiero szczeniakiem, więc masz dobre wytłumaczenie, że jest mały.

- Too nii-e dl-dl-dla-tego łkałam. - Tto ta-akie miłe zzz tttwoiii-jej stro-ony. llll, ttto mmnie na-apprawdę pppodnniosło nna dddu-chuuu...

- Oczywiście. I to dlatego tak ryczysz. Powiedz, co robisz, gdy jesteś szczęśliwa? Wybierasz się na czyjś pogrzeb i idziesz w kondukcje wyrrywając sobie włosy z głowy?

Próbowałam odpowiedzieć, ale musiałam wydmuchać nos.

- Ską-ąd o-o tym wwieddziałaś? - Z wrażenia i emocji aż się zakrztusiłam.

- Zoe wspominała mi, że masz zwyczaj oglądać filmy dla dzieci, gdy wpadasz w napięcie przedmiesiączkowe

- odpowiedział. - Pomyślałem więc, że skoro masz skreconą kostkę i jeszcze w dodatku napięcie...

- Nie mam żadnego napięcia przedmiesiączkowego

- wrzasnęłam. - Jestem tylko bardzo wzruszona, bo jestem uczuciowa. - Pomyślałam przez chwilę, po czym spytałam go podejrzliwie.

- Dlaczego myślisz, że to napięcie przedmiesiączkowe?

- Musiałem uspokoić Zoe po tym, jak odebrała twój telefon wczoraj w nocy. Słuchaj, wiem, że to bardzo osobiste pytanie, ale w

końcu jestem lekarzem, więc powiedz mi, Isabelle, kiedy wypada ci okres?

- W przyszłym tygodniu - oznajmiłam ponuro. - Ale to znaczy, że jestem w napięciu przedmiesiączkowym tylko z chronologicznego punktu widzenia. To nie ma wpływu na mój stan emocjonalny.

- Nigdy nie rozumiałem, dlaczego dziewczyny robią się takie drażliwe, gdy powie im się, że ich huśtawki nastrojów powoduje napięcie przedmiesiączkowe. Gdybym to ja miał taką porządną biologiczną wymówkę do miotania się raz w miesiącu, to bym korzystał z tego pełną garścią.

- Sugerujesz, że się miotam? - Spytałam z pogrózką w głosie.

Spojrzał na mnie nerwowo. - Nie śmiałybym o tym marzyć. Ale myślę, że możemy zacząć oglądać to wideo. Mam włączyć?

- Dlaczego ty? Zakładasz, że skoro jestem dziewczyną, to od razu nie wiem, jak obsługiwać wideo?

- Dobrze, dobrze. No to włączaj.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Bo tam w środku jest kasetka i nie wiem, jak ją wyciągnąć?

- To jakaś pornografia?

- Dlaczego myślisz, że to jakaś pornografia?

- Doświadczenie. Pornosy to kasety, które najczęściej się blokują w wideo. Zwykle wtedy, gdy cała rodzina zasiada, by obejrzeć taśmę ze ślubu kuzynki.

- No dobrze, ale to nie pornos. Nie oglądam takich rzeczy.

- Dlatego, że są niemoralne?

- Nie. Dlatego, że nigdy nie mogę nic pojąć. Te historie tam przedstawiane, znaczy akcja, nigdy nie mają sensu.

- No, jeśli oglądałaś pornosy, szukając w nich narracji, to rozumiem, że czułaś się rozczarowana - powiedział wyrozumiale doktor Jack, wyczyniając jakieś bardzo skomplikowane rzeczy z zablokowaną taśmą.



- A, i jeszcze jedno. Możesz mi łaskawie wytłumaczyć, dlaczego faceci spotykają się, by wspólnie oglądać pornosy? To takie dziwaczne. Co byś powiedział, ale uczciwie, gdybym oznajmiła ci, że zaprosiłam swoje najbliższe przyjaciółki na wieczorek grupowej stymulacji seksualnej?

- Powiedziałbym, że dałbym się dobrowolnie przybić do sufitu, jeśli byś tylko pozwoliła mi zostać i popatrzeć.

- Ale śmieszne, ha-ha. Ale mówmy serio. Co się dzieje, gdy pornos się kończy, a wy wszyscy siedzicie z masową erekcją?

- Cieszy mnie, że poprawnie użyłaś słowa „masowa”, ale to nie wygląda tak jak mówisz. Nie potrafię ci tego wyjaśnić. Przyjmij po prostu, że to taki, z przeproszeniem, samczy obrzęd, którego nigdy nie pojmiesz, tak samo jak my nie możemy i nie chcemy zrozumieć pomysłu depilacji woskiem do bikini. Trudno sobie wyobrazić, że można sobie robić coś takiego. No, ale może zejdźmy z tej pornografii, dobrze? Milo i Otis już czekają, a przez te naszą rozmowę poczułem się bardzo zepsuty.

W zasadzie nie lubię oglądać filmów przedmiesiączkowych w towarzystwie, ale muszę przyznać, że doktorek Jack załapał zasady wręcz idealnie. Od czasu do czasu wymienialiśmy uwagi na temat różnych sytuacji w filmie, na przykład, czy ta baraszkująca na łące łania jest naćpana i czy mops grający Otisa to ten sam mops, który grał w *Facetach w czerni*. Głównie jednak doktorek Jack wydawał się zadowolony po prostu siedzeniem obok mnie i podjadaniem ze mną miętowych czekoladek.

Tylko raz, gdzieś w połowie filmu, zaczął znów się ze mną kłócić, przy okazji szczególnie dramatycznej sceny: koszyk z kociakiem Milo zostaje porwany przez wzburzoną rzekę, a zgłodniały czarny niedźwiedź czatuje, by złapać Milo i skosztować go na lunch. Entuzjastycznie i z zapalem kibicowałam usiłowaniom misia, gdy spostrzegłam, że doktor Jack dziwnie mi się przygląda.

- Eee, Isabelle?

- Tak? Ze co? - Rzuciłam mu roztargnione spojrzenie, wściekła, ze przerywa mi w tak ważnym momencie, gdy Milo już, już miał się znaleźć w niedźwiedzim pysku, i za żadne skarby nie chciałam tego przeoczyć.

- Myślałam, że kibicujemy raczej Milo. No wiesz - słodki, bezbronny, puszysty kociaczek, a przeciw niemu okrutny, krwiożerczy dziki zwierz... - zaczął się lekko jąkać i zacinać, widząc niedowierzające spojrzenie, którym go obdarzyłam.

Naprawdę, nie mam zdrowia do takich rozczulam

- Jestem darwinistką. Prawo natury to prawo silniejszego. Gdyby na szczycie piramidy gatunków były słodkie puszyste stworzonka, to w *Fatalnym zauroczeniu* króliczek powinien ugotować Glenn Close. Nawiasem mówiąc, ta scena byłaby wtedy o niebo zabawniejsza.

- Trochę mnie niepokoi użycie przez ciebie w tym kontekście słowa „zabawniejsza”. Nie sądzę, by ta scena w ogóle miała być w jakikolwiek sposób zabawna, ale jak rozumiem nie lubisz kotów?

- Nie cierpię ich. Są okropne. Samolubne, zarozumiałe, a poza tym - sądząc po Milo - nie potrafią grać.

- A co jest złego w grze Milo?

- No dobrze, on jest znośny - ustąpiłam. - Ale zgódź się ze mną - każdy kot to taki zwierzęcy Hugh Grant. Dobry do zabawnych przygód i romantycznych komedii. Ale do grania w poważnym dramacie to już potrzebny jest osioł. Sądzę, że osły świetnie odgrywają patetycznych alkoholików.

- O czym ty mówisz, rany boskie...

- O osłach. Osioł to taki Robert de Niro. Nie taki jak koty, ta aktorska waga piórkowa. Możesz się trochę posunąć? Muszę wstać.

- Sądzę, że raczej nie powinnaś. Potrzebujesz czegoś?

- Możesz przynieść z kuchni puszkę Milo i łyżkę?

- Zamierzasz jeść Milo z puszki, oglądając film o kotku o imieniu Milo?

Skinęłam głową. - Właśnie. Przyjrzał mi się i westchnął.

- Jesteś naprawdę bardzo dziwną dziewczyną, wiesz o tym?

- Mmm. Możesz przynieść dwie łyżki, jeśli chcesz. Doktor Jack przewyciężył jakieś swe skrupuły i siedliś-

my znów obok siebie, zajadając Milo z puszki aż do końca filmu, kiedy obojgu nam zrobiło się troszeczkę niedobrze.

- Może zostałbyś na kolację? - spytałam nieśmiało, mając nadzieję, że nie będzie miał nic przeciwko menu złożonego z Milo na przystawkę i tostów z serem jako dania głównego.

- Byłoby miło, ale nie mogę. - Nie podał żadnego powodu, lecz mogłam łatwo wyczuć podtekst odmowy („mam randkę z kilkoma szalowymi brunetkami z wędrowniej grupy flamenco, z których żadna nigdy nie próbowała twórczo przetworzyć finału *Anny Kareniny*, zastępując pociąg wó-zeczkiem dzieciennym”).

- No to, w takim razie dzięki za tę kasetę z *Milo i Otisem* - powiedziałam chłodno, próbując zwalczyć poczucie odtrącenia.

Spojrzał na mnie, jakby zamierzał jeszcze coś powiedzieć, lecz nagle zmienił zamiar, pożegnał się i wyszedł, zderzając się w drzwiach z Hattie, która właśnie wracała z gimnastycznej randki z Bradem.

- Co to za jeden? - spytała podeksycytowana, gdy tylko zamknęły się za nim drzwi.

- Doktor Jack. Przed dwoma minutami ci się przedstawił.

- Nie, to znaczy, chodzi mi o to, skąd go znasz?

- Jest moim lekarzem. I współlokatorem Zoe. Dlaczego mi się tak przyglądasz?

- Belle, on jest cudowny. Kawaler?

- Tak jakby - odpowiedziałam machinalnie, skacząc po pokoju i zbierając swe pociski do następnej kolejki rzutków do kucyków (szelandzkich).

- Co to znaczy „tak jakby”?

- To znaczy, że spotyka się z tabunami dziewczyn, tak że nigdy nie wiesz, czy jest do wzięcia czy nie.

- A właściwie, dlaczego nie miałby się spotykać z tabunami dziewczyn, skoro jest kawalerem?

Ulubioną lekturą dzieciństwa Hattie była najwyraźniej *Athletics International*, ja zaś czytałam wtedy *Bajki Zebrane dla Nieżyciowych Dziewcząt*. Czy jest coś złego w spotykaniu się z tabunami kobiet? Owszem jest i powiem wam co. Czy wyobrażacie sobie księcia z bajki bzykającego się z brzydkimi siostrami, a dopiero potem zagadującego Kopciuszka: „To co, laleczko, jesteś chętna?” Gdzie tu romans, gdzie miłość? Wiedziałam jednak, że stratą czasu jest tłumaczenie tego Hattie, nic więc nie powiedziałam i nadal skakałam wokół kanapy. Hattie przyjrzała mi się uważnie.

- Lubisz go, prawda? - spytała nagle. Pomyślałam o kasecie z *Przygodami Milo i Otisa*.

- Tak jakby.

- Skończ wreszcie z tym „tak jakby” - zdenerwowała się Hattie. I usiądź wreszcie. Doprowadzasz mnie do szału.

Usiadłam. Ale natychmiast poczułam, że nie powinnam. Dlaczego zawsze robię to, co ona mi każe? W końcu to właśnie jej wina, że skręciłam sobie kostkę.

- Chciał się z tobą umówić?

- Tak... przepraszam. Zapraszał mnie, ale dawno temu.

- No to dlaczego się nie zgodziłaś?

- Bo nie chcę dołączyć do tych tysiąca siedmiu kobiet, z którymi się spotykał.

- Och, wielkie mi rzeczy. Nie mogłaś zwyczajnie się z nim umówić i trochę się rozerwać, zamiast robić wielkie halo?

Zdeprymowana, wręczyłam Hattie garść rzutków. - Hattie, nie chce mi się o tym gadać. Był dla mnie po prostu miły, bo jako lekarz czuje się za mnie odpowiedzialny i błędnie uważa, że mam nierówno pod sufitem. Masz ochotę na rundkę rzutków do kucyków?

Wzięła ode mnie garść kucykowej amunicji i nagle powiedziała coś bardzo dziwnego.

- Nie możesz ciągle się bać Belle, zrozum to.

- Bać się? Niczego się nie boję. Czego miałabym się bać? Harriet łagodnie potrząsnęła głową, po czym mierząc

starannie, cisnęła swój rzutek prosto do celu. Wbił się głęboko w małe serduszko szetlandzkiego kucyka.

RS

## Kłamstwa, cholerne kłamstwa

W ciągu następnego tygodnia moja kostka całkiem wydojrzała i wróciłam do pracy. Wracając do domu we wtorek wieczór, niemal automatycznie skręciłam w zaułek, by uniknąć spotkania z Trevorem. Śniłam właśnie na jawie fascynujący sen: Cory Czworthy czytał mi na głos poemat, który dla mnie napisał. Nagle usłyszałam, jak ktoś szepce dość natarczywie moje imię. Rozglądałam się dookoła i aż podskoczyłam, gdy jakaś męska postać w szortach i gumiakach wynurzyła się z zarośli. W pierwszej chwili pomyślałam, że to Trevor mnie namierzył. Wtedy spostrzegłam, że gość jest znacznie starszy od Trevora i że ma bardzo tajemniczy wyraz twarzy.

- Cześć - powiedziałam, nawet niezbyt zdziwiona, że facet zna moje imię. Pewnie to jeden z tych budowlańców, którzy każdego ranka pozdrawiali mnie radosnymi wrzaskami i pilnie obserwowali każdy ruch mój i Trevora.

- Przepraszam, że cię wystraszyłem Isabelle, skarbie - powiedział - ale nie chciałem przyciągać niczyjej uwagi. Nie chcę, żeby kumple wiedzieli, że rozmawiam z tobą. Musiałem, bo wydajesz mi się miłą dziewczyną.

- Dziękuję bardzo - odpowiedziałam, zastanawiając się, o co tu biega. - Jeśli wolno mi spytać - kim pan jest?

- A, jasne! Zapomniałem, że ty mnie nie znasz. Bo mnie się wydaje, jakbym cię znał, bo widuję cię co dzień i słyszałem Trevora, jak opowiadał o tobie. Na imię mi Darryl. Jestem glazurnikiem spod numeru 32.

- Miło mi ciebie poznać, Darryl. - Dobra, towarzyskie grzeczności odbębnięte, mogę wreszcie spytać. - Mmm... to znaczy... co chciałeś mi powiedzieć?



Darryl wziął mnie za rękę, przytrzymał ją w delikatnym uścisku i spojrzał prosto w oczy.

- Podle się czuję mówiąc ci to, ale - tu przerwał, nabrał powietrza i ciągnął dalej - widzisz, Trevor spotyka się z kimś innym.

Och, pieprzyć to.

- Z kimś - powtórzyłam głośno, cofając dłoń. Darryl patrzył na mnie, wyraźnie zakłopotany. - Trevor spotyka się z *kimś* - powtórzyłam z naciskiem. - Nie z kimś innym. To by sugerowało, że przedtem z kimś się spotykał. Ale się nie spotykał. To znaczy może się i spotykał, ale nie ze mną.

Darryl przyjrzał mi się ze smutkiem. - Tak przypuszczałam, że źle to przyjmiesz, wymamrotał. - Nie byłem pewien, czy dobrze robię, ale to nie było w porządku.

Naprawdę wzruszył mnie swoją troską.

- Słuchaj, wszystko jest w porządku, nie ma sprawy

- powiedziałam, zastanawiając się, jak się dalej zachować w tej kretyńskiej sytuacji. Teraz właściwie to ja powinnam pocieszyć *jego*. - Trevor i ja tylko rozmawialiśmy sobie od czasu do czasu. Między nami nic nie było.

Poklepał mnie po ramieniu, jakby dla dodania otuchy.

- Jesteś klasa dziewczyna, Isabelle. Tak trzymać, głowa do góry, skarbie. Powinnaś częściej nosić tę swoją czerwoną spódnicę - to taki ładny, wesoły kolor.

Postanowiłam zaakceptować fakt, że mam złamane serce, bo Trevor zostawił mnie dla innej. Najwidoczniej nie uda mi się przekonać Darryla, że jest inaczej. Z czystej ciekawości spytałam.

- A z kim Trevor się spotyka? Darryl spochmurniał.

- A, to taka jedna Monica, z sandwiczarni. Od początku robiła do niego słodkie oczy, po prostu polowała na niego. Trevor zawsze dostawał *grubsze* sandwicze niż reszta z nas. No i chłop nie potrafił się oprzeć, ot co.

Gdyby nie Cory (w odwodzie) i moje najnowsze postanowienie, że kończę z tą swoją wieczną niską samooceną, chyba jednak byłoby

mi trochę przykro z powodu tej całej Moniki i jej hojnie napakowanych sandwiczów. - Dzięki, że mi powiedziałeś. To było naprawdę miłe z twojej strony.

- Znaczy, wszystko gra?

Pozwoliłam, by dolna warga lekko mi zadrżała i wzięłam głęboki wdech.

- Wszystko gra, Darryl - powiedziałam tonem sugerującym coś wręcz przeciwnego. Następnie, pod współczującym spojrzeniem Darryla, glazurnika spod numeru 32, pozbierałam swe złamane serce, pożegnałam się i poczłapałam w kierunku domu.

\* \* \*

Akurat gdy wchodziłam do mieszkania, zaczął dzwonić telefon. Natychmiast zapomniałam o Trevorze, Darrylu i podstępnej Monice. Możliwe, że to Cory: dzwoni, by się dowiedzieć, czy nie mam jakichś ciężkich toreb do wniesienia na górę albo by zaprosić mnie na następną lemoniadę. Pomknęłam galopem przez salon, uderzając się po drodze boleśnie o piecyk olejowy, nieszczęśliwym trafem stojący na mej drodze. Trzy dzwonki. Jeszcze tylko jeden i włączy się automatyczna sekretarka. Tak więc, mimo pulsującej i piekącej stopy, rzuciłam się na telefon, łapiąc za słuchawkę w samą porę.

- Halo? - zapytałam skwapliwie, masując obolały palec u stopy i zastanawiając się, czy a) po prostu amputować sobie stopę, i b) czy doktor Jack składa wizyty domowe przy stłuczonych palcach u stóp.

- Hej, jestem Martin z Associated Research. Jak się masz dziś wieczór?

Minutę temu miałam się świetnie, zanim uderzyłam się w paluch, próbując odebrać ten twój kretyński niepotrzebny telefon, pomyślałam z urazą, lecz na głos tchórzliwie powiedziałam: „Dziękuję, świetnie”.

- A to wspaniale, wspaniale - facet robił wrażenie niewiarygodnie szczęśliwego, że jeszcze się nie rozłączyłam. - Pozwolisz, że zadam ci

kilka pytań? - I dodał dość płaczliwie. - Nie zabiorę ci zbyt wiele czasu.

Po krótkim namyśle zdecydowałam się dać Martinowi szansę.

- Słucham. - Usiadłam wygodnie na kanapie i zajęłam się oględzinami mego palca, macając, czy nie jest złamany i sprawdzając, czy nie krwawi. Bolało jak cholera, ale na oko wyglądało, że tylko odprysnął mi lakier z paznokcia.

- Świetnie, naprawdę fantastycznie. - Tym razem głos Martina brzmiał aż za bardzo entuzjastycznie. Kurczę blade, gdybym to ja wcześniej wiedziała, że wystarczy poświęcić ledwo pięć minut, by uczynić drugiego człowieka szczęśliwym, byłabym o wiele miłsza dla wszystkich badaczy rynku. Tym sposobem zebrałabym punkty dla zapewnienia sobie godziwego miejsca Na Tamtym Świecie, zamiast marnować czas na przypadkowe, pozbawione znaczenia flirty z chrześcijaństwem, buddyzmem i Amnesty International, w tej właśnie kolejności.

Martin odchrząknął i zmienił ton głosu z przymilnie--donosicielskiego na poważniejszy i bardziej profesjonalny.

- Dobrze, więc zaczynamy. Chwila ciszy.

- No, słucham, Martin - powiedziałam zachęcająco, wciąż uważnie badając swój paluch i zastanawiając się, czy krwawienie wewnętrzne objawi się w postaci siniaka, a jeśli tak, to po jakim czasie.

- Zaraz, właśnie układam papiery - tonem obrażonego bachora odpowiedział Martin. Po czym, jakby przestraszył się, że mnie obraził i że mogę się rozłączyć, dodał nieśmiało: - Mam tę pracę dopiero od dwóch tygodni, a ty jesteś pierwszą osobą, która zgodziła się odpowiedzieć na moje pytania.

- Och. - Poczulałam do Martina coś w rodzaju współczucia, lecz natychmiast uczucie to zdusiła świadomość ważności chwili. Oboje mieliśmy właśnie stracić swe badawczo--rynkowe dziewictwo.

- No więc jedziemy. Wiek?

Hm, proste i bezpośrednie pytanie.

- Dwadzieścia osiem lat.

- Płeć?

- Do negocjacji. Chwila złowieszczej ciszy.

- Ja pytam poważnie.

- Ja też mówię poważnie. Jesteśmy w Sydney. Nie jesteśmy skazani tylko na dwie opcje.

Znowu cisza. Chyba Martin nie ma poczucia humoru.

- Jestem dziewczyną, Martin. To chyba słyhać.

- Ile osób zamieszkuje w twoim gospodarstwie? Forma pytań i sposób ich zadawania zaczęły mnie nawet bawić i postanowiłam nadal się droczyć. - Stale w tej rezydencji rezydują dwie osoby.

- Aha. Ta druga osoba to też kobieta? Kurczę, pieprzony, zarozumiałe bubek.

- Dlaczego zakładasz, że mieszkam z dziewczyną? - spytałam podejrzliwie.

- Nasze badania wskazują, że ludzie pozostający w stałych związkach przeważnie nie podejmują z nami rozmów.

Jakaś część mnie rozbawił fakt, że są ludzie, którzy robią badania nad badaniami rynku, lecz reszta myślała tylko: „koszmarny, koszmarny facet”. W ciągu dwóch i pół minuty Martin zdołał fachowo i zgodnie z badaniami zakwalifikować mnie do grupy samotnych nieudaczników, którzy nie mają nic lepszego do roboty, jak odpowiadać na dość osobiste pytania (o wiek, płeć i współlokatorów). A przecież mogłam być równie dobrze szczęśliwie zakochaną lesbijką. Albo którąś z tych cudownych (choć samotnych) dziewcząt z towarzystwa; taką, która nosi buty od Manola Blahnika i której fotografia widnieje na okładce *Harper's Bazaar* przy okazji promocji nowych perfum czy otwarcia modnej restauracji. Z żalem jednak rozsądnie zrezygnowałam z ewentualnych aluzji do mego godnego pozazdroszczenia życia jako Jednej z Tych Dziewczyn, gdyż zbyt realna była tu groźba wpadki i zdemaskowania. Nie miałam bladego pojęcia, ile może kosztować para butów od Manola, a jeśli chodzi o restaurację, to ostatnio zdarzyło mi się wyłącznie zamawiać dania na wynos w tajskiej knajpie na

Oxford Street. Chyba lepiej będzie ratować swą dumę jakimś mniej ryzykownym kłamstwem.

- Prawdę mówiąc, czekam teraz na mojego chłopaka powiedziałam lodowato. - Możemy się pospieszyć z tymi pytaniami? Jestem w trakcie szykowania kolacji.

- A co szykujesz? - spytał Martin.

- Kuskus - odpowiedziałam po krótkiej pauzie, podczas której desperacko wysilałam swe zwoje mózgowy, by przypomnieć sobie nazwy efektownych dań z moich książek kucharskich.

- A z czym?

Naprawdę nie chciałam już dalej brnąć w kłamstwa. Mogło się to skończyć tylko kłopotami. Zaczynałam już być zmęczona udawaniem, że mam własny styl życia, oraz przypominania sobie imienia i narodowości cudzego kota. Zorientowałam się jednak, że Martin czeka cierpliwie na odpowiedź i może tak czekać całą noc, bez szkody dla siebie, gdyż płacą mu za samą rozmowę ze mną. Ta myśl wywołała u mnie jeszcze gorszy nastrój. Poczułam się jak coś bardzo taniego.

- Z polentą - odpowiedziałam w końcu triumfalnie, całkiem rada z odpowiedzi. Co prawda nie byłam *do końca* pewna, co to właściwie jest ta polenta, ale brzmiało to dość efektownie i było chyba na fali, trochę tak jak swego czasu pesto. Parę lat temu była to egzotyczna nowość, lecz wkrótce na tyle się rozpowszechniła, że tylko kwestią czasu jest jego ostateczne wcielenie jako McPestoburger.

- Kuskus z polentą?

- No, tak - odpowiedziałam już odrobinę niepewnie. Pytanie Martina brzmiało tak, jakbym popełniła zbrodnię kulinarną pierwszego stopnia.

- Czy to nie będzie za dużo skrobi w jednej potrawie? Fajnie. Teraz doszło do tego, że badacz rynku krytykuje

mnie za moje nieistniejące menu. Kurczę, nie mam czasu na te gadki. Mój (prawdziwy jak moje menu) chłopak przychodzi lada chwila licząc, że czeka już na niego półmisek kuskusu z polentą.

- Przepraszam Martin, masz jeszcze jakieś konkretne pytania?

- Ach rzeczywiście. Przepraszam. - Martin spłoszył się nieco i z powrotem stał się sztywny i formalny.

Ponownie odchrząknął.

- Jakie programy telewizyjne oglądasz? Właściwie mogę przestać kłamać dopiero od jutra.

- No więc, oczywiście wiadomości SBS. I programy o sprawach bieżących.

- A które konkretnie? Kurczę, które?

- Taki jeden na ABC - odpowiedziałam mętnie. - Z tym gościem, co przedtem występował w jednym programie w Kanale Dziewiątym.

- Ach, myślisz o *Korespondencie Wojennym* z George'm Negusem?

- O, właśnie o tym - powiedziałałam uszczęśliwiona, że wreszcie nadajemy na tej samej długości fal i przez sekundę pomyślałam, czy aby Martin i ja nie jesteśmy sobie przeznaczeni.

- George Negus już dawno odszedł z tego programu. Cudnie. Kanał.

- No, nie powiedziałałam, że *często* oglądam telewizję. Właściwie to wolę książki.

- A co czytasz?

- To też należy do badania rynku?

- Nie, ale jestem ciekaw.

No, tu przynajmniej nie muszę zmyślać.

- *Portret damy* - odpowiedziałam bardzo z siebie zadowolona. Już miałam dodać „Henry Jamesa”, lecz Martin mnie ubiegł.

- To cudowna książka, nie sądzisz? Myślę, że James to jeden z niewielu pisarzy-mężczyzn, którzy tak prawdziwie piszą o kobietach. Isabel to taka złożona i intrygująca postać, prawda?

W pierwszej chwili pomyślałam, że jego uwaga odnosi się do *mnie*. Po krótkiej chwili, wydając jakieś niezobowiązujące pomruki, usiłowałam sobie przypomnieć, gotując się ze złości, kim do cholery jest ta cała Isabel, jako że moja lektura *Portretu damy* wciąż nie wyszła poza trzecią stronę.



- Och, nie psuj mi przyjemności Martin. Dopiero zaczęłam czytać. A teraz akurat nie mam zbyt wiele czasu na czytanie.

- A, no dobrze. To prowadzi nas do następnego pytania. Masz jakieś hobby? Jakie są twoje ulubione rozrywki?

Ulubione rozrywki? No, pomyślałam chwilę. Zakrapiane imprezki? Fantazjowanie na temat Cory'ego Czwartego?

Obmyślanie nowych, coraz straszliwszych scenariuszy z udziałem Ślizel? Próby telepatycznego wyprania mózgu Charliemu, by znów zaczął mnie kochać? Co ja, do ciężkiego czorta, robię właściwie ze swoim życiem? Próbowałam zyskać na czasie.

- Mam wymienić w jakimś porządku? Od najbardziej lub najmniej ulubionych?

- Niekoniecznie.

- No to tak. Oczywiście czytanie. I gotowanie. Zapadła cisza, wreszcie Martin, najwyraźniej litując się nade mną, postanowił mi pomóc.

- A kino? Lubisz kino?

Nie odpowiedziałam. W mej pamięci powróciła ta koszmarna sytuacja, gdy identyczne pytanie zadałam Cory'emu. Jeśli w wykonaniu badacza rynku brzmiało ono tak żałośnie, to w wykonaniu ubranej w strój baletowy wariatki, straszącej porządnych obywateli w pralni, był to już kompletny kanał.

Martin spróbował raz jeszcze.

- A jaki film oglądałaś ostatnio.

Tego w żaden sposób nie mogłam sobie przypomnieć. Wzmianka o *Przygodach Milo i Otisa* oraz o *E.T* zdecydowanie nie wchodziła w grę, gdyż Martin najwyraźniej miał na myśli normalną wizytę w kinie, na najnowszym filmie, z przyjaciółmi, popcornem i tak dalej, a nie wideo oglądane z kanapy przez znajdującą się właśnie w przedmiesiączkowym napięciu wynalazczynię rzutków do szetlandzkich kucyków. Kusiło mnie, by się po prostu rozłączyć, lecz bałam się, że Martin zadzwoni wtedy jeszcze raz i wszystko zacznie się od początku.

- To był film o ośle - powiedziałam w końcu, nie przestając wychodzić z podziwu, dlaczego zawsze i wciąż pożyczam kawałki życia innych ludzi, by ulepszyć swe własne. - Nie pamiętam tytułu, ale to był osioł z Islandii i był kulawy, a potem się upił i zdechł.

Nastąpiła mała przerwa, podczas której Martin przetrawił usłyszane streszczenie, a potem z ulgą w głosie, powiedział:

- A rozumiem, oglądasz SBS, tak?

- I lubię napisy, znaczy w filmach. To prawie tak jak czytanie książek. A to, jak może pamiętasz, jeśli sobie zapisałeś, jedna z moich ulubionych rozrywek.

Nastąpiła kolejna przerwa? Słyszałam, jak Martin skrobie szybko jakieś notatki, po czym zapytał.

- A jakiego typu ubrania lubisz nosić?

- Czyste - odpowiedziałam natychmiast, przypominając sobie ze zgrozą okres, gdy pralka była zepsuta i nieczynna. Najwyraźniej jednak nie była to odpowiedź, na którą Marin czekał. Zaczęliśmy więc luźną pogawędkę o mojej garderobie, jak mu objaśniłam, składającej się z mnóstwa interesujących etnicznych okazów, które lubię zestawiać z normalną konfekcją, co daje ciekawy efekt w stylu „globalna wioska”.

Byliśmy właśnie pogrążeni w rozmowie na temat zalet konopii jako przędzy do wyrobu tkanin, gdy usłyszałam zgrzyt klucza w zamku. Przerazona, że Harriet odkryje moje konszachty z badaczem rynku, szybko przerwałam Martinowi, szczebiocząc radośnie. - Strasznie miło się z tobą rozmawiało. Zdzwonimy się jeszcze. I dodałam sycząc - Nie, nie mogę teraz rozmawiać o bieliźnie. Mój chłopak właśnie przyszedł. - Z rozbawionej i zmieszanej zarazem twarzy Hattie wy-czułam, że usłyszała końcówkę rozmowy. A niech to. Znalazłszy się między młotem (Hattie) a kowadłem (Martinem), szepnęłam szybko w telefon:

- Ach nie, to nie on. To tylko moja współlokatorka. Co? Nie, nie możesz z nią porozmawiać. Cześć. Rozłączam się. Nie, nie możesz. Dlatego, że ona nie chce z tobą rozmawiać, ot co. No to do widzenia.

Cisnęłam słuchawkę i zeskoczyłam z kanapy, wydając przy okazji bolesny skowyt, gdyż całym ciężarem stanęłam na swym stłuczonym paluchu. Padłam więc natychmiast z powrotem na kanapę. Na szczęście mieszkaliśmy razem na tyle długo, że Hattie wyrobiła już w sobie umiejętność gładkiego prześlizgiwania się nad nieważnymi drobiazgami i podążania prosto do celu. Teraz na przykład, nie zwracając uwagi na moje manewry ze stopą, spytała.

- Z kim rozmawiałaś?

- Z Martinem.

- A kto to jest Martin?

Cienko pisnęłam: - Przyjaciel. Zajmuje się badaniem rynku.

- Wiesz, myślę, że to żalosne.

Zwiesiłam głowę, zawstydzona. Hattie ma rację. Byłam żalosna.

- Czy wiesz, że te kampanie wykorzystują potem te informacje w planowaniu swoich posunięć na rynku? A co jeśli pochodzą one od przyjaciół badaczy rynku i są nieprawdziwe albo niedokładne? W rezultacie mamy kupę idiotycznych reklam, których nikt nie jest w stanie zrozumieć. A wszystko dlatego, że te całe badania rynku są powierzchowne i nierzetelne.

- Zaraz, zaraz, nie możesz zrzucać na mnie odpowiedzialności za kretyńskie i niezrozumiałe reklamy samochodów czy za spoty o podpaskach, gdzie kobiety krwawią na niebiesko. Zresztą Martin w ogóle nie pytał mnie o samochody.

- Dobrze, ale nadal sędzę, że było to skrajnie nieodpowiedzialne z jego strony. W końcu przyczynia się on do powstawania bardzo istotnego aspektu zrębów naszej kultury, a jeśli ty odpowiadałaś na jego pytania, nic dziwnego, że w rezultacie powstaną reklamy podobne do porąbanych mydlanych minioper.

Hm. Hm. Chyba właśnie zostałam obrażona, choć trudno z drugiej strony zaprzeczyć, że był taki czas, gdy spędzałam długie i przyjemne godziny, wyobrażając sobie następne odcinki spotów reklamowych o kawie: zwłaszcza tego, w którym kobieta przeprowadza się na wieś i spotyka przystojnego wdowca, a jego nastoletnia córka dostała

właśnie stypendium muzyczne w mieście. Jednak teraz ten etap mojego życia był już zdecydowanie poza mną i tylko czasami, gdy wdychałam aromat kawy, zastanawiałam się, czy się w końcu pobrali i czy ta córka przygrywała im na wiolonczeli podczas ich wesela w buszu.

Zanim jednak zdążyłam powiedzieć coś na swoją obronę, zadzwonił telefon. Obie łypnęłyśmy ostrożnie w jego kierunku.

Podniosłam słuchawkę i powiedziałam „halo”. Cisza.

- Halo? Halo? Brak odpowiedzi.

- Jest tam kto? - spytałam dość głupio, podejrzewając przez oka mgnienie, że to budka telefoniczna w Manly poczuła się nagle samotna i zaczęła na chybił trafił dzwonić do samej siebie.

Nagle z słuchawce zasapał czyjś głos.

- Czy to Isabelle?

Poza doktorem Jackiem, jedyną osobą zawsze nazywającą mnie pełnym imieniem była moja matka.

- Mamo, to ty? Dlaczego masz taki dziwny głos?

- Wiem, co masz na sobie.

Pyszenie. Jeszcze tego mi brakowało - kolejnego kazania na temat, że granatowy nie jest tak właściwie moim kolorem i dlaczego Dzisiejsza Młodzież za szykowne uważa noszenie ohydnych niewyglansowanych butów.

- Mamo, naprawdę nie mam teraz czasu na rozmowy o moich strojach. - Właśnie teraz jestem zajęta zamartwianiem się, dlaczego mój wyimaginowany amant tak się spóźnia i czy przypadkiem nie przekarmię go skrobnią.

Głos zacharczał ponownie.

- To nie twoja matka, tylko ja. Wiem wszystko o tobie, Isabelle. Wiem o twoich batikowych spodniach obcisłych jak druga skóra i o topie ze stuprocentowej bawełny, który teraz masz na sobie, i wiem też, co chcę ci zrobić.

W roztargnieniu popatrzyłam na swój czarny kostium i nagle zaskoczyłam.

- Martin?

W słuchawce dał się słyszeć ciężki oddech, tym razem jakby nieco spanikowany.

- Martin, wiem że to ty. Pięć minut temu nawijałam ci o tych spodniach i topie. W rzeczywistości zaś mam na sobie spodnie i żakiet z czarnej wełny. Co ty, na litość boską, wyprawiasz?

Chwila ciszy. Potem usłyszałam znajome już chrząknięcie, a następnie jak najbardziej profesjonalny, fałszywie radosny, rynkowo-badawczy głos Martina.

- No, właściwie to nie dokończyłem zadawania ci pytań i...

Przerwałam mu gwałtownie.

- W ogóle nie jesteś badaczem rynku. Jesteś zwykłym, pospolitym obleśnym świntuchem telefonicznym.

- Ojej, nie jestem. - Tym razem głos był nabrzmiały prawdziwą urazą. - *Zwyczajny, pospolity świntuch* zadzwoniłby po prostu i nawijał te wszystkie gadki pod tytułem „wiem-co-masz-na-sobie”. Ja staram się prowadzić *badania*.

- A i, jak mniemam, myślisz, że przygotowanie doktoratu na temat świntuszenia przez telefon cię usprawiedliwia - wrzasnęłam naprawdę wkurzona. - Nie przyszło ci do głowy, by odczekać trochę dłużej niż pięć minut przed wykorzystaniem swych notatek?

Znowu zaległa długa cisza, zdecydowanie zawstydzona i pełna pokory. Nie miałam jednak zamiaru mu odpuścić. Musi sobie, bubek jeden, uświadomić, że to, co robi, jest nie tylko moralnie naganne, ale i kiepsko zaplanowane.

Mam już potąd ludzi knocących robotę. Boże, co za upadek obyczajów. Żadnej dumy zawodowej, żadnego solidnego rzemiosła, a ja potłukłam i oparzyłam sobie paluch, spiesząc się do rozmowy z telefonicznym świntuchem. A paluch bolał jak cholera.

- Jesteś tam, Martin? - spytałam sucho, uznając, że dałam mu już dość czasu, by rozważyć i zrozumiał swe grzechy.

Odezwał się bardzo cieniutki głosik.

- Taa...

- Naprawdę, jesteś badaczem rynku?

- Jestem - szepnął słabym głosem. - Ale byłem już tak zdolowany. Nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Już od tygodni nie posunąłem się naprzód i chyba poczułem się tak znudzony i samotny, i...

Mało brakowało, a zaczęłabym mu współczuć, przerwałam więc jego biadolenia.

- Martin, wszyscy popełniamy błędy, ale musisz sobie uświadomić, że takie zachowanie jest po prostu niedopuszczalne. No, teraz spadaj, przemyśl dokładnie swe postępowanie a potem, za parę dni, zadzwoń i spróbujemy jeszcze raz. Zgoda?

- Naprawdę? Wciąż chcesz mi pomóc w wypełnianiu tych ankiet?

- Wciąż chcę. W sumie miło się z tobą rozmawia. Tylko następnym razem nie sap tak ciężko.

- Nie będę. Aha, i... tego... Isabelle?

- Co takiego?

- Tak naprawdę to nie masz chłopaka, tak?

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo jestem pewien, że jeśli będziesz mu na kolację podawać kuskus z polentą, to zerwanie masz jak w banku, i to piorunem.

Bezczelny gnojek.

-No to cześć, Martin.

Rozłączyłam się. Hattie wciąż wpatrywała się we mnie.

- No co? - warknęłam.

- To jakiś telefoniczny świntuch?

- Tak jakby. I, nawiasem mówiąc, niezbyt pomysłowy.

- I powiedziałaś mu, by zadzwonił za parę dni?

- Ummm. Oj, tak naprawdę to badacz rynku. Dlaczego mi się tak przyglądasz?

Hattie potrząsnęła głową.

- Nieważne. Naprawdę nieważne.

\* \* \*



Jakąś godzinę później, gdy telefon zadzwonił, odebrała go Hattie. Po kilku sekundach oddała mi słuchawkę z nieprzenikniętym wyrazem twarzy.

- Nie jestem pewna, ale to chyba do ciebie.

Zanim jeszcze zdążyłam powiedzieć „halo”, ucho moje zaatakowały ciężkie sapania i przedziwne świszczące odgłosy.

- *Martin!* - wrzasnęłam. - Nie do wiary, że on to znów robi.

Wściekłość moją powiększał fakt, że dopiero wyszłam z kąpieli i moja różowa flanelowa piżama w kaczuszki była absolutnie nieodpowiednim strojem do odbierania świńskich telefonów. W takiej sytuacji sceneria wymaga heroiny w satynowym negligu, nerwowo zerkającej w okno, gdzie widać nadciągającą burzę z piorunami.

Po drugiej stronie dało się słyszeć serię chrapliwych pochrząkiwań i już miałam się rozłączyć, gdy nagle usłyszałam rozełkany głos wymawiający moje imię.

- Frannie? Fran, to ty?

Fran zaczęła szlochać tak głośno, że ledwo ją rozumiałam, ale zdawało mi się, że słyszę coś na kształt. – *Czy mmżesz rzyyjśś? Tera-az?*

- Oczywiście, zaraz będę, ale co się stało?

Pytanie padło za późno, gdyż Fran ponownie rozpoczęła serię niezrozumiałych jęków i szlochów.

- Złotko, weź głęboki oddech i staraj się uspokoić. Zaraz będę, przyrzekam - i rozłączyłam się. Hattie powiedziała, że mogę wziąć jej samochód, szybciotko włożyłam więc sportowe buty, narzuciłam płaszcz na piżamę, a przypomniawszy sobie, jak zimno jest w domu Fran, owinęłam chustkę wokół szyi, a ponieważ nie mogłam znaleźć rękawiczek, złapałam parę włóczkowych getrów i pędem wybiegłam z mieszkania.

Fran objawiła się moim oczom niczym bohaterka jakiejś eskimo-skiej tragedii. W mieszkaniu panował przeraźliwy ziąb, więc siedziała skulona, okutana w co najmniej trzy swetry, chustę i wełnianą czapkę, dodatkowo owinięta jeszcze narzutą. Oczy miała czerwone i zapuch-

nięte, a dookoła na podłodze wałało się morze podartych, pomiętych, wilgotnych chusteczek, których część (nieco mniej sponiewierana) wirowała w cienkim strumieniu gorącego powietrza pochodzącego z małego piecyka, stojącego tuż przy jej stopach.

Ponieważ wybiegając w pośpiechu zapomniałam zabrać poduszki, musiałam stać chuchając na palce i przytupując lekko, by choć trochę się rozgrzać. Gdyby ktokolwiek nas teraz zobaczył, mógłby pomyśleć, że Fran to Zimowa Bogini Rozczarowanych Kobiet, a ja jestem Kapłanką wykonującą jakiś obrzędowy taniec w celu ułagodzenia jej gniewu.

- Ojej, kochanie, Fran. Co się stało? - spytałam, uściskawszy ją mocno.

Znowu zaczęła łkać i szlochać, i wśród jej skowytów udało mi się wyłapać słowo „Dupanik”. Domyśliłam się więc, o kogo chodzi. Prawdę mówiąc nie przepadałam specjalnie za Botanikiem, choć zarazem musiałam przyznać, że wydawał się wprost stworzony dla Fran. Był podobnie jak ona czarujący i niegroźnie ekscentryczny. Nigdy przedtem i z nikim nie widziałam jej tak szczęśliwej. Byłam więc skrajnie ciekawa, co i dlaczego się popieprzyło.

Fran szlochała nadal i mimo że próbowała coś tam wykrztusić, nie mogłam zrozumieć ani słówka. Przykucnęłam więc obok, czekając, aż się uspokoi na tyle, by mówić wyraźnie i z sensem. Patrzyłam przy tym na zmięte chusteczki, wciąż wirujące w powietrzu i opadające w dół, niebezpiecznie blisko piecyka.

Fran uspokoiła się wreszcie, lecz na jej twarzy malował się wyraz niewymownego cierpienia.

- Okłamał mnie.
- Och, skarbie. Tak mi przykro.

Szybko przeleciałam wszystkie możliwości, w których Botanik mógł okłamać Fran. Dziwne, ale jakoś nie wydawało mi się prawdopodobne, że byłby zdolny do któregoś z tych przestępstw.

- W czym cię okłamał?
- On nie jest botanikiem.

- Że co proszę? - W chwilach skrajnego zaskoczenia i szoku mam tendencję wyrażać się w sposób dość uproszczony, sama nie wiem dlaczego.

- Okłamał mnie. Nie jest botanikiem, nigdy nie był botanikiem, nie studiował botaniki, w ogóle nie ma pojęcia o botanice i naprawdę zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że w ogóle wie, gdzie się znajdują Ogrody Botaniczne...

Uznałam za stosowne się wtrącić, gdyż w głosie Fran znów dało się słyszeć nutę hysterii.

- Ale w takim razie, co z tym *heliagapanthus* i *rhododendronomnibusem* ! - W tym momencie zdałam sobie sprawę, jak kretyńsko brzmią te nazwy. Facet nawet nie bardzo się wysilił.

Fran, widząc wyraz mojej twarzy, energicznie skinęła głową.

- No widzisz? Dałam się nabrać jak ostatnia idiotka. Wszystko kłamstwa - prychnęła nagle jadowicie. - A ja w pamiętniku mam pełno tych liści i patyków i... - tu znów się rozekłała. - A to wszystko były cholerne kłamstwa.

Doskonale rozumiałam stan ducha Fran. Jej świat rozlatywał się właśnie na kawałki.

Ja również czułam się oszukana i zdradzona. Takie rzeczy nie powinny, nie mają prawa, się zdarzać. To jest wbrew naturze. Botanicy nie kłamią. Agenci od nieruchomości, sprzedawcy telefonów komórkowych, *oczytani i dowcipni lekarze* - no tak, oni wszyscy to kłamcy z samej swej istoty. Botanicy zaś powinni być zarazem inteligentni i prostolinijni. Jeśli kłamią to pewnie przez ten kwiatowy seks i pręciki, ale skoro Botanik Fran nie był nawet botanikiem, to nic go nie tłumaczy. Byłam totalnie skołowana.

W tym momencie kilka wirujących w powietrzu strzępów chusteczek zajęło się ogniem, więc rzuciłam się na ratunek, strącając je z piecyka na podłogę i skacząc po nich dopóki nie zdeptałam ognia, przy okazji parząc sobie stopę już drugi raz tego wieczoru. Nim dym się rozwiął, Fran wzięła się wreszcie w garść i siedziała spokojnie lekko tylko pociągając nosem.

- Frannie, jednego nie rozumiem. Dlaczego, kłamał ci, że jest botanikiem?

- To właśnie jest najgorsze - powiedziała tragicznym tonem. - Powiedział, że zrobił to dla mnie. Bał się, że gdy dowiem się, czym się naprawdę zajmuje, przestanę się nim interesować.

Prawie bałam się pytać dalej. Na szczęście Fran oszczędziła mi tego.

- On... on... - Niezdolna ciągnąć dalej, wydała tylko zawodzenie wyrażające najpierwotniejszy niewieści ból, zawodzenie kobiety ja-skiniowej, która właśnie odkryła, że ten wrażliwy i subtelny twórca malowideł naskalnych, z którym spędziła noc, okazał się w istocie dzikim, kudłatym i grzmocącym się rozgłośnie w pierś, cholernym, pieprzonym *neandertalczykiem*.

Czekałam cierpliwie na straszną prawdę.

- On zajmuje się *koom-put-eerami*.

O rany. Co za koszmar. Nic dziwnego, że histeryzuje.

- Ach, to dlatego tak dziwnie się zachował na urodzinach Zoe - dotarło wreszcie do mnie. - Pewnie umierał ze strachu, że coś popłacze i wszystko się wyda. Ale muszę ci powiedzieć, Frannie, że w jednej sprawie trochę mi ulżyło. Myślałam, że mnie nie lubi, bo był taki sztywny i milczący, a on pewnie bał się zbyt rozgadać, żeby się nie omsknąć.

Fran uniosła zalaną łzami twarz.

- Nie. To nie dlatego. On rzeczywiście nie bardzo cię lubi. Powiedział mi, że się popisywałaś i cały wieczór mówiłaś do niego po starogrecku.

O mało mnie szlag nie trafił. Powiedziałam tylko *jedno* zdanie po starogrecku, bo tylko to jedno *znałam*, a on przez ostatnie miesiące bajerował Fran i wszystkich dookoła nawijając o *gladioauroborealis* i Bóg wie, czym jeszcze, i śmie mówić, że to *ja* się popisuję? Bezcelny, wredny, zakłamany duppek. Opanowałam się jednak, gdyż Fran znów się rozelkała.

Postanowiłam myśleć pozytywnie.

- No wiesz, „zajmowanie się komputerami” może oznaczać wiele rzeczy. Może on ma jakąś taką bardziej twórczą pracę, na przykład projektuje sieci albo co.

- *O Boże*. - Przez chwilę bałam się, że Fran gotowa jest rzucić się na piecyk niczym Dydona na stos pogrzebowy. Czułam się zupełnie jak niewinny postronny Kartagińczyk tłumaczący królowej, jak dziecku, że Eneasza miał naprawdę ważne powody, by postąpić jak postąpił, jednocześnie rozglądając się rozpaczliwie dookoła za gaśnicą, by móc ugasić królową. Fran zaś zaczęła ponownie bredzić.

- I jeszcze powinnaś wiedzieć: odkryłam, że naprawdę on ma na imię Aaron i że mieszka w Darlinghurst w jakimś odpicowanym na wysoki połysk domu, i że kupuje tapenadę <sup>\*12</sup>, i bieżące egzemplarze „Wallpaper”

No tak, zdecydowanie nie tędy droga. Trzeba spróbować metodą kontrastu.

- Skarbie, pomyśl, że mogło być znacznie gorzej. Przecież mógł się okazać jednym z tych pozbawionych sumienia przedsiębiorców budowlanych albo właścicieli przemysłowej kurzej farmy, albo - prze-rwałam, próbując sobie przypomnieć, jakich zawodów Fran najbardziej nie cierpi i nie ceni, - albo prawnikiem.

Podniosła głowę i łypnęła na mnie podejrzliwie.

- Ale jakim, to znaczy od czego?

- No oczywiście nie takim od praw człowieka, no takim oenze-towskim - odpowiedziałam stanowczo. - Już bardziej takim, co to pra-cuje dla wielkich korporacji, które płacą mu miliony dolarów za minu-tę, by wybronił jakąś szemraną kampanię azbestową od zapłacenia stu dolarów odszkodowania zasądzonego na rzecz okaleczonych przez azbest sierot.

Trochę lepiej. Zaczęła słuchać, co mówię.

- A poza tym - rozgrzewałam się coraz bardziej - jako prawnik byłby zawałony pracą, tak że zupełnie nie miałby czasu dla ciebie... -

---

<sup>12</sup> \* *Pasta z kaparów, anchois i czarnych oliwek [przyp. tłum].*

Już, już przymierzałam się do nakreślenia obrazu atrakcyjnej blond sekretarki, bez przerwy kręcącej się obok prawnika, gdy Fran nagle przerwała mi.

- Ale jeśli on byłby tego rodzaju prawnikiem, to pewno byłby bardzo bogaty.

- Że co? - spytałam nagle wytrącona z rytmu. - No, oczywiście, że byłby, ale i tak wszystko by wydawał na jakieś potwornie niegustowne rezydencje i na samochody nieprzyjazne dla środowiska i na jakieś knoty i kicze...

- Ale gdyby mnie kochał, to pewnie pozwoliłby mi wybierać dzieła sztuki...

Oj, odjazd od tematu okazał się głębszy i poważniejszy niż sądziłam. Fran tak się załamała, że gotowa była na odstępianie od wszystkich swoich najświętszych i najważniejszych zasad i wartości. To znaczy, że nadszedł czas na obrzydzenie.

- Frannie, przecież nie będziesz spotykać się z kimś tylko dlatego, że jest bogaty. Na pewno nie byłabyś szczęśliwa jako zabawka bogacza. To byłoby dla ciebie poniżające, czułabyś się jak taka, z przeproszeniem, nagroda wojownika, i musiałabyś ciągle chodzić oglądać mecze polo i zawody jachtowe. A przecież go nie cierpisz.

- Właściwie to lubię konie - odpowiedziała Fran, głośno wydychając nos. - I właściwie nie widzę nic złego w pływaniu jachtem po Zatoce w słoneczny dzień.

No to kanał. Co by tu jeszcze...

- Fran nie możesz poślubić prawnika tylko dlatego, że jest bogaty.

- Oczywiście że nie - odpowiedziała wyraźnie wzburzona. - W ogóle nie poślubiłabym *nikogo* tylko dlatego, że jest bogaty. Ale nie rozumiem, czemu nie miałabym się zakochać w kimś, kto jest bogaty i dobry i miły.



- No, myślałam, że już to przerobiłyśmy. Prawnicy nie są ani do brzy, ani mili z zasady. Już zapomniałaś o tych okaleczonych przez azbest sierotach?

Gdzieś w głowie kołatała mi się myśl, że rozmowa ześlizgnęła się już w całkowite opary absurdu w rozważaniach nad wadami charakteru wymyślonego obrzydliwie bogatego prawnika, krzywdzącego sieroty (a pewnie i wdowy). Znałam jednak Fran dostatecznie długo, by wiedzieć, że każda, nawet najzwyczajniejsza rozmowa z nią może nagle skrócić w zupełnie nieoczekiwaną stronę. Postanowiłam więc ciągnąć rzecz dalej. Przynajmniej przestała płakać.

Na twarzy Fran pojawił się wyraz uporu, jakiego jeszcze u niej nie widziałam.

- W końcu przynajmniej wiem, z kim mam przyjemność. Nie będzie już mógł odgrywać wrażliwego botanika, podczas gdy za moimi plecami potajemnie programował komputery albo odbywał spotkania na temat gigabajtów. - Prychnęła i dodała. - Obrzydzenie bierze na samą myśl o tym.

- Jestem pewna, że nie miał posiedzeń na temat gigabajtów - powiedziałam, przy okazji zastanawiając się, co to właściwie jest ten gigabajt.

- Fran, złotko, nigdy nie przyszło ci na myśl, ile on musiał się, biedaczysko, natrudzić, by wymyślić, a potem podtrzymywać to całe misterne... - o mały włos nie powiedziałam „kłamstwo”, szybko wstawiają w to miejsce „przedstawienie”. - Myślę, że naprawdę chciał zrobić na tobie wrażenie.

- Pff - prychnęła. Ale słuchała dalej.

- Posłuchaj - zaczęłam nawijać z rosnącym entuzjazmem - powinnaś przyznać, że to co robił, było w istocie niezmiernie *kreatywne*. On jakby stworzył własną osobistą fikcję: to tak jakby napisał opowieść specjalnie dla ciebie.

- Hmpf. - Tym razem prychnięcie było odrobinę mniej zdecydowane.

- O, on nawet udawał, że jest wolontariuszem, no pamiętasz, przy krzewach. To dowodzi, że ma żywą wyobraźnię.

- A nie, to robił naprawdę. - Twarz Fran powoli łagodniała. - Powiedział mi, że czuł się tak podle okłamując mnie, że chciał przynajmniej zrobić cokolwiek dla botaniki i botaników.

- A widzisz? - ucieszyłam się. - Pomogłaś mu w uwolnieniu jego Wewnętrznego Botanikostwa.

Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, po co zadaję sobie tyle trudu wybraniając Lewego Botanika Fran, gościa, który nawet mnie nie lubił, ale wiedziałam też, że Fran lubiła go bardziej niż kogokolwiek, z kim kiedykolwiek była przedtem, i jakaś część mnie uznała, za takie romantyczne, że facet, by zrobić na niej wrażenie, właściwie wymyślił siebie od nowa. Przypomni mi się ten rozdział, w którym Cory Harknett III poddaje się operacji plastycznej, by upodobnić się do zmarłego dawno instruktora jazdy na nartach Eriki, w nadziei, że ona wreszcie się w nim zakocha, (nawiasem mówiąc, nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że ten instruktor Eriki zginął akurat tam, gdzie danego dnia miał służbę Barry, Leniwy Bernardyn).

- Wiesz, że doktor Jack mnie okłamał, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedziałam bezmyślnie.

Fran przestała wydychać nos i zmierzyła mnie z góry na dół dziwnie uważnym spojrzeniem.

- A w czym cię okłamał?

Pieprzyć to. Nie zamierzałam opowiadać jej o tym naszym pierwszym, nieszczęsnym spotkaniu.

- No tak, powiedział, że jest maklerem - oświadczyłam z zakłopotaniem. - I udawał, że takie cztery małe ohydne psy należą do niego.

Fran rozpogodziła się. Wyglądała teraz tak, jakby właśnie otrzymała rękopiśmienną wersję sensu życia.

- Ach, to dlatego tak go nie lubisz! Całkiem nie mogłam tego pojąć, bo wy dwoje wydajecie się wprost stworzeni dla siebie. No, ale skoro pomyślałaś, że on trzyma te małe psy... pfuj. - Wzdrygnęła się

wymownie, po czym dodała poważnie. - Belle, ale już wiesz, że to nie były jego psy, prawda?

- No wiem, ale to w niczym nie zmienia mojego stosunku do niego, Frannie. Nie wiem, co wam wszystkim odbiło, że tak się upieracie, że my dwoje... ale nic z tego nie będzie. A jemu wszystko jedno, z kim się umawia, jeśli tylko dziewczyna odpowiada jego wymaganiom co do wyglądu.

- A tobie nie jest przypadkiem wszystko jedno, z kim się umawiasz, byle facet odpowiadał twoim wymaganiom?

- Fran, to nie to samo. Moje wymagania dotyczą intelektu i charakteru, a nie typu urody.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście, że jestem. - Popatrzyłam na nią nieco zdezorientowana, ale przypomniałam sobie, jaka była dopiero co zdenerwowana i roztrzęsiona. Biedna Frannie. Jasne, że nie potrafi jeszcze jasno myśleć.

- Uważam, że to bardzo płytkie, gdy związek opiera się tylko na wyglądzie, a nie na wspólnych zainteresowaniach i wspólnych tematach do rozmowy i...

- Ach, naprawdę? To powiedz mi, jaką książkę czytał Charlie, zanim się rozstaliście.

Poczułam, że się czerwienię.

- To nie ma nic do rzeczy - powiedziałam, hamując złość. Chciałam jej wyjaśnić, co miałam na myśli, ale jakoś nie mogłam znaleźć słów.

- Fran spojrzała na mnie z sympatią i po przyjacielsku.

- Wiesz Belle, martwię się o ciebie. Wiem, że ja idealizuje ludzi, lecz przynajmniej na początku są kimś realnym. Ale ty stworzyłaś ten prześmiesznie romantyczny ideał w swojej głowie i uczciwie mówiąc, nie wiem, czy ktokolwiek mógłby mu sprostać. A jak już jesteś z kimś, to po prostu zamykasz oczy na to, że nie jest tym, kogo szukasz. Myślę, że Jack jest o wiele bardziej uczciwy w swoich związkach niż ty.

To, co mówiła, było tak absurdalne, że o mało się nie zaplułam.

- Uczciwy? *Uczciwy?* Ten... - byłam już gotowa do wyliczenia wszystkich podłych kłamstw doktora Jacka, gdy nagle stewardesa Anabelle klepnęła mnie w ramię i bardzo uprzejmie wskazała, że wyjścia są tu, tu i tu. Skrajnie sfrustrowana tym, że nie mogę głośno i swobodnie obsmarować doktora Jacka, zważywszy, że sama nakłamałam mu, ile wlezie, nagle przypomniałam sobie, że Fran cierpi przecież z powodu złamanego serca i moim prawdziwym obowiązkiem jest skierować rozmowę z powrotem ku niej.

- Nie zgadzam się z tobą, Frannie, ale dajmy temu spokój. Rozmawialiśmy o tobie i Botaniku. Myślę, że zamiast skupić się na tym, co zrobił, powinnaś się zastanowić, dlaczego to zrobił.

Na wzmiankę o Lewym Botaniku, Fran znów spochmurniała, lecz chyba wzięła sobie moją radę do serca. W tym właśnie momencie zadzwonił telefon. Fran przyjrzała się mu z wahaniem, po czym podniosła słuchawkę. Z tonu jej głosu wywnioskowałam, że na końcu przewodu jest Lewy Botanik. Pomachałam jej, dając do zrozumienia, że zostawiam ją z nim, ucałowałam na pożegnanie i przygotowałam się duchowo do zejścia po schodach, które w ciemnościach były jeszcze bardziej zdradliwe niż za dnia.

Fran kiwnęła na mnie, bym zaczekała, zakryła dłonią słuchawkę i szepnęła „Dzięki, Belle”. A potem, jakby czując, że była dla mnie zbyt ostra, dodała.

- Nawiasem mówiąc, jesteś dziś fajnie ubrana. Podoba mi się. Wyglądasz o wiele mniej konserwatywnie.

Przyjrzałam się swojej różowej piżamie w kaczuszki, sportowym butom i włóczkowym getrom naciągniętym na dłonie. Chciałam coś powiedzieć, ale w końcu tylko uśmiechnęłam się do niej szeroko.

- Dzięki Frannie. Ja też cię kocham.

## Druga randka

Następnego dnia zadzwoniłam z pracy do Zoe, by opowiedzieć jej tę zdumiewającą historię o Lewym Botaniku Fran.

- Zamorduję drania - powiedziała w końcu Zoe. - Siedziałam koło niego podczas mojej urodzinowej kolacji i musiałam wysłuchiwać jego opowieści o glebie przez co najmniej pół godziny.

Pokiwałam głową, zapominając, że Zoe mnie nie widzi.

- W takim razie powinnaś się zorientować, że coś nie gra. Nie sądzę by prawdziwy botanik aż tyle czasu mówił, w czym rosną kwiaty, trawy i cała reszta, a nie o nich samych.

- Och, zamknij się. Ty też dałaś się nabrać.

Zoe nie była całkowicie przekonana, że postąpiłam słusznie, radząc Fran, by przebaczyła Lewemu Botanikowi, gdyż najwyraźniej miała do niego uraz o tamto gładzenie o glebie, którym katował ją na jej własnych urodzinach. Miałam ochotę się jej odciąć opowieścią, jak długą i nudną gadką uraczył mnie jej Okłamczuś, ale ponieważ właśnie zerwali, pomyślałam, że się powstrzymam. Gdy wygłosiłam jej tę samą mowę, którą uraczyłam Fran, Zoe zaczęła patrzeć na sprawę podobnie jak ja i nawet zgodziła się ze mną, że postępowanie Lewego Botanika można interpretować jako chwytające za serce starania biednego komputerowca, by oczarować Fran. Podkreśliłam, że było to właściwie dość romantyczne, biorąc pod uwagę ile gość musiał się nabiedzić, by wymyślać nazwy kwiatów, specjalnie kupować egzemplarze „Gardening Australia”, by uwiarygodniały go poniewierające się po całym domu, i jeszcze na dodatek dbając, by mieć cały czas profesjonalnie brudne paznokcie.

Chyba powinnam sobie odpuścić ten ostatni kawałek o paznokciach, gdyż Zoe na wzmiankę o glebie zareagowała gwałtownie i obie

zaczęłyśmy snuć ponure wizje, jak to Lewy Botanik przed każdą wizytą u Fran trzymał ręce zanurzone w doniczkach, co nie było ani romantyczne, ani higieniczne, już na pewno porąbane.

- A co u ciebie? - spytała Zoe.

- A co ma być? - odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

- Spotkałaś wreszcie kogoś? Mam nadzieję, że nie marnujesz już czasu na rozmyślaniu o Charliem?

Spojrzałam z poczuciem winy na zdjęcie Charliego przypięte nad biurkiem. Jego uśmiechnięta twarz ledwo, ledwo wyglądała spod samoprzylepnej kartki z tym dziwnym końskim cytatem. Właściwie był już najwyższy czas, by posprzątać po swoim byłym i wyrzucić w diabły: fotografię z portfela, oprawione fotografie porozstawiane tu i tam, karty urodzinowe, stare listy i cały ten sentymentalny chłam. Teraz kolej na Ślizeł; niech ona zaczyna gromadzenie swojej kolekcji i wystawia ją w swej Stajni ze Snów Barbie, w której przypuszczalnie mieszka. Przez małą chwilę miałam ochotę powiedzieć Zoe, że taki jeden Martin dzwonił do mnie zeszłego wieczoru, ale nagle mi się odechciało.

- Nikogo - odpowiedziałam, myśląc z rozmarzeniem o Corym Czwartym i o tym, jak ślicznie wygląda, gdy się go z nagłą przestraszy. O Corym oprócz Cate nie wspomniałam dotąd jeszcze nikomu. Wprawdzie Fran zetknęła się z nim, ale nie miała pojęcia o tym, że w moich fantazjach jest on główną gwiazdą. Parę razy już, już miałam zamiar opowiedzieć jej o swojej słabości do Co-ry'ego, lecz Fran zdawała się być opętana jakąś dziwną obsesją na temat mnie i doktora Jacka, wolałam więc zamilczeć.

Zoe chyba zaraziła się od Fran, gdyż znienacka spytała.

- A Jack? Wiesz, on wciąż o ciebie pyta.

- Doprawdy? - Nie ukrywam, że ta wiadomość leciutko mi pochlebiła.

- Umm. Ale wydaje mi się, że zaczął się z kimś spotykać.

- Och - momentalnie oklapłam. Pięknie. Doktor Jack lubi mnie tak bardzo i uważa, że jestem tak atrakcyjna i tak interesująca, że już



spotyka się z kimś innym. A w końcu dałam mu kosza tylko dwa razy. Co za mimoza.

- Ale to właściwie dobrze, ty chyba nie bardzo lub Jacka, prawda?

- Nie bardzo - zgodziłam się z pewnym przymusem, starając się nie rozmyślać o tamtej chwili, kiedy dał mi swój sweter, który nawiasem mówiąc, wciąż miałam. Wychodzi na to, że gdy chodzi o męskie ciuchy, robię się z wolna i z lekka kleptomanką, biorąc pod uwagę upchane gdzieś w mojej sypialni sweter doktora Jacka i gatki Co-ry'ego.

- Ale właściwie to szkoda. Wy dwoje macie ze sobą dużo wspólnego.

- Zapewne, ale nie sądzę, by związek oparty na kłamstwach dotyczących pracy i ulubionych zwierzątek miał szanse stać się romansem stulecia.

- O czym ty mówisz, na litość boską?

- Nieważne - westchnęłam. Na myśl o tym, że mam jej to wszystko tłumaczyć, poczułam się bardzo znużona.

- Wiesz, myślę, że powinnaś korzystać z życia, póki jesteś wolna - powiedziała nagle Zoe. - Tyle jest rzeczy, które można robić, gdy się jest panią siebie i swego czasu.

- Niby co? Chodzić do barów dla samotnych? Ćwiczyć żonglerkę? Jeździć na bicyklu? - Zoe chyba wyczuła mój nastrój i moje myśli, gdyż dodała:

- No, kiedy jesteś sama i wolna, masz więcej czasu na czytanie.

- Jęknęłam w duchu. Ujrzałam siebie, jak kończąc czterdzieści siedem lat, wciąż usiłuję doczytać *Portret Damy*. Dobra. Jutro kupuję *Harry'ego Pottera*. Postanowiłam zmienić temat. - Co robisz dzisiaj wieczorem?

- Mam randkę.

Nie do wiary. Zoe zerwała z Okłamczusiem jakieś dwanaście sekund temu i już wybiera się na randkę.

- Z kim?

- Nazywa się Giles. Zanim zdążyłam spytać, uzupełniła.  
- Ma dwadzieścia trzy lata, ale jest bardzo *dojrzały* jak na swój wiek.

Nagle poczułam, że dłużej tego nie znoję. Zoe ma randkę z chłopakiem, który w ciągu paru tygodni okaże się kompletną i kolejną pomyłką, ale co sobie do tego czasu użyją - to ich. A mnie ostatnio przytrafił się Martin Badacz Rynku ciężko sapiący w telefonie, i to tylko dlatego, że się strasznie nudził.

- Zoe, muszę kończyć - powiedziałam ponuro, czując się bezradziejnie i żalownie. Wolałam się rozłączyć, w zanim Zoe radośnie mnie poinformuje, że Giles jest akrobatą popisującym się na trapezie, którego matka natura obdarowała nienaturalnie długim językiem. Pożegnałam się więc z nią i rozłączyłam, a potem z wściekłością popatrzyłam na kartkę z podnoszącym na duchu końskim cytatem przyklepioną na uśmiechniętej twarzy Charliego. W obecnym stanie rzeczy będę się mogła uważać za szczęściarę, gdy na randkę zaprosi mnie opisany w cytacie koń.

\* \* \*

Tydzień później wszystko się ustabilizowało. Zoe pławiła się w romansie z Gilesem, Fran była od nowa zakochana w Lewym Botani-ku, najważniejszym zaś wydarzeniem w pracy było założenie nowego systemu telefonicznego. Wszyscy byli bardzo ciekawi, jak Fran sobie z tym poradzi. Dzień był akurat względnie spokojny i niespiesznie wykonywałam swe obowiązki, gdy wtem Fran zadzwoniła na górę.

- Edward?

Edward to mój szef. Rozejrzałam się po pokoju, w którym oprócz mnie nie było nikogo.

- Wszedł - odpowiedziałam.

- Och? A kto mówi?

Ponownie rozejrzałam się po pustym pokoju. Zastanawiając się, czy to nie jakiś kawał, odpowiedziałam ostrożnie. - Tu Belle.

- Ups, przepraszam, Belle - myślałam że dodzwoniłam się do Edwarda.

Rozłączyła się.

Pięć sekund później zadzwoniła znowu.

- Edward?

Nadzieja wiecznie żywa.

- Tu go nie ma!

- Nie rozumiem, co się dzieje. Dzwonię do Edwarda i wciąż trafiam do ciebie.

- Trafiasz do mnie, bo właśnie siedzę przy biurku Edwarda i piszę na jego laptopie.

- To znaczy Edward jest u ciebie?

- Nie, wyszedł

- To kto jest u ciebie?

- Nikt

- A, rozumiem - przełączyłaś swój telefon do gabinetu Edwarda.

- Ja tego nie mogę zrobić. Tylko ty możesz to zrobić.

- Ale nie wiem jak. - Jej głos był jakby lekko spanikowany. - Dlaczego po prostu nie skorzystasz z telefonu Edwarda?

Głowa zaczęła mnie łupać.

- Właśnie z niego korzystam, Frannie.

Pięć sekund później usłyszałam, jak telefon w pokoju na dole dzwoni i Fran ostrożnie optymistycznym głosem pyta: - Edward?

Westchnęłam ciężko, zesłam na dół, stanęłam przed biurkiem Fran która z miną pod tytułem „Spadaj jestem zajęta”, naciskała właśnie guzik rozpaczliwie poszukując Edwarda.

- Słuchaj, może spróbuj go łapać na komórkę, - syknęłam.

Spojrzała na mnie nieco rozbieganym wzrokiem i stwierdziła: - Dobry pomysł. - Gdy kończyła wybierać numer, usłyszałam jak mój telefon zaczyna dzwonić na górze. Popędziłam na górę i złapałam słuchawkę.

Przyjemny niski męski głos powiedział najpierw „halo”, potem zaś rzekł z wahaniem, - Hm, to może zabrzmieć nieco dziwnie, ale...

Westchnęłam w oczekiwaniu na nieuniknione tasiemcowe wyjaśnienia, jak to jego zmarły stryjeczny dziadek pozostawił mu w spadku trzy wypchane wombaty, które według wiarygodnych źródeł należały kiedyś do Neda Kelly'ego i służyły jako czujki w strzelaninie w Stringybar Creek (zapewne, zanim zostały wypchane) i że teraz chce je on sprzedać na aukcji za minimum pięćdziesiąt tysięcy dolarów każdy. W takich chwilach zaczynam poważnie myśleć o zmianie pracy.

Facet zaczął od nowa.

- Próbuję kogoś znaleźć.

Witaj w klubie, koleś. Weź numerki i ustaw się w kolejce.

- Nie wiem, jak ona się nazywa, ale przypuszczam, że u was pracuje. Mieszka w Wollahrze.

Ha, ha, ha, ha. Bardzo śmieszne, Edward, boki zrywać. Teraz on i Fran wspólnie nabijają się ze mnie.

- Możliwie że to mnie pan szuka.

- Och, no, cześć. Tu Sam. No, z kamienicy.

- Cześć Samie z kamienicy - zamruczałam, najlepiej jak potrafiłam głosem typu seks-na-telefon. - Tak się cieszę że zadzwoniłeś.

Właśnie ćwiczyłam kilka chwytów do zapasów w błocie i zaraz wezmę prysznic, bo jestem bardzo brudną dziewczynką, wiesz.

Chwila ciszy, po czym lekko przestraszony głos.

- O przepraszam. Chyba wybrałem zły numer.

Teraz ja wpadłam w panikę. Jeśli to był Edward, to w rewanżu powiedziałby mi, że skoro już próbuję swych sił w seksie na telefon, powinnam bardziej poćwiczyć głos, by nie brzmiał jak ćwiczenia oddechowe jogi, a potem postraszył mnie, że doniesie mamie, iż zaczęłam uprawiać damski wrestling w błocie.

Zawahałam się, niezdolna do wymyślenia szybko jakiejś błyskotliwej odzywki, w panice nacisnęłam guzik na odbiór i gapiąc się ze

zgrozą na telefon, próbowałam jakoś przeanalizować zaistniałą sytuację.

Oczywiście, że to nie był Sam. Po co i dlaczego, na litość boską, miałby dzwonić do mnie do pracy? Przecież nawet nie wiedział, gdzie pracuję. Nagle przypomniałam sobie o samochodzie, który lekko zwolnił, mijając mnie, gdy dziś rano wchodziłam do biura. A kierowca bardzo przypominał Sama.

W porządku. Znaczy, to mógł być Sam. Znaczy to również, że straciwszy znaczną część swego życia na rozmyślaniu i fantazje na temat pięknego nieznanego, gdy wreszcie do mnie zadzwonił, zachowywałam się jak początkująca gwiazda porno. Światelko na telefonie wciąż mrugało; prędko nacisnęłam guzik w obawie, że Fran na dole podniesie słuchawkę i połączy Sama na przykład z naszą filią w Hongkongu.

- Halo, Sam?

- O, cześć. - Wydawał się trochę spięty. Ja też byłabym na jego miejscu.

- Przepraszam za ten wygląd. Myślałam, że to ktoś inny (wspañiale, nic się nie stało zachowałam się tylko jak tania dziwka na telefon).

- A więc w czym mogę pomóc? - O żesz ty, O ŻEESZ TYYY. Teraz przemawiam jak bezpłciowa biurwa. Cholera, skupiłam się na kontrolowaniu oddechu i słownictwa, i wyleciało mi całkiem z głowy, że Sam zdążył się już przekonać, jak potrafię kłąć.

- Czy to ty jesteś tą dziewczyną z pralni, ubraną w ...strój piankowy, i czy to ty siedziałaś w rurze, kiedy zginął twój kot, i to ty nie miałaś czym zapłacić za lemoniadę?

Zważywszy moją uprzednią wzmiankę o wrestlingu w błocie, było całkowicie zrozumiałe i usprawiedliwione, że chciał się najpierw upewnić, czy rozmawia z właściwą osobą, nie mogłam jednak powstrzymać się od refleksji, że mógł opisać każdą ze wspomnianych sytuacji trochę mniej brutalnie. Choć z drugiej strony jakaś cząstka mnie radowała się w duchu, że zapamiętał wszystkie nasze spotkania.

Zdałam sobie nagle sprawę, miło podekscytowana, że w pewnym sensie mamy już za sobą dość długą Znajomość.

- Tak, to ja - odpowiedziałam ciekawym głosem.

- W porządku - odpowiedział, nagle zmieniając ton na zdecydowany i męski, z gatunku, „spokojnie skarbie ja się tym zajmę”. Naprawdę, mówił zupełnie jak Cory Harknett, wtedy gdy oznajmił Erice, że zabiera ją na weekend do Saint Moritz, by oderwać jej myśli od czekającej ją operacji na otwartym mózgu.

- Jak ci na imię?

- Isabelle.

- Isabelle co?

Chyba powinienem zapytać „Isabelle kto”, lecz na szczęście -

gdy chodzi o potencjalnego partnera - gramatyka nie jest najważniejszym z moich priorytetów. Poprawne wyrażanie należy do tej samej kategorii, co umiejętność bezgłośniego wydmuchiwanie nosa czy właściwego dobierania kolorów - świetnie, jeśli są obecne już na starcie, ale ostatecznie zawsze można się ich nauczyć potem i nie są tak ważne dla udanego związku jak poczucie humoru i duży penis.

- Isabelle Beckett.

- Ile masz lat, Isabelle?

- Dwadzieścia osiem. - Cholera, Sam przemawia trochę jak kapral musztrujący nowego rekruta. Zaraz mnie zapyta o stopień i numer.

- Masz chłopaka?

- Nie.

- A co robisz w piątek wieczorem?

Przez oka mgnienie pomyślałam, że chyba wolałam Martina Baczka Rynku. Ten przynajmniej wypytywał mnie o moje ulubione potrawy i co lubię robić w weekendy w sposób miły i uprzejmy, a nie tak szast-prast i prosto z mostu.

- Mam plany.

- Kłamczucha. Wiem, że próbujesz pogrywać, ale nie ze mną te numery.



Na moment aż mnie zatkało z oburzenia. Dupek jeden, raz kupił mi lemoniadę i już myśli, że może mnie traktować jak chowające się w pralni i siedzące w rurze byle co.

- No, to co robisz w sobotę wieczór?

Może wreszcie przestaniesz mnie przesłuchiwać i normalnie poprosisz mnie o spotkanie? - warknęłam wkurzona tym skrajnie nieromantycznym stylem rozmowy.

- Zgoda. To, czy zjesz ze mną kolację, w sobotę wieczorem?

- Zgoda. O której?

- Siódma trzydzieści. Wpadnę po ciebie. Pod którym mieszkasz?

- Pod piętnastym. I nie spóźnij się. I tak nie możesz się wykręcać, że ugrzałeś w korku - dodałam sarkastycznie.

- Będę o czasie. Och, i ... Belle?

- Co? - Warknęłam.

Nagle porzucił oficjalny ton i chyba się roześmiał.

- Możemy wybrać się na kolację gdzieś nad zatokę, lecz myślę, że nie musisz zakładać stroju piankowego.

Rozłączył się, zanim zdążyłam odpowiedzieć. Już ponieważ przyszło mi do głowy co najmniej pięć skrajnie sarkastycznych i jadowitych replik. Gdy próbowałam jakoś pozbierać myśli, nagle do mnie dotarło: mam randkę z Samem, a on już zaczął mówić do mnie Belle. No i odbyliśmy pierwszą sprzeczkę. Właściwie to już jesteśmy parą.

\* \* \*

Z pewnością był kiedyś taki czas, dawno, dawno temu, gdy randkowanie było rzeczą łatwą i prosta. Istniały ustalone i niewzruszone zasady oraz standardy zalotów, dzięki którym każdy wiedział, czego od niego oczekują, a także, co ważniejsze - wiedział, czego on sam oczekuje. Gdy tak za kwadrans siódma stałam w sypialni nad stosem swych beznadziejnych i monochromatycznych ciuchów, pomyślałam,

że wiele bym dała, by móc się cofnąć w tamte czasy (oczywiście najlepiej razem z Samem).

Było dość ciepło i pogodnie, lecz prognozy zapowiadały, że późnym wieczorem może padać. Poza tym wciąż nie wiedziałam, gdzie pójdziemy, mimo końcowej odzywki Sama o zatoce. Byłam pewna, że rzucił ją tylko jako wstęp do złośliwej uwagi o dresie. Z drugiej strony, nie byłam pewna, czy zdecydować się na Odstawienie Się Na Wysoki Połysk. Inaczej mówiąc, czy stroić się odpowiednio do jakiegoś wytwornego lokalu. A może skończy się na tym, że po prostu pójdziemy do kina? Choć z drugiej strony, nie było to wcale oczywiste. W Sydney niewielu (przynajmniej spośród moich znajomych) poddawało się bezpiecznej rutynie pierwszej randki: kolacja, kino. Towarzyska presja na zachowania niekonwencjonalne, multikulturowe i oryginalne była ogromna - moim zdaniem nawet za duża. Zoe na przykład padła świeżo ofiarą tej presji: najpierw spożyli z Gilesem baranie jądra w mongolskiej restauracji w Par-ramatta, potem zaś obejrzeli (na wolnym powietrzu) musi-calową wersję *Kobiety biegnącej z wilkami*.

Po telefonie do Martina z prośbą o radę i ratunek udało mi się ograniczyć możliwe opcje ciuchowe do trzech. Odpada opcja Wytwornej Dziewczyny Pracującej, gdyż do całości obrazu bardziej pasowała teczka (zamiast torebki), a poza tym opcja ta kompletnie by nie wypaliła, gdyby podczas randki nikt nie zadzwonił do mnie na komórkę (a z tym należało się liczyć). Opcja z cekinową spódnicą (plus sandały na szpilkach), która wymaga starannego makijażu i kwiatów we włosach, też odpada. Wreszcie dzinsy (ale markowe), które w zależności od dodatków (wysokość obcasów, uczesanie, makijaż oraz bardzo chwiejna i zmienna samoocena) mogły wyczarować ze mnie Miłą Dziewczynę Z Sąsiedztwa albo Miłą Dziewczynę Spod Latarni.

Na rozmowę z Martinem (który przy okazji pomógł mi zestawić - opierając się na swych kwestionariuszach - listę tematów do rozmowy, na wypadek gdyby zaczynała kuleć) straciłam tyle czasu, że nie

starczyło go już na staranne przeanalizowanie wybranych opcji. W rezultacie więc włożyłam cekinową spódnicę, a do niej całkiem ładny dziergany żakiecik (dość nobliwy). Ponieważ ponieważ odkryłam, że wszystkie moje pudry, cienie do powiek i podkłady nie nadają się do użytku (albo się zeschły, albo pokruszyły, albo jedno i drugie), nałożyłam tylko trochę błyszczki na wargi. Na fryzjera było niestety i tak już za późno. Pocieszyłam się wspomnieniem stroju i fryzury, w jakich Co-ry/Sam zaskoczył mnie wtedy w pralni: w końcu wcale go to nie odrzuciło. To skłoniło mnie do rozważań, dlaczego go to nie odrzuciło? Z takim wyglądem Sam zasługiwał na pokazywanie się z dziewczyną w ciuchach od Manolo Blah-nika, królową balów i pierwszych stron kolorowych magazynów. Czyli - być może - w tym, że mnie zaprosił na randkę kryje się jakiś haczyk, coś podejrzanego. Może z nim jest coś nie tak? Na szczęście rozległ się dzwonek u drzwi i puściłam się pędem, by otworzyć.

Kiedy zobaczyłam, zrozumiałam jaka płytka za mnie istota. Wyglądał tak wspaniale, że natychmiast przestałam się martwić, czy jest z nim jest coś nie tak. Prawdę mówiąc, totalnie mi to zwisało. Najważniejsze, że mnie zaprosił i że chce być ze mną. Okazało się, że zrobił rezerwację w pobliskiej restauracji, zdecydowaliśmy się więc przejść pieszo. Po drodze minęliśmy Wrednego Gerarda z Buntym wracających z wieczornej przechadzki. Wredny Gerard łypnął podejrzliwie widząc nas razem, a na mnie spojrzał szczególnie wrednie (jakby uznał mnie winną, za to, że Sam/Cory nie należy do kochających inaczej). Patrząc z uwielbieniem na Sama, potrząsnął głową i mruknął dość głośno „Co za marnotrawstwo”.

Udałam, że nie usłyszałam, powiedziałam sobie tylko w duchu: „No cóż, jest zazdrosny i ma o co” i przyspieszyłam kroku, by ominąć zgrabnie kręcącą tyłeczkiem blondyneczkę z końskim ogonem, w obcisłych porteczkach. Zdążyliśmy jeszcze usłyszeć, jak Wredny Gerard plotkuje o nas z parą spod czwórki. Może mam omamy słuchowe, ale byłam pewna, że usłyszałam, jak syczy: „A nie tak dawno flirtowała z takim jednym budowlańcem, Trevorem”.

Szliśmy z Samem po Queen Street, prowadząc uprzejmą, choć trochę nerwową rozmowę. Ze zdumieniem odkryliśmy, że oboje pochodzimy z Melbourne. Ucieszyłam się widząc, że zmierzamy do małej włoskiej restauracyjki na miłej bocznej uliczce. Byłam ubrana prawie odpowiednio na intymną kolację w miłej lokalnej restauracji. Miałam też nadzieję, że Sam na pokolacyjną rozrywkę nie nabył biletów na damskie zapasy w błocie (które miał podstawy uważać za moją ulubioną dyscyplinę sportową). W restauracji nasza rozmowa stała się jeszcze bardziej chaotyczna, gdyż siedzieliśmy naprzeciwko siebie po dwóch stronach stołu. Na szczęście wesoła kelnerka, przyjmawszy zamówienie, odeszła od stolika, zanim rozmowa zeszła na Hamisha i zaginione gatki. Jako drink chciałam zamówić swoje ulubione chardonnay i trochę się zezłościłam, gdy Sam zapytał mnie, czy życzę sobie koktajl.

- Z prawdziwą przyjemnością - skłamałam z entuzjazmem, nie chciałam bowiem wyjść na prostaczkę. Bo tak naprawdę nie cierpię koktajli. Zawsze są albo za słodkie, albo za kremowe a poza tym nie cierpię tych idiotycznych szklanek, w których je podają, tych kretyńskich parasolek i kawałków owoców na brzeżkach. Mamy w końcu dwudziesty pierwszy wiek i chyba ludzkość osiągnęła już ten stopień rozwoju, by odejść od fidrygałek w rodzaju glazurowanych wisienek nabitych na miniaturowe plastikowe szpadki wbite z kolei w plasterki cytryny. A już zrozumienie, czemu w dekoracji koktajli służą te idiotyczne parasolki, przekraczało moje możliwości.

Wszystkie nazwy koktajli brzmiały jednakowo upiornie, w końcu wybrałam więc coś nazwane Truskawkowy Wschód Słońca. Sam natomiast zamówił dla siebie importowane piwo, co mnie lekko wkurzyło, gdyż o niebo wolałabym piwo od tego jadowicie różowego świństwa, które postawiono przede mną. Szklanka o dziwnym kształcie była chyba dwa razy większa od mojej głowy, a przystrajały ją nieodzowna parasolka wbita w polaną czekoladą truskawkę z jednej strony i wyjątkowo kapryśna słomka, która z upodobaniem włożyła mi w lewą dziurkę od nosa. Pociągnęłam ostrożnie łyk, licząc, że smak nie

jest tak okropny jak wygląd, i prawie go wyplułam. Truskawkowy Wschód Słońca smakował jak mieszanka dwuletniego co najmniej przecieru owocowego, szampana, szkockiej i mleka.

Napiłam się pospiesznie wody i nagle zorientowałam się, że Sam mówi coś do mnie, a ja go w ogóle nie słucham. Natychmiast przywołałam uważny i zaciekawiony wyraz twarzy, starając się nie wpatrywać zbyt zachłannie w jego piwo.

Sam był akurat w samym środku opowiadania o jakiejś mrożącej krew w żyłach przygodzie, która przytrafiła się jemu i jego kumplowi, gdy polowali na krokodyle na Północnym Terytorium. Miałam mętne uczucie, że gdzieś już tę historię słyszałam.

- No i byłem tam z moim kumplem Clarkeyem i ... O żesz ty.

- Clarkey? - spytałam niedbale - Czy to nie przypadkiem Andrew Clarke?

- Tak. Znasz go?

Hmhm. Znam go, a jakże. W najbardziej podstawowym biblijnym sensie tego słowa, (pieprzyć to, do diabła.). Wiedziałam, że już słyszałam o tym polowaniu na krokodyle. Spróbowałam najbardziej niedbałego z niedbałych tonów.

- Tak jakby. Poznaliśmy się wieki temu na noworocznym przyjęciu na plaży.

Uups. Zbyt wiele danych. Radość Sama z odkrycia wspólnego znajomego zaraz przygasła, a na jej miejscu pojawił się wyraz dziwnie podobny do tego, jaki miał doktor Allen, gdy badał moją pochwę. „Chwileczkę - to ty jesteś tą Dziewczyną z Plaży?”.

Fakt, że mam seksualną ksywkę na oka mgnienie mnie rozbawił, lecz zaraz moje rozbawienie znikło. Na pewno w ciągu kilku następnych sekund do Sama dotrze, że bzykałam się na plaży z jego najlepszym kumplem. A wedle niepisanego męskiego kodeksu, nie chodzi się na randki z dziewczyną, która była z którymś z kumpli. Przecież przyjaźń Sama i Clarkeya wykuwała się latami, zahartowana przez wspólne spożywanie internatowych posiłków i pełne niebezpie-

czeństw zmagania z krokodylami. Po takich rewelacjach jak przed chwilą, nie mam u Sama szans.

Sam jednak jakby nie zauważył, że nie odpowiedziałam na jego pytanie, szok zaś (wynikły z uświadomienia sobie, że jego najlepszy kumpel - jakby to delikatnie opisać? - zezarł jego lunch, zostawiając mu nędzne resztki), zdawał się bez reszty ustąpić przed niezwykłą sytuacją, której doświadczają tylko wychowankowie szkół prywatnych, gdy odkrywają, że ich nowa znajoma poznała także ich starego szkolnego kumpla.

- Ale to znaczy że znasz także Jeremy'ego? No, Jema Bakera?

Coraz lepiej. Właściwie Jeremy się nie liczył. Obściskiwałam się z nim tylko raz, gdy miałam szesnaście lat. Zdarzyło się to na strasznie nudnej balandze; alkohol (zwykły poncz...) skończył się, a ja musiałam czekać jeszcze pół godziny na tatę, który miał po mnie przyjechać. W takiej sytuacji wolałam się obściskiwać z Jeremym niż wysłuchiwać gędzenia Clarissy Finch-Bell o jej planach na najbliższe wakacje.

Sam patrzył na mnie wyczekująco, uśmiechnęłam się więc i skinęłam głową. Uznałam, że teraz pozostaje mi tylko siedzieć cicho, sączyć ten straszliwy różowutki drink i wyobrażać sobie, że jestem Adie MacDowell w *Czterech weselach i pogrzebie*, w tej scenie, gdy wylicza ona wszystkich facetów, z którymi spała, a Hugh Grant uznaje, że jest ona fantastyczną dziewczyną (a nie puszczałską ścierką, którą właśnie zaczynam się czuć).

- To do której szkoły chodziłaś?

O żesz ty. O żesz ty. Potrójne o żesz ty (z wisienką na czubku). Nie cierpiałam takich pytań. Nie wiem, dlaczego po prostu na wstępie nie uścisnęłam mu dłoni i nie powiedziałam: „Uczęszczałam do College'u Świętej Petronii dla Niewychowanych Panienek, zdobyłam dyplom z wyróżnieniem w klasie Biblijnej Sztuki Kucharskiej i Robotach Ręcznych dla Zaawansowanych". A potem Sam powiedziałby mi, że w swojej szkole był kapitanem drużyny Potwornych Nudziarzy, że zdobyli puchar przechodni, wygrywając z drużyną Braci Biczowni-



ków i że po kolacji możemy wpaść do niego do domu, to pokaże mi swoją odznakę prefekta.

- A tak w ogóle, czy lubisz kino? - spytałam, rozpaczliwie próbując zmienić temat. Sam jednak nie chciał zleźć z tematu, który go najwyraźniej fascynował.

- A co z Mike'm Newellem, znaczy z Newsym? Jego też znałaś? Graliśmy razem w nogę.

Hmmn. Newsy. Hmmm. Newsy. Od dawna już o nim nie myślałam. Nie sądziłam, że Sam jest gotów do wysłuchania historii o tej nocy, gdy napatoczyliśmy się na siebie, Newsy i ja, w schronisku młodzieżowym w Pradze. Na swoją obronę mogę podać tylko to, że oboje byliśmy daleko od domu, a w takich okolicznościach miło spotkać rodaka. Właściwie to zdumiewające, co w swych młodych latach potrafiłam wyczyniać bez potrzeby rozpinania śpiwora.

Oderwałam się od swych praskich wspomnień. Cholerna randka przebiegała niezupełnie tak, jak sobie zaplanowałam. Sam powinien mi teraz czytać swoje wiersze. Rozpaczliwie zastanawiałam się, co powiedzieć. Niestety, jedynymi tematami, jakie krążyły mi po głowie, były: ów dziwny koński cytat W. R. Inge'a, brudne gatki Sama upchane w mojej torebce (miałam bowiem nadzieję zwrócić mu je przy nadarzającej się okazji) i damski wrestling w błocie. Na szczęście do stolika wróciła kelnerka, dopiłam więc Truskaw-kowy Wschód Słońca i zamówiłam następny - tylko by

zyskać na czasie.

Zamówiliśmy główne dania i znów zostaliśmy sami. Udało mi się jednak na tyle pozbierać, by przypomnieć sobie kilka pytań z listy przygotowanej z pomocą Martina.

- Lubisz czytać? - spytałam z nadzieją.

- Nie za bardzo

- Och.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. W tym czasie wrzuciłam wszystkie swe fantazje o piszącym wiersze i czytającym mi na głos

Corym w najgłębszą, bezdenną dziurę, wraz z ostatnim łykiem Truskawkowego Wschodu Słońca.

- To znaczy lubię czytać gazety - przyznał się Sam. Staralam się być optymistką. Mógł mieć na myśli „New

Yorkera” bo chyba nie „Penthouse?” O Boże, nie, na pewno na pierwszej randce nie przyzna mi się, że czytuje „Penthouse”. Ale, jeśli kupuje „Penthouse”, to pewnie dla zamieszczanych tam artykułów. Nagle gorąco zapragnęłam, żeby na miejscu Sama, naprzeciwko mnie, siedział Charlie, a Sebastian i Ślizel okazali się tylko złym snem. A tu, zamiast śmiać się i żartować z Charliem, siedzę pijąc ohydną breję, pilnując, by nie wykluć sobie oka kretyńską parasolką, i usiłuję podtrzymać rozmowę z potencjalnym zbo-czeńcem i do tego analfabetą. Tyle że ślicznym.

Zdołałam przełknąć trochę Truskawkowego Wschodu Słońca i spytałam z obawą:

- A jakiego rodzaju gazety czytujesz?

- No, lubię takie, gdzie są takie różne rzeczy do zbierania. No wiesz, kupujesz gazetę, a z nią coś z tych rzeczy. Ja teraz zbieram figurki z „Żołnierzy Fortuny”.

Zakrztusiłam się i niechcący wyplułam trochę Truskawkowego Zachodu Słońca na nie pokalanie biały obrus.

Ups. Auć. Rany boskie.

- Zbierasz figurki? - spytałam słabym głosem.

- To nie są takie zwykłe figurki. To pomniejszone dokładne repliki postaci w oryginalnych mundurach i z bronią. Dbalność o szczegóły i wierność historyczna są po prostu niewiarygodne

I Sam zaczął mi z zapalem opisywać (ze szczegółami) coś, co nazywało się działem z obrotową lufą. Ja w tym czasie, żując z wysiłkiem jakiś niezidentyfikowany glut z Truskawkowego Wschodu Słońca, starałam się nie dopuścić, by supeł, jaki nagle zawiązał się w moim brzuchu i zaczął wędrować w górę, spotkał się z kulą, która narastała mi na gardle. Nie ma sprawy. Wszystko będzie dobrze. Fakt, że Sam kolekcjonuje małych ludzików w mundurach, nie musi konieczne

oznaczać, że jest przerośniętym dwunastolatkiem z prawicowym przechylem. To może raczej oznaczać ... co do cholery może oznaczać?

Mam! Już wiem! To oznacza, że Sam ma hobby! A to znaczy, że wszystko gra, bo jeśli Sam ma hobby, to jest zdolny do namiętności. Nie powinnam go tak z punktu osądzać i skreślać, nie wiedząc nic o figurkach „Żołnierzy Fortuny” i o tym, jaki jest ich cel i ideologia. Powinnam posłuchać z uwagą, a może się czegoś nauczę. Sam interesuje się historią. Jest zdolny poświęcić się czemuś, na czym mu zależy i o co się troszczy.

Sam zbiera figurki.

Przez resztę kolacji, gdy Sam monotonicznie nawijał o pistoletach skałkowych, rożkach na proch i pałaszach, ja usiłowałam myśleć tylko o tym, jak bardzo jest przystojny. A naprawdę, cholera, był. Miał delikatne rzeźbione rysy, piękne falujące włosy i wspaniałe lśniące oczy, które lśniły jeszcze piękniej, gdy podczas deseru odtwarzał przebieg powstania bokserów, pomagając sobie łyżeczką do lodów i nożem do sera. Lecz mnie to już jakoś nie brało. Próbowałam wszystkiego. Wyobrażałam sobie go nago albo w luźnej białej koszuli ujeżdżającego arabskiego ogiera, albo bez koszuli (i całej reszty) ujeżdżającego mnie. Nie pomagało.

Zaczęłam z lekka wpadać w panikę. Czyżby oprócz celibatu fizycznego czekał mnie także celibat psychiczny? Już od tak dawna z nikim się nie kochałam, czułam że *tam* zarastam pajęczyną i jeśli nie ruszał mnie taki śliczny chłopak jak Sam, to mogę spokojnie iść do domu i zacząć się bzykać z tarką do sera tylko po to, by mieć o czym rozmawiać z doktorem Allenem podczas następnej wizyty.

I właśnie wtedy, gdy sądziłam, że już nie może być gorzej - stało się.

Do restauracji weszła niezwykle atrakcyjna para: ona posągowa i egzotycznie piękna, on wysoki i przystojny. Zerknęłam na nich zawistnie tylko raz, lecz nagle zorientowałam się, że ten przystojniak patrzy w moim kierunku i uśmiecha się. Światło w lokalu było przyćmione, a Truskawkowy Wschód Słońca bynajmniej nie wyostrzył

mego wzroku, musiałam więc przyjrzeć się raz, potem drugi, by zyskać pewność: w naszym kierunku zmierza właśnie doktor Jack i jego pani.

Przez chwilę rozważałam wariant wzięcia głębokiego wdechu, zanurzenia głowy w szklanicy Truskawkowego Wschodu Słońca i pozostania tam, zanim odejdą. Nagle jednak poraziła mnie wizja Sama częstującego ich dziarską wiązką starych pieśni wojskowych, podczas gdy ja będę po cichu tonać. Siedziałam więc i modliłam się w duchu, by Sam nie skompromitował się przed doktorem Jackiem. Takiego poniżenia bym nie zniosła. Nie, nie o to mi chodzi. Nie dbam o to, co doktor Jack sobie myśli, więc naprawdę powinnam się modlić, by to doktor Jack nie ośmieszył mnie przed Samem. Ale właściwie nie wydawało mi się to takie złe.

Doktor Jack i jego dama stali już przy naszym stoliku.

- Cześć Isabelle? Jak tam twoja kostka?

Rzuciłam mu krótkie podejrzliwe spojrzenie, lecz ani w słowach, ani w głosie nie mogłam wykryć grama sarkazmu. Wyglądało, jakby naprawdę się cieszył, że mnie widzi.

- Świetnie, dziękuję - wymruczałam, wpatrując się usilnie w obrus i zastanawiając się, czy wypluty nań Truskawkowy Wschód Słońca zostawi plamę.

- To jest Lily - powiedział, wskazując na boginię u swego boku. Lily obdarowała mnie i Sama nikłym, lecz zauważalnym uśmiechem, który u Sama najwyraźniej wywołał nikły, lecz zauważalny orgazm.

- A to jest Sam - powiedziałam. Wskazałam na niego trochę tak, jakbym wskazywała zwierzę w ZOO, ale tylko trochę.

Sam uśmiechnął się do Lily. Poczułam się odrobinę lepiej. W końcu Sam przecież robi wrażenie. Tylko błagam, nie odzywaj się, modliłam się gorąco w duchu, błagam nie mów przy doktorze Jacku o figurkach. Obaj panowie uścisnęli sobie dłonie, gdy doktor Jack się przedstawił, po czym nastąpiło kilka okropnych, strasznych, meczących minut, podczas których udawaliśmy wszyscy, że interesujemy się sobą nawzajem. Najgorsze było to, że byliśmy tak straszliwie, tak

upiornie grzeczni i uprzejmi. Gdy później o tym rozmyślałam, dotarło do mnie, że jedną z cech doktora Jacka odkupującą wszystkie (no, prawie wszystkie) jego wady było to, iż nigdy przedtem nie starał się być w mojej obecności konwencjonalnie uprzejmy, przez co nigdy nie był konwencjonalnie nudny.

- To jak się poznaliście? - Doktor Jack swe pytanie skierował do Sama, jakby nie ufał, że ja przedstawię wiarygodną wersję naszego poznania.

- Mieszkamy w tej samej kamienicy i po prostu wpadliśmy na siebie - odpowiedział Sam.

Dobry Sam, pomyślałam. Dobry chłopiec. Teraz przestań.

- Właściwie to było dość zabawne. Pierwszy raz spotkałem Isabelle, jak ubrana w strój baletowy bawiła się w pralni w chowanego.

- Nie chowałam się w pralni - wtrąciłam sucho. - Czekałam, aż pralka skończy prać moje rzeczy.

- Ależ oczywiście, nikt z nas nie myśli, że chowałaś się w pralni - powiedział uspokajająco doktor Jack. Spojrzałam zdumiona, że wreszcie staje po mojej stronie. On zaś uśmiechnął się do mnie i ciągnął dalej.

- Po pierwsze dlatego, że pralnia to pierwsze miejsce, które bym sprawdził. Chowanie się w pralni dowodziłoby kompletnego braku wyobraźni, a to zdecydowanie nie pasuje do ciebie Isabelle. Poza tym wątpię, czy zakładałabyś swój strój baletowy, gdybyś naprawdę chciała się schować. To niezbyt, że tak powiem, maskujący ubiór.

- Tak, w istocie - odpowiedziałam, z trudem powstrzymując się od chichotu na widok wyrazu twarzy Sama. Lily zaś wyglądała na znudzoną i całą uwagę skierowała na poprawianie fryzury i oglądanie paznokci.

- A potem, drugi raz znów wpadliśmy na siebie gdy Isabelle szukała swego kota - Sam wyglądał na zmieszanego i niezadowolonego, że powiedziano tu coś, czego on nie zrozumiał.

- Och, doprawdy? - Szeroki uśmiech prawie rozdzielił twarz doktora Jacka na dwie części.

Nie, teraz już nie chciałam nurkować z głową w Truskawkowy Zachód Słońca. Chciałam za to z całego serca wsadzić weń głowę Sama i przytrzymać tak długo, aż niepotrzebna byłaby pomoc medyczna, nawet doktora Jacka. A potem chciałam zrobić to samo z doktorem Jackiem. A potem z Lily. Jak sprzątać to porządnie.

Spokojnie już oczekiwałam nieuniknionego. I ono nadeszło.

- A jak się ma twój kot, Isabelle? - spytał doktor Jack tonem głęboko zatroskanym.

Obdarowałam go pełnym bólu, lecz dzielnym uśmiechem.

- Niestety jeszcze go nie znalazłam. Wolałabym o tym nie mówić - wciąż to jeszcze przeżywam. Ale, ale, jaka ze mnie gapa! Nawet nie zapytałam o pańskie małe śliczne pieski. Czy Yuan pozbył się już tych plam wątrobowych?

Doktor Jack westchnął ciężko. - Obawiam się, że nie. Musi pojechać na specjalne leczenie do Uzbekistanu. Chciałem więc przy okazji zapytać, jakie są warunki przewozu zwierząt w lotach międzynarodowych? Nie chciałbym nadawać Yuana na bagaż. On jest taki malutki - może mogłabyś schować go w swoim ręcznym bagażu?

- Ależ z przyjemnością zrobię to dla ciebie. Ale w rewanżu oczekuję, że też mi pomożesz. Czy mógłbyś wpaść, może w przyszłym tygodniu, i udzielić mi pewnych porad co do mojego pakietu akcji.

- Och, Niestety, przykro mi, Isabelle, ale nie jestem odpowiednią osobą. Pamiętaj, że jestem lekarzem, a nie maklerem.

O cholera, był naprawdę dobry. Nasze oczy na chwilę się spotkały i bezgłośnie wyraziłam mu swe niechętnie uznanie. Przyjął je z uśmiechem i lekko uniósł brew, jakby mówił: „Nie bądź taka zadowolona z siebie. Jeszcze się nie poddałem”.

Podczas tej wymiany zdań Sam i Lily spoglądali - wyraźnie zmieszani - to na mnie, to na doktora Jacka. Lily w końcu położyła mu na ramieniu wymanikiowaną dłoń i pięknym, melodyjnym głosem powiedziała:

- Jack, nie wiedziałam, że masz psa?



- Aż cztery - powiedziałam usłużnie. - Wszystkie są bardzo małe i śpią w uroczych koszyczkach. I każdy ma swój własny kocyk z wyhaftowanym imieniem. Jack sam je wyszywał, prawda Jack?

- Nie, Isabelle. Zdecydowanie nie wyszywałem ich imion na kocykach. - W oczach doktora Jacka pojawił się niebezpieczny błysk.

- No, no, nie bądź taki skromny. - Nie mogłam nie zauważyć, że Lily cofnęła dłoń z jego prawego ramienia i spojrzała na niego, z trudem maskując zdumione przerażenie. Ja ze swej strony uśmiechnęłam się słodko do niego i chociaż wciąż wyglądał, jakby mnie chciał zamordować, coś w kącikach jego ust mówiło, że z wielkim trudem powstrzymuje się od śmiechu.

Wyraźnie przy tym zwlekał z odejściem od naszego stolika, zapewne dlatego, że nadal miał zamiar mi dokuczać i przez krótką, ale upiorną chwilę pomyślałam: rany boskie, żeby tylko Samowi nie przyszło do głowy zaproponować, by się do nas przysiedli. Gdyby to był ktokolwiek inny, powitałabym go z radością jako wybawcę, lecz wolałabym raczej wysiedzieć na dwudziestoczerogodzinnym filmie dokumentalnym o ewolucji epoletów niż dopuścić, by doktor Jack był świadkiem gładzenia Sama i bym ja była skazana na porównywanie z Lily (zdecydowanie dla mnie niekorzystne). Na szczęście zjawił się kelner mówiąc, że ich stół jest już gotów, i odholował ich w głąb restauracji, gdzie mogłam widzieć tylko tył głowy doktora Jacka.

Sam powiedział mi już przedtem, że musi wstać wcześniej, gdyż z samego rana gra w nogę, tak więc po skończonej kolacji zdecydowaliśmy iść prosto do domu. Zaprosił mnie, bym obejrzała jego kolekcję figurek z *Żołnierzy Fortuny*. Przyjęłam zaproszenie, desperacko licząc, że był to z jego strony może trochę dziwny eufemizm na małe bara-bara. Byłam *cholernie* zdecydowana albo się zmusić, by mi się spodobał, albo mogłam już tylko wstąpić do klasztoru i zacząć uczyć się już od razu słów piosenki *Wspiać się na każdą górę* \*<sup>13</sup>. Raniące słowa Fran o mych nierealnych romantycznych ideałach tkwiły wciąż

---

<sup>13</sup> \* Climb Every Mountain - piosenka z musicalu i filmu Dźwięki muzyki [przyp. tłum.].

gdzieś z tyłu głowy, uznałam więc, że najlepszy sposób na obalenie tej teorii to puścić się z Samem, który jest moim ideałem tylko zewnętrznie. A poza tym nie było doprawdy sensu w zastosowaniu się do ulubionej przez moją mamę zasady dobrego wychowania - i nie prześpać się z Samem przed ślubem, gdyż (sądząc z naszej ostatniej rozmowy) byłby on na własnym weselu jedynym mężczyzną poniżej czterdziestki, który dotąd nie miał (w taki czy inny sposób) *przyjemności* z panną młodą.

Pomyślałam jednak, że powinnam - zanim wyjdziemy - pożegnać się z Lily i doktorem Jackiem, tak więc, gdy Sam odbierał w szatni nasze płaszcze, ruszyłam ku nim i stanęłam dość zakłopotana przy ich stoliku. Byli akurat pogrążeni w rozmowie i zdążyłam się zorientować, że Lily opowiada mu o jakiejś swojej niezwyklej kolekcji nalepek?

- Przepraszam, że przerywam - odezwałam się, czując się z jakiegoś niejasnego powodu wyjątkowo głupio i niezręcznie. - Właśnie wychodzimy i pomyślałam, że powiem wam do widzenia.

- No to cześć, Isabelle - powiedział niedbale doktor Jack. - Miło było znów cię spotkać. - Lily obdarowała mnie uśmiechem. Była tak piękna, że prawie się w niej zakochałam. Wszyscy mężczyźni wokół zerkali na nią.

- W porządku. Zatem do widzenia, cześć.

Zostawiłam ich i ruszyłam w kierunku Sama, który właśnie sprawdzał kieszenie swej marynarki, upewniając się, czy klucze są na miejscu. Ja czułam się - z jakiegoś powodu

- rozczarowana i oszukana. „No to cześć, Isabelle”. Co jest? Żadnych przycinków ani irytujących, aroganckich komentarzy, żadnej dziwacznej historyjki, żadnego testu? Przez chwilę zastanawiałam się, czy przypadkiem nie przesadziłam z tym wyszywaniem psich kocyków, lecz uznałam, że doktor Jack, gdy chce zrobić wrażenie na kobiecie, jest przypuszczalnie po prostu nudny.

Gdy wyszliśmy z restauracji, zaczęło padać, więc po drodze do domu cały czas biegliśmy truchcikiem, co szczęśliwie uchroniło nas przed przymusem konwersacji. Gdy już dotarliśmy bezpiecznie na miejsce, Sam przeprosił mnie na chwilę i zniknął w łazience. Skorzystałam z tego, by rozejrzeć się po mieszkaniu. Byłoby całkiem miłe, gdyby nie ta kretańska kolekcja upiornych militarnych figurek i niepokojąca ilość magazynów poświęconych przeróżnym teoriom spiskowym. Zobaczyłam grupowe zdjęcie z uroczystości ukończenia szkoły, zaczęłam z rozbawieniem przypominać sobie imiona przedstawionych na nim chłopców, z którymi miałam, no, bliskie spotkania różnego stopnia. Chyba mam zdecydowaną skłonność do „złych chłopców”, gdyż większość twardzieli z tylnych rzędów wydawała mi się niepokojąco znajoma. I gdy zabrakło mi już palców u rąk do liczenia, zaprzestałam tej zabawy, przypominając sobie z rosnącym uczuciem frustracji, jak łatwo było - gdy się miało siedemnaście lat - znaleźć porządnego chłopaka do całowania.

Sam wrócił z łazienki i z miejsca wdał się w niewiarygodnie szczegółowe objaśnienia każdego okazu swej kolekcji. Zadawał mi od czasu do czasu pytania, na które odpowiadałam serią nieokreślonych chrząknięć i pomruków, marząc jednocześnie tylko o tym, że jestem już w domu, u siebie, i oddaję się miłym fantazjom o Corym.

jakichś dziesięciu minutach przeraźliwej nudy, uznałam, że trzeba jakoś zmusić się do okazania uwagi i zainteresowania. Podniosłam jedną z figurek, przedstawiającą szkockiego pułkownika, który zdawał się mierzyć mnie kwaśnym spojrzeniem. Chyba marzył o tym, by znaleźć się daleko stąd i ciskać w nieprzyjaciół garściami haggisu\*. Nie mogłam się oprzeć, by odwrócić figury do góry nogami i zajrzeć pułkownikowi pod kilt. Niestety biedaczek był, że tak powiem, bezpłciowy. Teraz dopiero zrozumiałam, jak się czuje.

- Z czego są zrobione? - spytałam, usiłując wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu.

- Z ołowiu.

- Czy ołów nie jest trujący?
- Tylko, gdy się go bierze do ust.

Szybko odłożyłam Szkota na miejsce. Zabawne, kiedyś myślałam, że nadmuchiwane lalki to już szczyt dziwactwa.

- Chyba już pójdę, Sam. Ty jutro grasz w nogę, a na mnie czeka naprawdę ciekawa książka ... - głos zamierał mi z wolna, dotarło do mnie bowiem, że oznajmienie swojej chęci pójścia do domu, by sobie poczytać, nie jest najlepszym zakończeniem pierwszej randki. A, do czorta, zwisa mi to. I tak cały ten wieczór to była jedna wielka katastrofa.

Natomiast Sam - po raz pierwszy tego wieczoru - zadał mi pytanie niedotyczące pośrednio ani bezpośrednio jego przyjaciół.

- A co teraz czytasz? - spytał, porządkując jednocześnie nerwowo medale dekorujące pierś kapitana marynarki.

- *Harry'ego Pottera i kamień filozoficzny.*

Oderwał wreszcie wzrok od swych figurek, ale tylko po to, by dziwnie na mnie spojrzeć.

- Czy to nie jest książka dla dzieci?

Najwyraźniej przegapił Międzypokoleniowy Fenomen Kulturowy w postaci *Harry'ego Pottera*, a za to włączył się w nurt, który kolekcjonowanie upiornych figurek i formowanie koszarnej, miniaturowej armii uznawał za zachowanie całkowicie towarzysko akceptowane.

Zaofiarował się, że odprowadzi mnie do domu. Odmówiłam, oświadczając mu, że może po prostu odprowadzić mnie symbolicznie, patrząc przez okno, jak idę w kierunku swojej klatki. Dość niezdarnie ucałowaliśmy się na pożegnanie (w policzki!), a następnie przez kilka minut nieodwołalnie i nieodwracalnie skazywaliśmy swe dusze na wieczne potępienie, okłamując się nawzajem, jaki to był miły wieczór i że musimy to powtórzyć. Wybiegłam na zewnątrz, prosto w deszcz, który rozpadał się na dobre i puściłam się pędem, jakby gonił mnie cały Trzeci Regiment Piechoty Nowej Południowej Walii.

Nagle potknęłam się o coś i jak długa runęłam na betonowy podjazd. Zagryzając wargi z bólu i żywiąc cichą nadzieję, że Sam nie zo-

baczył tego przez okno, podniosłam się z trudem, podliczając straty: złamany obcas, obdarte do krwi kolano, a ja cała ubłocona i zszargana.

Sam jednak patrzył przez okno, gdyż nagle wybiegł od siebie, pytając niespokojnie, czy mi się nic nie stało.

- Nic, nic, wszystko dobrze - odpowiedziałam (czując się całkowicie już upokorzona). - Potknęłam się o coś...

I tedy oboje usłyszeliśmy to. Było to cichutkie popiskiwanie i zawodzenie dobiegające z grządki po lewej stronie. Oboje, kompletnie już przemoczeni, rzuciliśmy się, by zajrzeć pod splątane krzewy.

Przeraźliwie wychudzony, zmiętoszony i zmokły kot wpatrywał się w nas żałośnie. Uklękałam, zapominając o otartym kolanie i usiłowałam wyciągnąć go spod krzaka. Udało mi się to wreszcie i z niedowierzaniem zobaczyłam jego obrożę i wypisane na niej imię.

Zdarzył się cud. To był Hamish. Stojąc tak z nim w ramionach, nagle zaczęłam płakać, choć jakaś cząstka mnie chichotała złośliwie, że wyglądamy teraz wszyscy troje trochę jak Audrey Hepburn, George Peppard i Kot w ostatniej scenie *Śniadania u Tiffany'ego*.

Sam otoczył mnie czule ramieniem, próbując pocieszyć.

- No, już nie płacz - już wszystko dobrze. Pomyśl tylko, jakie to zdumiewające, że odnalazłaś go po tylu miesiącach.

O nie, na litość boską. Ten idiota wciąż myśli, że to kocisko należy do mnie.

- To nie jest mój kot - powiedziałam, podając mu Hamisha i próbując jakoś się opanować i przestać płakać. - Przepraszam, że się tak rozryczałam, ale jestem taka wyczerpana i zdenerwowana... (ponieważ nie jesteś Corym, załkałam w duchu). Sam przycisnął mokrego i ubłoconego Hamisha do swej wspaniałej silnej piersi i spojrział na mnie z sympatią.

- No, już dobrze, Isabelle - powiedział uprzejmie. - Myślę, że oboje zawsze wiedzieliśmy, że to nie wyjdzie. Ale było miło mi spędzić z tobą wieczór.

Jego słowa, zamiast mnie pocieszyć, sprawiły, że rozszlochałam się jeszcze głośniej. Wspaniale, ten palant od samego początku wiedział, że jestem do niczego.

- Myślę, że powinnaś do niego zadzwonić. Przestałam się mazać i spojrzałam na Sama kompletnie osłupiała. Zadzwonić? Do kogo? Skąd on wie o Charliem? Zastanawiałam się, czy Sam nagle nie zmieni się w świecącego faceta w nocnej koszuli, który oznajmi, że jest moim aniołem stróżem, a Hamish rozwinie skrzydła i zacznie brzdąkać na harfie. Wzdrygnęłam się. Co, do diabła, oni pakują do tego Truskawkowego Zachodu Słońca?

Sam uśmiechnął się, a we mnie serce nagle zatrzepotało. Kurczę, on był naprawdę przystojny.

- Zadzwon do tego swojego przyjaciela, Cory'ego, i powiedz mu, co czujesz. Najwyraźniej cały czas o nim myślisz i nie potrafisz o nim zapomnieć, bo od pierwszego dnia naszej znajomości wciąż nazywasz mnie Cory.

Uśmiechnął się znowu. Głośno wydmuchałam nos. On jednak naprawdę jest tępym młotem

- Dzięki Sam. - Wspięłam się na palce i pocałowałam go w policzek

- Wiesz, do kogo należy Hamish? - spytał szybko. - Na obróźce nie ma numeru telefonu.

Nie wahałam się ani chwili.

- Jego właściciel nazywa się Jack. Poznałeś go dziś wieczór w restauracji.

Szybko wyciągnęłam z torebki pisak i wypisałam numer Zoe na dłoni Sama.

- Strasznie się ucieszy, gdy go odzyska.

Następnie, nie oglądając się za siebie, pobiegłam przez kałuże do swej klatki, zostawiając Sama i Hamisha stojących w rześnym deszczu.

\* \* \*



Wreszcie w domu. Wreszcie bezpieczna. Cisnęłam torebkę na stół, złapałam ręcznik, by choć trochę osuszyć włosy, potem zrobiłam sobie herbaty i z filiżanką w ręce uwalniałam się na kanapie. Ze wszystkich sił starałam się znów nie rozplakać, powtarzając sobie, że to śmieszne i żałosne. Sam był słodki. Słodki, miły i taki przystojny. Uwielbia historię (czyli potrafi się zaangażować) i czyta (co dla mnie jest bardzo ważne), nawet jeśli jego ulubioną lekturą są nie tyle książki, ile prawicowe militarystyczne piśmidła pełne spiskowych teorii dziejów. Z drugiej strony było jasne, że tak naprawdę nie mamy ze sobą wiele wspólnego, poza wspólnymi znajomymi, a to akurat nie był najlepszy grunt do nawiązania bliższej znajomości. Z drugiej strony, wiedziałam, że nie ma sensu roztrząsać i zastanawiać się, dlaczego po randce z Samem czuję się tak podle. Problem nie leżał w tym, że to z Samem było coś nie w porządku (no, może poza jego zboczonym zamiłowaniem do militarnych figurek), lecz w tym, że ja po prostu bardziej lubiłam Cory'ego.

Z tęsknotą i smutkiem pomyślałam o minionych już dniach, kiedy to wyobrażałam sobie Cory'ego czytającego mi na głos, zabierającego mnie na pikniki na wyspy na zatoce i przynoszącego mi polne kwiaty. W przeszłości Cory'ego nie było meczów piłki nożnej z Newsym i ginekologicznych dysput z Clarkeyem o Dziewczynie z Plaży. Cory nigdy nie prenumerował „Żołnierzy Fortuny” i nie zbierał ołowianych żołnierzyków. Oczywiście, Cory nie istniał, nie był postacią z krwi i kości, ale z jakiegoś powodu nie wydawało mi się, by stanowiło to główną przeszkodę dla naszego związku. Nawet więcej, to czyniło ten związek jeszcze doskonalszym. Zdałam sobie nagle sprawę, że wolę spędzać czas raczej z wymyślonym Corym niż znosić głędzenie Sama, opisujące zawilości i tajniki kolorów, fasonu i szamerunków jakiegoś pieprzonego munduru.

Z tych rozmyślań wyrwał mnie nagły pisk komórki. Rzuciłam się do torebki. Komórka pokazywała, że dostałam SMS-sa. Wcisnęłam guzik i odczytałam:

Hej Iz. Tęsknie za tobą myślę o tobie. Cy tsknisz z mną? Zadzwoń. Kycham cię. Charlie.

Boże, co za radość. Jakie szczęście. Charlie tskni za mną i mśli o mnie. Charlie wciąż mnie kocha. Przeczytałam wiadomość jeszcze raz. Cholera, to jednak dziwne, że Charlie zadał sobie trud poprawnego napisania swego imienia, ale dla słów „myślę” i „kocham” wybrał wersję skróconą.

A właściwie, dlaczego przysłał mi ten SMS tak późno, w sobotni wieczór? Czyżby zerwał ze Ślizelem? Może Ślizelem stratował jakiś wielki pies? Może do Charliego wreszcie dotarło, że jesteśmy dla siebie stworzeni i gdy oddzwonię, powie mi, że chce wrócić z powrotem do Melbourne?

Siedziałam, gapiąc się w SMS i zastanawiałam się, dlaczego nie dzwonię do Charliego. To znaczy dlaczego nie chcę dzwonić do Charliego. Jedyne, czego byłam absolutnie pewna, to że jestem strasznie, strasznie zmęczona i nie mam ochoty myśleć o żadnym z nich - ani o Corym, ani o Samie, ani o Charliem.

Nalałam sobie drugą filiżankę herbaty i wyszłam z nią na balkon. Deszcz ustał. Noc była ciepła i parna. Wychyliłam się nieco i spojrzałam w dół na mrugające światła domów, potem na gwiazdy mrugające w górze i błyski światła nad zatoką. Siorbiąc herbatę, starałam się nie myśleć o doktorze Jacku i Lily, którzy byli gdzieś tam, w ciemnościach tej ciepłej romantycznej nocy. I nagle poczułam się samotna, tak samotna, jak nie czułam się nawet, gdy porzucił mnie Charlie.

## Doktor Jack

Poniedziałek. Późne godziny poranne. Jestem w pracy. Ze zgrozą wpatruję się w portret Adolfa Hitlera. Właściciele obrazu są przekonani, że jest to dzieło sławnego hiszpańskiego malarza z osiemnastego wieku, Franciszka Goyi. Właśnie szukałam nerwowo odpowiednich słów, by jak najuprzejmiej i najłagodniej wyłożyć im, że są porąbanymi świrami, cierpiącymi na Zaawansowany Anachronizm, gdy do drzwi zastukała Fran, przepraszając za wtargnięcie, i oświadczyła że mam pilny telefon.

- Świetnie, Fran - powiedziałam i nagle w przebłysku natchnienia, dodałam zwracając się do klientów. - Właściwie to myślę, że oddam was w ręce Fran. Ona wam wyjaśni, dlaczego wasz portret Hitlera nie może w żaden sposób być oryginalnym płótnem Goyi.

Odwracając się do nich tyłem, dałam szybko znak Fran, przewracając wymownie oczami. Załapała błyskawicznie, o co biega, i mrugnęła do mnie. Gdy wychodziłam z pokoju, usłyszałam, jak wdaje się w szczegółowe wyjaśnienia, że oczy Hitlera są malowane w sposób zupełnie odmienny od manieri i techniki Goyi. Co prawda bardziej rozstrzygającymi argumentami wydawały mi się takie fakty, że Hitler urodził się jakieś sto lat po śmierci Goyi, że istnieje powszechna zgoda co do tego, że Goya nigdy nie podpisywał się inicjałem „W”, i że raczej nie używał farb w aerozolu. Jednak wiedziałam, że jakby tu powiedzieć, Fran jest jedyna w swym rodzaju i właśnie za to ją wszyscy kochamy.

Szczęśliwa, że udało mi się umknąć, pognałam na górę do swego biura i odebrałam telefon. Ledwo jednak zdążyłam powiedzieć „halo”, czyjś miły głos zapytał (niebezpiecznie łagodnie).

- Isabelle, dlaczego dostarczono mi kota z maskującą bandanką na szyi.

- Nie mam bladego pojęcia - odpowiedziałam roztargnionym tonem, gapiąc się na instalację z deską do prasowania. - Och, nie, oczywiście. Ta bandamka to pewnie od Sama. Nawet na pewno. To właściwie bardzo miłe, że zadał sobie trud przystrojenia Hamisha przed jego powrotem do domu.

- Jestem doprawdy zachwycony, że wyjaśniliśmy problem bandanki, lecz w istocie znacznie bardziej jestem ciekaw, dlaczego ten twój rąbnięty, a szczerze mówiąc kompletnie porąbany, amant jest przekonany, że to mój kot.

- Kot nazywa się Hamish - odpowiedziałam znacząco. - Ale możesz próbować nauczyć go, by reagował na imię Haggis albo na nazwę waluty szkockiej, jeśli takowa istnieje.

- Nie mam zamiaru niczego próbować. Chcę, żeby stąd zniknął!

- Ależ on jest zupełnie niekłopotliwy - zagruchałam słodko - dodając: - Może dzielić koszyk z Yuanem. Ma takie puszyste futro, będzie mógł grać biednego Yuana. A ty tylko dohaftujesz drugie imię na kocyku.

Doktor Jack głosem nieco podniesionym dał mi do zrozumienia, że przy najbliższej okazji ma zamiar własnoręcznie upodobnić mnie do łysego Yuana i że mam to u niego jak w banku. Wprawdzie nie przejęłam się zbytnio jego pogroźkami, ale uznałam, że może jednak lepiej nie przeginać.

- Hamish należy do niejakej Beverley. Mam jej numer telefonu. Zaraz go poszukam i będziesz mógł zwrócić jej Hamisha.

- To naprawdę bardzo miłe, Isabelle, i jestem doprawdy wzruszony, że pozwalasz mi, bym zwrócił Hamisha prawowitej właścicielce, gdyż nie ma rzeczy, której bym bardziej pragnął, jak pozbyć się tego bydlaka. Cały czas syczy na mnie i próbuje drapać mnie do krwi.

- Doprawdy? A takim był słodkim kociaczkim, gdy znalazłam go w sobotę wieczorem. Możliwe, że wyczuwa, że bardziej niż koty lubisz małe psy. Wiesz, to jest jak zapach. Skoro odrzuca ludzi, nie

byłabym zdumiona, gdyby podobnie odrzucał i koty. Bawiłam się coraz lepiej.

- Nie niżę się do odpowiadania na te insynuacje. Jesteś teraz bardzo zajęta?

- Nie, nie jestem. I nie mam się czego wstydzić, Jack. Jest tyle stowarzyszeń i klubów miłośników małych psów, gdzie możesz poznać wielu tobie podobnych; w takich klubach z pewnością urządzają pikniki z atrakcjami, jak na przykład minibięgi z przeszkodami, gdzie pieski skaczą przez gąbki i mydełka, a potem jest konkurs na najśliczniej uczesanego pieska.

- Bądź przed wejściem za dziesięć minut. Nie mogę prowadzić i pilnować tego zwierzaka jednocześnie. Łapię więc zaraz taksówkę i jedziemy po ciebie, Hamish i ja. Skoro tak dobrze się z nim dogadujesz, możesz potrzymać go, gdy będziemy go wieźli do jego prawowitej właścicielki. A jak już to zrobimy, to cię uduszę.

I po tych słowach doktor Jack się rozłączył.

Powiedziałam Fran, że wychodzę, i zostawiłam ją z właścicielami portretu Adolfa. Oboje po tych pięciu minutach spędzonych z Fran ściskali trwożliwie swój skarb i wyglądali, jakby ich straszliwie bolały głowy. Czekaając na taksówkę, starałam pocieszać się myślą, że doktor Jack nie myśli o uduszeniu mnie serio, że to była tylko figura retoryczna i że ludzie nie mordują swych bliźnich tylko z powodu podrzucenia im wściekłych, prychających kotów w bandankach.

To znaczy miałam nadzieję, że nie.

Podjechała taksówka. Otworzyłam tylne drzwi i zajrzałam do środka. Doktor Jack siedział z ponurą miną. W wyprostowanej ręce trzymając za obrózkę parsającego, plującego i syczącego wściekle Hamisha. Wśliznęłam się obok niego i podałam taksówkarzowi swój adres. Gdy taksówka ruszyła, pomyślałam, by spytać doktora Jacka, tak tylko, po przyjacielsku, jak udała się jego randka z Lilly, ciężko było jednak wszczynać pogawędkę z kimś, kto właśnie groził, że cię obedrze ze skóry.

Na szczęście, on przemówił pierwszy.

- Mogłabyś wziąć ode mnie to zwierzę, Isabelle?

- Ale zaraz będę musiała wysiadać z taksówki, by pobiec do siebie po ten numer telefonu. Potrzyмай go jeszcze te parę minut. Już prawie jesteśmy na miejscu.

- Nie mam zamiaru zostawać tu sam z tym stworzeniem - odpowiedział doktor Jack wyniośle. I dodał zranionym i zmieszonym głosem, jakby zdumiony tym, że znalazła się jakaś żywa istota odporna na jego urok. - To bydlę chciało mnie wypatroszyć.

- Och, jestem pewna, że Hamish wcale tego nie chciał - odpowiedziałam łagodnie.

Niestety Hamish wybrał właśnie ten moment na gwałtowną i wściekłą próbę pozbycia się bandanki. Razem śledziliśmy z uwagą jego usiłowania i już, już zamierzałam zażartować subtelnie. „A może miał ochotę na twoją wątróbkę”, lecz uznałam, że być może lekarze nie lubią takich trywialnych dowcipów dotyczących wnętrzości.

A poza tym, nie zostaniesz sam - dodałam. - Skoro taksówka ma czekać, to kierowca będzie pod ręką, w razie gdybyś potrzebował pomocy.

Pochwyciłam spojrzenie młodego taksówkarza we wstecznym lusterku. Przyglądał się wściekłym płąsom Hamisha z niejakim przerażeniem i najwyraźniej nie uśmiechało mu się pozostanie w ciasnym wnętrzu taksówki wraz z doktorem Jackiem i rozwścieczonym kotem, gotowym wypatroszyć ich obu.

Nagle doktor Jack, ku widocznej uldze taksówkarza, powiedział:

- Nie ma mowy, Isabelle. Hamish i ja idziemy z tobą na górę.

O rany, już zapomniałam, jaki potrafi być upierdliwy i rządzić się jak szara gęś. Taksówka wjechała na naszą ulicę i zatrzymała się na podjeździe. Poprosiłam kierowcę najmilej jak potrafiłam:

- Może pan pojechać do końca ulicy i zawrócić? Chciałabym wejść od tyłu.

I doktor Jack, i taksówkarz spojrzeli na mnie, i doktor zapytał:

- Dlaczego nie możemy wejść od frontu?



To z powodu Trevora - wyjaśniłam z anielską cierpliwością (zauważyłam, bowiem na podjeździe jego furgonetkę). - To taki jeden budowlańc. Zawsze mówi mi „cześć”, gdy wchodzę frontem.

- No to co?

- No to, że wszyscy pozostali budowlańcy gapią się na mnie.

- To dlaczego go po prostu nie zignorujesz?

- No, nie mogę tego zrobić - odpowiedziałam głęboko zszokowana. - To mogłoby zranić jego uczucia. A poza tym, część tych budowlańców myśli, że my, no spotykaliśmy się, Trevor i ja.

- Ale dlaczego? - spytał doktor Jack podejrzliwie. - Dlaczego mu to robisz?

- Nic mu nie robię! - wrzasnęłam. - To raczej on robi mnie. Darryl mi powiedział.

- Jaki Darryl?

- Glazurnik spod numeru 32.

- Wsiadaj z taksówki, Isabelle - powiedział stanowczym głosem doktor Jack. - Ale już.

Chciałam zaprotestować, ale teraz groźnie patrzyli na mnie obaj: doktor Jack i taksówkarz. Nawet cholerny Hamish przestał na chwilę się miotać, zawisł na ramieniu doktora Jacka i spojrzał na mnie zło-wrogo.

Włożywszy ciemne okulary (w daremnym usiłowaniu, by choć trochę się zamaskować), wyśliznęłam się z taksówki i puściłam się biegiem po podjeździe. Gdy doktor Jack dobiegł do mnie, syknęłam jak stado Hamishów.

- Nie idź razem ze mną! Wszyscy pomyślą, że jesteśmy razem, jak zobaczą, że idziemy do mnie.

- Przez „wszyscy” rozumiesz, jak mniemam, wszystkich budowlańców, którzy przyglądają się nam właśnie teraz?

- Tak - rzuciłam wściekle. - I jeszcze Wredny Gerard. Chociaż wciąż musiał trzymać Hamisha, doktor Jack robił wrażenie, że zaczyna się dobrze bawić.

- A kto to jest Wredny Gerard? - spytał, gdy gorączkowo grzebałam w torebce szukając kluczy.

- Mój sąsiad. Spod jedyńki. Straszny plotkarz i nie cierpi mnie, bo rzuciłam w niego szczotkę.

- Wydaje się na oko rozsądnym gościem. Ale... Isabelle, dlaczego rzuciłaś w niego szczotkę?

- Właściwie nie rzuciłam w niego - powiedziałam otwierając frontowe drzwi i zaczynając wspinaczkę po schodach. - Byłam całkiem rozespana, a moja szczotka wyglądała jak obój, więc cisnęłam ją przez okno i przypadkiem trafiłam w niego. Było mi potem przykro. (Nie wspomniałam, że było mi przykro, gdyż tak naprawdę wołałam trafić w Bunty'ego. Ale wtedy doktor Jack tylko utwierdził się w przekonaniu, że mam jakiś obłąkany uraz na punkcie małych psów. Prawdę mówiąc, chyba mam.)

- Isabelle?

- Tak? - spytałam niecierpliwie. Zdecydowanie jeszcze nie spotkałam kogoś, kto zadawałby tyle pytań.

- Czy twoje życie zawsze jest takie skomplikowane?

- Co masz na myśli? W jakim sensie skomplikowane?

- No, spójrzmy po kolei. - Zastanawiał się przez chwilę. W milczeniu wchodziliśmy na górę. Słysząc było tylko Hamisha, usiłującego wypluć kłęb sierści na ubranie doktora Jacka. - Popraw mnie, jeśli nie mam racji, ale: wchodzisz do domu od tyłu, by uniknąć spotkania z budowlańcem imieniem Trevor. Rzucasz szczotkami w swych sąsiadów, udajesz, że jesteś stewardesą o imieniu Annabelle, rzucasz się pod wózeczki dziecinne i próbujesz czarować przystojnych prawicowców udając, że jesteś właścicielką szkockiego kota...

- Jak to wszystko zebrałaś razem, to brzmi gorzej, niż jest. Dotarliśmy wreszcie na ostatnie piętro i już otwierałam

drzwi mieszkania. Doktor Jack wyszczerzył się do mnie i ciągnął:

- Są w twym życiu także mroczne i wciąż niewyjaśnione incydenty, w których pojawiają się: strój baletowy, pralnia i, o ile dobrze

pamiętam, także jakieś lamy i rower. Wolę już nie wypytywać cię dokładniej o tę szczotkę, która wyglądała jak obój.

- Słuchaj, to wszystko jest w rzeczywistości całkiem proste, ale tłumaczenie zabrałoby zbyt wiele czasu. A poza tym, przyganiał kocioł garnkowi. O ile dobrze pamiętam, jesteś pseudomaklerem, z poważnymi problemami, takimi jak seryjne randkowanie i ustalanie tytułu własności sfory małych psów, który szuka ukojenia w hafcie.

- Taa, to rzeczywiście dziwne - powiedział doktor Jack, zamykając za sobą drzwi i bezceremonialnie rzucając Hamisha na podłogę. - Zanim cię poznałem, byłem po prostu lekarzem. Nie miałem pojęcia, że drze mi we mnie aż takie możliwości.

Prychnęłam (starając się, by wypadło to bardziej ironicznie niż pogardliwie) i pomknęłam do sypialni, by poszukać kartki z ogłoszeniem o Hamishu. Doktor Jack podążył za mną, pozostawiając Hamishowi masakrowanie dywanu w salonie. Zaczęłam przerzucać ciuchy i książki, chyba trochę zbyt energicznie, gdyż obecność doktora Jacka w mej sypialni wpływała na mnie dziwnie denerwująco.

- O, mój sweter! - wykrzyknął nagle. - A martwiłem się, gdzie go posiałem.

Odwróciłam się na chwilę od sterty ubrań.

- A, tak przepraszam. Miałam go oddać Zoe, by ci go zwróciła, ale zapomniałam (było to bezczelne kłamstwo, gdyż wcale nie chciałam go zwracać. Lubiłam wtulać w niego twarz i zawsze, gdy go wkładałam, czułam się niewytłumaczalnie dobrze).

Nagle poczułam, że twarz mi płonie, gdyż doktor Jack wyciągnął sweter spod gatek Sama.

- Te chyba nie są moje - powiedział, podając mi gatki z pytaniem w oczach. Wyrwałam mu te nieszczęsne gatki, cała w pałach. - Nie, to Sama. Ale to nie to, co myślisz (z jakiegoś powodu nie chciałam, by sądził, że jestem blisko z Samem. Właściwie to nie chciałam, by *ktokolwiek* tak sądził).

Podniósł dłoń, jakby chciał powstrzymać dalsze wyjaśnienia.

- Nie śmiem nawet próbować wyjaśnić sobie, co robią gatki Sama w twojej sypialni, choć jestem prawie pewien, że nie są pamiątką po jakiejś szalonej nocy. To byłoby zbyt proste. Znając ciebie, należy przypuszczać, że naprawdę są w to przypuszczalnie zamieszane nocny wyścig na Harbour Bridge i jakiś gracz na kobzie.

Przez oka mgnienie wyobraziłam sobie szaloną noc z Samem i aż się wzdrygnęłam na myśl o uprawianiu seksu w pokoju pełnym ołowianych żołnierzyków.

- A przy okazji, jak tam twoje sprawy z Samem? - spytał doktor Jack, wyraźnie unikając mojego wzroku.

- Nijak. Skończone. Tak właściwie to nawet nie zaczęliśmy. Mieliśmy tylko jedną randkę. To była katastrofa.

- Ach, przykro mi to słyszeć (wcale nie wyglądał, by mu było przykro). - Czyli Sam nie okazał się bohaterem z powieści Tołstoja?

- Nie, odpowiedziałam smętnie. - Choć na pewno spodobałaby mu się *Wojna i pokój*. Zastanowiłam się chwilę i dodałam. - No, może tylko *Wojna, bez pokoju*.

Nadal przekopywałam się przez stos papierów. - A jak Lilly?

Cholera. Zabrzmiało to całkiem nie tak jak przypadkowe niewinne pytanie. Zabrzmiało jakbym spodziewała się usłyszeć, że Lilly nagle wezwano w pilnej sprawie służbowej do świata równoległego lub na inną planetę.

- Lilly? - sprawiał wrażenie zdumionego. Pewnie przebiegał w myślach wszystkie posągowe piękności, z którymi się ostatnio spotykał. - Lilly ma się dobrze, o ile wiem. Wróciła już do Papui - Nowej Gwinei.

- Och. Przykro mi to słyszeć. Nie wiedziałam, że ona jest stamtąd.

- Tak, poznałem ją, gdy przyjmowałem poród jej siostry. Pracowałem tam na początku tego roku.

- Tak, wiem, Fran mi o tym mówiła. O rany, Lilly musi mieszkać w *bardzo* wytwornej wiosce.

- W istocie. Lilly mieszka w Port Moresby. To stolica Papui-Nowej Gwinei. Dlaczego myślałaś, że mieszka na wsi?

- No bo Fran mówiła mi, że pomogłaś przy porodzie jakiejś wiejskiej kobiecie.

Doktor Jack roześmiał się.

- Siostra Lilly jest konsultantem od public relation w jednym z głównych banków w Port Moresby. Odebrałem jej poród w prywatnej izolatce, w szpitalu. Nie wiem, skąd Fran wzięła tę wsiową wersję, ale na pewno nie ode mnie.

- Och. - Poczułam się dziwnie rozczarowana. No tak, Fran ma skłonności do koloryzowania, delikatnie mówiąc. Może jeszcze nie wszystko stracone.

- Czy odbierając ten poród płakałaś? - spytałam z nadzieją.

Potrząsnął głową.

- No, przecież musiałeś być choć trochę wstrząśnięty? Cud nowego życia i tak dalej? - naciskałam, nie zamierzając się poddać.

- Wstrząśnięty? Niespecjalnie. To był całkowicie prosty poród. Przez chwilę milczeliśmy oboje. Wtem doktor Jack powiedział.

- Wyglądasz na rozczarowaną, Isabelle.

- No, trochę jestem, przyznałam. - I to nie dlatego, żebym życzyła siostrze Lilly trudnego porodu, chyba rozumiesz. Tyle tylko, że wersja Fran była bardziej romantyczna. Ale to nie twoja wina - dodałam wielkodusznie.

Wielkie dzięki - powiedział i znów zaczął się śmiać.

- Nie rozumiem, co w tym widzisz zabawnego. Tu nie ma się z czego śmiać. Można przejść do porządku dziennego nad moim udawaniem stewardessy i nad tym, że Lewy Botanik udawał botanika, ale nie nad tym że Fran tyle nakłamała na twój temat... Muszę z nią jutro poważnie porozmawiać.

- Nie bądź dla niej zbyt surowa. Nie chciałem tego powiedzieć, ale ona tylko *zahaftowała* prawdę.

Roześmiałam się. On też się uśmiechnął. Nagle poczułam, że się czerwienię i szybko odwróciłam się z powrotem od sterty papierów.

- O, jest! - wrzasnęłam triumfalnie, dokopawszy się wreszcie do ogłoszenia o Hamishu pogrzebanego pod stosem nieotwartych wyciągów bankowych.

Wróciłam do salonu, z przerażeniem oszacowałam straty poczynione przez Hamisha i zadzwoniłam do pani Beverley Barking-Mad. Po jakichś trzech minutach rozłączyłam się, kompletnie otumaniona i oszołomiona, gdyż Jaśnie Pani Barking-Mad wręcz zalała mnie potokiem szczegółowych wskazówek, całkiem jakbym była szczególnie nierozgarniętą służącą, której trzeba tłumaczyć, którym końcem miotły należy zamiatać.

- Ten cholerny babsztyl chce, byśmy przywieźli jej Hamisha teraz, na Hunters Hill.

- Ale Hunters Hill jest całe mile stąd? Nie może baba przyjechać i zabrać swojego kiciusia? - wrzasnął doktor Jack. - Nie płonie z radości, że się odnalazł?

- Nie mam pojęcia. Nie dała mi dojść do słowa. Chyba myśli, że trzymaliśmy go przez te pół roku w niewoli.

Oboje spojrzeliśmy na Hamisha. Właśnie ostrzył sobie pazury o nogę stolika do kawy, a spojrzenia, jakie rzucał doktorowi, wskazywały wyraźnie, że nieszczęsny mebel to tylko rozgrzewka.

- Ale ona chyba mieszka gdzieś tu niedaleko. Może Hamish zostanie u ciebie na resztę dnia i będzie mogła go odebrać wieczorem.

- Nie mogę go tu zostawić, skasuje wszystkie meble, dywan i wszystko, a moja współlokatorka Hattie zamorduje mnie. Słuchaj, taksówka czeka na dole. Jedźmy i miejmy to już za sobą.

Zobaczyłam, jak otwiera usta i szybko mu zagroziłam.

- I nawet nie myśl o tym, że nie jedziesz ze mną. Jeśli nie pojedziesz, solennie obiecuję, że dam twój telefon wszystkim znajomym Beverley i powiem im, że dokonujesz cudów w leczeniu łokcia tenisisty.

Potulnie się zamknął i podniósł Hamisha, który wydał z siebie prawie nie koci oburzony skrzek. Złapałam pospiesznie nagryzmołony



adres i zatrzasnęłam drzwi, goniąc doktora Jacka po schodach. Właściwie, gdy się ze mną nie kłóci, to prawie go lubię.

Wgramoliliśmy się do taksówki. Licznik wybił już astronomiczną sumę. Taksówkarz nie był chyba zadowolony, widząc Hamisha ponownie w swej taksówce, lecz zniecierpliwiona, olałam jego jójczenia i rzuciłam mu adres na Hunter Hill. Gdy taksówkarz ruszył, doktor Jack oddał mi Hamisha.

- Dlaczego ja mam go trzymać? Niespecjalnie lubię koty.

- Pierwszy i jedyny powód jest taki, że w tej idiotycznej sytuacji znaleźliśmy się przez ciebie. Weź kota, Isabelle.

Najwyraźniej krótka chwila porozumienia i sympatii, jakiej doświadczyliśmy w mieszkaniu, już minęła i wszystko wróciło na utarte szlaki. Znowu warczeliśmy na siebie.

- Wiesz co - powiedziałam wielkodusznie proponując kompromis - wezmę od ciebie Hamisha, jeśli powiesz mi, do kogo należy gumowa kaczuszka: do Berta czy Erniego.

- Widzę, że przede mną specjalizacja z psychologii klinicznej - westchnął. - O czym ty znowu, na litość boską mówisz, szalona istoto?

- Życzę ci sukcesów w specjalizacji. Na pierwszym wykładzie z pewnością usłyszysz, iż nie mówi się pacjentom, że są szaleni. A wracając do tematu, to przecież jasne jak słońce, że mówiłam o Bercie i Ernim z *Ulicy sezamkowej*.

- Nie mów do mnie tym przemądrzałym tonem. Wiem, kim są Bert i Ernie. Nie wiem tylko, po co o nich mówisz?

- To taki test, jak ten twój o mózdzierzu i tłuczku. No dalej, wybieraj. Kto miał gumową kaczuszkę - Bert czy Ernie?

- Przypominam ci, że potrafię *kroić* ludzi. Próbowałam naprędce wymyślić coś odpowiedniego, by się odgryźć za tą ostatnią odzywkę (całkiem zresztą zręczną), lecz zrezygnowałam.

Po chwili napiętej ciszy, doktor Jack wreszcie niepewnym tonem powiedział.

- Ernie.

Dostrzegłam, że kostki u rąk aż mu zbieleły, tak mocno trzymał Hamisha za bandamkę. Niestety trafił, ale na szczęście nie miał pojęcia, że trafił.

Potrząsnęłam współczująco głową. - Źle. Przepraszam Jack, ale nadal musisz trzymać Hamisha.

W tym momencie wtrącił się taksówkarz.

- Przepraszam, że się wtrącam, ale pani się myli. To właśnie Ernie miał gumową kaczuszkę.

Rzuciłam mu wściekłe spojrzenie, pod którym aż się skulił.

- Wielkie dzięki za pomoc. Ale pan się myli. To był Bert.

Taksówkarz łypnął na mnie nerwowo, ale nie zamierzał się poddać.

- Nie, to pani się myli. Ernie śpiewał tę piosenkę i tak dalej. Dobrze pamiętam. - Zaczął nucić pierwsze takty piosenki o kaczusce, lecz zamilkł nagle pod moim wściekłym spojrzeniem.

Doktor Jack rzucił mi ubawione spojrzenie i cisnął mi syczącego i stawiającego pazury Hamisha.

- Dwa głosy przeciw jednemu, Isabelle. Boja też sędzę, że to Ernie. Bierz Hamisha.

Naburmuszona, wzięłam Hamisha na podolek, gdzie ten bydlak natychmiast ślicznie zwinął się w kłębek i zaczął mruczeć.

- Pytał cię kto? - warknęłam pod nosem, patrząc nieżyczliwie na taksówkarza.

Chyba mnie usłyszał, gdyż rzucił mi obrzydliwie triumfujące spojrzenie. Patrzyłem przez okno i na chwilę zapadła cisza. Nagle uświadomiłam sobie, że nie mamy się o co kłócić.

Doktor Jack myślał chyba to samo, gdyż zapytał mnie nagle tonem sztucznie uprzejmym i fałszywie swobodnym.

- A jak tam u ciebie w pracy? Oglądałaś ostatnio jakieś ciekawe płótna?

- Cicho bądź! - rzuciłam nerwowe spojrzenie w kierunku taksówkarza, ale chyba nic nie usłyszał.

- Co ja takiego zrobiłem? - Doktor Jack wyglądał na autentycznie zmieszanego.

- Parę rzeczy. Teraz próbujesz być miły i czarujący. To na mnie nie działa, więc daruj sobie.

- Jesteś bez wątpienia najbardziej kłótliwą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

- O, i to są te twoje teksty, przez które chce mi się wyć. Wcale nie jestem kłótliva, ale nie będę się o to kłócić, bo tylko umocnię cię w tym przekonaniu.

- To frustrujące, prawda? - zgodził się znów uśmiechnięty. - Coś takiego, co sprawia, że masz ochotę zjeść własny łokieć.

- Tak, właśnie tak - powiedziałam zdumiona, że tak dokładnie opisał, to co czuję.

- No, ale nie rób tego. Możesz pozuć Hamisha, nie będę cię wstrzymywać. No i dobrze, próbowałem być uprzejmy - pomyślałem, że możemy spróbować, choćby dla odmiany. I naprawdę chciałbym dowiedzieć się czegoś o twojej pracy. Musi być bardzo zajmująca. Wiem, że nie uwierzysz, ale kocham sztukę.

- *Mógłbyś być cicho?* - pochwyciłam zdumione spojrzenie doktora Jacka i wskazałam ruchem głowy taksówkarza. - Nie przy *nim*.

- Dlaczego? - spytał doktor Jack melodramatycznie donośnym scenicznym szeptem, konspiracyjnie nachylając ku mnie głowę.

- No bo on... - przerwałam, gdyż we wstecznym lusterku zobaczyłam wzrok taksówkarza. Patrzył na mnie z wyraźnym obrzydzeniem.

Wtedy nagle coś we mnie pękło, a potem wykipiało.

- No bo on - powiedziałam głośno patrząc wprost w lusterko - zaraz zaczniesz wygłaszać swoje opinie na temat sztuki.

- A dlaczego by nie miał tego robić? - spytał naiwnie doktor Jack. No tak, łatwo ci mówić, masz samochód.

- No właśnie, dlaczego bym nie miał? - spytał mnie podejrzliwie taksówkarz. - Pani myśli, że jestem niewykształcony i nie mogę mieć własnego zdania o sztuce, bo jestem taksówkarzem?

- Och, nie, oczywiście. To nie tak. To znaczy nie to chciałam powiedzieć. No, ja bardzo często korzystam z taksówek. I dużo w związku z tym rozmawiałam z taksówkarzami. Wiem, oczywiście, że nie powinnam uogólniać, ale z moich doświadczeń wynika, że większość taksówkarzy nie znosi sztuki współczesnej i mam już potąd ciągłych rozmów o tym i bronienia każdego dzieła sztuki powstałego w ubiegłym stuleciu. Więc na ogół nie przyznaję się, gdzie pracuję.

Taksówkarz nie wyglądał na przekonanego, ale chyba trochę się udobruchał. Doktor Jack natomiast zdecydowanie promieniał.

Przyjrzałam się mu podejrzliwie.

- Czego się tak szczerzysz?

- A więc to *dlatego* powiedziałaś mi, że jesteś stewardesą. Wcale nie myślałaś, że jestem psychopatą. Po prostu bałaś się, że mogę być taksówkarzem, mam rację?

- Przeleciało mi przez głowę, że może dorabiasz na boku jako taksówkarz - przyznałam.

- Ale przecież powiedziałem ci, że jestem maklerem. Naprawdę, zraniłaś moje uczucia, Isabelle. Czy wyglądałem na zbankrutowanego maklera?

- Mógłbyś przestać się wygłupiać? Pomyślałam, że jesteś psychopatą i szlus. Koszmarnym psychopatą z tasakiem, który w wolnych chwilach robi sekcje małym ptaszynom. Ups, przepraszam, ale jestem głupia. To twoje hobby.

Zamiast się wściec, potrząsnął tylko łagodnie głową i znów zaczął się śmiać.

- To nie ma sensu, Isabelle. Wiem, że mnie lubisz, tylko nie chcesz się do tego przyznać. Wiem, że to z twojej strony tylko gra i *naprawdę* nie mogłabyś nawet pomyśleć, że jestem psychopatą. Właściwie to myślę, że uważasz mnie za... no, że nie możesz mi się oprzeć.

- W życiu nie spotkałam nikogo, kto do tego stopnia żyłby złudzeniami.

- Dlaczego nie przestaniesz się rzucać i po prostu nie przyznasz, że od kiedy spotkaliśmy się, coś nas ciągle do siebie ciągnie?

- Odkąd wsiedliście do taksówki, to aż iskry lecą - stwierdził z przekonaniem taksówkarz.

- A pan niech się nie wtrąca! - wrzasnęłam. Rzucił mi obojętnie spojrzenie i mrugnął do doktora Jacka, co tylko rozjątrzyło mnie jeszcze bardziej.

Wzięłam głęboki oddech, a następnie powiedziałam najspokojniej i najrozsądniej jak potrafiłam.

- Masz rację, istotnie od samego początku coś jest między nami, ale to coś nazywa się niechęć. Wrogość, jeśli wolisz. I aby już wszystko było jasne, dodałam: - A to uczucie wręcz przeciwne do sympatii czy przyciągania. Przykro mi Jack, ale musisz się pogodzić z tym, że nie każda kobieta na świecie obowiązkowo ma ci padać w ramiona. No, to było ostre. Powiedziałam to wyłącznie dla jego dobra i miałam nadzieję, że nie dotknęłam go zbyt mocno.

- Jesteś urocza, gdy się mylisz. Myślę, że zaraz cię pocałuję.

- Nie pocałujesz mnie! Dlaczego do ciebie nie dociera, że ja nawet cię *nie lubię*? - spytałam zdesperowanym tonem. Podałam mu Hamisha. - Masz, cmoknij Hamisha, jeśli musisz już kogoś całować. Jesteś dla mnie tak samo pociągający jak dla niego. A nawet mniej.

- Bardzo bym chciał, żebyś wreszcie zrozumiała, że co innego jest okłamywać innych, a całkiem co innego siebie - powiedział niczym do niegrzecznego dziecka. - Spójrz prawdzie w oczy, pasujemy do siebie wręcz idealnie. Wszyscy zresztą to mówią.

- Ojej, całkiem jak w filmie o miłości - sapnął taksówkarz.

Zdecydowanie odbiło im obu. Postanowiłam najpierw uporać się z łatwiejszym problemem. Zrzuciłam Hamisha z podołka i nachyliłam się ku taksówkarzowi.

- Posłuchaj... Prr. - Och, na miłość boską, nie mogę tak... Jak ci na imię?

- Ralf. A tobie?

- Annabelle - wtrącił doktor Jack usłużnie. - Ralf, nie masz nic przeciwko temu, bym pocałował Annabelle w twojej taksówce? Trochę trudno mi się powstrzymać teraz, gdy już wiem, co ona do mnie czuje.

- Ależ proszę - odpowiedział uprzejmie Ralf. - A ty Annabelle, mylisz się co do taksówkarzy i sztuki. Ja na przykład bardzo lubię francuskich impresjonistów. Monet to mój ulubiony malarz.

- Naprawdę? - wtrącił doktor Jack - Ja wolę raczej abstrakcje. Na przykład obrazu Rothka. Annabelle, proszę przestań się krzywić i przyznaj, że jestem czarujący. Przypomnij sobie, jak wyglądałaś tego dnia, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Wcale wtedy nie myślałaś serio, że jestem psychopatą i będę uważał za czarujące, gdy przyznasz, że jestem czarujący.

- Przestań przemawiać jak osoba z komedii Oskara Wilde<sup>^</sup> - warknęłam. Staralam się myśleć jasno i pozbierać argumenty, by wyjaśnić mu, dlaczego wcale nie uważam, że jest zbyt czarujący, lecz nie miałam na to czasu. Musiałam szybko wtrącić cokolwiek między tym, co mówił on i Ralf, póki miałam jeszcze szansę.

- Jack - rozpoczęłam tonem zarezerwowanym dla najbardziej szurniętych klientów.

- Tak najdroższa? - popatrzył na mnie, roześmianymi oczami. - Nie powinnaś utrudniać. Wiesz przecież, że zaraz się pocałujemy.

- Przywalę ci, jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie „najdroższą”. Nie mam ochoty się z tobą całować. A poza tym, nawet nie mieliśmy jeszcze randki.

Przypomniawszy sobie nagle swój list do Charliego, dodałam: - I jeszcze to wiem, że będziesz mi pobierał nerkę, a ja nawet nie znam twojego nazwiska.

- Ciężko to mówić, ale skoro musisz już wiedzieć, to na nazwisko mi Norbert.

- Och, biedaku. Naprawdę?



- Nie, ale nieważne. No to skoro wychodzi na to, że oboje kłama-  
liśmy na temat swoich zawodów, ulubionych zwierzątek i imion -  
mogę cię pocałować?

- Dość. Więcej z tobą nie rozmawiam. Nie ma potrzeby i nie ma  
sensu, bo jesteś kompletnie porąbany. - Nie do wiary, że wolno mu  
leczyć ludzi. Choć z drugiej strony pozwolił niewątpliwie szpitalowi  
zaoszczędzić tysiące dolarów na środkach znieczulających. Po dzie-  
sięciu minutach rozmowy z doktorem Jackiem wszyscy jego pacjenci  
przypuszczalnie walili głową w pręty łóżek aż do utraty przytomności.

Nastąpiła krótka chwila ciszy. Ostentacyjnie odwróciłam się od  
niego i zapatrzyłam się w okno. Jechaliśmy teraz przez Pymont, zbli-  
żając się do mostu Anzac.

- Isabelle?

- Nie rozmawiam z tobą.

- Wiem, dlaczego tolerujemy u ludzi to, co przeraża nas u koni.

- Nie wiesz.

Czekałam, że coś powie, ale gdy zerknęłam na niego, siedział  
spokojny i uśmiechnięty, całkiem nieczuły na moje wrogie milczenie.

Po krótkiej walce ze sobą, wybuchnęłam. - Naprawdę wiesz, o co  
w tym chodzi?

- Tak.

Znowu zaległa cisza.

- No to co, zamierzasz mi powiedzieć, czy nie?

- Ależ oczywiście, że ci powiem - odpowiedział rozsądnie, lecz  
zaraz popsuł wszystko dodając - podczas kolacji w piątek wieczorem.

- To szantaż.

- Wolę nazwać to twórczą techniką randkowania. W końcu pró-  
bowałam już wszystkiego. Nie zostawiłaś mi wyboru. Żeby się z tobą  
umówić, muszę cię zaszantażować.

- Jesteś najbardziej aroganckim, wrednym typem, jakiego spotka-  
łam. Świetnie. Spotkam się z tobą w piątek wieczorem, ale teraz cię  
nie pocałuję i lepiej, żebyś naprawdę wiedział, o co chodzi w tym  
końskim cytacie, albo każę ci zjeść śledzionę przepiórki na surowo.

Moja groźba nie zrobiła na nim wrażenia. Właściwie to wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Zobaczyłam, że Ralf aprobująco kiwa głową. Następnie, widząc w nagłym odruchu męskiej solidarności, zwrócił się do doktora Jacka

- Ostra jest. Ale w Sydney wszystkie kobiety są takie. Bardzo trudne.

Już otwierałam usta, by mu powiedzieć, że jestem z Melbourne, więc nie jestem żadną kobietą z Sydney, gdy nagle przypomniałam sobie, że wciąż jeszcze nie odpowiedziałam na SMS Charliego z sobotniego wieczoru. Właściwie dlaczego nie odpowiedziałam? Przecież ostatnie pół roku spędziłam na wyobrażaniu sobie, że znów jesteśmy razem i razem wracamy do Melbourne.

Nagle serce zaczęło dzikie harce, coś ścisnęło mnie w dołku i na pewno nie miało z tym nic wspólnego pięć tim tamów zjedzonych na śniadanie. Co się ze mną dzieje? Tyle dni, tygodni i miesięcy spędzonych na usiłowaniu, by nie myśleć o Charliem i imaniu się różnych zajęć, byle tylko o nim nie myśleć. Zaczęłam przypominać sobie kolejno wszystko, co robiłam - moje lekcje jogi z Hattie, nieprzeliczone filiżanki herbaty i czekoladowe ciasteczka zjedzone wspólnie z Fran podczas dyskusji o budowlańcach, książkach i innych facetach. Pomyślałam o tych wszystkich wystawach, weekendowych przechadzkach nad zatoką, o chodzeniu do pubu z Timem i Stellą, czy Frannie i Zoe, czy też z ludźmi, których poznałam w innym pubie. Pomyślałam o porannych przebudzeniach, gdy zwinięta w łóżku patrzyłam przez okno na czerwone dachy i migocące w oddali wody zatoki. I wtedy mnie olśniło. Doznałam objawienia. Lubiłam swe życie w Sydney. Dobrze mi tu było, dobrze się bawiłam i gdzieś pośród tych wszystkich spraw, rzeczy i ludzi właściwie przestałam tęsknić za Charliem.

Kochałam Charliego i jakaś częśćka mnie zawsze będzie go kochać, ale gdzieś - ta myśl była szczególnie dręcząca - gdzieś czeka mnie pierwszy pocałunek z kimś, o kim mogę marzyć bez strachu i obawy. No dobrze, były po drodze rozczarowania, jak spektakularna klęska z Sierżantem Samem, ale tymczasem były i joga, i *Harry Por-*

ter, i Frannie, i Zoe, i Audie, i Henry, i Tim, i Stella, i Catie, i Hattie, i Martin, - i Cory, który będzie zawsze, gdy będę go potrzebować. I pomyślałam (choć starałam się o tym nie myśleć), że pierwszy pocałunek z doktorem Jackem może nie będzie takim całkiem niepożądanym doświadczeniem.

Czułam, że doktor Jack wciąż patrzy na mnie, odwróciłam się więc i obdarzyłam go nagle uśmiechem czystego i nieskażonego szczęścia. Uśmiechnął się w odpowiedzi, a z moim sercem zaczęły się dziać rzeczy zdecydowanie dziwne. Jechaliśmy przez most Anzac, opuściłam szybę by popatrzeć na wznoszące się w niebo przesła mostu i błękit zatoki rozpościerający się poniżej. Przytuliłam Hamisha i poczułam, jak owiewa mnie ciepła bryza. Z daleka zabrzmiała syrena promu, a ja uśmiechnęłam się znowu, tym razem do siebie. Kocham Sydney.

RS

## Spis treści

1. *Chanie odchodzi* .....
2. *Harriet, Audie i bernardyn Barry*
3. *Frannie i Zoe* .....
4. *Zbrodnia* .....
5. *... i kara* .....
6. *Mroczne przedmioty pożądania*
7. *Sztuka wymaga ofiar* .....
8. *Wkracza Ślizel, oślizła oboistka*
9. *Na Boże Narodzenie chcę dostać wrotki!*
10. *Jak nie urok to deska do prasowania*
11. *Cory Czwarty*.....
12. *Lekcje prania i botaniki*.....
13. *Samodoskonalenie i gerbery*.....
14. *Nowa Ja* .....
15. *Przyjęcie* .....
16. *Hamish, zaginiony kot* .....
17. *Styl życia* .....
18. *Spacerkiem przez miasto (czyli, gdzie podziła się torebka Anny Kareniny?)*.....
19. *Kłamstwa, cholerne kłamstwa ..*
20. *Druga randka*.....
21. *Doktor Jack*.....